

Deighton Len

*Gem w
Berlinie*

Przełożył: MICHAŁ RONIKEER

„KB”

ROZDZIAŁ I

Od jak dawna już tu siedzimy? - spytałem. Wziąłem do rąk połową lornetkę i przyglądałem się znudzonemu młodemu amerykańskiemu żołnierzowi, siedzącemu w oszklonej budce strażniczej.

- Od niemal ćwierćwiecza - odparł Werner Volkmann. Oparł głowę na rękach, które trzymał na kierownicy. - Kiedy po raz pierwszy siedzieliśmy tutaj czekając na szczekanie psów, tego żołnierza nie było jeszcze na świecie.

Szczekanie psów, dochodzące z ich wybiegu, za ruinami hotelu Adlon, było zwykle pierwszym sygnałem wskazującym, że po drugiej stronie coś się dzieje. Psy wyczuwały niezwykle wydarzenia, zanim jeszcze przyszli po nie ich opiekunowie. Dlatego właśnie trzymaliśmy okna otwarte i byliśmy niemal śmiertelnie przemarznięci.

- Tego żołnierza nie było jeszcze na świecie, książka sensacyjna, którą czyta, nie została jeszcze napisana, a my obaj myśleliśmy, że Mur zostanie zburzony w ciągu kilku dni. Rozumowaliśmy jak głupie dzieci, ale czasy były lepsze, prawda, Bernie?

- Czasy są zawsze lepsze, kiedy jest się młodym, Werner - odparłem.

Ta strona *Checkpoint Chanie* wcale się nie zmieniła. Nigdy zresztą nie była zbyt okazała; jeden mały barak i kilka tablic z ostrzeżeniem, że jest to granica Sektora Zachodniego. Natomiast po stronie wschodniej punkt graniczny został z czasem znacznie bardziej rozbudowany. Mury i płoty, bramy i bariery, nie kończące się białe linie, którymi znakowano pasy ruchu. Całkiem niedawno ogrodzono murem spory teren, na którym posępni funkcjonariusze przeszukiwali, opukiwali i poddawali szczegółowym oględzinom autobusy z turystami suwając lustra na kółkach pod każdy pojazd, pod którym mógł się ukryć ich rodak.

Na punkcie granicznym nigdy nie panuje cisza. Bateria reflektorów oświetlających wschodnią stronę wydaje miarowy pomruk, przypominający brzęczenie owadów, unoszących się nad łąką w upalny letni dzień. Werner uniósł głowę znad kierownicy i poprawił się na fotelu. Obaj siedzieliśmy na miękkich poduszkach; nauczyło nas tego dwudziestopięcioletnie doświadczenie. Tego, i zaklejania plastrem zamków, żeby światło wewnątrz samochodu nie zapalało się przy każdym otwarciu drzwi.

- Chciałbym wiedzieć, jak długo Zena zostanie w Monachium - powiedział Werner.

- Nie znoszę Monachium - odparłem. - Szczerze mówiąc nie znoszę również tych cholernych Bawarczyków.

- Byłem tam tylko raz - wyznał Werner. - Wykonywałem jakąś pilną robotę na zlecenie Amerykanów. Jeden z naszych ludzi został ciężko pobity, a tamtejsza policja była nieskora do współpracy. - Werner mówił nawet po angielsku z silnym berlińskim akcentem, który tak dobrze znałem z okresu naszego wspólnego pobytu w szkole. Teraz Werner Volkmann był tęgim, czterdziestoletnim mężczyzną; miał tak ciemne gęste włosy, czarne wąsy i senne oczy, że można było go wziąć za jednego z mieszkających w Berlinie Turków. Chuchając na szybę zrobił w niej maleńkie kółko, przez które mógł teraz obserwować poświatę fluorescencyjnych lamp. Widoczna zza konturów przejścia granicznego *Checkpoint Charlie* wschodniobерlińska Friedrichstrasse była jasna jak w dzień.

- Nie - powiedział stanowczo. - Ja też wcale nie lubię Monachium.

Poprzedniego wieczora Werner, po licznych drinkach, zwierzył mi się, że jego żona, Zena, uciekła z jakimś kierowcą ciężarówki, zatrudnionym w firmie Coca-Cola. Od trzech dni korzystałem z jego gościnności sypiając na sofie w wytwornym apartamencie w dzielnicy Dahlem, graniczącej z Grinewald. Na trzeźwo jednak obaj podtrzymywaliśmy fikcyjną wersję, w myśl której Zena bawiła z wizytą u krewnych.

- Coś nadjeżdża - powiedziałem.

Werner nie zadał sobie nawet tyle trudu, by unieść głowę, spoczywającą teraz na oparciu fotela.

- To brązowy ford - powiedział. - Przejedzie przez punkt kontrolny i zaparkuje w tym miejscu, potem siedzący w nim faceci zjedzą hot-doga i wypiją kawę, a o północy wrócą na wschodnią stronę.

Spojrzałem w tamtym kierunku. Tak jak zapowiedział, był to brązowy ford - mikrobus bez bocznych szyb i bez napisów, ale z zachodniobерlińską rejestracją.

- Stoimy w miejscu, w którym zwykle parkują - mówił Werner. - To Turcy, którzy mają dziewczyny we wschodniej strefie. Według przepisów trzeba opuścić teren przed dwunastą w nocy. Zaraz po północy wrócą na Wschód.

- To muszą być wspaniałe dziewczyny! - powiedziałem.

- Za garść zachodnich marek można się tam nieźle zabawić - odparł Werner. - Sam o tym dobrze wiesz, Bernie.

Minął nas wolno jadący radiowóz z dwoma policjantami. Rozpoznali audi Wenera, bo jeden z nich podniósł rękę w geście pozdrowienia. Kiedy radiowóz zniknął z pola widzenia, przyjrzałem się stojącemu obok szlabanu żołnierzowi enerdowskiej straży granicznej, który przytupywał nogami, by pobudzić krążenie krwi. Był ostry mróz.

- Czy jesteś pewien, że pójdziesz tędy, a nie przez punkt kontrolny na Bornholmerstrasse czy Prinzenstrasse? - spytał Werner.

- Pytałeś mnie o to już cztery razy, Werner.

- Czy pamiętasz, jak zaczynaliśmy pracować dla wywiadu? Kierował nim wtedy twój ojciec... sprawy wyglądały zupełnie inaczej. Pamiętam, jak pan Gaunt - ten grubas, który znał wszystkie berlińskie piosenki kabaretowe - założył się ze mną o pięćdziesiąt marek, że nie odważą się go zbudować... to znaczy Muru. Musi już być starym człowiekiem. Ja miałem osiemnaście czy dziewiętnaście lat, a pięćdziesiąt marek to była wtedy kupa pieniędzy.

- Tak, Silas Gaunt. Musiał czytywać za dużo tych przychodzących z Londynu „prognoz strategicznych” - powiedziałem. - Na jakiś czas udało mu się mnie przekonać, że mylisz się we wszystkich sprawach, z kwestią Muru włącznie.

- Ale ty nie zawierałeś żadnych zakładów. - Werner nalał z termosu trochę czarnej kawy i podsunął mi papierowy kubek.

- Za to zgłosiłem się na ochotnika, kiedy trzeba było przejść na drugą stronę... tej nocy, podczas której zamknęli granicę. Nie byłem wcale sprytniejszy niż stary Silas - po prostu nie miałem zbędnych pięćdziesięciu marek, więc nie mogłem sobie pozwolić na zakłady.

- Pierwsi dowiedzieli się taksówkarze. Około drugiej nad ranem kierowcy radio-taxi zaczęli się skarżyć, że są zatrzymywani i wypytywani przy każdym przekroczeniu granicy. Dyspozytor firmy taksówkowej polecił swoim ludziom, żeby nie brali pasażerów do Sektora Wschodniego, a potem zadzwonił do mnie, by mi o tym wszystkim powiedzieć.- A ty powstrzymałeś mnie od przejścia na tamtą stronę.

- Twój ojciec zabronił mi brać cię ze sobą.

- Ale ty poszedłeś, Werner. A stary Silas poszedł z tobą. - A więc to ojciec uniemożliwił mi przejście na drugą stronę tamtej nocy, podczas której odcięto Wschodni Sektor. Nie wiedziałem o tym aż do tej pory.

- Przeszliśmy około wpół do piątej nad ranem. Było tam mnóstwo rosyjskich ciężarówek i tłumy żołnierzy, którzy wyładowywali zwoje drutu kolczastego pod szpitalem Bożego Miłosierdzia. Wróciliśmy dość szybko. Silas zapowiedział, że Amerykanie wyślą czołgi i zerwą wszystkie bariery. Twój ojciec też tak mówił, prawda?

- Ci faceci w Waszyngtonie byli cholernie wystraszeni, Werner. Głupi dranie na samej górze myśleli, że Rusczy przejdą na tę stronę i zajmą Zachodni Sektor. Powitali budowę Muru z wielką ulgą.

- Może oni wiedzą coś, czego my nie wiemy - powiedział Werner.

- Masz rację - przyznałem. - Oni wiedzą, że wywiadem kierują idioci. Ale nie da się tego długo utrzymać w tajemnicy.

Werner pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech.

- A potem, koło szóstej nad ranem, usłyszeliśmy szum wielkich ciężarówek i dźwigów budowlanych. Pamiętasz, jak zawiozłem cię na tylnym siedzeniu mojego motocykla, żeby zobaczyć, jak rozciągają drut kolczasty przez środek Potsdamerplatz? Wiedziałem, że w końcu do tego dojdzie. Nigdy w życiu nie zarobiłem tak łatwo pięćdziesięciu marek. Nie mogę pojąć, dlaczego pan Gaunt przyjął ten zakład.

- Był w Berlinie od niedawna - powiedziałem. - Właśnie przyjechał z Oxfordu, gdzie wykładał przez rok politologię i wszystkie te statystyczne bzdury, którymi popisują się teraz wszyscy nowicjusze.

- Może i ty powinieneś tam pojechać i zacząć coś wykładać - stwierdził Werner z ledwie wyczuwalnym śladem ironii w głosie. - Ale ty nie poszedłeś na uniwersytet, prawda, Bernie? - Było to pytanie retoryczne. Nie odpowiedziałem więc na nie, ale Werner miał wyraźnie ochotę pogadać. - Ja też nie. Ale i bez tego dobrze ci poszło. Czy widzisz czasem pana Gaunta? Jak on pięknie mówił po niemiecku! Nie tak jak ty czy ja - to był prawdziwy *Hochdeutsch*.

Werner, który prowadził firmę kredytowo-eksportową i któremu najwyraźniej powodziło się lepiej niż mnie, spojrzał pytająco w moją stronę, jakby oczekiwał odpowiedzi.

- Ożeniłem się z jego siostrzenicą - powiedziałem.

- Zapomniałem, że stary Silas Gaunt jest krewnym Fiony. Ona jest teraz podobno bardzo ważną osobą w Departamencie.

- Dobrze jej idzie - przyznałem. - Ale pracuje zbyt ciężko. Nie mamy dość czasu dla dzieci.

- Musicie zarabiać mnóstwo pieniędzy - ciągnął Werner. - Oboje należycie do personelu kierowniczego, a ty dostajesz dodatek operacyjny... Ale Fiona jest bogata z domu, prawda? Przecież jej ojciec ma jakieś wielkie przedsiębiorstwo... Czy nie mógłby ci znaleźć wygodnej posady w swoim biurze? To lepsze niż wysiadanie w samochodzie na małej berlińskiej uliczce i zamarzanie na śmierć.

- On już nie przyjdzie - powiedziałem patrząc, jak szlaban opada kolejny raz, a strażnik graniczny wraca do swej budki. Przednia szyba znowu pokryła się mgłą, więc światła punktu granicznego wyglądały jak wesołe, jasne plamki.

Werner nie odpowiedział. Nie ujawniłem mu, na czym polega nasza misja, więc nie miał pojęcia, po co siedzimy w jego samochodzie obok *Checkpoint Chanie* z magnetofonem podłączonym do akumulatora, z mikrofonem przyklejonym taśmą do osłony przeciwsłonecznej i z pożyczonym rewolwerem, który uwierał mnie pod pachą. Po chwili wyciągnął rękę i znów przetarł szybę.

- Twoi przełożeni nie wiedzą o tym, że wziąłeś mnie do pomocy? Wiedziałem, jakiej odpowiedzi oczekuje; chciał usłyszeć, że Sekcja Berlińska wybaczyła mu już dawne potknięcia.

- Nie mieliby zbyt wiele przeciwko temu - skłamałem.

- Oni mają dobrą pamięć - z goryczą stwierdził Werner.

- Musisz jeszcze jakiś czas odczekać - powiedziałem. Prawda wyglądała tak, że nazwisko Wenera było w komputerze opatrzone adnotacją: „nie wolno zatrudniać w sprawach najwyższej wagi”, co w praktyce oznaczało, że w ogóle nie wolno go zatrudniać. W tym zawodzie wszystko było „sprawą najwyższej wagi”.

- A więc nie wyrazili zgody na mój udział? - spytał Werner domyśliwszy się nagle, że przyjechałem do miasta w ogóle nie kontaktując się z Sekcją Berlińską.

- Jaka to dla ciebie różnica? Tak czy owak nieźle na tym zarabiasz.

- Mógłbym być dla nich bardziej przydatny, a Departament mógłby mi okazać większą pomoc. Już ci to wszystko tłumaczyłem.

- Porozmawiam z ludźmi po powrocie do Londynu - obiecałem. - Zobaczą, co się da zrobić.

Moje przyrzeczenie nie zrobiło na Wenerze większego wrażenia.

- Oni po prostu przekażą ten wniosek do berlińskiego biura i sam wiesz, jaką dostaną odpowiedź.- Twoja żona... - zmieniłem temat - czy ona pochodzi z Berlina?

- Ma zaledwie dwadzieścia dwa lata - odparł z zadumą Werner. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni jakby szukając papierosów, ale przypomniał sobie, że nie pozwolę mu zapalić - papierosy i zapalniczki cholernie zwracają uwagę w ciemności - więc zapiął płaszcz na nowo. - Jej rodzina pochodzi z Prus Wschodnich... Chyba widziałeś na komódce jej fotografię - drobna, bardzo ładna dziewczyna o długich czarnych włosach.

- A więc to ona - powiedziałem, choć prawdę mówiąc nie zwróciłem uwagi na tę fotografię. Ale przynajmniej udało mi się zmienić temat. Nie chciałem, by Werner wypytywał mnie o sprawy służbowe. Sam powinien był o tym wiedzieć.

Biedny Werner. Dlaczego zdradzany mąż jest zawsze postacią tak groteskową? Dlaczego to nie niewierna partnerka budzi szyderczy śmiech? Było to niesprawiedliwe, ale rozumiałem, dlaczego Werner udaje, że jego przystojna żona bawi z wizytą u krewnych. Patrzył teraz przed siebie obserwując punkt graniczny i marszcząc gęste, ciemne brwi.

- Mam nadzieję, że nie próbował przejść z podrobionymi dokumentami - powiedział. - Wkładają teraz wszystkie papiery pod światło ultrafioletowe i co tydzień zmieniają oznakowanie. Nawet Amerykanie przestali posługiwać się podrobionymi dokumentami - to po prostu samobójstwo.

- Nie znam żadnych szczegółów - odparłem. - Mam go tylko przejąć i przesłuchać, zanim zostanie wysłany do miejsca swego przeznaczenia.

Werner odwrócił ku mnie twarz; na tle czarnych włosów i ciemnej cery jego zęby lśniły bielą, jak na reklamie pasty do zębów.

- Londyn nie wysyłałby cię tutaj w takiej drobnej sprawie, Bernie. Tego typu misje zleca się posłańcom, takim ludziom jak ja.

- Pojedziemy teraz coś zjeść i wypić - powiedziałem. - Czy znasz jakąś spokojną restaurację, w której podają kielbasę z kartoflami i dobre berlińskie piwo?

- Znam idealny lokal, Bernie. Trzeba jechać Friedrichstrasse, przejechać pod mostem kolejowym przy stacji U-Bahn i skręcić w lewo. Nad samym brzegiem Szprewy - *Weinrestaurant Ganymed*.

- Bardzo zabawne - powiedziałem. Między nami a restauracją Ganymed były mury, zasieki z drutu kolczastego, karabiny maszynowe i dwa bataliony uzbrojonych służbistów. - Zawróć to pudło i zjeżdżajmy stąd wreszcie.

Werner przekręcił kluczyk w stacyjce i zapalił silnik.

- Jestem szczęśliwszy, kiedy jej nie ma - oznajmił. - Któż chciałby mieć czekającą w domu babę, która będzie go wypytywać, gdzie był i dlaczego tak późno wraca?

- Masz rację, Werner - przyznałem.

- Jest dla mnie za młoda. Nie powinienem był się z nią żenić. - Czekał, aż dmuchawa odmrozi choć trochę przednią szybę. - Czy podejmiemy jutro następną próbę?

- Mam polecenie: nie nawiązywać dalszych kontaktów, Werner. To była dla niego ostatnia próba. Jutro wracam do Londynu. Będę spał we własnym łóżku.

- Twoja żona... Fiona... była dla mnie bardzo miła, kiedy nie mogłem przez dwa miesiące wychodzić z domu.

- Pamiętam - odparłem. Dwaj ernerdowscy agenci, których Werner zastał w swoim mieszkaniu, wyrzucili go przez okno. Miał złamaną w dwóch miejscach nogę i minęło sporo czasu, zanim w pełni wrócił do siebie.

- I powiedz panu Gauntowi, że go pamiętam. Wiem, że musi już od dawna być na emeryturze, ale chyba widzisz go nadal od czasu do czasu. Powiedz mu, że jeśli kiedykolwiek znowu zechce się zakładać o to, co knują Rusczy, ma do mnie zadzwonić w pierwszej kolejności.

- Zobaczę się z nim podczas najbliższego weekendu - odparłem. - Wszystko mu powtórzę.

ROZDZIAŁ II

Myślałam, że spóźniłeś się na samolot - powiedziała moja żona zapalając nocną lampkę. Nie spała jeszcze; jej długie włosy nie były prawie wcale zmierzwiłone, a na plisowanej koszuli nocnej nie dostrzegłem śladów pogniecenia. Wyglądało na to, że położyła się dość wcześnie. Na popielniczce leżał palący się papieros. Musiała leżeć w ciemności paląc i rozmyślając o swej pracy. Na stoliku przy łóżku leżały grube tomy, pochodzące z biblioteki Centrali, cienka teczka z napisem „Raport Komisji do Spraw Nauki i Techniki”, notes z ołówkiem oraz zapas papierosów *Benson and Hedges*, których znaczna liczba zamieniła się już w niedopałki, stłoczone w dużej kryształowej popielniczce, przyniesionej przez nią z salonu. Podczas mojej nieobecności żyła zupełnie innym życiem, czułem się więc przez chwilę tak jakbym wszedł do innego domu i innej sypialni, w której leży zupełnie inna kobieta.

- Znów jakiś cholerny strajk na lotnisku - wyjaśniłem. Na radiu z budzikiem stała szklanka z whisky. Pociągnąłem z niej; kostki lodu dawno już się stopiły pozostawiając słabą, letnią mieszaninę. W typowy dla siebie sposób starannie przygotowała sobie poczęstunek pamiętając o Inianej serwetce, patyczku do mieszania i paluszkach z serem - a potem całkowicie o nim zapomniała.

- Na lotnisku w Londynie? - Dostrzegła swój na wpół wypalony papieros, zgasiła go i pomachała ręką, by rozwiać dym.

- A gdzie indziej codziennie organizują strajki? - spytałem z irytacją.

- Nic o tym nie mówili w dzienniku.

- Strajki nie są już wydarzeniami godnymi odnotowania - powiedziałem. Podejrzewała najwyraźniej, że nie przyjechałem wprost z lotniska, a jej brak współczucia z powodu trzech straconych przeze mnie godzin nie poprawił mego złego humoru.

- Czy wszystko poszło dobrze?

- Werner kazał cię pozdrowić. Opowiedział mi tę anegdotę o twoim wuju Silasie, który założył się z nim o pięćdziesiąt marek, że Rosjanie nie zbudują Muru.

- Znowu! - powiedziała Fiona. - Czy on kiedykolwiek zapomni o tym cholernym zakładzie?

- On cię lubi. Kazał cię pozdrowić. - Nie była to w gruncie rzeczy prawda, ale chciałem, żeby i ona go polubiła, tak samo jak ja. - Poza tym odeszła od niego żona.

- Biedny Werner - powiedziała. Fiona była bardzo piękna, szczególnie kiedy miała na twarzy ten rodzaj uśmiechu, który kobiety rezerwują dla porzuconych mężczyzn. - Czy uciekła z kochankiem?

- Nie - skłamałem. - Nie mogła znieść jego romansów z innymi kobietami.

- Werner! - powiedziała moja żona i zaśmiała się głośno. Nie wierzyła w przygody Wenera z tłumami innych kobiet. Byłem ciekaw, jak doszła do tak słusznej konkluzji. Werner wydawał mi się atrakcyjnym facetem, ale ja byłem mężczyzną. Chyba nigdy już nie zrozumie kobiet. Kłopot polega na tym, że one rozumieją mnie, rozumieją mnie zbyt dobrze. Zdjąłem marynarkę i powiesiłem ją na wieszaku.

- Nie wkładaj marynarki do szafy - powiedziała Fiona. - Trzeba ją oddać do pralni. Jutro to zrobię. - I możliwie najbardziej normalnym głosem dodała: - Próbowałam cię złapać w Steigerberger Hotel. Potem dzwoniłam do oficera dyżurnego w Centrali, ale nikt nie wiedział, gdzie jesteś. Billy miał spuchnięte gardło. Podejrzywałam, że może to być świnka.

- Nie mieszkalem tam - odparłem.

- Prosiłeś swoje biuro, żeby zarezerwowano ci tam pokój. Powiedziałeś, że to najlepszy hotel w Berlinie. Mówiłeś, że mogę ci tam zostawić wiadomość.

- Mieszkalem u Wenera. Teraz, kiedy jego żona odeszła, ma wolny pokój.

- Czy podzielił się z tobą tymi wszystkimi swoimi kobietami? - spytała Fiona. Znowu wybuchnęła śmiechem. - Czy zaplanowałeś to wszystko w taki sposób, żeby wzbudzić we mnie zazdrość?

Pochyliłem się, żeby ją pocałować.

- Tęskniłem za tobą, kochanie. Naprawdę. Czy z Billym wszystko w porządku?- Billy czuje się dobrze. Ale ten cholerny mechanik w warsztacie wręczył mi rachunek na sześćdziesiąt funtów!

- Za co?

- Wyszczególnił na nim wszystkie pozycje. Powiedziałam mu, że to załatwisz.

- Ale oddał ci samochód?

- Musiałam odebrać Billy'ego ze szkoły. Wiedział o tym, zanim zaczął go naprawiać. Więc wrzasnęłam na niego i pozwolił mi go zabrać.

- Jesteś cudowną żoną - powiedziałem. Rozebrałem się i poszedłem do łazienki, by się umyć i wyszorować zęby.

- I wszystko poszło dobrze? - spytała podnosząc głos. Spojrzałem na swe odbicie w podłużnym lustrze. Na szczęście byłem wysoki, bo zaczynałem tyć, a berlińskie piwo nie było na to najlepszym lekarstwem.

- Zrobiłem, co mi kazano - powiedziałem kończąc szczotkować zęby.

- To do ciebie niepodobne, kochanie - odparła Fiona. Włączyłem elektryczną maszynkę do masażu dziąseł, ale jej szmer nie zagłuszył dalszego ciągu. - Ty nigdy nie robisz tego, co ci kazano, sam o tym dobrze wiesz.

Wróciłem do sypialni. Fiona uczesała się i wygładziła kołdrę po mojej stronie łóżka. Położyła moją piżamę na poduszce. Składała się ona z czerwonej kurtki i wzorzystych spodni.

- Czy to moja?

- Nie przywieźli w tym tygodniu bielizny z pralni. Zadzwoniłam do nich. Kierowca jest chory... więc co można zrobić?

- Wcale nie zgłosiłem się do centrali berlińskiej, jeśli o to ci chodzi - przyznałem. - Są tam sami smarkacze, nie umiejący odróżnić własnej dupy od dziury w ziemi. Czuję się bezpieczniej pod opieką któregoś z weteranów, takich jak Werner.

- A gdyby coś się stało? Gdyby wynikły jakieś kłopoty, a oficer dyżurny nie wiedziałby nawet, gdzie cię szukać w Berlinie? Czy nie rozumiesz, że popełniasz głupstwo nie meldując się u nich, choćby dla pozoru?

- Nie znam już nikogo w berlińskiej centrali, kochanie. Wszystko się tam zmieniło, od kiedy szefem został Frank Harrington. To smarkacze, którzy nie mają żadnego doświadczenia w służbie operacyjnej, za to masę teorii wyniesionych z kursu przygotowawczego.

- Ale twój człowiek się zjawił?

- Nie.

- Spędziłeś tam trzy dni na darmo?

- Na to wygląda.

- Wyślą cię, żebyś zorganizował jego przerzut. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

- Nonsens - powiedziałem wchodząc do łóżka. - Posłużą się kimś z Berlina Zachodniego.

- To najstarszy numer z podręcznika. Wysyłają cię tam, żebyś czekał... przecież nie wiesz nawet, czy mają z nim kontakt. Teraz wrócisz, zameldujesz, że się nie zgłosił, i będziesz tym, którego po niego wyślą. Mój Boże, Bernie, czasem rozumiesz jak głupiec.

Nie patrzyłem na to w ten sposób, ale w cynicznym podejściu Fiony było sporo racji.

- Więc będą musieli znaleźć kogoś innego - powiedziałem ze złością. - Wyślą po niego któregoś z miejscowych agentów. Moja twarz jest tam zbyt dobrze znana.

- Powiedzą to samo co ty: że wszyscy ci smarkacze nie mają żadnego doświadczenia.

- Ten facet to Brahms Cztery - wyznałem.

- Brahms... te nazwy siatek brzmią tak groteskowo. Wolałam dawne kryptonimy, takie jak Trojańczyk, Wellington czy Wino.

Sposób, w jaki to powiedziała, wydał mi się irytujący.

- Od czasów wojny nadaje się siatkom nazwy, z których nie można domyślić się narodowości agentów - powiedziałem. - A ten facet z siatki Brahms, ten numer czwarty, ocalił mi kiedyś życie. To on pomógł mi wydostać się z Weimaru.

- Ach, to ten, którego tożsamość otoczona jest taką cholerną tajemnicą. Tak, wiem już, który. Jak myślisz, dlaczego wysłali właśnie ciebie? I widzisz teraz, dlaczego będą cię nakłaniali, żebyś przeszedł na drugą stronę i przerzucił go?

Ze stojącej przy łóżku srebrnej ramki przyglądała mi się moja utrwalona na fotografii podobizna. Bernard Samson, poważny młody człowiek o dziecięcej twarzy, kędzierzawych włosach i oczach ukrytych za okularami w rogowej oprawie, nie przypominał bynajmniej pomarszczonego starego durnia, którego co rano oglądałem podczas golenia się.

- Byłem w trudnej sytuacji. On mógł iść dalej sam. Nie musiał wracać po mnie aż do Weimaru. - Ułożyłem wygodnie głowę na poduszce. - Jak dawno temu to było... osiemnaście lat, może dwadzieścia?

- Śpij już - powiedziała Fiona. - Rano zadzwonię do biura i powiem, że źle się czujesz. To ci da trochę czasu do namysłu. - Powinnaś zobaczyć stos zaległej roboty na moim biurku.

- Billy miał urodziny, więc wzięłam jego i Sally do tej greckiej restauracji. Kelnerzy śpiewali mu *Happy Birthday* i bili brawo, kiedy zdmuchnął świeczki. Zachowali się bardzo ładnie. Żałuję, że cię tam nie było.

- Nie pójdę na drugą stronę. Powiem to staremu jutro rano. Nie nadaję się już do takiej roboty.

- Dzwonił też ten Moore z banku. Chce z tobą porozmawiać. Mówi, że to nic pilnego.

- I oboje wiemy, co to znaczy - powiedziałem. - To znaczy, że muszę do niego natychmiast zatelefonować pod rygorem poważnych konsekwencji! - Przysunąłem się do niej i poczułem zapach perfum. Opanowałem wątpliwość, czy skropiła się nimi tylko dla mnie.

- Harry Moore nie jest taki. W okresie Bożego Narodzenia debet na naszym koncie wynosił niemal siedemset funtów, ale kiedy spotkaliśmy go na przyjęciu u mojej siostry, powiedział, żeby się tym nie przejmować.

- Brahms Cztery zaprowadził mnie do faceta nazwiskiem Busch - Karl Busch - który miał w Weimarze kawalerkę służącą jako skrzynka kontaktowa... - Stopniowo przypominałem sobie wszystkie szczegóły. - Siedzieliśmy w niej przez trzy dni, a kiedy przeszliśmy na drugą stronę, Busch wrócił tam samotnie. Zabrano go do kwatery sił bezpieczeństwa w Lipsku. Nikt go odtąd nie widział.

- Jesteś teraz funkcjonariuszem wyższego szczebla, kochanie - powiedziała sennym głosem. - Nie musisz tam iść, jeśli nie masz na to ochoty.

- Telefonowałem do ciebie wczoraj wieczorem. Była druga w nocy, ale nikt nie odpowiadał.

- Widocznie mocno spałam. - Fiona była teraz rozbudzona i czujna. Czulem to w tonie jej głosu.

- Telefon dzwonił godzinami. Nakręcałem numer dwa razy. W końcu poprosiłem, żeby mnie połączono przez centralę.

- W takim razie ten cholerny aparat znowu nawala. Próbowałam dodzwonić się tu wczoraj, żeby porozmawiać z nianią, i też nikt nie odbierał. Jutro zadzwonię do biura napraw.

ROZDZIAŁ III

Richard Cruyer był Szefem Sekcji Niemieckiej, czyli moim bezpośrednim przełożonym. Jako człowiek o dwa lata młodszy niż ja często tłumaczył się ze swego wyższego stanowiska, co dawało mu okazję do przypominania samemu sobie, że zrobił szybką karierę w branży, w której szybkie kariery należą do zjawisk wyjątkowych.

Dicky Cruyer miał kędzierzawe włosy, lubił nosić koszule z rozpiętym kołnierzykiem oraz spłowiełe dzinsy i zachowywał się jak *Wunderkind*, otoczony ludźmi, dla których obowiązkowym uniformem były ciemne garnitury i krawaty z ekskluzywnej szkoły Eton. Ale mimo swego młodzieżowego żargonu i swobodnego sposobu bycia był najbardziej sztywnym służbistą w całym Departamencie.

- Oni myślą, że to ciepła posadka, Bernard - mówił do mnie mieszając kawę. - Nie wiedzą, że zastępca Szefa Wydziału Europejskiego stale zagląda mi przez ramię i nie mają pojęcia o nie kończących się posiedzeniach tych wszystkich cholernych komisji, które mieszczą się w tym budynku.

Nawet skargi Cruyera obliczone były na zademonstrowanie własnej ważności. Ale teraz uśmiechnął się do mnie, by mi pokazać, jak dzielnie znosi swoje kłopoty. Podano mu kawę w pięknej porcelanowej filiżance, mieszał ją zaś srebrną łyżeczką. Obok, na mahoniowej tacy, stała druga identyczna filiżanka ze spodeczkiem, pochodząca z tego samego serwisu cukiernica i srebrny dzbanuszek do mleka w kształcie krowy. Był to cenny antyk - jak wielokrotnie informował mnie Dicky - i zamykano go na noc w pancерnej szafie na akta razem z księgą szyfrową i kopiami bieżącej korespondencji.

- Oni myślą, że moja praca polega tylko na jadaniu obiadów w *Mirabelle* i piciu *fine* z szefem. Dicky zawsze mówił *fine* zamiast brandy lub koniak. Fiona doniosła mi, że nabrał tej manieri jeszcze jako student, kiedy został przewodniczącym Stowarzyszenia Miłośników Jedzenia i Win przy uniwersytecie w Oxfordzie. Trudno było uznać go za znawcę kuchni na podstawie jego figury, był bowiem szczupłym mężczyzną o chudych rękach, chudych nogach i kościstych dłoniach oraz palcach; jednym z nich przesuwiał nieustannie po swych bezkrwistych wargach. Był to tik nerwowy, typowy - jak twierdzili niektórzy - dla człowieka, który wyczuwa wrogość otoczenia. Był to oczywisty nonsens, ale muszę przyznać, że ja osobiście uważałem Dicky'ego za drobnego spryciarza i nie lubiłem go.

Pociągnął łyk kawy i zaczął delektować się jej smakiem poruszając wargami i patrząc na mnie tak jakbym był kupcem, który chce mu sprzedać cały tegoroczny plon.

- Jest chyba odrobinę gorzkawa, nie uważasz, Bernard?

- *Nescafe* zawsze ma dla mnie taki sam smak - odparłem.

- To kawa ziarnista najwyższej jakości - *chagga*, zmielona tuż przed zaparzeniem. - Powiedział to spokojnym tonem, ale kiwnął głową, by dać mi do zrozumienia, że dostrzegł moją niewinną próbę wyprowadzenia go z równowagi.

- No więc, nie zjawił się - oznajmiłem. - Możemy tu siedzieć przez całe przedpołudnie pijąc *chagę*, ale nie pomożemy w ten sposób Brahmsowi Cztery w przejściu przez granicę. Dicky zbył moją uwagę milczeniem.

- Czy nawiązał już ponownie kontakt? - spytałem.

Dicky odstawił filiżankę na biurko i przerzucił kilka dokumentów znajdujących się w teczce.

- Tak. Otrzymaliśmy od niego regularny raport. Jest bezpieczny. - Zaczął obgryzać paznokcie.

- Dlaczego się nie zjawił?

- Na ten temat brak szczegółów. - Uśmiechnął się. Był przystojny, na tej samej zasadzie, na której cudzoziemcom wydają się przystojni angielscy maklerzy giełdowi, noszący meloniki. Miał ostre rysy i szczupłą twarz, z której nie zniknęła jeszcze opalenizna, będąca wspomnieniem po świątecznym urlopie na Wyspach Bahama. - Wyjaśni nam to, kiedy uzna za stosowne. Nie należy ponaglać agentów działających w terenie - taką miałem zawsze zasadę. Zgadzasz się, Bernard?

- To jedyna metoda, Dicky.

- Mój Boże! Jakże chciałbym wrócić do służby operacyjnej - choćby na krótko! Wy macie najlepszą pracę.

- Zostałem skreślony z listy agentów operacyjnych już niemal pięć lat temu, Dicky. Jestem teraz urzędnikiem, takim samym jak ty. - Powinienem powiedzieć: „takim samym jakim ty zawsze byłeś”, ale zrezygnowałem z tego pomysłu. Kiedy Dicky wrócił z wojska, przedstawiał się przez jakiś czas jako „kapitan Cruyer”. Szybko jednak zorientował się, jak groteskowo musi brzmieć jego stopień w uszach Dyrektora Generalnego, który nosił niegdyś mundur generalski. Zdał sobie też sprawę, że „kapitan Cruyer” nie miałby wielkich szans na otrzymanie obecnego zaszczytnego stanowiska.

Wstał, obciągnął koszulę i wypił następny łyk kawy osłaniając dno filiżanki wolną dłonią, by nie kapnęła mu na spodnie. Zauważył, że nie wypiłem swojej.

- Może wolałbyś herbatę?

- Czy jest jeszcze zbyt wcześnie na gin z tonikiem?

- Myślę, że czujesz się zobowiązany wobec naszego przyjaciela B-Cztery - stwierdził, nie odpowiadając na moje pytanie. - Nadal jesteś mu wdzięczny za to, że wrócił wtedy po ciebie do Weimaru. - Widząc mój zaskoczony wyraz twarzy, kiwnął głową. - Czytam akta, Bernard. Wiem, co jest grane.

- Zachował się bardzo przyzwoicie - powiedziałem.

- Istotnie. Zachował się bardzo przyzwoicie, ale nie zrobił tego dla ciebie. To znaczy - nie tylko dla ciebie.

- Nie było cię tam, Dicky.

- B-Cztery wpadł w panikę. Uciekł. Był już blisko granicy, w jakiejś zabitej deskami dziurze na terenie Thuringerwald, kiedy nasi ludzie dotarli do niego, by mu powiedzieć, że KGB wcale nie zamierza go przesłuchiwać - ani jego, ani nikogo innego.

- To stare dzieje - powiedziałem.

- Namówiliśmy go do powrotu - powiedział Cruyer. Zauważyłem, że zaczął teraz używać liczby mnogiej. - Podaliśmy mu kilka nieważnych informacji, a potem kazaliśmy mu wrócić i odegrać rolę urażonej niewinności. Poinformowaliśmy go, żeby zgodził się na współpracę z nimi.

- Nieważnych informacji?

- Nazwiska ludzi, którzy już uciekli, adresy dawno porzuconych punktów kontaktowych... strzępy wiadomości, które pozwoliłyby mu dobrze wypaść w oczach KGB.

- Ale udało im się aresztować Buscha, tego faceta, który mnie ukrywał.

Cruyer bez pośpiechu dopił swą kawę i wytarł usta leżącą na tacy lnianą serwetką. - Wydostaliśmy dwóch spośród was. Dwóch na trzech to chyba niezły wynik jak na tak ryzykowną sytuację. Busch wrócił do domu po swoją kolekcję znaczków... Kolekcję znaczków! Co można zrobić z takim człowiekiem? Oczywiście zamknęli go.

- Ta kolekcja znaczków była zapewne wszystkim, co udało mu się oszczędzić w ciągu całego życia.

- Być może, i właśnie dlatego wpadł, Bernard. Te świny nie dają nikomu drugiej szansy. Ja to wiem, ty to wiesz i on również to wiedział.

- Więc dlatego nasi agenci nie lubią Brahmsa Cztery?

- Tak jest, właśnie dlatego.

- Myślą, że to on wsypał siatkę z Erfurtu? Cruyer wzruszył ramionami.

- Cóż mogliśmy zrobić? Nie mogliśmy przecież rozpuścić wiadomości, że to my wymyśliliśmy całą historyjkę, by uczynić go *persona grata* w oczach KGB. - Podszedł do szafki z alkoholem i wlał trochę ginu do dużej kryształowej szklanki.

- Sporo ginu, nie za dużo toniku - powiedziałem. Cruyer odwrócił się i spojrzał na mnie, jakby nie rozumiejąc, o co mi chodzi. - O ile to dla mnie - dodałem. - A więc popełniono błąd. Kazano Brahmsowi Cztery podać stary adres Buscha, a ten biedak wrócił tam po swoje znaczki. I wpadł prosto w ręce funkcjonariuszy KGB, którzy przyszli go aresztować.

Dicky dolał do szklanki trochę ginu i ostrożnie, aby nie zachlapać podłogi, wrzucił do niego kilka kostek lodu. Postawił szklankę koło mnie, a obok niej butelkę z tonikiem, której nie tknąłem.

- Nie musisz już przejmować się tą sprawą, Bernard. Zrobiłeś swoje jadąc do Berlina. Teraz przekażemy ją komuś innemu.

- Czy grozi mu niebezpieczeństwo?

Cruyer podszedł na nowo do szafki z alkoholem i był przez chwilę bardzo zajęty odkładaniem wszystkiego na miejsce. Potem zamknął drzwiczki szafki i spytał:

- Czy wiesz, jakiego rodzaju materiały dostarczał nam Brahms Cztery?

- Informacje z zakresu ekonomii. Pracuje w jakimś wschodnio-niemieckim banku.

- Należy do najbardziej chronionych informatorów, jakich mamy w Niemczech. Ty jesteś jednym z niewielu ludzi, którzy się z nim zetknęli.

- I to niemal przed dwudziestu laty.

- Działa za pośrednictwem poczty. Wysyła materiały do różnych członków siatki Brahms - zawsze na terenie NRD, żeby uniknąć cenzury i służb kontrwywiadu. W razie potrzeby zostawia listy w umówionym miejscu. Ale to wszystko - żadnych mikrofilmów, specjalnych notatników, szyfrów, nadajników radiowych, atramentów sympatycznych. Działa bardzo staromodnie.

- I bardzo bezpiecznie - dodałem.

- Owszem, jak dotąd bardzo staromodnie i bardzo bezpiecznie - przyznał Dicky. - Nawet ja nie mam dostępu do jego teczek personalnej. Nikt nic o nim nie wie - poza tym, że musi zdobywać materiały na dość wysokim szczeblu. Możemy tylko zgadywać.

- I zgadliście - odpowiedziałem wiedząc, że i tak mi o tym powie.

- B-Cztery informuje nas o ważnych decyzjach podejmowanych przez *Deutsche Investitions Bank*. I przez *Deutsche Bauern Bank*. Te państwowe banki udzielają długoterminowych kredytów przeznaczonych dla przemysłu i rolnictwa. Oba podlegają *Deutsche Notenbank*, przez który przechodzą wszystkie płatności, przelewy i zezwolenia na wypłaty na terenie całego kraju. Od czasu do czasu otrzymujemy też informacje o poczynaniach banku moskiewskiego, który nazywa się *Narodny Bank*, i o przebiegu posiedzeń rady RWPG. Myślę, że Brahms Cztery jest sekretarzem lub osobistym asystentem któregoś z dyrektorów *Deutsche Notenbank*.

- A może jednym z dyrektorów?

- Wszystkie banki mają wydziały wywiadu ekonomicznego. Żaden ambitny bankier nie chce być szefem tego wydziału, więc na stanowiskach dyrektorskich stale następują zmiany. Brahms Cztery wysyła nam tego typu informacje od tak dawna, że nie może być niczym więcej niż urzędnikiem czy asystentem.

- Będzie wam go brakowało. Szkoda, że musicie go stamtąd wyciągnąć - powiedziałem.

- Wyciągnąć? Wcale nie usiłuję go wyciągnąć. Chcę, żeby został tam gdzie jest.

- Myślałem...

- To on uważa, że powinien zostać przerzucony na Zachód - nie ja! Ja chcę, żeby został na miejscu. Nie mogę sobie pozwolić na stratę takiego informatora.

- Czy zaczyna się bać?

- Oni wszyscy prędzej czy później zaczynają się bać - powiedział Cruyer. - To zmęczenie materiału. Nie wytrzymują napięcia. Starzeją się, odczuwają zmęczenie, więc zaczynają rozglądać się za workiem złota i wiejskim domkiem z pnącymi różami wokół drzwi.- Zaczynają się rozglądać za tym, co im przez dwadzieścia lat obiecujemy - powiedziałem. - Tak wygląda prawda.

- Kto wie, dlaczego ci szaleńcy robią to, co robią? - powiedział Cruyer. - Spędziłem pół życia usiłując zrozumieć ich motywy. - Wyjrzał przez okno. Jasne promienie słońca oświetlały z boku rosnące za nim lipy. Na ciemnoniebieskim niebie przesuwały się bardzo wysoko tylko strzępki pierzastych chmur. - I wcale nie jestem bliższy zrozumienia, co ich do tego skłania.

- Nadchodzi moment, w którym trzeba im pozwolić odejść - powiedziałem.

Dotknął warg, jakby całował końce swych palców, a może oceniał smak rozlanego na nie ginu.

- Masz na myśli teorię lorda Morana? O ile pamiętam, podzielił ludzi na cztery kategorie. Do pierwszej zaliczył tych, którzy się nigdy nie boją, do drugiej - tych, którzy się boją, ale nigdy tego nie okazują, do trzeciej - tych, którzy się boją i okazują to, ale robią swoje, a do czwartej tych którzy się boją i w końcu nawalają im nerwy. Do której z nich zaliczyłbyś Brahmę Cztery?

- Nie wiem - odparłem. Jak, do diabła, mogłem wytłumaczyć takiemu facetowi jak Cruyer, co przeżywa człowiek, który boi się w dzień i w nocy przez wiele kolejnych lat. Czego Cruyer mógł się kiedykolwiek obawiać? - Chyba tylko dokładnej kontroli zasadności swych wydatków z funduszu reprezentacyjnego.

- Tak czy owak ma tam zostać jeszcze przez jakiś czas i na tym sprawa się zamyka.

- Po co więc mnie tam wysłano i polecono się z nim spotkać?

- On odegrał komedię, Bernard. Dostał ataku hysterii. Wiesz, jak ci ludzie potrafią się czasem zachować. Groził, że zostawi nas na lodzie. Że posłuży się starym, podrobionym amerykańskim paszportem i przejdzie przez *Checkpoint Charlie*.

- A więc ja byłem tam po to, by go zatrzymać?

- Nie mogliśmy sobie pozwolić na rozgłos, prawda? Nie mogliśmy podać jego nazwiska tajnej policji ani rozesłać teleksów do wszystkich lotnisk i portów. - Otworzył okno, choć wymagało to od niego sporo wysiłku, gdyż było zamknięte przez całą zimę. - Ach,

odrobina londyńskich spalin. Tak będzie lepiej - powiedział, gdy do pokoju wdarł się podmuch chłodnego powietrza. - Ale nadal mamy z nim trudności. Nie dostarcza nam regularnie informacji. Grozi, że w ogóle przerwie ich dopływ.

- A ty... czym ty mu grozisz?

- Groźby nie należą do mojego stylu, Bernard. Ja proszę go tylko, żeby pozostał tam jeszcze przez dwa lata i pomógł nam osadzić na swoim miejscu kogoś innego. Mój Boże! Czy wiesz, ile pieniędzy wycisnął z nas w ciągu ostatnich pięciu lat?

- Bylebyś nie chciał wysłać tam mnie - powiedziałem. - Moja twarz jest tam zbyt dobrze znana. I nie mam już siły na akcje wymagające przemocy fizycznej.

- Mamy do dyspozycji mnóstwo ludzi, Bernard. Nie ma potrzeby, by pracownicy wyższego szczebla podejmowali ryzyko osobiste. Zresztą, gdyby sprawa przybrała naprawdę niekorzystny dla nas obrót, będziemy musieli posłużyć się kimś z Frankfurtu.

- To dość paskudnie zabrzmiało, Dicky. Jakiego rodzaju ludzi mielibyśmy sprowadzać z Frankfurtu?

Cruyer pociągnął nosem.

- Nie muszę chyba tłumaczyć ci tego, jakbyś był nowicjuszem. Jeśli B-Cztery zacznie poważnie myśleć o wyznaniu wszystkiego tym chłopcom z Normannenstrasse, będziemy musieli działać bardzo szybko.

- Zabójstwo dokonane przez nieznaną sprawców? - spytałem, nie zmieniając tonu głosu ani wyrazu twarzy.

Cruyer zmieszał się lekko.

- Będziemy musieli szybko zareagować. Będziemy musieli zgodzić się na to, co uzna za niezbędne ekipa działająca na miejscu. Wiesz, jak wyglądają takie sprawy. I nigdy nie można wykluczyć konieczności likwidacji.

- To przecież jeden z naszych ludzi, Dicky. To stary człowiek, który służył Departamentowi przez dwadzieścia kilka lat.

- Ależ prosimy go tylko o to, żeby służył nam nadal w taki sam sposób - powiedział Dicky, przesadnie podkreślając swoją cierpliwość. - Rozważania o tym, co się stanie, jeśli straci głowę i zechce nas wsypać, to tylko domysły - bezcelowe domysły.

- Na takich domysłach polega nasz zawód - powiedziałem. - Poza tym zastanawiam się, co ja musiałbym zrobić, żeby „ktoś z Frankfurtu” wybrał się tutaj i przygotował mnie do ważnego przesłuchania w niebie.

- Zawsze był z ciebie niezły numer! - powiedział Cruyer wybuchając śmiechem. - Muszę to opowiedzieć staremu.

- Masz jeszcze odrobinę tego doskonałego ginu?

- Zostaw Brahmę Cztery Frankowi Harringtonowi i Berlińskiej Jednostce Operacyjnej, Bernard - powiedział wyjmując mi szklankę z ręki. - Nie jesteś Niemcem, nie jesteś już agentem operacyjnym i jesteś o wiele za stary. Nalał do mojej szklanki ginu i dodał trochę lodu używając tym razem srebrnych szczypiec.

- Pomówmy o czymś weselszym - powiedział przez ramię.

- W takim razie, Dicky, co będzie z funduszem, który mam dostać na zakup nowego samochodu? Księgowy nie zrobi nic, dopóki nie dostanie wszystkich papierków.

- Zostaw to mojej sekretarce.

- Wypełniłem już te formularze - powiedziałem. - Mam je nawet przy sobie. Potrzebny jest tylko twój podpis... na obu egzemplarzach. - Ułożyłem je przed nim i podałem mu pióro, stanowiące część ozdobnego kompletu, który stał na jego biurku.

- Ten samochód będzie dla ciebie zbyt duży - mruknął udając, że pióro nie chce pisać.

- Będiesz żałował, że nie wybrałeś czegoś mniejszego. - Podałem mu swój plastikowy długopis, a kiedy podpisał, przyjrzałem się uważnie formularzom i schowałem je do kieszeni. Byłem zadowolony, że tak trafnie wybrałem właściwy moment.

ROZDZIAŁ IV

Mieliśmy podczas tego weekendu odwiedzić Silasa Gaunta, wuja Fiony. Stary Silas nie był w gruncie rzeczy jej wujem, lecz dalekim krewnym jej matki. Spotkała go po raz pierwszy dopiero wtedy, kiedy wkrótce po naszym poznaniu zabrałem ją do niego chcąc zrobić na niej wrażenie. Poprzednio skończyła Oxford otrzymując - zgodnie z oczekiwaniami - znakomite oceny z filozofii, polityki i ekonomii (czyli - w żargonie akademickim - ze „współczesnej klasyki”), i zajmowała się różnymi rzeczami, którymi w oczach jej rówieśników powinna się zajmować młoda Angielka z wyższych sfer: studiowała rosyjski na Sorbonie doskonaląc przy okazji swój francuski akcent, skończyła krótki kurs sztuki kulinarnej organizowany przez towarzystwo smakoszy *Cordon Bleu*, pracowała u pewnego anty-kwariusza, była członkiem załogi jachtu biorącego udział w transatlantyckich regatach, wreszcie pisała przemówienia dla człowieka, który o mało nie został członkiem Parlamentu z ramienia Partii Liberalnej. Poznałem ją wkrótce po tym ostatnim niepowodzeniu. Stary Silas od pierwszej chwili był oczarowany swą nowo odkrytą siostrzenicą. Widywaliśmy się z nim często, a mój syn Billy był jego chrześniakiem.

Silas Gaunt był człowiekiem niezwykłym; pracował w wywiadzie jeszcze za dawnych lat, kiedy tajne służby były naprawdę tajne. W tych czasach raporty pisywało się kaligraficznym pismem, a agenci operacyjni otrzymywali wynagrodzenie w suwerenach.

Kiedy mój ojciec kierował Berlińską Jednostką Operacyjną, Silas Gaunt był jego bezpośrednim przełożonym.

- Dicky jest głupim gnojkiem - powiedziała Fiona, kiedy zrelacjonowałem jej moją rozmowę z Cruyerem. Był sobotni poranek, a my jechaliśmy do Cotswold Hills, do wiejskiego domu Silasa.- Jest niebezpiecznym gnojkiem - powiedziałem. - Kiedy pomyślę, że taki idiota decyduje o losie agentów operacyjnych działających w terenie...

- Chodzi ci o Brahmsa Cztery? - przerwała Fiona.

- Dicky wprowadził najnowszą poprawkę do terminologii i nazywa go „B-Cztery”. Owszem, chodzi mi o takich ludzi. Ta myśl przyprawia mnie o dreszcze.

- On nie zrezygnuje z takiego źródła informacji jak ten Brahms - powiedziała Fiona.

Przejeżdżaliśmy przez Reading zboczywszy poprzednio z autostrady w poszukiwaniu toniku do twarzy firmy *Elizabeth Arden*. Fiona siedziała za kierownicą czerwonego porsche, którego dostała na ostatnie urodziny od swego ojca. Skończyła wtedy trzydzieści pięć lat i ojciec stwierdził, że musi dostać na pociechę specjalny prezent. Zastanawiałem się, co wybierze na pociechę dla mnie z okazji moich czterdziestych urodzin, które przypadały za dwa tygodnie. Podejrzywałem, że będzie to jak zwykle butelka *Remy Martin* i byłem ciekaw, czy ponownie znajdę w pudełku wizytówkę jakiejś firmy dostarczającej materiały biurowe, która ofiarowała ten koniak mojemu teściowi.

- Komisja Wywiadu Ekonomicznego egzystuje dzięki tym materiałom z zakresu bankowości, które dostarcza Brahms Cztery - dodała Fiona po długiej chwili milczenia, podczas której najwyraźniej zastanawiała się nad tą kwestią.

- Nadal twierdzą, że powinniśmy byli zostać na autostradzie. Ten właściciel drogerii w miasteczku na pewno ma jakiś tonik do twarzy - powiedziałem. W gruncie rzeczy nie miałem pojęcia, co to jest tonik do twarzy; wiedziałem tylko tyle, że jest to coś, bez czego moja twarz obydła się od wielu dziesięcioleci.

- Ale nie *Elizabeth Arden* - odparła Fiona. Staliśmy w korku ulicznym w centrum Reading i w polu naszego widzenia nie było żadnej drogerii. Silnik zaczynał się przegrzewać, więc wyłączyła go na chwilę. - Może masz rację - przyznała w końcu pochylając się, by mnie przelotnie pocałować. Chciała utrzymać ze mną dobre stosunki wiedząc, że to ja będę musiał wyskoczyć z samochodu i popędzić po tę cholerną buteleczkę magicznej mikstury, podczas gdy ona flirtować będzie z policjantem drogowym.

- Dzieci, czy macie tam z tyłu dość miejsca? - spytała. Dzieci siedziały po obu stronach wciśniętej na tylne siedzenie walizki, ale nie skarżyły się. Sally mruknęła coś

niewyraźnie i dalej czytała książkę, a Billy spytał: - Jak szybko będziesz jechała na autostradzie?

- W dodatku Dicky jest członkiem tej komisji - powiedziałem.

- Tak, on twierdzi, że był to jego pomysł.

- Nie wiem już sam, w ilu cholernych komisjach zasiada Dicky. Nigdy go nie ma w biurze, kiedy jest potrzebny. Jego notatnik, w którym zapisuje umówione spotkania, wygląda jak przewodnik po londyńskich restauracjach. Ostatnio wymyślił „robocze śniadania”. Teraz obzera się i opija przez cały dzień. Nie wiem, jakim cudem jest wciąż taki chudy.

Korek uliczny drgnął; Fiona włączyła silnik i jechała tuż za starym, czerwonym, dwupoziomowym autobusem. Stojący na platformie konduktor przyglądał się jej i samochodowi z nie ukrywanym podziwem. Uśmiechnęła się do niego, a on odwzajemnił jej uśmiech. Choć było to absurdalne, nie mogłem opanować ukłucia zazdrości.

- Będę musiał jechać - powiedziałem.

- Do Berlina?

- Dicky wie, że będę musiał pojechać. Cała ta rozmowa służyła tylko temu, żeby Dicky upewnił się, że i ja o tym wiem.

- Jaka to różnica, czy pojedziesz ty czy ktoś inny? - spytała Fiona. - Nie możecie zmusić Brahmisa Cztery do robienia dalej tego, co robi. Jeśli postanowił, że nie będzie dla nas dłużej pracować, to żaden z szefów Departamentu nie będzie w stanie wiele na to poradzić.

- Tak myślisz? - spytałem. - Może cię to zaskoczy, ale istnieją różne możliwości.

- Ale przecież Brahmis Cztery jest starym człowiekiem - powiedziała zerkając w moją stronę. - Musi być już w wieku emerytalnym.

- Dicky posunął się do zawołanych grózb.

- Blefował.

- Zapewne blefował - przyznałem. - Chciał po prostu dać mi do zrozumienia, że jeżeli umyję ręce i pozwolę im wysłać kogoś innego, sprawy mogą przybrać zbyt gwałtowny obrót. Ale Dicky zdolny jest do wszystkiego. Szczególnie wtedy, kiedy w grę wchodzi jego pozycja.

- Nie powinieneś tam jechać, kochanie.

- Moja obecność nie zmieni zapewne przebiegu wydarzeń.

- No więc...

- Ale jeśli pojedzie ktoś inny - jakiś dzieciak z Berlina - i stanie się coś złego... skąd będę mieć pewność, że nie byłbym w stanie temu zapobiec?

- Mimo to, Bernard, nie chcę, żebyś tam jechał.

- Zobaczymy - powiedziałem.

- Nie masz żadnych zobowiązań wobec Brahmisa Cztery.- Mam. Wiem o tym i on również o tym wie. To dlatego zaufa mi w większym stopniu niż komukolwiek innemu. On wie, że jestem jego dłużnikiem.

- Od tej pory musiało upłynąć z dwadzieścia lat - powiedziała Fiona, jakby uważała, że zobowiązania, jak długi hipoteczne, ulegają z biegiem czasu przedawnieniu.

- Jakież to ma znaczenie, ile czasu upłynęło od tej pory?

- Przecież masz też zobowiązania w stosunku do mnie! W stosunku do Billy'ego i Sally!

- Nie złość się, kochanie - powiedziałem. - I bez tego jest mi dosyć trudno. Czy myślisz, że mam ochotę przechodzić na drugą stronę i znowu udawać harcerza?

- Nie wiem - odparła. Była wyraźnie zła, więc kiedy dotarliśmy do autostrady, przycisnęła tak mocno pedał gazu, że wszystkie wskaźniki omal nie wyskoczyły z obudowy. Dotarliśmy do wiejskiego domu wuja Silasa, zanim jeszcze otworzył szampana, którego podawano tam przed lunchem.

Jego posiadłość składała się z 600 akrów ziemi uprawnej na terenie Cotswolds - wielkiego wapiennego płaskowyżu, oddzielającego dolinę Tamizy od rzeki Severn - oraz ze zbudowanego ze starych, wydobywanych na miejscu głazów budynku, którego gotyckie okna i koślawe drzwi wejściowe nasuwały porównanie z hollywoodzką dekoracją. Tyle że lato jeszcze nie nadeszło, więc niebo było szare, trawnik brunatny, a krzewy różane krótko przycięte i pozbawione kwiatów.

Pod dużą murowaną stodołą stały zaparkowane niedbale inne samochody, do furtki przywiązany był koń, a na metalowej kracie przed gankiem widniały świeże ślady błota. Stare, dębowe drzwi nie były zamknięte na klucz, więc Fiona pchnęła je i weszła do przedpokoju, jakby była we własnym domu demonstrując w ten sposób swą przynależność do rodziny. Na ściennym wieszaku dostrzegłem kilka płaszczy; inne leżały na stojącej nie opodal kozetce.

- Dicky i Daphne Cruyer - powiedziała Fiona rozpoznając futro z norek.

- I Bret Rensselaer - dodałem dotykając palcem płaszcza z miękkiej, wielbłądziej wełny. - Czy mają tu być wszyscy nasi koledzy biurowi?

Fiona wzruszyła ramionami i odwróciła się, żebym mógł pomóc jej w zdejmowaniu płaszcza. Z głębi domu dochodził szmer rozmów i stonowane wybuchy śmiechu.

- Nie tylko koledzy biurowi - powiedziała. - Ten rangę rover przed domem należy do emerytowanego generała, który mieszka w miasteczku. Jego żona jest właścicielką szkoły jazdy konnej, pamiętasz? Wzbudziła twoją sympatię.

- Ciekaw jestem, czy Cruyerowie zostają do jutra - powiedziałem.
- Skoro ich płaszcze wiszą w przedpokoju, to widocznie nie.
- Powinnaś była zostać detektywem - oświadczyłem, a ona wykrzywiła się do mnie.

Fiona nie uważała tego rodzaju stwierdzeń za komplementy.

W tym regionie Anglii można oglądać najładniejsze miasteczka i najpiękniejsze krajobrazy na świecie, ale w ich wyszukanej perfekcji jest dla mnie coś niepokojącego. W małych robotniczych domach mieszkają teraz maklerzy giełdowi i przedsiębiorcy budowlani, a facet stojący za barem w starym wiejskim pubie okazuje się pilotem linii lotniczych, dorabiającym do pensji między lotami. Rdzenni obywatele miasteczka mieszkają blisko głównej drogi w brzydkich ceglanych segmentowych domkach, których ogrody wypełniają tłumy popsutych samochodów.

- Jeśli pójdziecie nad rzekę, to pamiętajcie, że brzeg jest śliski od błota. I, na miłość boską, wytrzyjcie porządnie buty, kiedy będziecie wracać na lunch. - Dzieci odpowiedziały jej radosnymi okrzykami. - Chciałabym, żebyśmy mieli coś w tym rodzaju i mogli tam jeździć na weekendy - powiedziała do mnie.

- Mamy coś w tym rodzaju - odparłem. - Mamy ten dom. Wuj Silas mówi, że możemy przyjeżdżać tak często, jak mamy ochotę.

- Ale to nie to samo.

- Masz rację, to nie to samo - powiedziałem. - Gdyby ten dom był nasz, nie szłabyś teraz do hallu na kieliszek szampana przed lunchem. Popędziłabyś do kuchni, by obierać jarzyny w strumieniu zimnej wody.

- Fiona, kochanie! I Bernard! - Silas Gaunt nadchodził od strony kuchni. - Zdawało mi się, że to wasze dzieci przedzierały się właśnie przez ozdobny żywopłot.

- Przepraszam - powiedziała Fiona, ale Silas zaśmiał się głośno i poklepał mnie po plecach.

- Będziemy niebawem siadać do stołu, ale mamy jeszcze czas na drinka. Chyba wszystkich znacie. Wpadło kilku sąsiadów, ale nie udało mi się ich namówić, by zostali na lunchu.

* * *

Silas Gaunt był potężnym, wysokim mężczyzną i miał wydatny brzuch. Zawsze był gruby, lecz po śmierci żony utył jeszcze bardziej, jak większość bogatych starych mężczyzn, którzy lubią sobie dogadzać. Nie dbał o linię i nie przejmował się tym, że guziki jego przyciasnych koszul z trudem trzymają się na miejscu, ani tym, że obwisłe policzki nadają mu wygląd zatroskanego psa gończego. Był niemal zupełnie łysy, a jego wystające czoło

nadawało mu wygląd człowieka stale marszczącego brwi; wrażenie to rozwiewały częste ataki głośnego śmiechu, podczas których odrzucał głowę w tył i szeroko otwierał usta. Wuj Silas zachowywał się podczas lunchu jak posiadacz ziemski jedzący posiłek w gronie swych robotników, ale nikt nie miał mu tego za złe, gdyż najwyraźniej robił to jedynie dla żartu. Dla żartu też pozował na farmera: w przedpokoju stały gumowe kalosze, a na trawniku za domem leżały stare grabie, wyeksponowane w taki sposób, jakby były bezcenną modernistyczną rzeźbą.

- Wszyscy tu do mnie przyjeżdżają - mówił teraz nalewając swym gościom *Chateau Petrus*, rocznik 1964. - Czasami proszą mnie, żebym sobie przypomniał o jakimś cholernym głupstwie, które zrobił Departament w latach sześćdziesiątych, czasem o to, żebym wykorzystał znajomość z kimś na górze, czasem zaś chcą, żebym im pomógł sprzedać jakąś okropną wiktoriańską komodę odziedziczoną po przodkach. - Silas zatoczył wzrokiem wokół stołu, by się upewnić, czy wszyscy pamiętają o tym, że jest współwłaścicielem sklepu z antykami przy Bond Street. Małomówny Amerykanin, Bret Rensselaer, ścisnął łokieć blondynki o wydatnym biuście, którą przywiózł ze sobą. - Ale widuję się z nimi wszystkimi i wierzcie mi, że nigdy nie jestem osamotniony. - Zrobiło mi się żal starego Silasa; tego rodzaju zdania wygłaszają tylko ludzie bardzo samotni.

Pani Porter, jego kucharka i gospodyni, weszła przez drzwi prowadzące z kuchni niosąc pieczoną polędwicę.

- Świetnie! Lubię wołowinę - oświadczył mój syn Billy.

Pani Porter uśmiechnęła się doceniając ten komplement. Była już starszą kobietą i wiedziała, że dobra służąca, to służąca, która nie słyszy nic, nie widzi nic i mówi bardzo mało.

- Nie lubię gulaszu, pasztetów i wszystkich tych mieszanin - mówił wuj Silas otwierając drugą butelkę lemoniady dla dzieci. - Lubię mieć na talerzu prawdziwy kawałek mięsa. Nie znoszę tych wszystkich sosów i puree. Jeśli o mnie chodzi, to Francuzi mogą zatrzymać swoją kuchnię dla siebie. - Nalał trochę lemoniady Billy'emu i czekał, dopóki mój syn nie ocenił jej koloru i zapachu, a potem, wypiwszy drobny łyk, nie kiwnął z aprobatą głową, dokładnie tak jak został przez niego nauczony.

Pani Porter ustawiła przed Silasem półmisek z pieczenia, wręczyła mu duży widelec i nóż do krojenia mięsa, a potem wróciła do kuchni po jarzyny. Dicky Cruyer wytarł serwetką wino z ust. Uznał najwyraźniej, że słowa gospodarza były skierowane do niego.

- Nie będę spokojnie słuchał twoich oszczerstw pod adresem *la cuisine francaise* wygłaszanych w dodatku tak pogardliwym tonem, Silas - powiedział z uśmiechem. - Paul Bocuse wpisałby mnie za to na czarną listę.

Silas położył na talerzu Billy'ego wielką porcję mięsa i wrócił do krojenia pieczeni. - Zaczynajcie jeść! - rozkazał. Daphne Cruyer podawała talerze. Pracowała w reklamie i lubiła ubierać się w stroje, jakie nosiły nasze babki; miała aksamitny kołnierzyk, broszkę z kameą i małe okulary w metalowej oprawie. Poprosiła o bardzo małą porcję wołowiny.

Dicky zauważył, że mój syn pochlapał sobie sosem koszulę i uśmiechnął się do mnie ze współczuciem. Jego chłopcy chodzili do ekskluzywnej szkoły z internatem i rodzice widywali ich tylko w okresie wakacji. - To jedyny sposób, żeby nie zwariować - przekonywał mnie wielokrotnie Dicky.

Silas kroił mięso w skupieniu i bardzo fachowo. Goście wznosili okrzyki zachwytu. Dicky zwracając się do Silasa „mój gospodarzu”, nazwał lunch „wystawnym posiłkiem”. Fiona rzuciła mi wymowne spojrzenie, jakby ostrzegając mnie przed prowokowaniem Dicky'ego do dalszych tego typu wypowiedzi.

- Gotowanie - powiedział Silas - jest sztuką polegającą na wykorzystaniu możliwości. Francuzi są wychowani na lichych resztkach, posiekanych drobno, zmieszanych z sobą i polanych sosem, który ma ukryć ich prawdziwy smak. Nie chcę jeść takiej papraniny, jeśli mogę sobie pozwolić na pełnowartościowe produkty. Każdy normalny człowiek rozumowałby w taki sam sposób.

- Spróbuj *la cuisine nouvelle* - powiedziała Daphne Cruyer, która szczyliła się swym francuskim akcentem: - Lekkie dania, a każda potrawa ułożona jest na talerzu tak ozdobnie, że przypomina obraz.

- Nie chcę lekkiego jedzenia! - mruknął Silas grożąc jej nożem. - *Cuisine nouvelle* - ciągnął z pogardą. - Wielkie kolorowe talerze z maleńkimi porcyjkami na środku. Kiedy coś takiego podawały tanie hotelowe restauracje, mówiło się, że wydają „oszczędne porcje”, a teraz ci faceci od reklamy wmawiają nam, że to *cuisine nouvelle* i piszą o tym długie artykuły do czasopism kobiecych. Kiedy płacę za dobre jedzenie, żądam, żeby kelner podawał mi z półmiska na wózku i żeby pytał, ile i czego chcę, a także, żebym miał prawo mu powiedzieć, co ma zrobić z jarzynami. Nie chcę talerzy z kawałeczkiem mięsa i dwiema jarzynami, przynoszonych z kuchni przez kelnera, który nie odróżnia śledzia od bułki.

- Ta wołowina jest upieczona w sposób perfekcyjny, wuju Silasie - powiedziała Fiona, wyraźnie zadowolona, że udało mu się wygłosić tę pełną żaru mowę nie wplatając do niej

typowych dla siebie mocnych słów. - Ale dla Sally tylko mały kawałek... mocno wypieczony, jeśli to możliwe.

- Kobieto, na miłość boską, daj swojej córce coś, co wpompuje jej do żył trochę krwi - powiedział Silas. - Mocno wypieczone mięso! Nic dziwnego, że jest taka rachityczna. - Umieścił na podgrzonym talerzu dwa plastry nie dopieczonego mięsa i pokroił je na drobne kawałki. Zawsze to robił serwując jedzenie dzieciom.

- Co to znaczy „rachityczna”? - spytał Billy, który lubił słabo wypieczoną wołowinę i podziwiał zręczność, z jaką Silas posługiwał się ostrym jak brzytwa nożem.

- Chuda, blada, anemiczna i mizerna - odparł Silas stawiając talerz przed Sally.

- Sally jest zupełnie zdrowa - powiedziała Fiona. Nic nie wpływało na nią bardziej przygnębiająco niż sugestia, że jej dzieciom może czegoś brakować. Myślę, że było to skutkiem poczucia winy typowego dla pracujących matek. - Jest najlepszą pływaczką w klasie. Prawda, Sally?

- Byłam w zeszłym półroczu - wyszeptała Sally.

- Wrzuć na ruszt trochę słabo wypieczonej wołowiny - powiedział Silas. - Od tego kręć się włosy.

- Dobrze, wuju - odparła. Obserwował ją, dopóki nie włożyła do ust kawałka mięsa i nie uśmiechnęła się do niego.

- Wuju Silasie, jesteś tyranem - stwierdziła moja żona, ale Silas nie dał po sobie poznać, że ją słyszy. Zwrócił się w stronę Daphne.

- Tylko mi nie powiedz, że ty też chcesz mocno wypieczone - dodał ostrzegawczym tonem.

- Dla mnie *bleu* - odpowiedziała. - *Avec un petit peu de moutarde anglaise.*

- Podajcie Daphne musztardę - polecił Silas. - I przysuńcie jej *pommes de terre* - mogłaby trochę przytyć. Miałbyś jej wtedy więcej - powiedział do Dicky'ego machając w jego kierunku widelcem.

- Trzeba we wszystkim zachować umiar - powiedział Cruyer, który nie lubił takich osobistych uwag kierowanych pod adresem jego żony.

* * *

Dicky Cruyer odmówił jedzenia *Charlotte Russe* stwierdzając, że jest „wytwornie najedzony”, więc obaj z Billym podzielili się jego porcją. *Charlotte Russe* była jedną ze specjalności pani Porter. Gdy posiłek dobiegł końca, Silas zaprosił mężczyzn do pokoju bilardowego mówiąc do kobiet: - Idźcie na spacer nad rzekę albo posiedźcie w oranżerii, a gdyby wam było chłodno, to w salonie jest wielki kominek. Pani Porter przyniesie wam kawę

i koniak, jeśli macie na niego ochotę. Ale mężczyźni muszą czasem zakląć albo czknać. Będziemy palić i gadać o sprawach zawodowych albo o criccecie. To by was znudziło. Idźcie i zajmijcie się dziećmi - do tego natura stworzyła kobiety.

Nie wyszły bez oporu - w każdym razie Daphne i Fiona. Daphne nazwała Silasa bezczelną świnia, a Fiona zagroziła, że pozwoli dzieciom bawić się w jego gabinecie - sanktuarium, do którego nikomu nie wolno było wchodzić - ale nie odniosło to żadnego skutku; wprowadził mężczyzn do pokoju bilardowego i zamknął paniom drzwi przed nosem.

Ponury pokój bilardowy, wyłożony mahoniową boazerią, nie zmienił się od czasów, w których zaprojektowano go stosownie do smaku jakiegoś dziewiętnastowiecznego potentata produkującego piwo. Nawet poroża jeleni i portrety rodzinne pozostały na swoich miejscach. Okna wychodziły na trawnik, ale niebo za nimi było ciemne, a pokój rozjaśniała jedynie wisząca nad stołem lampa, której światło odbijało się od zielonego blatu. Dicky Cruyer przygotowywał bile, Bret wybierał dla siebie kij, a Silas zdjął marynarkę, strzelił swymi czerwonymi szelkami, a potem podał nam drinki i cygara.

- A więc Brahms Cztery się stawia? - spytał Silas wybierając dla siebie cygare i sięgając po zapałki. - Cóż to, czyżbyście wszyscy nagle zaniemówili? - Potrząsnął pudełkiem grzechocząc jego zawartością.

- No więc... przecież... - Dicky Cruyer omal nie wypuścił z rąk kalafonii, którą pocierał końcówkę swego kija.

- Nie udawaj durnia, Dicky - zgromił go Silas. - Dyrektor Generalny zamartwia się myślą o wyschnięciu dopływu tych danych dotyczących banków. Mówił mi, że chcesz posłać Bernarda, żeby to wszystko wyjaśnił. Cruyer, który świadomie nie poinformował mnie dotąd o tym, że rozmawiał o mnie z Dyrektorem Generalnym, manipulował swoim kijem, by zyskać czas do namysłu.

- Bernarda? - powiedział w końcu. - Jego nazwisko zostało wspomniane, ale ja jestem temu przeciwny. Uważam, że Bernard zrobił już swoje.

- Oszczędź nam tych enigmatycznych wypowiedzi, Dicky. Zachowaj te sztuczki na posiedzenia swoich komisji. D.G. prosił mnie, żebym was zebrał podczas tego weekendu i spróbował mu przedstawić w poniedziałek kilka sensownych propozycji... Najpóźniej we wtorek. Ta cholerna sprawa może nabrać rozgłosu... sami to chyba rozumiecie. - Spojrzał na stół, a potem na swoich gości. - No więc, jak to zaaranżujemy? Bernard nie ma pojęcia o bilardzie, niech więc zagra ze mną przeciwko wam.

Bret nie odezwał się ani słowem. Dicky Cruyer patrzył na Silasa w taki sposób, jakby nagle odzyskał do niego szacunek. Być może dopiero tego popołudnia zdał sobie w pełni

sprawę z zasięgu wpływów, jakie zachował nasz gospodarz. A może zrozumiał nagle, że Silas jest tym samym pozbawionym skrupułów starym draniem, jakim był za czasów pracy w Departamencie; takim samym bezwzględny manipulatorem, jakim próbował być Dicky. W dodatku wuj Silas wychodził z każdego kryzysu w aureoli niewinności, a to nie zawsze udawało się Dicky'emu Cruyerowi.

- Nadal twierdzą, że nie powinniśmy wysłać Bernarda - upierał się Cruyer, choć już z nieco mniejszym przekonaniem. - Jego twarz jest zbyt znana. Ich obserwatorzy natychmiast go zidentyfikują. Jeden fałszywy ruch, a będziemy musieli iść do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i zastanawiać się, na kogo go wymienić. - Podobnie jak Silas zachował spokojny głos i mówił nonszalanckim tonem, jakim Anglicy z reguły rozmawiają o sprawach życia lub śmierci. Pochylił się teraz nad stołem, żeby uderzyć kulę, więc na chwilę zapanowała cisza.

- A więc kogo wyślemy? - Silas przechylił lekko głowę i spojrzał na Cruyera jak nauczyciel, który zadaje tępowemu uczniowi bardzo proste pytanie.

- Sporządziliśmy listę pięciu czy sześciu ludzi, których uważamy za odpowiednich - odparł Dicky.

- Czy Brahms Cztery zna tych ludzi? Czy im zaufa?

- Brahms Cztery nie ufa nikomu - oświadczył Cruyer. - Sam wiesz, jacy robią się agenci, którzy zaczynają przebąkiwać o wycofaniu się. - Odszedł od stołu, a Bret Rensselaer ocenił sytuację i potem bez wysiłku wrzucił do dziury wybraną kulę. Bret był przełożonym Cruyera, ale pozwalał mu odpowiadać na pytania grając rolę postronnego świadka. Na tym polegał jego styl.

- Dobrze uderzenie, Bret - pochwalił go Silas. - A więc żaden z nich nigdy nie widział go na oczy? - Zaciągnął się cygarem i wypuścił w stronę Cruyera kłęb dymu. - A może źle cię zrozumiałem?

- Bernard jest jedynym człowiekiem, jaki z nim współpracował - przyznał Cruyer zdejmując marynarkę i wieszając ją starannie na poręczu wolnego krzesła. - Nie mogę nawet zdobyć jego aktualnej fotografii.

- Brahms Cztery - Silas podrapał się po brzuchu. - On jest niemal w moim wieku. Znałem go w czasach, kiedy Berlin był jeszcze Berlinem. Łączyły nas te same dziewczyny i wspólne pijaństwa. Znałem go tak jak można poznać tylko ludzi, z którymi się dorasta. Berlin! Kochałem to miasto.

- Jak wszyscy dobrze wiemy - powiedział Dicky z odrobiną ironii w głosie. Wyjął kule z kieszeni i ustawiał je ponownie na stole.

- Brahms Cztery usiłował mnie zabić, pod koniec 1946 roku - ciągnął Silas ignorując jego uwagę. - Czekał pod małym barem w okolicach Alexanderplatz i strzelił do mnie, kiedy stanąłem w świetle otwartych drzwi.

- Chybił? - spytał Cruyer wykazując stosowny stopień zainteresowania.

- Tak. Można by pomyśleć, że nawet kiepski strzelec umiałby trafić tak dużego faceta jak ja, zwłaszcza że widział mnie na tle oświetlonego wnętrza, ale ten głupi cymbał chybił. Na szczęście był ze mną mój kierowca, funkcjonariusz żandarmerii wojskowej, oddelegowany do mojej dyspozycji od dnia mego przyjazdu. Byłem cywilem w mundurze; sami rozumiecie... musiałem mieć przy sobie prawdziwego żołnierza, który pomagał mi dopiąć pas i przypominał, kiedy należy salutować. No więc ten żandarm rzucił się na Brahmsa Cztery. Gdyby mnie tam nie było, chyba zrobiliby z niego inwalidę. Ten kapral myślał, że on strzelał do niego i był o to cholernie zły.

Silas wypił łyk porto, zaciągnął się cygarem i w milczeniu obserwował moje partackie zagranie. Cruyer kurtuazyjnie spytał go, co było dalej.

- Nadbiegł patrol rosyjski. Żołnierze i żandarmeria; czwórka wielkich, nie ogolonych drabów w brudnych butach. Chcieli aresztować biednego Brahmsa Cztery. Oczywiście nie był jeszcze wtedy Brahmsem Cztery; to nastąpiło później. Alexanderplatz leżał na terenie ich sektora, choć nie zbudowali jeszcze swojego Muru. Ale ja im powiedziałem, że jest on angielskim oficerem, który za dużo wypił.

- I uwierzyli ci? - spytał Cruyer.

- Nie, ale przeciętny Rosjanin jest przyzwyczajony do słuchania kłamstw. Nie uwierzyli mi, ale nie podjęli żadnej inicjatywy mającej na celu zdemaskowanie mojego oszustwa. Usiłowali bez przekonania zabrać go z sobą, ale mój szofer i ja podnieśliśmy go z ziemi i zanieśli do naszego wozu. Rosjanie za nic na świecie nie dotknęliby samochodu noszącego oznakowanie armii brytyjskiej. Wiedzieli, co zrobiono by z każdym, kto bez zezwolenia usiłowałby zatrzymać wóz rosyjskiego oficera. I tak zawieźliśmy go z powrotem do zachodniej strefy.

- Dlaczego do ciebie strzelał? - spytałem.

- Widzę, że smakuje ci ten koniak - powiedział Silas. - Dwadzieścia lat w drewnianej beczce - niełatwo dziś o dobry rocznik. No więc, on obserwował mnie od kilku dni. Usłyszał pogłoskę, że to ja wsadziłem za kraty sporo ludzi z agencji wywiadowczej Gehlena, a podczas tej obławy ucierpiał na zdrowiu jego najbliższy przyjaciel. Ale pogadaliśmy o dawnych czasach i w końcu przemówiłem mu do rozsądku. - Silas w uprzejmy sposób dał mi do poznania, że bym się nie wtrącał do nie swoich spraw.

Patrzyliśmy przez chwilę na Breta Rensselaera, który znakomitym uderzeniem wrzucił do dziury czerwoną kulę. Przesunął się odrobinę, by wykonać następne zagranie.

- A więc był twoim agentem już od 1946 roku? - spytałem odwracając się do Silasa.

- Nie, nie, nie - odparł. - Trzymałem go z dala od naszych ludzi z Hermsdorf. Miałem do dyspozycji pewne fundusze, więc odesłałem go do Sektora Wschodniego z poleceniem, żeby czekał spokojnie i nie rzucał się w oczy. W czasie wojny pracował w *Reichs-bank* - jego ojciec był maklerem giełdowym - a ja wiedziałem, że tamtejszy reżim - komunistyczny czy nie - prędzej czy później zacznie rozpaczliwie poszukiwać ludzi, którzy zajmowali wysokie stanowiska w bankach i mają odpowiednie doświadczenie.

- Zainwestowałeś w niego? - spytał Cruyer.

- No, można by też powiedzieć, że on zainwestował we mnie. - Gra toczyła się teraz wolniej, bo każdy z nas myślał o innych sprawach i dłużej szykował się do uderzenia. Cruyer wycelował, nie trafił i cicho zaklął. Silas ciągnął dalej: - Obaj mogliśmy stać się sobie nawzajem pomocni w ciągu najbliższych lat. To było oczywiste. Najpierw dostał posadę w urzędzie podatkowym. Czy zastanawialiście się kiedyś, jak zbudowano komunizm w krajach komunistycznych? Nie doprowadziła do tego tajna policja, tylko poborcy podatkowi. W ten sposób komuniści likwidowali prywatne firmy; drastycznie zwiększali stopę podatkową w zależności od liczby zatrudnionych. Szanse przeżycia miały tylko firmy zatrudniające mniej niż tuzin pracowników. Kiedy zniszczono inicjatywę prywatną, Brahms Cztery został przeniesiony, akurat w czasie reformy walutowej, do *Deutsche Emissions und Girobank*.

- Który z kolei przemianowany został na *Deutsche Notenbank* - dodał Dicky uśmiechając się do mnie z triumfem. Musiałem przyznać, że domyślił się trafnie.

- Jak długo był uśpiony? - spytałem.

- Dość długo - odparł Silas pociągając ze swego kieliszka. - To dobre porto - dodał podnosząc rękę, by ocenić jego kolor pod światło padające od strony okna. - Ale ten cholerny doktor kazał mi ograniczać się do butelki na miesiąc; jednej butelki, co wy na to? Tak, pozostał uśpiony w okresie, w którym nasze służby były przeżarte przez szpiegostwo, a niektórzy nasi koledzy informowali Kreml o każdym naszym posunięciu. Miał szczęście albo był sprytny, a może po trosze jedno i drugie. Jego teczka personalna była dobrze ukryta i nikt nie miał do niej dostępu. Przeżył. Ale uaktywniłem go, gdy tylko pozbyliśmy się tych łobuzów. Byliśmy w trudnym położeniu, a Brahms Cztery stanowił cenne źródło informacji z pierwszej ręki.

- Osobiście? - spytał Dicky Cruyer. - Czy kontaktowałeś się z nim osobiście? - Wymienił kij na inny, jakby chcąc wyjaśnić, dlaczego poprzednio chybił.

- Brahms Cztery postawił taki warunek - wyjaśnił Silas. - W owym czasie takie wypadki często miały miejsce. Składał meldunki na moje ręce. Czuł się dzięki temu bezpieczniejszy, a mnie też było to na rękę.

- A co się stało, kiedy zostałeś przeniesiony z Berlina na inną placówkę?

- Musiałem przekazać go innemu Kontrolerowi.

- To znaczy komu? - spytałem.

Silas spojrzał na mnie, jakby zastanawiając się, czy mi odpowiedzieć, ale widać było, że podjął już decyzję, że wszystkie postanowienia już zapadły.

- Przejął go ode mnie Bret. - Odwróciliśmy się wszyscy, by spojrzeć nowymi oczami na Breta Rensselaera, pięćdziesięciokilkuletniego Amerykanina w ciemnym garniturze. Miał jasne, rzednące włosy i nerwowy uśmiech. Należał do tych Amerykanów, którzy są zadowoleni, kiedy ktoś weźmie ich za Anglików. Został zwerbowany do Służby jeszcze jako student Oxfordu, stał się zdeklarowanym anglofilem i pracował w wielu placówkach na terenie Europy, a potem został zastępcą Szefa Europejskiego Wydziału Ekonomicznego, który stał się później Komisją Wywiadu Ekonomicznego i przerodził się w prywatne imperium Breta. Gdyby wyszło źródło informacji dostarczanych przez Brahmsa Cztery, imperium Breta Rensselaera po prostu by się zawaliło. Nic dziwnego, że wydawał się tak zdenerwowany.

On właśnie miał teraz zagrać. Potrząsnął swym kijem, jakby sprawdzał jego wagę, potem sięgnął po kalafonię.

- Przez kilka lat osobiście nadzorowałem Brahmsa Cztery na tej samej zasadzie, na jakiej robił to przede mną Silas - powiedział.

- Czy kiedykolwiek spotkałeś się z nim twarzą w twarz? - spytałem.

- Nie, nigdy nie przechodziłem na wschodnią stronę, a o ile wiem, on nigdy jej nie opuszczał. Znał tylko mój kryptonim. - Skończył pocierać czubek kija kalafonią i odłożył ją starannie na półeczkę przy tablicy do zapisywania wyników.

- Który odziedzyczyłeś po Silasie? - spytałem. - Z tego, co mówisz, wynika, że kontynuowałeś współpracę grając rolę Silasa.

- Oczywiście - przyznał Bret takim tonem, jakby od początku zamierzał nam to wyraźnie oświadczyć. Agenci operacyjni nie cierpią zmian na stanowisku Kontrolera, ale jeszcze bardziej nienawidzą potajemnych zmian Kontrolera z zachowaniem tego samego kryptonimu. Była to procedura, do której zastosowania nie przyznałby się bez oporu żaden wyższy urzędnik Służby. Bret zwlekał z zagraniem. Nadal patrzył na mnie spokojnie, ale mówił teraz szybciej, jakby został zmuszony do obrony. - Brahms Cztery był związany z

Silasem i nie obdarzyłyby takim zaufaniem żadnego nowego człowieka. Lepiej było utrzymywać go w przekonaniu, że przesyłane przez niego materiały nadal docierają do rąk Silasa. - Pochylił się nad stołem, by zagrać. Jego uderzenie było jak zwykle bezbłędne, drugie również, ale za trzecim razem spudłował.

- Mimo że Silasa już nie było - powiedziałem odsuwając się na bok, by umożliwić Silasowi obejrzenie stołu i wybór odpowiedniego zagrania.

- Przecież nie byłem nieżywy! - z rozdrażnieniem rzucił przez ramię Silas przechodząc obok mnie. - Nadal się z nim kontaktowałem. Bret przyjeżdżał tu kilka razy, by się ze mną naradzić. Często przekazywałem mu paczuszkę z zakazanymi produktami. Posyłałem mu to co zwykle, a on wiedział, że wiem, co lubi i tak dalej.

- Ale po wielkich ubiegłorocznych przesunięciach personalnych jakby stracił oddech - dodał ze smutkiem Bret. - Zrobił się nierówny. Nadal nadsyłał pewną ilość znakomitych materiałów, ale nie można było już polegać na nim w stu procentach. Zaczął też domagać się coraz większych sum pieniędzy. Nikt nie miał w zasadzie nic przeciwko temu - zasługiwał na to, co dostawał - ale wyczuliśmy, że szuka okazji do wycofania się.

- A teraz nadszedł ten krytyczny moment? - spytałem.

- Być może - odparł Bret.

- Może to również być preludium do nowej prośby o podwyżkę - stwierdził Silas.

- To byłoby bardzo dziwne - powiedział Bret. - Cholernie skomplikowany sposób wysuwania żądań płacowych. Nie, ja myślę, że on chce się wycofać. Tym razem naprawdę ma dość.

- Co on robi z tymi wszystkimi pieniędzmi? - spytałem.

- Nie udało nam się tego dojść.

- W ogóle nie pozwolono nam na podjęcie takiej próby - z goryczą oznajmił Cruyer. - Za każdym razem, kiedy opracujemy odpowiedni plan, ktoś na górze zgłasza veto.

- Nie gorączkuj się, Dicky - powiedział Bret pojednawczym tonem stosowanym często wobec podwładnych. - Nie warto drażnić agenta, który dostarcza cholernie cennych informacji, tylko po to, by odkryć, że ukrywa gdzieś kochankę albo że lubi zbierać swoje pieniądze na oznaczonym cyframi koncie w Szwajcarii.

Decyzję dotyczącą stopnia zaufania, jakim można mnie obdarzyć, podjął oczywiście Silas.

- Powiedzmy, że wpłacamy je do monachijskiego banku na konto pewnej firmy wydawniczej, która nigdy nic nie wydaje - powiedział.

Chcieli, żebym wiedział tylko tyle, ile oni zechcą mi powiedzieć, z czego wynikało, że liczą się z koniecznością wysłania mnie na drugą stronę. Taka była normalna procedura i wszyscy o tym wiedzieliśmy.

- Do diabła, może chce mieć szansę wydania swych zarobków - powiedziałem. - Nie ma w tym nic złego, prawda?

Silas odwrócił się do mnie i obrzucił mnie nieprzychylnym spojrzeniem.

- Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie fakt, że potrzebujemy tych materiałów, które nam dostarcza. A ponieważ ich potrzebujemy, jego postępowanie wcale nam się nie podoba, Bernard. Wcale nam się nie podoba! - Uderzył kulę tak silnie, że odbiła się od przeciwległej krawędzi stołu i wróciła do niego. Już nieraz dostrzegłem ukrytą w nim bezwzględną determinację.- W porządku, a więc usiłujecie dowieść, że jestem jedynym człowiekiem, który może tam pojechać i porozmawiać z nim - powiedziałem. - Domyślałem się, że na tym polega ta przyjacielska rozgrywka. A może się mylę? - Wbiłem wzrok w Silasa, a on uśmiechnął się posępnie.

- Nie jesteś odpowiednim człowiekiem - stwierdził bez przekonania Bret. Pozostali nie odzywali się. Wszyscy wiedzieli, że jestem odpowiednim człowiekiem. Całe to spotkanie miało dowieść, że decyzja była jednogłówna. Dicky Cruyer przytknął do warg mokry koniec swego cygara, ale nie wetknął go w usta. - To tak jakbyśmy posłali tam reprezentacyjną orkiestrę Brygady Gwardii i kazali jej grać *Rule Britannia* Brahms Cztery wystraszy się śmiertelnie i nie bez racji. Będziesz śledzony od chwili przekroczenia granicy.

- Nie zgadzam się - powiedział Cruyer. Mówili o mnie, jakbym był nieobecny; czułem, że tak właśnie przebiegałaby ich rozmowa, gdybym wpadł lub został zabity. - Bernard zna tamtejszy teren. I nie musi siedzieć tam długo. Powinien tylko pogadać z nim, byśmy wiedzieli, o co mu chodzi. I przekonać go, że we własnym dobrze pojętym interesie powinien pozostać na miejscu jeszcze ze dwa lata.

- A co ty myślisz, Bernard? - spytał Silas. - Niewiele jak dotąd na ten temat mówiłeś.

- Wygląda na to, że ktoś będzie musiał tam pojechać - odparłem. - A ktoś, kogo on zna, łatwiej wyciągnie z niego jasną odpowiedź.

- Tym bardziej... - dodał Bret przepraszającym tonem - że nie będzie wiele czasu... Czy to masz na myśli?

- W ubiegłym miesiącu wysłaliśmy tam autobusem turystycznym naszego kuriera - powiedział Cruyer. - Pojechał z grupą wycieczkową i wrócił bez najmniejszych przeszkód.

- Czy pozwalają teraz turystom z Berlina Zachodniego wysiadać z autobusu? - spytał Silas.

- Och, tak - odparł Cruyer z pogodnym uśmiechem. - Sytuacja wygląda inaczej niż w twoich czasach, Silas. Wszyscy odwiedzają pomnik Armii Czerwonej. Zatrzymują się nawet na kawę i ciastka. NRD rozpaczliwie potrzebuje zachodnich marek. Innym dobrym miejscem na spotkanie jest muzeum Pergamon. Tam również podjeżdżają autobusy z Zachodu.

- Co o tym myślisz, Bernard? - spytał Bret. Bawił się swoim sygnetem i patrzył na stół, jakby interesowało go wyłącznie trudne zagranie z rogu, do którego przygotowywał się Cruyer.

Przebieg, jaki nadali naszej rozmowie, zaczynał mnie irytować. Reprezentowali sposób rozumowania typowy dla ludzi pisujących długie notatki służbowe i zasypujących Departament stosami papieru.

- Co komu przyjdzie z moich domysłów? - spytałem. - Wszystko zależy od tego, co nam powie na temat swoich zamiarów. To nie ciemny chłop, tylko wykształcony starszy człowiek, któremu powierzono ważne i interesujące stanowisko. Musimy się dowiedzieć, czy nadal jest szczęśliwy w małżeństwie, czy ma dobrych przyjaciół, którzy wygłaszają mowy z okazji urodzin jego wnuków. Czy też stał się zgorzkniałym starym samotnikiem, nie umiejącym znaleźć sobie miejsca i potrzebującym opieki lekarskiej, jaką może zdobyć tylko na Zachodzie... A może odkrył właśnie, co to znaczy być zakochanym w zgrabnej osiemnastoletniej nimfomance.

- Dwa bilety pierwszej klasy do Rio i strumienie szampana - powiedział ze śmiechem Bret.

- Tyle że ta zgrabna osiemnastolatka może pracować dla KGB - stwierdziłem.

Bret utkwił we mnie pozbawione wyrazu spojrzenie.

- Jak można by najłatwiej „przerzucić” człowieka, który miałby wykonać takie zadanie? - spytał.

- Nie zamierzam bynajmniej ujawniać wam, jaki wybrałbym sposób przedostania się na tamtą stronę - powiedziałem. - Powiem tylko, że nie chciałbym, żeby mi coś organizowano tutaj. Żadnych dokumentów, żadnych przygotowań, żadnych metod nawiązania łączności w przypadku nagłej potrzeby, żadnego wsparcia ze strony miejscowych agentów. Zażądałbym całkowitej swobody działania. - Departament z reguły przeciwny był tego rodzaju poczynaniom na własną rękę. Oczekiwałem więc ostrych sprzeciwów wobec mojej propozycji, ale nie doczekałem się ich.

- I zupełnie słusznie - powiedział Silas.

- A poza tym wcale jeszcze nie podjąłem się tej misji - przypominałem im.

- Decyzja należy do ciebie - oznajmił Silas. Pozostali, ledwie widoczni w ciemności otaczającej jasno oświetlony stół, potakująco kiwnęli głowami. Dłonie Cruyera przesunęły się po stole jak dwa wielkie białe pająki. Uderzył kulę i chybił. Nie mógł się skupić na grze - podobnie zresztą jak ja.

Silas skomentował fatalne zagranie Cruyera odpowiednio ironiczną miną i pociągnął ze swego kieliszka łyk porto.

- Bernard - powiedział - chyba powinienem... - Przerwał w połowie zdania. Do pokoju weszła bezszelestnie pani Porter. Miała w rękach kryształową karafkę i ściereczkę do naczyń. Silas podniósł wzrok i spojrzał na nią pytająco.

- Telefon, sir - powiedziała. - Telefon z Londynu.

Nie powiedziała, kto dzwoni z Londynu, bo zakładała, że Silas to wie. W gruncie rzeczy wszyscy wiedzieliśmy lub domyślaliśmy się, że jest to ktoś, kto chce jak najprędzej poznać przebieg naszej rozmowy. Silas potarł dłonią twarz i spojrzał w moim kierunku.

- Bernard... nalej sobie jeszcze kieliszek koniaku, jeśli masz ochotę - powiedział.

- Dzięki - odparłem, ale miałem wrażenie, że Silas chciał powiedzieć coś zupełnie innego.

* * *

Weekendy u wuja Silasa zawsze przebiegały według tego samego schematu; skromny sobotni lunch, partia bilardu lub brydża, która trwała aż do podwieczorku, a wieczorem uroczysta kolacja. Tego dnia zasiadło do niej czternaście osób: my, Cruyerowie, Rensselaer ze swoją dziewczyną, siostra Fiony Tessa (której mąż był nieobecny) jako partnerka wuja Silasa, jacyś państwo Johnson z Ameryki, którzy kupowali w Anglii antyczne meble do swego sklepu w Filadelfii, modny architekt, który przerabiał wiejskie domki na „wymarzone dworki” i zarabiał na tym dość pieniędzy, by utrzymać hałaśliwą nową żonę i hałaśliwe stare ferrari, oraz jakiś ogorzały miejscowy farmer, który odezwał się w ciągu wieczora tylko dwa razy i tylko po to, by poprosić swoją wyfiokowaną żonę o przysunięcie mu karafki z winem.

- Ty byłeś w dobrej sytuacji - powiedziała z żalem Fiona, kiedy znaleźliśmy się po kolacji w skromnym pokoiku, w którym mieliśmy spędzić noc. - Ja siedziałam obok Dicky'ego Cruyera. Jest w stanie rozmawiać tylko o swoim cholernym jachcie. Mówił, że w przysłym miesiącu płynie nim do Francji.

- Dicky Cruyer nie odróżnia żagla od masztu. Utopi się.

- Nie mów tak, kochanie - powiedziała Fiona. - Płynie z nim moja siostra Tessa. Również Ricky, ten przystojny młody architekt, i Colette, jego czarująca żona. - W jej głosie

czuło się lekką niechęć; nie przepadała za tą parą. I nadal była zła, że nie dopuszczono jej do udziału w naszej konferencji, która odbyła się w pokoju bilardowym.

- To musi być cholernie duży jacht - stwierdziłem.

- Może na nim spać sześć osób... osiem, jeśli są to osoby zaprzyjaźnione. Wiem to od Daphne. Ona nie płynie. Cierpi na chorobę morską.

- Czy twoja siostra ma romans z Dickym Cruyerem? - spytałem przyglądając się jej badawczo.

- Jaki ty jesteś domyślny - powiedziała Fiona bez odrobiny podziwu w głosie. - Ale nie nadążasz za biegiem wydarzeń, kochanie. Zakochała się w kimś o wiele starszym, sama mi to mówiła.

- Zachowuje się jak dziwka.

- Większość mężczyzn uważa ją za atrakcyjną - odparła Fiona. Z nie znanych mi powodów była skrycie zadowolona, kiedy potępiłem jej siostrę i chętnie mnie do tego prowokowała.

- Myślałem, że pogodziła się ze swoim mężem.

- To była ciężka próba - stwierdziła Fiona.

- Nie wątpię - przyznałem. - Szczególnie dla George'a.

- Ty siedziałeś obok tej antycznej damy - czy była zabawna?

- Damy, która zajmuje się antykami - sprostowałem wywołując jej uśmiech. - Powiedziała mi, żeby uważać na toaletki - mają często autentyczne nogi i fałszywą górę.

- To zabawne! - zachichotała Fiona. - Gdzie można znaleźć taki fałszowany okaz?

- Masz go obok siebie - odparłem wskazując do naszego podwójnego łóżka. - Daj mi ten cholerny termofor.

- Nie ma termoforu. To ja! Ach, jakie masz zimne ręce!

* * *

Obudziło mnie szczekanie jednego z kręcących się po gospodarstwie psów, na które po chwili odpowiedziało zza rzeki ujadanie innego psa z innej farmy. Otworzyłem oczy, żeby sprawdzić, która godzina, i zobaczyłem, że nocna lampka nadal się pali. Była czwarta nad ranem. Fiona siedziała w szlafroku pijąc herbatę.

- Przepraszam - powiedziała.

- To ten pies.

- Zawsze kiepsko sypiam poza domem. Zeszłam na dół i zaparzyłam herbatę. Przyniosłam dodatkową filiżankę - czy chcesz się napić?

- Tylko pół. Od dawna nie śpisz?

- Zdawało mi się, że słyszę czyjeś kroki na schodach. W tym domu chyba straszy. Tu są herbatniki, jeśli masz ochotę. - Wziąłem tylko herbatę i pociągnąłem łyk z filiżanki. - Czy obiecałeś, że pojedziesz? Do Berlina... czy obiecałeś im? - Pytała z takim naciskiem, jakby zakładała, że moja odpowiedź ujawni, czy moja praca jest dla mnie ważniejsza niż ona. Potrząsnąłem przecząco głową.

- Ale o tym właśnie rozmawialiście podczas tej gry w bilard, prawda? Domyśliłam się tego. Silas tak stanowczo nie chciał tam wpuścić żadnej z nas. Czasem nie jestem pewna, czy zdaje sobie sprawę, że należę teraz do kierownictwa Departamentu.

- Wszyscy się niepokoją tą sprawą Brahmsa Cztery.

- Ale dlaczego chcą wysłać ciebie. Jaki ci podali powód?

- A kto inny mógłby tam pojechać? Silas? - Streściłem jej rozmowę, która odbyła się w pokoju bilardowym. Znów rozległo się szczekanie. Usłyszałem trzask zamykanych na dole drzwi i głos Silasa, który próbował uspokoić psy. Przemawiał do nich takim samym szorstkim tonem, jakim rozmawiał z Billym i z Sally.

- Widziałam notatkę, którą Rensselaer wysłał do D.G. - powiedziała Fiona ścisząc głos, jakby się obawiała, że ktoś może nas podsłuchiwać. - Pięć stron. Zniosłam ją do mojego biura i dokładnie przeczytałam. - Spojrzałem na nią ze zdziwieniem. Fiona nie należała do osób, które dopuszczałyby się tak jaskrawego naruszenia przepisów. - Musiałam się dowiedzieć - dodała.

Bez słowa wypilem łyk herbaty. Nie byłem nawet przekonany, czy chcę wiedzieć, co przygotowują dla mnie Rensselaer i Dicky Cruyer.

- Niewykluczone, że Brahms Cztery zwariował - powiedziała w końcu. - Zarówno Bret, jak i Dicky poważnie biorą taką możliwość pod uwagę. - Oczekała chwilę, by jej słowa do mnie dotarły. - Uważają, że być może przeszedł coś w rodzaju załamania nerwowego. Dlatego są zaniepokojeni. Nie można przewidzieć, co może zrobić.

- Czy o tym właśnie była mowa w tej notatce? - Roześmiałem się. - Dicky i Bret chronią po prostu własne tyłki.

- Dicky proponował, by poprosić najwyższe autorytety medyczne o podjęcie próby wydania diagnozy na podstawie raportów Brahmsa Cztery, ale Bret utracił ten projekt.

- Wygląda mi to na jeden ze znakomitych pomysłów Dicky'ego - powiedziałem. - Wystarczy zwołać takie konsylium psychiatrów, by niedzielne dodatki do gazet zaczęły drukować na pierwszych stronach poświęcone tej sprawie artykuły, pełne przekreślonych cytatów, błędów ortograficznych i doniesień „naszych specjalnych korespondentów”. Chwała Bogu, że Bret to utracił. Jaką formę przybiera rzekome szaleństwo Brahmsa Cztery?

- Formę pospolitej obsesji: wrogowie za każdym rogiem, nie ma nikogo, komu mógłby zaufać. Czy możemy mu dostarczyć pełną listę osób mających dostęp do jego raportów? Czy wiemy, że mamy na najwyższym szczeblu jakąś wtyczkę, która ujawnia treść wszystkich otrzymywanych od niego materiałów? Typowe urojenia, charakterystyczne dla początków obłądu.

Kiwnąłem głową. Fiona nie miała zielonego pojęcia o tym, jak wygląda życie tajnego agenta. Podobnie zresztą jak Dicky i Bret. Żaden z tych cholernych biurokratów nie mógł sobie tego wyobrazić. Mój ojciec mawiał: „Wieczna obsesja jest ceną wolności. Zwykła czujność to za mało”.

- A może Brahms Cztery ma rację - powiedziałem. - Może naprawdę ma tam wrogów za każdym rogiem. - Przypomniałem sobie rozmowę z Cruyerem, który opowiadał mi, jak nasz Departament pomógł Brahmsowi wkraść się w łaski tamtejszego reżimu. Musiał narobić sobie przy tym sporo wrogów. - Może wcale nie jest aż tak obłąkany?

- A te przecieki na najwyższym szczeblu? - spytała Fiona.

- Nie byłby to pierwszy tego rodzaju przypadek, prawda?

- Brahms Cztery prosił, żeby wysłano ciebie. Czy powiedzieli ci o tym?

- Nie. - Starłem się ukryć zaskoczenie. A więc dlatego byli tak zaniepokojeni podczas naszej rozmowy przy bilardzie.

- Odmawia dalszych kontaktów ze swym regularnym Kontrolerem. Dał im znać, że nie będzie rozmawiał z nikim oprócz ciebie.

- To musiało ostatecznie przekonać Dyrektora Generalnego o jego szaleństwie. - Odstawiłem pustą filiżankę na nocny stolik i zgasilem wiszącą nad łóżkiem lampkę. - Muszę się trochę przespać. Chciałbym, żeby wystarczyło mi pięć godzin, tak jak tobie, ale potrzebuję dużo snu.

- Nie pojedziesz, prawda? Obiecaj mi, że nie pojedziesz. Mruknąłem coś niewyraźnie i wtuliłem się w poduszkę. Zawsze śpię twarzą w dół - w ten sposób dłużej jest ciemno.

ROZDZIAŁ V

W poniedziałek po południu zjawiłem się w gabinecie Breta Rensselaera. Mieścił się on na najwyższym piętrze, niedaleko apartamentów Dyrektora Generalnego. Wszystkie pokoje na tym piętrze umeblowano według gustu ich użytkowników; był to jeden z przywilejów zastrzeżonych dla członków ścisłego kierownictwa. Gabinet Breta był nowoczesny; pełen szkła i chromu, wyłożony szarym dywanem. Jego bezbarwna, spartańska surowość idealnie pasowała do Breta - do jego ciemnych garniturów z *Seville Row*, jego nienagannie wyprasowanych białych koszul, jego jasnych siwiejących włosów i do

przelotnego uśmiechu, który wydawał się nieśmiały, ale był w istocie tylko odruchem, maskującym jego nieprzystępność.

Uśmiechnął się, skinął mi głową i wskazał palcem czarny skórzany fotel nie przerywając rozmowy, którą prowadził właśnie przez swój biały telefon. Usiadłem i czekałem, aż wytłumaczy swemu interlokutorowi, że nie może spotkać się z nim na lunchu tego dnia, następnego dnia, ani w żadnym innym terminie.

- Czy grywasz w pokera, Bernard? - spytał odkładając słuchawkę.

- Tylko na zapalki - odparłem przezornie.

- Czy zastanawiałeś się kiedyś, co zrobisz po przejściu na emeryturę?

- Nie - odparłem.

- Nie zamierzasz kupić baru w Maladze albo gospodarstwa ogrodniczego w Sussex?

- Czy takie są twoje plany? - spytałem.

Bret uśmiechnął się. Był człowiekiem bogatym, bardzo bogatym. Myśl o tym, że mógłby prowadzić gospodarstwo ogrodnicze w Sussex wydawała się absurdalna. Jeśli idzie o Malagę, to uważał to miasto za kurort dla ludzi ze sfer plebejskich i wolałby chyba zawrócić samolot z drogi, niż wkroczyć w znajdującą się nad nim przestrzeń powietrzną.

- Pewnie twoja żona ma pieniądze - powiedział. Potem zrobił krótką przerwę. - Ale podejrzewam, że jesteś snobem *a rebours* i nie chcesz z nich korzystać.

- Czy to uczyniłoby ze mnie snoba *a rebours*?

- Gdybyś był na tyle przytomny, by zainwestować jej gotówkę i podwoić ją, nikomu by to nie zaszkodziło, prawda?

- Kiedy miałbym się tym zajmować... wieczorami? Czy też może zrezygnować z obecnej posady?

- Za każdym razem, kiedy chcę się od ciebie czegoś dowiedzieć, odpowiadasz pytaniem na pytanie.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że jestem przesłuchiwany - odparłem. - Czy chcesz zweryfikować moją wiarygodność?

- W tej branży nigdy nie zaszkodzi przekartkować od czasu do czasu czyjeś konto bankowe - odparł Rensselaer,

- W moim znalazłbyś tylko mole.

- Więc twoja rodzina nie była zamożna?

- Rodzina? Dopiero w wieku trzydziestu lat miałem pierwszą niańkę.

- Tacy ludzie jak ty, którzy pracowali jako agenci operacyjni w terenie, zawsze się zabezpieczają, ukrywając gdzieś gotówkę czy inne walory. Mógłbym się założyć, że masz zaszyfrowane rachunki bankowe w dwunastu różnych miastach.

- Cóż bym na nich trzymał, kupony na posiłki?

- Zabezpieczenie - odparł. - Zabezpieczenie na czarną godzinę. - Podniósł z biurka krótką notatkę, w której informowałem go o eksportowo-importowej działalności Wernera Volkmana. A więc o to mu chodziło. Zastanawiał się, czy nie dzieli z Wernerem dochodów, jakie przynosi jego firma.

- Volkmann nie zarabia aż tak dużo, by dawać hojne prowizje, jeśli to masz na myśli - powiedziałem.

- Ale ty proponujesz, żeby Departament go finansował? - Nadal stał za biurkiem; lubił rozmawiać na stojąco, poruszając się jak bokser, robiąc zwody i uniki, uchylając się przed wymyślanymi ciosami.

- Powinieneś chyba kupić sobie nowe okulary - powiedziałem. - W tej notatce nie sugeruję wcale, że Departament powinien dać mu choćby pensa.

Bret uśmiechnął się. Kiedy znudziło mu się odgrywanie roli Fajnego Faceta, potrafił nagle przejść do konfrontacji, posunąć się do oskarżeń i wyzwisk. Ale przynajmniej było mało prawdopodobne, by zrobił komuś świństwo za jego plecami.

- Może przeczytałem ją zbyt pośpiesznie. Nawiasem mówiąc, co to jest *forfeiting*? Bret przypominał mi jednego z tych sędziów Sądu Najwyższego, którzy nachylają się do świadka i pytają, co to jest męski szowinista lub system komputerowy. Znają znaczenie tych określeń, ale chcą wspólnie ze świadkiem określić precyzyjnie ich treść pojęciową i wpisać odpowiednią definicję do akt sądowych.

- Volkmann zdobywa gotówkę dla firm zachodnioniemieckich, które mogą dzięki temu natychmiast otrzymać należność za towary eksportowane do NRD.

- Jak to robi? - spytał Bret opuszczając wzrok i przekładając jakieś papiery na biurku.

- Wymaga to całej masy skomplikowanych dokumentów - odparłem. - Ale sens tych działań polega na wysyłaniu szczegółowych faktur wraz z cenami do jakiegoś wschodnioniemieckiego banku. Zostają one tam opieczętowane i podpisane na dowód, że zostały zaakceptowane przez niemieckich importerów. Importerzy ci ustalają również datę uregulowania należności. Volkmann udaje się wtedy do banku, do syndykatu bankowego lub do jakiegokolwiek innego źródła gotówki na Zachodzie i używając tych dokumentów jako „gwarancji” wydobywa od nich pieniądze, umożliwiające pokrycie rachunku za dostawę.

- A więc jest kimś w rodzaju maklera?

- Jego praca jest bardziej skomplikowana, gdyż wymaga kontaktów z mnóstwem ludzi, wśród których większość stanowią biurokraci.

- A twój kumpel Volkmann dostaje działkę od każdej transakcji. Niezłe się ustawił.

- To ciężki kawałek chleba, Bret - odparłem. - Istnieje mnóstwo ludzi, którzy gotowi są obniżyć prowizję od następnej transakcji, byle wkręcić się do tego interesu.

- Przecież Volkmann nie ma żadnego doświadczenia w bankowości. Jest hochsztaplerem.

Wolno wciągnąłem powietrze do płuc.

- Człowiek zajmujący się takimi transakcjami nie musi być bankierem - wyjaśniłem cierpliwie. - Werner Volkmann pracuje w tej branży od wielu lat. Ma dobre kontakty w NRD. Wjeżdża do Sektora Wschodniego i wyjeżdża z niego bez poważniejszych trudności. Lubią go tam, bo wiedzą, że ułatwia transakcje związane wschodniemieckim eksporterom...

- Co to są transakcje wiązane? - spytał Bret podnosząc rękę.

- Liczne banki ograniczają się do przelewania pieniędzy. Werner gotów jest poszukać na Zachodzie klienta na jakieś energochemiczne towary. W ten sposób oszczędza im nieco twardej waluty, a może nawet doprowadzić do zawarcia transakcji, przy której wartość eksportu równa jest należności za towary importowane.

- Do tego stopnia? - spytał Bret z głębokim namysłem.

- Volkmann może być nam bardzo przydatny, Bret - powiedziałem.

- W jaki sposób?

- Może przerzucać pieniądze, przerzucać towary, przerzucać ludzi.

- Przecież robimy to już bez niego.

- Tak, ale ilu mamy ludzi, którzy mogą się bez trudu przemieszczać w obie strony?

- Więc na czym polega problem Volkmana?

- Wiesz, jaki jest Frank Harrington. Nie potrafi się dogadać z Wernerem, nigdy zresztą za nim nie przepadał.

- A Berlin nigdy nie posługuje się ludźmi, których nie lubi Frank.

- Po prostu Berlin to Frank - powiedziałem. - Mamy tam teraz bardzo nieliczny personel, Bret. Każdy drobiazg wymaga jego aprobaty.

- I chcesz, żebym ja pouczał Franka, jak ma prowadzić swoją Berlińską Jednostkę Operacyjną?

- Czy ty kiedykolwiek czytasz to, co ci przekazuję, Bret? Sugeruję w tej notatce tylko tyle, żeby Departament wyraził zgodę na udzielenie Wernerowi gwarancji wypłacalności przez jeden z naszych własnych banków handlowych.

- Więc jednak chodzi o pieniądze - stwierdził triumfalnie Bret.

- Chodzi tylko o to, żeby jedna z naszych placówek bankowych umożliwiła Wernerowi korzystanie ze swych usług pobierając od niego obowiązujące aktualnie opłaty.

- Więc dlaczego nie mógł tego do tej pory uzyskać?

- Ponieważ banki, które specjalizują się w tego rodzaju transakcjach, chcą wiedzieć, kim jest Werner Volkmann. A w naszym Departamencie obowiązuje staromodna zasada, w myśl której byli agenci nie mogą powoływać się na Dyrektora Generalnego ani informować kogokolwiek, że nauczyli się sztuki pośrednictwa już w wieku osiemnastu lat montując siatki szpiegowskie po tamtej stronie Muru.

- Więc powiedz mi, jak udało się Volkmannowi nie wypaść do tej pory z obiegu.- Zrezygnował z usług normalnej sieci bankowej i zdobywał pieniądze na wolnym rynku kapitałowym. Ale w ten sposób musi zadowalać się mniejszymi prowizjami. To mu utrudnia życie. A jeśli zrezygnuje z tej działalności, stracimy dobrą okazję i użyteczny kontakt.

- Załóżmy, że powinie mu się noga podczas jednej z tych transakcji i bank nie odzyska swoich pieniędzy.

- Och, Bret, na miłość boską. Przecież ci faceci z banku są na tyle dorośli, że umieją pilnować swych interesów.

- Ale narobią strasznego wrzasku.

- Przecież po to mamy te cholerne banki, żeby z nich korzystać właśnie w takich przypadkach.

- O jaką sumę chodzi?

- Mniej więcej o milion zachodnich marek, oczywiście w ratach.

- Chyba oszalałeś do reszty - powiedział Bret. - Milion marek? Dla tego głupiego sukinsyna? Nie, nic z tego nie będzie. - Podrapał się po nosie. - Czy to Volkmann podsunął ci taki pomysł?

- Bynajmniej. On lubi udawać przede mną wielkiego businessmana.

- Więc skąd wiesz, że potrzebuje gotówki?

- W tej branży nigdy nie zaszkodzi przekartkować od czasu do czasu czyjeś konto bankowe - odparłem.

- Któregoś dnia napytasz sobie kłopotów przez te swoje nieoficjalne dochodzenia w sprawach, które cię nie dotyczą. Co byś zrobił, gdyby odezwały się dzwonki alarmowe?

- Oświadczyłbym pod przysięgą, że było to oficjalne dochodzenie - odparłem.

- Akurat - mruknął Bret.

Podniosłem się z fotela i ruszyłem w stronę drzwi.

- Jeszcze chwileczkę - powstrzymał mnie Bret. - Co byś powiedział, gdybym ci oznajmił, że Brahms Cztery prosił o przysłanie ciebie? Gdyby okazało się, że nie ufa nikomu innemu w całym Departamencie? Co na to powiedziałbyś?

- Powiedziałbym, że chyba zna się na ludziach.

- No dobrze, cwaniaku. A teraz zechciej odpowiedzieć oficjalnie.

- Mogłoby to oznaczać, że po prostu mi ufa. Nie zna osobiście innych pracowników Departamentu.

- Bardzo dyplomatyczna odpowiedź, Bernard. Tam na dole, w Sekcji Analiz, zaczynają podejrzewać, że Brahms Cztery został nakłoniony do pracy dla drugiej strony. Większość ludzi, z którymi rozmawiałem, jest zdania, że Brahms Cztery był wysokim rangą agentem KGB już wtedy, kiedy Silas poznał go w tym barze.

- Większość tych facetów z Sekcji Analiz - powiedziałem cierpliwie - nie rozpoznałaby oficera KGB nawet, gdyby przyszedł do nich powiewając czerwoną flagą.

Rensselaer pokiwał głową, jakby po raz pierwszy zastanawiał się nad kwestią kompetencji swego personelu.

- Być może masz rację, Bernard. - Wymawiając moje imię zawsze akcentował ostatnią sylabę; to był najbardziej amerykański aspekt jego sposobu bycia.

Właśnie w tym momencie wszedł do gabinetu Sir Henry Clevemore. Był wysokim, dystygowanym mężczyzną, ubranym z nie-dbałością typową dla przedstawicieli brytyjskich klas wyższych, którzy chcą unaocznic wszystkim, że nie są *noweau riche*.

- Bardzo cię przepraszam, Bret - powiedział Dyrektor Generalny na mój widok. - Nie miałem pojęcia, że masz konferencję. - Spojrzał na mnie marszcząc brwi, jakby usiłował przypomnieć sobie moje nazwisko. - Cieszę się, że cię widzę, Samson - powiedział w końcu. - Słyszałem, że spędziłeś weekend u Silasa. Czy dobrze się bawiłeś? Jakie on tam ma atrakcje, łowienie ryb?

- Bilard - odparłem. - Głównie bilard.

- Tak, to wydaje się w jego stylu - stwierdził D.G. z lekkim uśmiechem. Odwrócił się i obrzucił spojrzeniem biurko Breta. - Zgubiłem gdzieś okulary - powiedział. - Czy nie zostawiłem ich tutaj?

- Nie, sir. Nie był pan u mnie dziś rano - odparł Bret. - Ale o ile pamiętam, trzyma pan parę zapasowych okularów do czytania w górnej szufladzie biurka swojej sekretarki. Czy mam je panu przynieść?

- Oczywiście, masz rację - powiedział D.G. - Górna szuflada, teraz sobie przypomniałem. Moja sekretarka jest dziś chora, a ja po prostu nie mogę dać sobie bez niej

radę. - Uśmiechnął się do mnie i do Breta chcąc jasno dać nam do zrozumienia, że jest to żart wynikający z jego wrodzonej skromności i życzliwości.

- Stary ma teraz mnóstwo na głowie - powiedział lojalnie Bret, gdy D.G. ruszył wolno w głąb korytarza przepaszając niewyraźnie za przerwaniem naszej „konferencji”.

- Czy wiadomo, kto przejmie jego stanowisko, kiedy przejdzie na emeryturę? - spytałem Breta. O mało nie powiedziałem: „kiedy wpadnie w całkowitą demencję”.

- Nie ustalono jeszcze żadnego terminu. Ale niewykluczone jest, że stary wróci do formy i pociągnie jeszcze pełne trzy lata. - Wymieniliśmy spojrzenia, a Bret dodał po chwili milczenia: - Lepszy jest diabeł, którego się zna, niż diabeł nieznany.

ROZDZIAŁ VI

Dwie siostry nie były do siebie zbyt podobne. Moja żona, Fiona, miała ciemne włosy, pełną twarz i usta, które często rozszerzały się w uśmiechu. Tessa, jej młodsza siostra, była jasną szatynką, niemal blondynką; miała niebieskie oczy i poważny wyraz twarzy, który upodobał ją do małego dziecka. Jej proste włosy sięgały niemal do ramion; czasem odrzucała je do tyłu, czasem zaś pozwalała im opadać na twarz i częściowo zasłaniać oczy.

Nie byłem zaskoczony, kiedy po powrocie z biura zastałem Tessę w naszym salonie. Utrzymywały z sobą bardzo bliskie stosunki - być może na skutek przeżytych w dzieciństwie przykrości, które ich autokratyczny ojciec uważał za nieodłączny atrybut wychowania - a Fiona od roku starała się usilnie skleić małżeństwo Tessy z George'em, zamożnym sprzedawcą samochodów.

W kubelku z lodem stała otwarta butelka szampana, którego poziom obniżył się już do etykiety.

- Czy obchodzimy jakąś uroczystość? - spytałem zdejmując płaszcz i wieszając go w przedpokoju.

- Nie bądź takim okropnym drobnomieszczaninem - powiedziała Tessa wręczając mi wypełniony po brzegi wąski kieliszek. Na tym polegał jeden z problemów wynikających z małżeństwa z bogatą kobietą; nic nie było luksusem.

- Kolacja o pół do dziewiątej - powiedziała Fiona obejmując mnie jak wzorowa żona i unosząc swój kieliszek w górę, by nie uronić z niego ani kropli podczas przelotnego pocałunku. - Pani Dias zgodziła się zostać dłużej.

Pani Dias, nasza portugalska kucharka, sprzątaczką i gospodynią domową, zawsze zostawała dłużej, by ugotować kolację. Zastanawiałem się czasem, ile jej płacimy. Ale jej pensja, jak wiele innych wydatków domowych, ukryta była gdzieś w rozlicznych rachunkach i pokrywana z odziedziczonych zasobów Fiony. Moja żona wiedziała, że jestem temu

przeciwny, ale gotowanie byłoby dla niej chyba jeszcze bardziej uciążliwe niż toczenie ze mną sporów, do jakich dochodziło w związku z tą sprawą. Usiadłem na kanapie i skosztowałem szampana.

- Pyszny - powiedziałem.

- Przyniosła go Tessa - wyjaśniła Fiona.

- Dar od wielbiciela - dodała przekornie jej siostra.

- Czy mogę poznać jego nazwisko? - zapytałem. Dostrzegłem niechętne spojrzenie, jakim obdarzyła mnie Fiona, ale udałem, że go nie zauważam.

- Wszystko w swoim czasie, mój drogi - odparła Tessa. - Na razie muszę zachować jego incognito.

- Czy to to samo, co *in flagrante delictol* - spytałem.

- Ty draniu - powiedziała ze śmiechem.

- A jak się miewa George? - zapytałem.

- Każde z nas żyje własnym życiem - odparła Tessa.

- Nie psuj humoru mojej siostrze - ostrzegła mnie Fiona.

- Ależ on mi wcale nie psuje humoru - oznajmiła Tessa odrzucając włosy do tyłu zdobną w pierścionki dłonią. - Lubię George'a i zawsze będę go lubić. Po prostu nie możemy żyć razem bez kłótni.

- Czy to znaczy, że się rozwodzicie? - spytałem wypijając kolejny łyk szampana.

- George nie chce rozwodu - wyjaśniła. - Wygodnie mu jest traktować dom jak hotel w ciągu tygodnia, a poza tym ma dworek na wsi, do którego może zapraszać swoje oblubienice.

- Czy George miewa oblubienice? - spytałem bez większego zainteresowania.

- Zdarzało się to - odparła Tessa. - Ale zarabia teraz tak dużo pieniędzy, że nie ma chyba czasu na nic poza zajmowaniem się interesami.

- Szczęśliwy człowiek! - powiedziałem. - Wszyscy inni moi znajomi bankrutują.

- Właśnie dlatego George okazał się taki bystry - wyjaśniła Tessa. - Załatwił sobie kontrakty na sprzedaż mniejszych, tańszych samochodów już wiele lat temu, kiedy wydawało się, że nikt ich nie będzie kupował. - Powiedziała to z wyraźną dumą. Nawet żony, które kłóca się z mężami, są dumne z ich osiągnięć.

Fiona sięgnęła po butelkę. Owinęła ją serwetką i rozlała nam resztę szampana do kieliszków z fachowością wytrawnego kelnera. Nie dotykała butelką kieliszków, a serwetka zawiązana była w taki sposób, że nie zasłaniała etykiety. Takie zawodowe niuanse były czymś naturalnym dla osoby przyzwyczajonej od dzieciństwa do posiadania służby.

- Tessa chce, żebym pomogła jej znaleźć mieszkanie - powiedziała nalewając do mojego kieliszka.

- A także udekorować je i umeblować - dodała Tessa. - Nie mam pojęcia o takich sprawach. Sami popatrzcie, do jakiego okropnego stanu doprowadziłam nasz obecny dom. George nigdy go nie lubił. Czasem myślę, że tam właśnie zaczęło się psuć nasze małżeństwo.

- Ależ to piękny dom - powiedziała lojalnie Fiona. - Jest po prostu za duży dla was dwojga.

- Jest stary i ciemny - oświadczyła Tessa. - To w gruncie rzeczy ponura nora. Mogę zrozumieć, dlaczego George go tak nie znosi. Zgodził się go kupić tylko dlatego, że chciał mieszkać w Hampstead. Był to spory krok w górę dla kogoś, kto pochodzi z Islington. Ale teraz mówi, że stać nas na Mayfair.

- A ten nowy dom? - spytałem. - Czy myślisz, że George go polubi?

- Odczep się! - powiedziała Tessa z przedmiejskim akcentem, który wydawał jej się szczególnie stosowny, kiedy mówiła do mnie. - Przecież niczego jeszcze nie znalazłam; dlatego potrzebuję pomocy. Jeżdżę i oglądam różne lokale, ale nie umiem sama podjąć decyzji. Słucham tego, co mówią mi ci sprytni pośrednicy, i wierzę we wszystko; na tym polega mój kłopot.

Jeśli Tessa doświadczyła w życiu jakichś kłopotów, to nie dlatego, że uwierzyła w cokolwiek, co mówił jej jakikolwiek mężczyzna, ale nie zaprzeczyłem jej. Kiwnąłem głową i dopiłem resztę szampana. Była już niemal pora kolacji. Pani Dias niezłe gotowała, ale nie byłem pewien, czy mam ochotę na kolejną porcję jej ulubionej potrawy o nazwie *feijoada*.

- Nie masz nic przeciwko temu, prawda, kochanie? - spytała Fiona.

- Przeciwko czemu? Żebyś pomogła Tessie znaleźć mieszkanie?

Nie, oczywiście że nie.

- Kochany jesteś - powiedziała do mnie Tessa, a zwracając się do siostry dodała: - Masz szczęście, że udało ci się omotać Bernarda, zanim ja go poznałam. Zawsze mówiłam, że jest wspaniałym mężem.

Nie odezwałem się. Tylko Tessa potrafiła sprawić, żeby określenie „wspaniały mąż” kojarzyło się z nosicielem zarazy.

Tessa rozsiadła się wygodnie na kanapie. Miała na sobie popielatą, rozpinaną suknię z połyskliwego jedwabiu. W jednym ręku trzymała kieliszek, drugą bawiła się sznurem prawdziwych pereł. Nerwowo zmieniła pozycję nóg zaciskając równocześnie naszyjnik na swej białej szyi.

- Tessa chce ci coś powiedzieć, kochanie - oznajmiła Fiona.

- Czy mamy jeszcze trochę tego szampana? - spytałem.

- *Dom Perignon* od Tessy już się skończył. Będziesz musiał pić ten, który jest w lodówce, kupiony w sklepie *Sainsbury*.

- Na pewno będzie pyszny - powiedziałem podając jej pusty kieliszek. - O co chcesz mnie zapytać, Tessa?

- Czy znasz człowieka nazwiskiem Giles Trent?

- Pracuje w MSZ. Wysoki, szpakowaty, ma niski głos i akcent typowy dla ludzi z wyższych sfer. Starszy niż ja i o wiele mniej przystojny.

- Nie jest właściwie pracownikiem MSZ - przekornie poprawiła mnie Tessa. - Jego biuro mieści się na terenie ministerstwa, ale on reprezentuje waszą firmę.

- Czy on sam ci to powiedział? - spytałem.

- Owszem.

- Nie powinien był tego robić.

- Wiem - stwierdziła Tessa. - Rozmawiałam o nim z Fioną, która mówi, że Giles Trent współpracował z waszymi ludźmi w Berlinie już w roku 1978. Twierdzi, że jest dość ważną figurą.

Weszła Fiona z butelką szampana i napełniła mój kieliszek.

- No cóż, skoro Fiona tak mówi... - zacząłem.

- Tessa jest moją siostrą, kochanie - przerwała mi Fiona. - Nie zamierza zdradzić Rosjanom wszystkich twoich tajemnic, prawda, Tess?

- W każdym razie, dopóki nie pojawi się na mojej drodze właściwy Rosjanin. A nawet wtedy... No wiesz, czy widziałeś te fotografie rosyjskich kobiet? - Trzymała teraz naszyjnik w ustach. Był to dziecienny gest, ale ona lubiła zachowywać się jak dziecko.

- No więc co z tym Gilesem Trentem? - spytałem.

- Poznałam go ubiegłego lata - zaczęła Tessa, znów bawiąc się naszyjnikiem. - Spotkaliśmy się na kolacji u jakichś ludzi, którzy mieszkają na tej samej ulicy co my. Miał bilety do Covent Garden, na Mozarta. Zapomniałam już, jaki był tytuł tej opery, ale wszyscy mówili o tym, jak trudno zdobyć bilety, a Giles mógł je kupić. No więc, było cudownie. Nie przepadam za operą, ale mieliśmy łożę i wypiliśmy w antrakcie butelkę szampana. - A potem miałaś z nim romans - dokończyłem za nią.

- On jest bardzo przystojny, Bernie. A George był za granicą, żeby zobaczyć, jak Japończycy robią samochody.

- Dlaczego nie pojechałaś z nim?

- Gdybyś raz wziął udział w jednej z tych podróży, które organizują producenci samochodów dla swoich przedstawicieli handlowych, nie pytałbyś o to. Żony są tam zbędne, mój drogi. Wszystkie pokoje hotelowe pełne są pańienek - do wyboru, do koloru.

- Tess chce ci opowiedzieć o Gilesie Trencie - powiedziała Fiona nalewając siostrze i sobie szampana. - Nie prosi cię o rady na temat swego małżeństwa. - Upomnienie to, jak wszystkie tego typu upomnienia udzielane mężom przez żony, zostało wygłoszone z serdecznym uśmiechem.

- Więc opowiedz mi o Gilesie Trencie - zażądałem.

- Wiem, że przed chwilą żartowałeś. Ale on jest naprawdę starszy niż ty, o wiele starszy. Nigdy nie był żonaty, ma różne starokawalerskie nawyki. Z początku brałam go za pedała. Jest taki schludny i zadbany, i tak bardzo uważa na to, co nosi i co je. W kuchni - ma cudowny dom niedaleko King's Road - wszystkie noże i rondelki ułożone są rzędem od prawej do lewej - od największych do najmniejszych. Panuje tam tak idealny porządek, że początkowo bałam się ugotować jajko czy ukroić kawałek chleba, żeby nie posypać okruchami nienagannie czystych kafli podłogowych albo nie porysować nożem deseczki do krojenia chleba.

- Opowiedz mi, jak odkryłaś, że nie jest pedałem - zażądałem.

- Mówiłam ci, że nie zechce mnie wysłuchać - powiedziała z wyrzutem Tessa do siostry. - Że będzie przez cały czas robił ironiczne uwagi. I miałam rację.

- To poważna sprawa, Bernard - oznajmiła moja żona. Zwracała się do mnie per Bernard tylko w sytuacjach krytycznych.

- Chcesz powiedzieć, że zanosi się na małżeństwo Tessy z Gilesem?

- Chcę powiedzieć, że Giles Trent przekazuje materiały wywiadowcze jednemu z pracowników rosyjskiej ambasady.

- Psiakrew! - powiedziałem po dłuższym milczeniu.

- Giles Trent pracuje w wywiadzie już od dawna - stwierdziła Fiona.

- Dłużej niż ja - przyznałem. - Giles Trent wykładał w szkole dla agentów operacyjnych, kiedy mnie do niej przyjęto.

- W Berlinie kierował przez jakiś czas Sekcją Łączności - dodała Fiona.

- Tak - potwierdziłem. - I opracował tę instrukcję dla funkcjonariuszy prowadzących przesłuchania. Nie podoba mi się to wszystko. Giles Trent, a to niespodzianka!

- Giles Trent nie wydaje się do tego zdolny - stwierdziła Fiona. Wszystkie kobiety zawsze miały słabość do eleganckiego i dystyngowanego Gilesa Trenta. Uchylał na ich widok kapelusza i zawsze miał czystą koszulę.

- Oni nigdy nie wydają się do tego zdolni - odparłem.

- Poza tym nie ma kontaktów z agentami operacyjnymi.

- Cóż, dziękujmy Bogu przynajmniej za to - powiedziałem i spojrzałem na Tessę. -
Czy wspominałaś o tym wszystkim komukolwiek innemu?

- Tylko tatusiowi - odparła. - A on kazał mi o wszystkim zapomnieć.

- Dobry, stary tatuś - powiedziałem. - Zawsze jest na miejscu, kiedy może się przydać.

Weszła pani Dias niosąc wielki półmisek smażonych krewetek.

- Proszę nie jeść zbyt dużo, sir - powiedziała z wyraźnym cudzoziemskim akcentem. -

Od tego bardzo się tyje.

Portugalczycy są z natury dość posępni, ale pani Dias była zawsze uśmiechnięta. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że zbyt dużo jej płacimy.

- Jest pani wspaniała, pani Dias - powiedziała moja żona z uśmiechem, który zniknął jednak z jej twarzy, gdy odkryła, że mamy jeść krewetki pozostawione przez nią w kuchni, by się rozmroziły, i przeznaczone na jutrzejszy lunch.

- Pani Dias to prawdziwy skarb - przyznała Tessa kosztując jedną z krewetek i parząc się w usta tak dotkliwie, że musiała wypluć kawałki na papierową serwetkę. - Mój Boże, jakie to gorące - powiedziała ze zboląłą miną.

Fiona, która nienawidziła wszystkich smażeńin, oddaliła gestem podsunięty jej przeze mnie półmisek. Wziąłem jedną krewetkę, podmuchałem na nią, a potem włożyłem do ust. Nie była zła.

- Damy już sobie radę, pani Dias - powiedziała wyniośle Fiona. Odwróciłem się na krześle i zobaczyłem, że pani Dias nadal stoi w drzwiach i przygląda się nam z szerokim uśmiechem. Po chwili znów zniknęła w kuchni. Buchnął stamtąd kłęb dymu i rozległ się głośny trzask, ale udaliśmy, że nic nie słyszemy.

- Skąd wiesz, że przekazuje Rosjanom jakieś materiały? - spytałem Tessę.

- Sam mi to powiedział - odparła. - Tak po prostu?

- Któregoś popołudnia zaczęliśmy popijać w jakimś zabawnym małym klubie w Soho. Giles oglądał w telewizji wyścigi konne. Okazało się, że wygrał trochę pieniędzy, więc poszliśmy do *Ritza*. Spotkaliśmy kilkoro przyjaciół i Giles chciał zaimponować wszystkim zapraszając ich na kolację. Zaproponowałam *Annabel's* - Giles jest członkiem klubu. Siedzieliśmy tam do późna i Giles okazał się świetnym tancerzem.

- Czy wszystko to prowadzi do czegoś, co wyznał ci w łóżku? - spytałem ze znużeniem.

- W pewnym sensie tak. Poszliśmy w końcu do tego uroczego domku, który ma w okolicach King's Road. Byłam po kilku drinkach i prawdę mówiąc pomyślałam sobie, że skoro George spędza czas w towarzystwie tych wszystkich egzotycznych panienek, to i ja mam, do diabła, jakieś prawa. Więc uległam prośbom Gilesa i zostałam na noc.

- Co on ci dokładnie powiedział, Tessa? Jest już niemal pół do dziewiątej i zaczynam być głodny.

- Obudził mnie w środku nocy. Było to przerażające. Usiadł na łóżku i zaczął wrzeszczeć. Nie możesz sobie wyobrazić, jakie to było okropne, mój drogi. Wrzeszczał, jakby wzywał kogoś na pomoc. Miał jakiś zły sen. Sama przeżywałam koszmary nocne i obserwowałam je u innych - chyba połowa dziewcząt w szkolnym internacie ma co noc złe sny, prawda, Fi? - ale nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Był cały spocony i drżał jak liść.

- Giles Trent? - upewniłem się.

- Wiem, że trudno to sobie wyobrazić, prawda? On jest taki cholernie sztywny i opanowany. Ale tej nocy krzyczał i miał jakiś koszmarny sen. Musiałam nim potrząsać przez dłuższy czas, zanim się w końcu obudził.

- Powtórz Berniemu, co krzyczał - zażądała Fiona.

- Krzyczał: „Pomóżcie mi! Oni mnie do tego zmusili”, a potem „proszę, proszę, proszę!” Przyniosłam mu dużą szklankę wody *Perrier*. Powiedział, że tego właśnie potrzebuje. Zebrał się w garść i wyglądało na to, że wrócił do formy. A potem spytał mnie nagle, co bym powiedziała, gdyby się okazało, że jest rosyjskim szpiegiem. Odparłam, że zaczęłabym się śmiać. On zaś kiwnął głową i powiedział, że tak czy owak, to prawda. Więc spytałam go, czy robi to dla pieniędzy. Żartowałam, bo myślałam, że on żartuje, rozumiesz?

- I co powiedział na temat pieniędzy? - spytałem.

- Wiedziałałam, że nie brak mu pieniędzy - odparła Tessa. - Był w Eton i zna wszystkich, którzy się liczą. Szyje ubrania u tego samego krawca co tatuś, a to mnóstwo kosztuje. Poza tym należy do tylu klubów... a wiesz, jak wysokie są dziś składki członkowskie. George ciągle się na to skarży, ale on musi oczywiście zapraszać swoich kontrahentów. Ale Giles nigdy nie narzeka na brak pieniędzy. Matka kupiła mu ten dom i wyznaczyła apanaże, które pozwalają mu zaspokoić potrzeby ciała i ducha.

- A poza tym ma swoją pensję - przypomniałem.

- No, to nie wystarczy mu na wiele, Bernie - odparła Tessa. - Czy wyobrażasz sobie, że moglibyście oboje z Fioną żyć tylko z twojej pensji?

- Inni ludzie jakoś sobie radzą - powiedziałem.

- Ale nie tacy ludzie jak my - stwierdziła Tessa z łagodną rzeczowością w głosie. - Biedna Fiona musi kupować szampana w sklepie *Sainsbury*, bo wie, że będziesz utyskiwał, jeśli kupi taki, jaki pije tatuś.

- Powtórz Berniemu, co opowiedział ci Giles o spotkaniu z tym Rosjaninem - pośpiesznie wtrąciła Fiona.

- Opowiadał, jak poznał tego faceta z Misji Handlowej. Giles był któregoś wieczora w pubie, niedaleko Portobello Road. Lubi wynajdować nowe puby, o których nie wie nikt prócz lokalnych bywalców. Była to już pora zamykania knajp. Poprosił barmana o następnego drinka, ale nie chciano mu go podać. Wtedy jakiś człowiek stojący przy barze zaproponował, że zaprowadzi go do szachowego klubu w Soho - jest taki *Kar's Club* na Gerrard Street. Jest tam bar dla członków, w którym podają drinki do trzeciej rano. Ten Rosjanin był członkiem i namówił Gilesa, żeby również się zapisał. Z tego, co wiem, nie jest to jakiś ekskluzywny lokal; trochę artystów, pisarzy i tak dalej. Giles jest niezłym szachistą, więc zaczął tam bywać regularnie i grać z tym Rosjaninem lub obserwować inne partie.

- Kiedy byłaś świadkiem tego nocnego koszmaru?

- Nie pamiętam dokładnie, ale już dość dawno temu.

- I opowiadał ci o tym Rosjaninie kilka razy? Czy tylko raz, podczas tej nocy?

- Sama wróciłam do tego tematu - odparła Tessa. - Byłam po prostu ciekawa. Chciałam się dowiedzieć, czy był to żart, czy nie. Giles Trent pamiętał twoje nazwisko i zna również Fionę, więc domyśliłam się, że jego praca ma charakter poufny. W zeszły piątek dotarliśmy do jego domu dość późno i pokazał mi elektroniczną maszynę do gry w szachy, którą właśnie sobie kupił. Powiedziałam mu, że wobec tego nie będzie już musiał chodzić do tego klubu. Ale on odparł, że lubi tam chodzić. Spytałam wtedy, czy nie boi się, że ktoś go zobaczy w towarzystwie tego Rosjanina i zacznie podejrzewać o szpiegostwo. Giles opadł ciężko na łóżko i mruknął coś, z czego wynikało, że takie podejrzenie może być słuszne. Dużo pił tego wieczora - głównie koniak, który jak zauważyłam, działa na niego silniej niż inne trunki.

Tessa była teraz spokojna i poważna. Było to jej nowe oblicze. Dotychczas znałam ją tylko w roli nie liczącej się z niczyją opinią miłośniczki życia.

- Mów dalej - ponagliłem ją.

- No więc, byłam pewna, że nadal żartuje, więc zaczęłam traktować wszystko jako dowcip. Ale on nie żartował. - „Jak Boga kocham, chciałbym się z tego wypłatać - powiedział. - Ale teraz mają mnie w garści i nigdy już się od nich nie uwolnię. Skończę w

sądzie i dostanę trzydzieści lat”. Spytałam, czy nie może gdzieś uciec. Wsiąść do samolotu i polecieć gdzieś za granicę.

- I co ci odpowiedział?

- „I skończyć w Moskwie? Wolę siedzieć w angielskim więzieniu i słuchać, jak wymyślają mi po angielsku, niż spędzić resztę życia w Moskwie. Czy możesz sobie wyobrazić, jak tam musi być?” - powiedział. I zaczął mi opowiadać, jak żyje tam Kim Philby i ci dwaj jego koledzy. Zdałam sobie sprawę, że musiał czytać wszystko na ten temat, i że zamartwia się na śmierć.

Tessa pociągnęła łyk szampana.

- Co teraz będzie, Bernie? - spytała Fiona.

- Nie możemy tego tak zostawić - odparłem. - Będę musiał wszcząć oficjalne kroki.

- Nie chcę, żeby Tessa była zamieszana w tę sprawę - powiedziała Fiona.

- Może lepiej o tym zapomnieć - dodała Tessa.

- Zapomnieć? - spytałem. - Tu nie chodzi o jakiegoś turystę, który przeszedł przez pole jęczmienia na gruntach twojego ojca, a ciebie pytają, czy chcesz go skarżyć o naruszenie własności. Tu chodzi o szpiegostwo. Jeśli nie zgłoszę tego, co mi powiedziałaś, mogę odpowiadać w sądzie razem z nim. To samo dotyczy ciebie i Fiony.

- Naprawdę? - spytała Tessa. W typowy dla siebie sposób skierowała swe pytanie raczej do Fiony niż do mnie. Wszystkie jej poczynania i wypowiedzi cechowała ujmująca bezpośredniość i trudno było się na nią długo gniewać. Potwierdzała wszystkie teorie psychologów na temat młodszego dziecka. Była szczerą, ale płytką, była czułą, lecz niestałą, była ekshibicjonistką, ale nie miała dość odwagi, by zostać aktorką. Fiona natomiast miała wszystkie cechy charakteryzujące najstarsze dzieci: solidność, zaufanie do siebie, wybitną inteligencję oraz chłodny dystans, z którym przyglądała się wszystkim niedostatkom tego świata.

- Owszem, Tess. Bernie ma rację.

- Zobaczę, co będę w stanie zrobić - oświadczyłem. - Nie mogę nic obiecać. Ale powiem ci tyle: jeśli uda mi się utrzymać w tajemnicy twoje nazwisko, a ty powtórzysz choćby słowo z naszej rozmowy komukolwiek, nawet swojemu ojcu, zrobię, co będę mógł, żeby tobie, jemu i wszystkim, którzy brali udział w tuszowaniu tej sprawy, wytoczono proces karny z odpowiednich paragrafów.

- Dziękuję ci, Bernie - powiedziała Tessa. - Dla George'a byłoby to ciężkie przeżycie.

- Robię to tylko ze względu na niego - odparłem.

- Wcale nie jesteś taki twardy - orzekła. - W głębi duszy jesteś łagodny i czuły. Czy wiesz o tym?

- Powiedz to kiedykolwiek jeszcze raz, a uderzę cię pięścią prosto w nos.

- Jesteś taki zabawny - powiedziała ze śmiechem.

Fiona wyszła z pokoju, żeby sprawdzić, jak rozwija się sytuacja w kuchni. Tessa przesunęła się na kanapie i usiadła bliżej mnie.

- Czy grożą mu poważne konsekwencje? Gilesowi - czy grożą mu poważne konsekwencje? - - spytała pełnym szacunku głosem, jakim mówi się do lekarza, który ma właśnie postawić diagnozę.

- Jeżeli zrobi, co mu każemy, nic mu się nie stanie. - Nie była to oczywiście prawda, ale nie chciałem jej niepokoić.

- Jestem pewna, że zrobi - powiedziała i wypła łyk szampana, a potem spojrzała na mnie z uśmiechem, z którego można było wyczytać, że wcale mi nie wierzy.

- Jak dawno temu poznał tego Rosjanina? - spytałem.

- Dość dawno. Możesz to ustalić sprawdzając, kiedy zapisał się do tego klubu, prawda? - Potrząsnęła kieliszkiem i przyglądała się musującym pęcherzykom powietrza. Posługiwała się techniką, której nauczono jej w szkole dramatycznej w ciągu roku studiów; potem poznała George'a i wyszła za niego rezygnując z kariery gwiazdy filmowej. Przechyliła głowę na bok i spojrzała na mnie znacząco. - Giles nie jest złym człowiekiem, ale czasem zachowuje się jak głupiec.

- Czekaj nas jeszcze jedna rozmowa na ten temat, Tessa. Będziesz chyba musiała powtórzyć to wszystko w obecności oficera prowadzącego dochodzenie, a potem podpisać swoje zeznania. Oparła palec na krawędzi kieliszka i zatoczyła nim kilka kółek.

- Pomogę ci pod warunkiem, że potraktujesz Gilesa łagodnie - stwierdziła.

- Potraktuję go łagodnie - obiecałem. Co innego, do cholery, mogłem jej powiedzieć?

* * *

Kolację podano na ozdobnej porcelanie, stół zaś udekorowany był naszymi prezentami ślubnymi; stały na nim stare srebra od rodziców Fiony i kryształowy wazon, znaleziony przez mojego ojca na jednym z berlińskich kiermaszów staroci, które odwiedzał regularnie w sobotnie przedpołudnia. Okrągły stół jadalny był zbyt duży dla trzech osób, usiedliśmy więc wszyscy po jednej stronie. Tessa zajmowała miejsce w środku. Głównym daniem był jakiś gulasz z kurczęcia, którego skąpa ilość nie wypełniała dużego naczynia. Pani Dias miała na swym białym fartuchu dużą plamę od sosu i nie uśmiechała się już. Kiedy wróciła do kuchni,

Fiona wyjaśniła nam szeptem, że stłukła mniejszy garnek, a połowa gulaszu wyładowała na kuchennej podłodze.

- Dlaczego, do diabła, mówimy szeptem? - spytałem.

- Wiedziałaś, że zaczniesz wrzeszczeć - stwierdziła Fiona.

- Wcale nie wrzeszczę - powiedziałem. - Pytam po prostu...

- Wszyscy cię słyszeli - oznajmiła Fiona. - A jeśli zdenerwujesz panią Dias i stracimy ją... - nie dopowiedziała zdania do końca.

- Ale dlaczego zachowujesz się tak, jakby to była moja wina?

- Zawsze się tak zachowuje, kiedy coś zostaje stłuczone - poinformowała siostrę Fiona. - Oczywiście nie wtedy, kiedy stłucze coś sam.

Nałożyłem sobie niewielką porcję gulaszu z kurczęciami, żeby wystarczyło go dla innych, i mnóstwo ryżu. Fiona wyciągnęła z kredensu jedną z ostatnich butelek dobrego czerwonego wina, a ja z wdzięcznością napeliłem nasze kieliszki.

- Czy chciałabyś zamieszkać ze mną podczas nieobecności Bernarda? - spytała Fiona siostrę.

- Dokąd jedziesz? - zwróciła się do mnie Tessa.

- To jeszcze nie zostało ustalone - odparłem. - Nie jestem pewien, czy w ogóle pojadę.

- Do Berlina - odparła Fiona. - Nienawidzę zostawać tu sama.

- Chętnie się do ciebie przeniosę - oświadczyła Tessa. - Kiedy?

- Mówiłem ci, że to jeszcze nie jest pewne - powiedziałem. - Może wcale nie pojadę.

- Niebawem - odparła Fiona. - W przyszłym tygodniu, może w następnym.

Weszła pani Dias, by zebrać talerze i wysłuchać zachwyty nad jej umiejętnościami kulinarnymi oraz wyrazów wdzięczności. Fiona nie szczędziła jej komplementów, a Tessa powtarzała wszystkie jak echo.

- *Señor Sam*? - Dla niej zawsze byłem *Señor Sam*; nigdy nie mówiła *Señor Samson*. - *Señor Sam*... smakowało mu? - Zadała to pytanie Fionie, zamiast skierować je wprost do mnie. Przypomniała mi się rozmowa, podczas której wuj Silas, Bret Rensselaer i Dicky Cruyer zastanawiali się w mojej obecności, czy mam szansę ująć z życiem z Berlina.

- Proszę spojrzeć na jego talerz - z uśmiechem odparła Fiona. - Nie zostawił ani kęska.

Nie zostawiłem ani kęska, bo przypadły mi w udziale tylko dwa nędzne kawałki. Większość gulaszu z kury leżała teraz na kawałku folii w ogrodzie i była łapczywie pożerana przez koty sąsiadów. Słyszałem, jak walczą o nią za kuchennymi drzwiami przewracając puste butelki po mleku.

- To było wspaniałe, pani Dias - powiedziałem, a Fiona nagrodziła mnie promiennym uśmiechem, który zniknął, gdy tylko zamknęły się drzwi od kuchni.

- Czy musisz silić się na tę cholerną ironię? - spytała Fiona.

- To było wspaniałe. Powiedziałem jej, że było wspaniałe.

- Następnym razem sam będziesz rozmawiał z kobietami, które przyśle biuro pośrednictwa pracy. Może wtedy uświadomisz sobie, jakie mieliśmy szczęście.

- Nie bądź dla niego taka niedobra, Fiona - powiedziała Tessa obejmując mnie. - Szkoda, że nie widziałaś George'a, kiedy nasza niania upuściła jego przekłętą wideomagnetofon.

- Ach, to mi coś przypomniało - Fiona wychyliła się do przodu, by zwrócić na siebie moją uwagę. - Chciałeś dziś wieczorem nagrać ten film W.C. Fieldsa.

- Zgadza się! - odparłem. - O której go nadają?

- O ósmej. Obawiam się, że go przegapiłeś.

Tessa zatkała mi usta dłonią, zanim zdążyłem się odezwać. Weszła pani Dias niosąc sery i crackersy.

Mówiłam mu, żeby nastawił budzik - stwierdziła Fiona - ale nie chciał mnie słuchać. - Tacy właśnie są mężczyźni - powiedziała Tessa. - Powinnaś była mu poradzić, żeby nie nastawiał budzika, wtedy nastawiłby go na pewno. Zawsze muszę tak postępować z George'em.

Tessa wyszła dość wcześnie. Była umówiona w barze hotelu Savoy „ze starym szkolnym kolegą”.

- To musiała być niezła szkoła! - powiedziałem, kiedy Fiona wróciła do salonu odprowadziwszy siostrę do drzwi. Zawsze pozwalam jej to robić, ponieważ wiem, że tuż przed rozstaniem wymieniają drobne rodzinne tajemnice.

- Ona się nigdy nie zmieni - stwierdziła Fiona.

- Biedny George - dodałem.

Fiona usiadła bliżej i pocałowała mnie w policzek.

- Czy byłam dziś wieczorem okropna? - spytała.

- *Asinus asino, et sus sui pulcher* - osioł podoba się osłu, a świnia świni.

- Zawsze powtarzałeś łacińskie powiedzonka, kiedy cię poznałam - powiedziała Fiona ze śmiechem. - Teraz już tego nie robisz.

- Wydoroślałem.

- Tylko nie wydoroślej za bardzo - poprosiła. - Kocham cię takiego, jakim jesteś.

Odpowiedziałem jej długim pocałunkiem.

- Biedna Tess. Ze też jej właśnie musiało się to zdarzyć. Jest taka roztargniona. Nie pamięta daty własnych urodzin, a tym bardziej dat spotkań z Gilesem. Tak się cieszę, że nie zacząłeś na nią krzyczeć albo żądać, żeby uporządkowała wszystkie wydarzenia chronologicznie.

- Ktoś to prędzej czy później zrobi.

- Czy miałaś ciężki dzień? - spytała.

- Bret Rensselaer nie pozwolił Wernerowi korzystać z usług naszego banku.

- Pokłóciłeś się z nim?

- Musiał mi pokazać, jak twardy robi się człowiek po piętnastu latach siedzenia za biurkiem.

- Ale co powiedział? Zrelacjonowałem jej naszą rozmowę.

- Widziałam, jak dawałeś ludziom w mordę za mniejsze przewinienia - stwierdziła, kiedy opowiedziałem jej, jak Bret odgrywał rolę twardego faceta.

- On po prostu mnie sondował - powiedziałem. - Nie traktuję tych bredni poważnie. 64

- Uważasz, że to wszystko bzdury?

- Rensselaer i Cruyer nie sądzą wcale, że Brahms Cztery pracuje dla drugiej strony. Mogę się założyć, że D.G. też go o to nie podejrzewa. Gdyby myśleli, że pracuje dla KGB, nie zastanawialibyśmy się nad tym, który z członków londyńskiego personelu ma tam jechać i przywołać go do porządku. Gdyby naprawdę sądzili, że Brahms Cztery jest wysokim funkcjonariuszem KGB, ukryliby starannie akta Systemu Berlińskiego, a nie pokazywaliby ich innym pracownikom Departamentu, żeby uzyskać zgodę na podjęcie natychmiastowych działań. Przygotowywaliby wykrety i półprawdy, żeby z ich pomocą usprawiedliwić swą niekompetencję. Opracowywaliby odpowiedzi na pytania, które zaczęłyby padać, gdyby sprawa się wydała. - Dołałem sobie z nie dopitego przez Tessę wina. - A poza tym nie mają żadnych wątpliwości co do mojej osoby, bo inaczej nie pozwoliliby mi pojawiać się w biurze, dopóki wszystko nie zostanie wyjaśnione.

- Oni muszą się z tobą dogadać. Tego żąda Brahms Cztery. Mówiłam ci już o tym.

- W gruncie rzeczy są przekonani, że Brahms Cztery jest najlepszym źródłem informacji, jakim dysponowali w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Jak zwykle, doszli do tego wniosku dopiero wtedy, kiedy zaczęło wyglądać na to, że go tracą.

- A co myślisz o tej okropnej sprawie z Trentem?

Zawahałem się. Mogłem jedynie snuć przypuszczenia, więc spojrzałem na nią w taki sposób, by zorientowała się, że są to tylko domysły.

- Niewykluczone, że KGB zwerbowało Trenta po to, by podjąć próbę penetracji Departamentu.

- Mój Boże! - powiedziała z autentycznym przejęciem. - Czy myślisz, że Rosjanie chcą w ten sposób zapewnić sobie dostęp do materiałów nadsyłanych przez Brahmę Cztery?

- A może chcą się dowiedzieć, kto je przysyła. Brahmę Cztery jest jednym z naszych najlepiej chronionych agentów. Dzieje się tak dlatego, że zawarł umowę ze starym Silasem, a Silas dotrzymał słowa. Mogliby go wytropić tylko wtedy, gdyby zobaczyli materiały, które docierają do Londynu.

- To nie do pomyślenia - powiedziała Fiona.

- Dlaczego?

- Bo Giles nigdy w życiu nie uzyskałby dostępu do raportów Brahmę Cztery - są oznaczone symbolem trzy A. Nawet ja nigdy ich nie widziałam, a ty dostajesz do ręki tylko niezbędne ci fragmenty. - Ale Rosjanie mogą nie wiedzieć o tym, że Giles nie ma do nich dostępu. Uważają, że ma dość wysoką rangę, by otrzymać wszystko, o co poprosi.

Fiona spojrzała mi głęboko w oczy, jakby pragnąc rozszyfrować moje myśli.

- Czy myślisz, że Brahmę Cztery mógł się dowiedzieć, że KGB próbuje go zidentyfikować?

- Tak - odparłem. - To właśnie myślę. Zawiadamiając nas, że chce przejść na emeryturę, próbuje wynegocjować całkowitą zmianę systemu kontaktów.

- Robi się to coraz bardziej przerażające - powiedziała Fiona. - Naprawdę myślę, że nie powinieneś tam jechać. Tu nie chodzi o zwykłą jednodniową wyprawę. To poważna operacja, w której obie strony mają wiele do stracenia.

- Nie przychodzi mi do głowy żaden inny kandydat do odbycia tej podróży - stwierdziłem.

- Ty, do cholery, chyba chcesz tam jechać! - krzyknęła w nagłym ataku złości. - Jesteś taki sam, jak wszyscy inni. Tęsknisz za tym, prawda? Po prostu lubisz te wszystkie cholerne męskie przygody!

- Nie chcę jechać - powiedziałem. Mówiłem prawdę, ale nie uwierzyła mi. Objąłem ją mocno i przytuliłem do siebie. - Nie bój się. Jestem zbyt stary i zbyt wystraszony, żeby zrobić coś, co mogłoby być niebezpieczne.

- W tym zawodzie wcale nie trzeba wystawiać się na niebezpieczeństwo, żeby narobić sobie kłopotów.

Nie powiedziałem jej, że dzwonił do mnie Werner i pytał, jak szybko mogę wrócić do Berlina. To by wszystko niepotrzebnie skomplikowało. Po prostu powiedziałem, że ją kocham, i była to prawda.

ROZDZIAŁ VII

Było zimno, cholernie zimno; zastanawiałem się, kiedy, do diabła, nadejdzie lato. Z rękami w kieszeniach i podniesionym kołnierzem szedłem przez Soho. Był wczesny wieczór, ale pozamykano już większość sklepów; przed ich drzwiami piętrzyły się stosy śmieci, które miano wywieźć następnego ranka. Soho stało się ponurą dzielnicą; jego dawny urok przytłoczyła inwazja porno-shopów i tandetnych, małych kin „tylko dla dorosłych”. Z przyjemnością wszedłem do ciepłego, zadymionego wnętrza *Kar's Club* i zamówiłem szklaneczkę gorącego napoju z rumem i korzeniami, który - podobnie jak szachy - był specjalnością zakładu.

Kar's Club nie należał do lokali, które mogły podobać się siostrze mojej żony. Mieścił się na Gerrard Street, w suterenie, a właściwie piwnicy, służącej pewnej firmie jako magazyn win, dopóki górne piętra budynku nie padły ofiarą jednego z ciężkich niemieckich nalotów w kwietniu 1941 roku. Zajmował trzy połączone z sobą pomieszczenia. Miał wyłożone dyktą sufity, hałaśliwe centralne ogrzewanie i pomalowane na biało ceglane ściany, odbijające światło zainstalowanych nad każdym stolikiem lampek, oświetlających szachownice.

Jan Kar był Polakiem; w czasie wojny służył w armii i otworzył swój mały klub po demobilizacji, kiedy zdał sobie sprawę, że nigdy już nie wróci do swego kraju. Od tej pory przybyło mu sporo lat; miał wielką grzywę siwych włosów i wspaniałą pijacki nos. Za barem stał już teraz przeważnie jego syn, Arkady, ale członkami klubu nadal byli głównie Polacy oraz emigranci z innych krajów Europy Wschodniej.

Nie rozpoznałem nikogo oprócz dwóch siedzących w sąsiedniej sali młodych mistrzów, których grę obserwowało kilku kibiców. Mniej zaawansowani gracze, tacy jak ja, siedzieli zwykle w pomieszczeniu, w którym serwowano potrawy i napoje. Lokal był już w połowie wypełniony gośćmi. Byli to przeważnie starsi ludzie; mieli brody, podkrążone oczy i duże zakręcone fajki. W kącie, pod zegarem, siedzieli w milczeniu dwaj mężczyźni w źle skrojonych ubraniach spoglądając na przemian to na siebie, to na szachownicę. Zachowywali się niecierpliwie bijąc wszystkie odsłonięte figury przeciwnika, jak dzieci grające w warcaby. Usiadłem w kącie, tyłem do ściany, więc podnosząc wzrok znad mojej szachownicy, książki z problemami szachowymi i mojego drinka, mogłem przyjrzeć się wszystkim przybyszom, którzy podpisywali wyłożoną przy wejściu księgę gości.

Giles Trent przyszedł dość wcześnie. Przyjrzałem mu się z nowym zainteresowaniem. Wyglądał młodziej, niż się spodziewałem. Zdjął brązowy, filcowy kapelusz z wąskim rondem, szybkim nerwowym ruchem jak uczeń wchodzący do gabinetu dyrektora szkoły. Jego siwe, falujące włosy były na tyle długie, że zasłaniały częściowo uszy. Był tak wysoki, że musiał się pochylać, by nie zawadzić głową o zwisające z niskiego sufitu ozdobne abażury. Powiesił płaszcz na drewnianym wieszaku i przyczesał palcami włosy, jakby bał się, że jest rozczochrany. Jego elegancki kraciasty garnitur pochodził z gatunku tych, w których gustują zamożni bookmacherzy. Z kieszeni starannie dobranej kamizelki zwisał złoty łańcuszek od zegarka.

- Hello, Kar - powitał starego człowieka, który siedział obok grzejnika trzymając w ręku nieodłączną szklaneczkę whisky z wodą. Większość członków klubu mówiła do niego „Kar”. Tylko nieliczni spośród starszych Polaków, ci, którzy służyli z nim we Włoszech, wiedzieli, że jest to jego nazwisko.

Trent pozostał przy barze, zza którego młody Arkady serwował zimne kanapki, niezrównany poncz z rumem, wynaleziony podobno przez jego ojca podczas kampanii włoskiej, dobrą kawę, ciepłe piwo, lodowatą wódkę, obrzydliwą herbatę i kiepskie rady dotyczące szachów. Trent zamówił poncz z rumem.

- Pana Chlestakowa jeszcze dziś nie było - poinformował go młody barman.

Trent mruknął coś niewyraźnie i odwrócił się, żeby zlustrować wzrokiem salę. Pochyliłem głowę nad szachownicą. Opierając brodę na dłoni, ukryłem przed nim twarz.

Rosjanin nadszedł w jakieś dziesięć minut później. Miał na sobie kosztowny płaszcz z wielbłądziej wełny i ręcznie wykonane buty. Sięgał Trentowi zaledwie do ramienia; miał potężny brzuch, duże, chłopskie dłonie i pogodny wyraz twarzy. Kiedy zdjął kapelusz, okazało się, że ma ciemne, wybrylantynowane włosy, starannie rozdzielone na czubku głowy. Uśmiechnął się na widok Trenta, poklepał go po plecach i spytał o zdrowie zwracając się do niego per „towariszcz”.

Znałem ten rodzaj sowieckich dygnitarzy, którzy lubili demonstrować pogodne, przyjemne aspekty życia w ZSRR. Ludzie tego pokroju nigdy nie przychodzili na żadne przyjęcie bez dwóch butelek wódki i mrugali do wszystkich znacząco dając do zrozumienia, że są niepoprawnymi nicponiami, gotowymi w imię przyjaźni złamać wszelkie przepisy.

Trent musiał spytać go, czego się napije, bo odpowiedział głośno: - Wódki. Przychodzę tu tylko po to, by napić się tej świetnej zubrówki, którą podaje mój polski przyjaciel. - Mówił po angielsku biegle, ale można było poznać, że doskonalił swą wiedzę za

pomocą magnetofonu, gdyż nie opanował rytmu języka, którego można nauczyć się tylko od żywego rozmówcy.

Usiedli przy wybranym przez Trenta stoliku. Rosjanin wypijał jedną wódkę po drugiej, komentował wybuchami rubasznego śmiechu wszystko, co mówił mu Trent, i jadł marynowane śledzie zagryzając ciemnym chlebem.

Na każdym stoliku stała szachownica, a obok niej pudełko z figurami, noszącymi wyraźne ślady zużycia. Trent otworzył ją i rozstawił figury. Widać było, że robi to odruchowo jak człowiek, którego niepokoją problemy zupełnie nie związane z grą.

Rosjanin nie zdradzał najmniejszych objawów niepokoju. Łapczywie jadł rybę i z wyraźnym zachwytem żuł ciemny chleb. Od czasu do czasu zwracał się podniesionym głosem do siedzącego po drugiej stronie sali Jana Kara, by spytać go o prognozę pogody, kurs dolara lub wynik jakiegoś meczu.

Stary Jan przebywał w sowieckim obozie od roku 1939 aż do chwili, kiedy został zwolniony, by wstąpić do armii Andersa. Nienawidził Rosjan, a więc odpowiedzi, których udzielał, były uprzejme, lecz lakoniczne. Rosjanin nie zauważał najwyraźniej jego wrogości. Uśmiechał się szeroko i kwitował każdą jego informację życzliwym kiwnięciem głową.

Wstałem od stolika i podszedłem do baru, by zamówić kawę. Stojąc tyłem do sali słyszałem, co mówi Trent.

- Wszystko idzie wolno - powiedział. - Wszystko wymaga czasu.

- Przeszedł mi do głowy dość szalony pomysł - odparł Rosjanin. - Zanieś wszystko, co masz, do tego zakładu fotokopii na Baker Street, tego samego, w którym odbijano ci poprzednią partię.

Rosjanin mówił dość głośno i choć stałem do nich tyłem, miałem wrażenie, że Trent dotknął jego rękawa, by skłonić go do zniżenia głosu. Sam mówił znacznie ciszej.

- Zostaw to mnie - poprosił. - Zostaw to mnie. - Powiedział to nerwowym tonem człowieka, który chciałby zmienić temat.

- Giles, mój przyjacielu - odparł Rosjanin, niewyraźnie wymawiając słowa, jakby pod wpływem wódki. - Oczywiście, że zostawiam to tobie.

Wziąłem kawę, którą nalał mi syn Jana, i wróciłem do swego stolika. Tym razem usiadłem na innym krześle, tyłem do Trenta i jego rozmówcy, ale widziałem ich odbicia w upstrzonym przez muchy portrecie marszałka Piłsudskiego.

Wróciłem do analizowania partii, jaką rozegrali w roku 1927 Capablanca z Alechinem podczas mistrzostw świata, choć rozumiałem ją zaledwie w połowie. Zanim Capablanca wygrał, Trent i Rosjani zniknęli na schodach prowadzących na ulicę.

- Czy mogę się do ciebie przysiąc, Bernard? - spytał stary Jan Kar, kiedy chowałem figury do pudełka i składałem szachownicę. - Nie widziałem cię od lat.

- Jestem teraz żonaty, Jan - odparłem. - A poza tym nigdy nie byłem dobrym szachistą.

- Słyszałem o twoim ojcu. Przykro mi. Był wspaniałym człowiekiem.

- Nie żyje już od dawna - odparłem. Kiwnął głową. Zaproponował mi drinka, ale powiedziałem mu że będę musiał zaraz wyjść. Rozejrzał się po sali. Była pusta. Wszyscy siedzieli w sąsiednim pomieszczeniu obserwując partię, która przerodziła się w pojedynek.

- Jesteś tu służbowo, prawda? Chodzi o tego Rosjanina, co?

- Jakiego Rosjanina? - spytałem.

- Bezczelny sukinsyn - powiedział Jan. - Mogliby nie chodzić tam, gdzie nie są mile widziani.

- To ograniczyłoby znacznie ich swobodę poruszania się.

- Oczywiście, zachowam to dla siebie. Mój syn również.

- Będę ci bardzo wdzięczny, Jan. To delikatna sprawa, bardzo delikatna.

- Nienawidzę Rosjan - powiedział Kar.

* * *

Dom Gilesa Trenta stał w szeregu wąskich budynków w stylu króla Jerzego, wzniesionych przez przedsiębiorczych inwestorów w Wielkiej Wystawie z roku 1851, kiedy w dzielnicy Chelsea zaczęli się osiedlać szukający dobrego adresu wyżsi urzędnicy i kupcy. Nie opodal czarnych drewnianych drzwi, ozdobionych mosiężną kołatką w kształcie głowy lwa, stał Julian MacKenzie, dość bezzelny młody człowiek, który pracował w Departamencie zaledwie od sześciu miesięcy. Wybrałem właśnie jego do misji polegającej na śledzeniu Trenta, bo wiedziałem, że nie ośmieli się zadawać zbyt wielu pytań i nie będzie żądał niczego na piśmie.

- Przyjechał do domu taksówką, mniej więcej przed półgodziną - oznajmił MacKenzie. - Jest sam.

- Światła? - spytałem.

- Tylko na parterze i chyba przez chwilę w jednym z okien wychodzących na tył domu. Pewnie poszedł do kuchni, żeby zrobić sobie filiżankę kakao.

- Jesteś już wolny - powiedziałem.

- Czy nie chciałbyś, żebym wszedł z tobą?

- Kto ci powiedział, że zamierzam wchodzić? MacKenzie uśmiechnął się szeroko i żartobliwie zasalutował.

- Powodzenia, Bernie.

- Kiedy człowiek pracuje w tym Departamencie przez niemal dwadzieścia lat - powiedziałem - i praktykanci zwracają się do niego po imieniu, zaczyna myśleć, że może jednak nie zakończy kariery na stanowisku Dyrektora Generalnego.

- Przepraszam, sir - poprawił się MacKenzie. - Nie chciałem pana dotknąć.

- Zjeżdżaj - powiedziałem.

Musiałem trzykrotnie dzwonić i pukać, zanim Giles Trent zdecydował się otworzyć drzwi.

- Co się, do diabła, dzieje? - mruknął niechętnie uchyliwszy je do połowy.

- Pan Trent? - spytałem tonem pełnym szacunku.

- O co chodzi? - przyglądał mi się tak, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu.

- Lepiej będzie, jeśli wejdę do środka - oznajmiłem. - Nie jest to sprawa, o której moglibyśmy rozmawiać w progu.

- Nie, nie, nie. Jest już północ - zaprotestował.

- Jestem Bernard Samson z Wydziału Operacyjnego - powiedziałem. Nie musiałem się niepokoić, czy Trent nie rozpozna mnie w klubie. Stałem teraz na jego progu, a on traktował mnie jak sprzedawcę odkurzaczy. - Pracuję w Sekcji Niemieckiej, razem z Dickym Cruyerem. Miałem nadzieję, że to wyznanie wywoła gwałtowną zmianę atmosfery, ale on mruknął coś tylko i zrobił krok do tyłu mamrocząc pod nosem, że jego zdaniem sprawa ta mogłaby poczekać do rana.

Wąski korytarz, ozdobiony pasiastą tapetą w stylu Regencji i oprawnymi sztychami holenderskich artystów, o których nigdy nie słyszałem, wychodził na ciasną klatkę schodową; przez otwarte drzwi dostrzegłem fragment dobrze wyposażonej kuchni. Dom był w znakomitym stanie; żadnych odprysków farby, żadnych zmarszczek na tapecie, żadnych plam na dywanie. Tak idealny porządek mają tylko ludzie bogaci, wybredni i bezdietni.

Weszliśmy z korytarza do „cudownej” jadalni, o której opowiadała Tessa. Białe ściany, biały dywan, białe skórzane fotele z mosiężnymi guzami. Nawet abstrakcyjny obraz wiszący nad białym fortepianem wydawał się niemal bezbarwny. Nie mogłem uwierzyć, że Trent ma taki gust; było to wnętrze, jakie projektują energiczni rozwodnicy, pobierający wysokie honoraria i nie przyjmujący czeków.

- Mam nadzieję, że to coś ważnego - powiedział Trent patrząc na mnie bez odrobiny życzliwości. Nie zaproponował mi drinka. Nie poprosił mnie nawet, żebym usiadł. Być może uznał, że mój płaszcz nie będzie wyglądał dobrze na białym tle.

- To istotnie coś ważnego - odparłem. Trent zdjął krawat, który miał na sobie w klubie Kara, i zastąpił go jedwabną apaszką, tkwiącą w rozpiętym kołnierzu koszuli. Zamiast marynarki miał wełniany rozpinany sweter, zamiast butów szare welwetowe pantofle. Byłem ciekaw, czy zawsze ubiera się tak starannie po powrocie do domu, a przed udaniem się na spoczynek, czy też włożył ten domowy strój, kiedy usłyszał mój dzwonek i dlatego tak długo nie otwierał drzwi. A może spodziewał się odwiedzin Tessy?

- Teraz pana poznaję - powiedział nagle. - To pan ożenił się z Fioną Kimber-Hutchinson.

- Czy był pan dziś wieczorem w klubie Kara? - spytałem.

- Owszem.

- I rozmawiał pan z członkiem personelu ambasady rosyjskiej?

- To klub szachowy - oznajmił Trent. Podszedł do krzesła, na którym poprzednio siedział, umieścił zakładkę w kieszonkowym egzemplarzu „Germinal” Zoli i postawił książkę na półce obok oprawnych tomów Agaty Christie oraz innych powieści kryminalnych. - Rozmawiam tam z wieloma ludźmi. Gram w szachy z każdym, kto się trafi. Nie wiem, czym się zajmują moi partnerzy.

- Człowiek, z którym pan tam był, figuruje w Wykazie Dyplomatów jako Pierwszy Sekretarz, ale ja myślę, że pracuje dla KGB. Jak pan sądzi?

- Nie zastanawiałem się nad tym.

- Doprawdy? Nie zastanawiał się pan nad tym? W porządku, czy mogę zacytować to jako pańską odpowiedź?

- Niech pan nie próbuje mi grozić - powiedział Trent. Otworzył srebrną kasetkę stojącą na stole, na którym przedtem leżała książka, i zapalił papierosa gestem człowieka, który stara się powściągnąć gniew. - Jestem od pana wyższy rangą i stanowiskiem, panie Samson. Niech pan nie przychodzi do mojego domu i nie próbuje mnie zastraszyć za pomocą metod, które mogłyby okazać się skuteczne wobec ludzi pańskiego pokroju.

- Nie sądzi pan chyba, że pańska wysoka ranga i wysokie stanowisko upoważniają pana do odbywania regularnych spotkań z agentami KGB i rozmawiania z nimi o zaletach różnych zakładów wykonujących fotokopie.

Trent poczerwieniał. Odwrócił się ode mnie, ale w ten sposób podkreślił tylko oczywiście swoje zmieszanie.

- Fotokopie? O czym pan, do diabła, mówi?

- Nie zechce mi pan, mam nadzieję, wmawiać, że chodziło panu tylko o fotokopie problemów szachowych. Ani że spotykał się pan z tym funkcjonariuszem KGB na polecenie

Dyrektora Generalnego. Czy wreszcie, że wykonuje pan poufne zadanie zlecone panu przez osobę, której nazwiska nie może pan mi wyjawić.

Trent odwrócił się i podszedł do mnie.

- Powiem panu tylko tyle - powiedział stukając mnie palcem w klatkę piersiową - że żądam, aby pan natychmiast opuścił mój dom. Mogę z panem odtąd rozmawiać jedynie za pośrednictwem mojego prawnika.

- Nie radziłbym panu angażować w to adwokata - powiedziałem możliwie jak najbardziej przyjaznym tonem.

- Proszę wyjść - powiedział.

- Czy nie powie mi pan, że postara się pan, aby mnie wyrzucono z Departamentu? - spytałem.

- Proszę wyjść - powtórzył. - I niech pan powie temu, kto pana przysłał, że zamierzam bronić swych praw na drodze sądowej.

- Nie ma pan żadnych praw - powiedziałem. - Podpisuje pan regularnie Zobowiązanie. Czy zadał pan sobie kiedyś tyle trudu, żeby przeczytać, co jest napisane na tym kawałku papieru?

- Z pewnością nie zabrania mi ono poradzić się adwokata, kiedy jakiś drobny karierowicz przychodzi do mojego domu i oskarża mnie o zdradę czy o cokolwiek innego.

- O nic pana nie oskarżam, Trent. Zadaję panu tylko proste pytania, na które udziela pan bardzo zawiłych odpowiedzi. Jeśli zacznie pan wciągać do naszej rozmowy prawników, nasi szefowie uznają to za bardzo nieprzyjazną reakcję. Uznają to za konfrontację, Trent. A jest to konfrontacja, z której nie może pan wyjść zwycięsko.

- Wyjdę z niej zwycięsko.

- Niech pan się zachowuje jak dorosły mężczyzna, Trent. Nawet gdyby skierował pan sprawę do sądu i osiągnął rzecz niemożliwą, to jest wyrok przyznający panu prawo do odszkodowania i zwrotu kosztów, to czy liczy pan na odzyskanie swojej posady? I gdzie znajdzie pan następną? Nie, Trent, musi pan pogodzić się z myślą, że jest pan indagowany przez taką miernotę jak ja, ponieważ wszystko to należy do pańskich obowiązków zawodowych. A jest to pański jedyny zawód.

- Chwileczkę, chwileczkę. Chcę wyjaśnić kilka spraw - powiedział. - Kto powiedział, że utrzymuję regularne kontakty z tym rosyjskim dyplomatą?

- Napisał pan jeden z podręczników dla ludzi prowadzących przesłuchania, więc wie pan chyba, że odbywają się one według dość osobliwego systemu: przesłuchujący zadaje pytania, a przesłuchiwany na nie odpowiada.

- A zatem jestem przesłuchiwany?

- Owszem, jest pan - odparłem. - I myślę, że jest pan winny. Myślę, że jest pan agentem pracującym dla Rosjan.

Trent rozluźnił palcami zawiązaną wokół szyi apaszkę, jakby było mu gorąco. Był teraz wystraszony, a ludzie tego rodzaju nigdy nie bywają tak wystraszeni w obliczu przemocy fizycznej. Trent lubił wysiłek fizyczny, niewygody, nawet trudne warunki życiowe. Nauczył się je znosić w prywatnej szkole. Bał się czegoś zupełnie innego; bał się, że runie wspaniały wizerunek jego osoby, który stworzył we własnej wyobraźni na własny użytek. Moje zadanie polegało na tym, żeby domyślić się, co najbardziej go przeraża, ale nie rozwodzić się nad tym aspektem sprawy, lecz pozwolić mu samemu uświadomić sobie los, jaki go czeka; mówić o innych konsekwencjach jego zdrady wiedząc, że lęk dojrzeje w nim stopniowo i uczyni go bezbronnym.

Nie powiedziałem więc Trentowi o niesławie i cierpieniach, jakie staną się jego udziałem. Uświadomiłem mu natomiast, jak łatwo będzie mi umorzyć śledztwo niszcząc wszystkie notatki i dokumenty, jeśli zgodzi się w zamian za to przyjąć następnego dnia do mojego biura i złożyć dobrowolne oświadczenie. W ten sposób w ogóle nie dojdzie do śledztwa; Trent poinformuje nas o propozycjach sowieckiego dyplomaty, a my poinstruujemy go, jak ma na nie zareagować.

- Ale czy Departament wyrazi na to zgodę? Czy zgodzą się zmienić bieg sprawy i rozpocząć ją od mojego oświadczenia?

Oczywiście, nie miałem żadnego dokumentu, który mógłbym zniszczyć czy przeredagować. Nikomu nie wspominałem o mojej rozmowie z Tessą.

- Wysil pan swoją wyobraźnię, Trent - powiedziałem kiwając z namysłem głową. - Jak pan myśli, jakie wyjście wybierze D.G? Jeśli odkryjemy, że jest pan w kontakcie z Rosjanami, przeżyjemy kataklizm. Ale jeżeli uda się przedstawić pana jako naszego człowieka, który podsuwa Rosjanom określone informacje, będziemy mogli uznać to za sukces.

- Tak, chyba ma pan rację.

- Oczywiście, że mam rację. Wiem, jak toczą się tego rodzaju sprawy.

- I każecie mi spotykać się z nim nadal?

- Oczywiście. Będzie pan pracował dla nas. Będzie pan z niego robił durnia.

Trent uśmiechnął się; taka wizja wzbudziła jego aprobatę.

Kiedy powtórzyłem swą przemowę po raz drugi, Trent stał się na tyle przyjazny, że namówił mnie do wypicia dwóch drinków, a potem podziękował mi za zrozumienie i

życzliwość. Gorliwie i z wdzięcznością powtórzył moje instrukcje i czekał na pochwałę. Teraz - po godzinnej mniej więcej wymianie zdań - odgrywałem już rolę ojca spowiednika, obrońcy, a może i wybawcy.

- Zgadza się - powiedziałem, próbując zabarwić mój głos choćby odrobiną życzliwości. - Zrób to, czego od ciebie chcemy, a wyjdiesz z tego obronną ręką. Wszystko będzie dobrze. Może nawet cała ta sprawa stanie się dla ciebie odskocznią do awansu.

ROZDZIAŁ VIII

Któraż żona, w takim czy innym momencie, nie podejrzewała swego męża o niewierność? A iluż mężów nie odczuło nigdy skurczu bolesnej niepewności, wywołanej niewytłumaczoną nieobecnością, nieostrożną uwagą lub opóźnionym powrotem ich małżonki? Moje obawy nie opierały się na żadnej konkretnej podstawie. Były tylko mglistymi podejrzeniami. Czułości Fiony były równie namiętne jak dawniej; śmiała się z moich dowcipów, a jej oczy jaśniały żywym blaskiem, kiedy patrzyła w moją stronę. Być może zbyt żywym blaskiem; niekiedy wydawało mi się, że odkrywam w niej ową głęboką serdeczność, okazywaną przez kobiety jedynie mężczyznom, których zdecydowały się porzucić.

Przez większą część mojego życia próbowałem czytać w umysłach innych ludzi. Może to być zajęcie niebezpieczne. Podobnie jak lekarz, który wpadł w hipochondrię, policjant, który wkroczył na drogę przestępstwa czy ksiądz, który przyjął światopogląd materialistyczny, tak i ja wiedziałem, że zbyt dokładnie studiuję zachowanie najbliższych mi osób. Podejrzliwość była częścią składową mojej profesji, chorobą zawodową szpiega. Dla przyjaźni i związków małżeńskich choroba ta okazuje się niekiedy zabójcza.

Po wizycie u Gilesa Trenta wróciłem do domu bardzo późno i tej nocy spałem jak zabity. Gdy obudziłem się nazajutrz o siódmej rano, miejsce Fiony w naszym wspólnym łóżku było puste. Na radiowym budziku leżała grzanka z masłem i stała filiżanka z wystygłą już kawą. Fiona musiała wyjść bardzo wcześnie.

Słyszałem z kuchni głosy dzieci i ich młodej niani. Zajrzałem do nich i wypilem na stojąco trochę soku pomarańczowego. Próbowałem przyłączyć się do ich zabawy, ale skwitowały moje wysiłki szyderczymi okrzykami, bo nie zorientowałem się, że wszystkich odpowiedzi należy udzielać w dialekcie indiańskim. Posłałem im z daleka pocałunki, na które nie odpowiedziały, a potem włożyłem kozuch i wyszedłem na ulicę, gdzie spędziłem najbliższy kwadrans uruchamiając samochód.

Kiedy dotarłem do najgorszych korków ulicznych, zaczęła padać drobna mżawka, a po przyjeździe na miejsce ledwie wcisnąłem się na przeznaczone dla mnie miejsce w podziemnym garażu, bo Dicky Cruyer niechlujnie zaparkował swojego wielkiego jaguara.

Nie narzekaj, Samson, powinieneś czuć się szczęśliwy, że w ogóle masz miejsce w garażu, jako że Dicky, który nie opanował do końca sztuki prowadzenia samochodu, potrzebuje w gruncie rzeczy dwóch.

* * *

Spędziłem pół godziny przy telefonie próbując się dowiedzieć, kiedy zostanie dostarczony mój nowy samochód, ale nie udało mi się uzyskać jednoznacznej odpowiedzi; powiedziano mi tylko, że ustalone terminy dostaw często bywają zmieniane. Spojrzałem na zegar i postanowiłem nakręcić wewnętrzny numer Fiony.

- Pani Samson ma dziś przed południem naradę poza miastem - oznajmiła mi jej sekretarka.

- Ach tak, chyba mi o tym wspominała - powiedziałem. Sekretarka wiedziała dobrze, że próbuję ocalić twarz; sekretarki zawsze mają w takich sprawach bezbłędne wycucie. Jej głos stał się nadzwyczaj przyjazny, jakby chciała mi zrekompensować przeoczenie Fiony: - Pani Samson powiedziała, że wróci późno. Ale zadzwoni do mnie dziś przed południem, żeby spytać, czy nie mam dla niej jakichś wiadomości. Zawsze tak robi. Powiem jej, że pan telefonował. Czy mam jej coś przekazać, panie Samson?

Zastanawiałem się czy sekretarka bierze udział w spisku. Czy jest to jeden z tego rodzaju romansów, o których kobiety rozmawiają bardzo poważnie, czy też kwitowany jest jedynie śmiechem, takim samym, z jakim Fiona opowiadała mi o swych szczeniackich miłostkach? A może Fiona należała do tych niewiernych żon, które nikomu się nie zwierają. Doszedłem do wniosku, że to pasowałoby do jej stylu. Nikt nigdy nie będzie jej miał na własność - sama lubiła to powtarzać. Zawsze ukrywała przed całym światem jakąś część siebie.- Czy mam przekazać pańskiej żonie jakąś wiadomość, panie Samson? - powtórzyła pytanie sekretarka.

- Nie - odparłem. - Proszę jej tylko powiedzieć, że dzwoniłem.

Bret Rensselaer lubił mówić o sobie, że jest nałogowcem pracy. Fakt, że określenie to było wytartym frazesem, bynajmniej mu nie przeszkadzało. Lubiał frazesy. Twierdził, że za ich pomocą najłatwiej wtłoczyć w głowy durniów pewne proste prawdy. Ale opisywał samego siebie dość wiernie - istotnie lubił pracować. Odziedziczył dom na Wyspach Dziewiczych i pakiet akcji giełdowych, dzięki któremu mógłby wygrzewać się beczynniami na słońcu do końca życia, gdyby takie były jego upodobania. Ale zawsze o 8.30 siedział już przy swoim biurku i nigdy nie wziął wolnego dnia z powodu choroby. Często natomiast brał wolne dni z innych powodów: Wielkanoc w Le Touquet, doroczny raut w Deauville, wyścigi w Ascot w

czerwcu i dubliński pokaz koni w sierpniu były wydarzeniami, których terminy Bret zawsze zaznaczał w swym kalendarzu czerwonym ołówkiem.

Bret nigdy, oczywiście, nie był agentem operacyjnym. Służył jedynie przez dwa lata w Marynarce Stanów Zjednoczonych. Było to w okresie, w którym jego ojciec miał jeszcze nadzieję, że Bret przejmie po nim należący do rodziny bank.

Bret spędził życie w obrotowych fotelach kłócąc się z dyktafonami i czarując uśmiechem członków różnych komisji. W trosce o sprawność fizyczną dźwigał ciężary i biegał po ogrodzie swej leżącej nad Tamizą posiadłości. I wystarczyło na niego spojrzeć, by dojść do wniosku, że nie jest to zły sposób, gdyż starzał się z wielkim wdziękiem. Jego twarz pokryta była głęboką opalenizną, jaką zapewnia słońce odbite od *Puherschnee*, czyli śniegu padającego tylko w najdroższych ośrodkach narciarskich. Jego jasne włosy siwiały stopniowo w sposób niemal niedostrzegalny. A okulary, które musiał wkładać do czytania, przypominały słoneczne szkła używane przez kalifornijskich policjantów drogowych.

- Mam złe wiadomości, Bret - powiedziałem mu, gdy tylko znalazł chwilę czasu, by mnie przyjąć. - Giles Trent przyjdzie tu dziś przed południem, by wyznać nam, że przekazywał informacje Rosjanom.

Bret nie zerwał się z krzesła i nie zaczął robić pompek, co uczynił podobno, kiedy dowiedział się od Dicky'ego, że jego żona postanowiła go porzucić. - - Powiedz mi na ten temat coś więcej - zażądał spokojnie.

Opowiedziałem mu o mojej wizycie w klubie Kara, o podsłuchanej rozmowie i o mojej sugestii, by Trent sam się do wszystkiego przyznał. Nie wyjaśniłem, dlaczego poszedłem do klubu i nie wspominałem o roli, jaką odegrała Tessa.

Wysłuchał całej opowieści nie przerywając mi, ale wstał z fotela i zaczął przyglądać się swojej kolekcji spinaczy do papieru.

- Mówisz o trzech Rosjanach. Gdzie byli dwaj pozostali?

- Siedzieli w kącie, udawali, że grają w szachy i nie odzywali się do nikogo ani słowem.

- Czy jesteś pewien, że działali wspólnie?

- Tworzyli grupę uderzeniową KGB - odparłem. - Nietrudno było ich rozpoznać - tanie moskiewskie ubrania i buty z kwadratowymi czubkami. Siedzieli w milczeniu, bo tak słabo znają angielski, że potrafią tylko zamówić filiżankę kawy. Przyszli tam na wypadek, gdyby ten wystrojony ich potrzebował. Zawsze pracują trójkami.

- Czy w Wykazie Dyplomatów jest wymieniony jakiś Chlestakow?

- Nie. Wymyśliłem to na użytek Trenta. Ale ten facet był z KGB - drogi garnitur, ale żadnych pierścionków. Czy zauważyłeś, że funkcjonariusze KGB nigdy nie kupują na Zachodzie pierścionków? Pierścionki zostawiają na palcach ślady, z których musieliby się pewnie tłumaczyć, gdyby ich nagle odwołano do kraju.

- Ale mówiłeś, że w spisie członków klubu wszyscy trzej figurują jako Węgrzy. Czy jesteś pewien, że to byli Rosjanie?

- Nie odtańczyli kozackiego hopaka ani nie zaczęli grać na bałajkach, ale jedynie dlatego, że nie przyszło im to do głowy - odparłem. - Ten mały gruby facet - Chlestakow - to, oczywiście, fałszywe nazwisko - mówił do Trenta „towaryszcz”. Towaryszcz! Rany boskie, nie słyszałem, żeby ktokolwiek używał tego słowa od czasu, kiedy nadawali w telewizji te stare filmy z Gretą Garbo.

Bret zdjął okulary i zaczął się nimi bawić.

- I ten Rosjanin powiedział: „Przyszedł mi właśnie do głowy pewien szalony pomysł. Zanieś wszystko do tego zakładu fotokopii przy Baker Street”...

- „...tego samego, w którym skopiowano ci poprzednią partię” - dokończyłem za niego. - Owszem, tak właśnie powiedział, Bret.

- Musi być szaleńcem, żeby mówić takie rzeczy w miejscu, w którym może go ktoś podsłuchać.

- O to właśnie chodzi, Bret - powiedziałem starając się, żeby w moim głosie nie było zbyt wiele sarkazmu. - Z jego wypowiedzi wynika, że jest funkcjonariuszem KGB, który realizuje przychodzące mu do głowy szalone pomysły. Bret nadal oglądał swe okulary, jakby po raz pierwszy w życiu zetknął się z mechanizmem działania zawiasu.

- Do czego zmierzasz? - spytał w końcu, nie podnosząc na mnie wzroku.

- Zastanów się, Bret - powiedziałem. - Czy kiedykolwiek słyszałeś o Rosjaninie, który podejmował natychmiastowe decyzje w jakiegokolwiek sprawie? Czy słyszałeś kiedykolwiek o facecie z KGB realizującym szalony pomysł, który przyszedł mu przed chwilą do głowy?

Bret uśmiechnął się niepewnie, ale nie odpowiedział mi.

- Wszyscy funkcjonariusze KGB, z jakimi kiedykolwiek się zetknąłem, mają głęboko zakorzenione rosyjskie cechy narodowe, Bret. Działają bardzo powoli, bardzo przewrotnie i bardzo ostrożnie.

Bret odłożył swe okulary w metalowej oprawce do pokrowca i odchylił się do tyłu, by uważnie mi się przyjrzeć.

- Czy możesz mi powiedzieć, do czego, u diabła, zmierzasz?

- Brakowało tylko, żeby zaśpiewali „Międzynarodówkę” - stwierdziłem. - I to wcale nie Trent zachował się niedyskretnie. On unikał jakiegokolwiek ostentacji. To ten facet z KGB mówił tak głośno, jakby odgrywał rolę ze sztuki Czechowa.

- Nie chcesz mi powiedzieć, że ci faceci tylko udawali Rosjan?

- Nie - odparłem. - Moja wyobraźnia nie sięga aż tak daleko, żebym mógł podejrzewać kogokolwiek, kto nie jest Rosjaninem, o udawanie, że nim jest.

- A więc myślisz, że oni odegrali całą scenkę na twój użytek? Sądzisz, że chodziło im o to, by zdyskredytować Gilesa Trenta?

Nie odpowiedziałem.

- Więc dlaczego, do cholery, ten Giles Trent przyznał się do wszystkich zarzutów, jakie mu postawiłeś? - spytał Bret nerwowo.

- Nie mam pojęcia - przyznałem.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków, stary. Zgoda? Nie komplikuj nadmiernie całej sprawy. Zostaw to tym facetom z Koordynacji. Płacimy im za to, żeby rozwiązywali takie łamigłówki.

- Jasne - powiedziałem. - Ale tymczasem trzeba wysłać kogoś, kto przeszuka mieszkanie Trenta. Nie chodzi mi o to, żeby zerknął pod łóżko i rozejrzał się po strychu w świetle latarki. Mam na myśli drobiazgową rewizję.

- Zgoda. Powiedz mojej sekretarce, żeby przygotowała nakaz, a ja go podpiszę. Ty tymczasem wyznacz kogoś do tej roboty - kogoś, na kim można polegać. Nawiasem mówiąc, Bernard, zanoszą się na to, że jednak będziemy musieli cię poprosić, żebyś pojechał do Berlina.

- Nie jestem pewien, czy potrafię wykonać to zadanie, Bret - powiedziałem równie zdawkowo.

- Decyzja należy do ciebie - oznajmił i uśmiechnął się, by pokazać, jaki potrafi być przyjazny. Zachowywał się przeważnie jak Równy Facet. Otwierał przed swymi współpracownikami drzwi, ustępował im miejsca przy wejściu do windy, śmiał się z ich dowcipów, zgadzał się z ich wnioskami i prosił ich o radę. Ale kiedy minął czas wymiany uprzejmości, wymagał, żeby robili dokładnie to, czego od nich żądał.

Wychodząc tego wieczora z biura nadal myślałem o Breecie Rensselaerze. Różnił się zasadniczo od wszystkich innych czołowych funkcjonariuszy Departamentu, z jakimi miałem do czynienia. Mimo wybuchów wrogości był bardziej przystępny niż D.G. i bardziej solidny niż Dicky Cruyer. Miał również owo głęboko zakorzenione poczucie własnej wartości, którym odznaczają się jedynie Amerykanie, i to bogaci Amerykanie. Był jedynym człowiekiem, który odważył się naruszyć obowiązującą w Departamencie zasadę, w myśl

której tylko D.G. miał prawo jeździć naprawę dużym samochodem, reszta zaś kierownictwa musiała zadowalać się jaguarami, mercedesami czy wozami marki Volvo. Bret jeździł ogromnym bentleyem, prowadzonym przez zatrudnionego na pełnym etacie szofera w liberii.

Wysiadając z windy w podziemnym garażu dostrzegłem właśnie wóz Breta. Z wnętrza, w którym paliło się światło, dobiegały dźwięki stereofonicznego radia - nadawano jakiś koncert Mozarta. Kierowca Breta siedział na tylnym siedzeniu strząsając popiół z papierosa do papierowej torby i poruszając się w takt muzyki. Był to Albert Bingham, sześćdziesięcioletni emerytowany żołnierz Gwardii Szkockiej, który rekompensował sobie przymusowe milczenie podczas prowadzenia samochodu wylewną gadatliwością w chwilach wolnych od zajęć.

- Dobry wieczór, panie Samson - zawołał do mnie. - Czy zastawiłem panu wyjazd z garażu?

- Nie - odparłem. Ale Albert wysiadł już z samochodu i szykował się do pogawędki.

- Zastanawiałem się, czy weźmie pan samochód żony - powiedział. - Choć z drugiej strony ona pewnie tu wróci i odbierze go sama. Wiem, jak lubi prowadzić tego porsche, panie Samson. Rozmawialiśmy o tym zaledwie w zeszłym tygodniu. Powiedziałem jej, że mam znajomego mechanika, który mógłby go podrasować; pracuje w tym samym warsztacie, w którym robią przeglądy tego bentleya. To prawdziwy cudotwórca, i sam jeździ porsche. Oczywiście, kupionym z drugiej ręki, a nie tym najnowszym modelem, który ma pańska żona.

- Jadę do domu tym starym fordem - odparłem stukając o szybę kluczykami.

- Słyszałem, że kupuje pan volvo. To znakomity samochód dla człowieka posiadającego rodzinę.

- Trochę nam ciasno w samochodzie mojej żony - powiedziałem.

- Będzie pan zadowolony z tego volvo - ciągnął Albert pełnym wyższości tonem człowieka, który sam jeździ bentleyem. - To solidny wóz, moim zdaniem, wcale nie gorszy niż mercedes.

- Być może powołam się na twoje zdanie, jeśli będę chciała kiedyś wymienić volvo na mercedesa.

Albert uśmiechnął się i wypuścił kłęb dymu. Wiedział, że z niego żartuję, i umiał mi pokazać, że nie ma o to żalu.

- Pańska żona chciała zawieźć pana Rensselaera swoim porsche, ale on uparł się, żeby jechać bentleyem. Pan Rensselaer nie przepada za sportowymi samochodami. Lubi auta, w których może rozprostować nogi. Był ranny w czasie wojny - czy słyszał pan o tym?

Zastanawiałem się, o czym on mówi. Fiona miała jechać do Tessy i przejrzeć wraz z nią oferty różnych agentów handlujących nieruchomościami.

- Ranny? Nic o tym nie wiedziałem.

- Służył w łodziach podwodnych. Roztrzaskał sobie rzepekę w kolanie, kiedy spadł z jednej z tych drabinek, które mają na okrętach, i trzeba było założyć mu gips na morzu. Łódź podwodna nie może zawracać z patrolu tylko dlatego, że jakiś podchorąży uszkodził sobie nogę. - Albert roześmiał się, jakby uważał to wszystko za przejaw ironii losu.

- A więc o mało nie zostałeś zwolniony na dzisiejszy wieczór, co? - spytałem zastanawiając się, dokąd pojechał Rensselaer z moją żoną.

Zadowolony, że nie usiadłem za kierownicą i nie uciekłem od niego, jak robiła większość moich kolegów, kiedy zaczynał gadać, wziął głęboki oddech i powiedział: - Mnie to nie przeszkadza, panie Samson. Szczerze mówiąc, przyda mi się dodatek za nadgodziny. I co mi za różnica, czy siedzę w domu na mojej małej koślawej wersalce, czy rozwalam się tutaj, na prawdziwej skórze. To Mozart, panie Samson, i mogę słuchać Mozarta równie dobrze w podziemnym garażu, jak gdziekolwiek indziej. To stereo jest fantastyczne. Proszę podejść i posłuchać, jeśli pan mi nie wierzy.

Nie mogli pojechać daleko, bo Albert nie wracałby bentleyem do garażu, żeby na nich czekać.

- Czy wielki dziś tłok na ulicach? - spytałem. - Muszę przejechać przez cały West End.

- Okropny, panie Samson. Kiedyś dojdzie do tego, że wszystko zostanie zablokowane. - Było to jedno z ulubionych zdań Alberta. Powtórzył je odruchowo zastanawiając się nad odpowiedzią na moje pytanie. - Piccadilly jest o tej porze fatalna. To przez te teatry.

Nigdy nie wiem, jak uniknąć Piccadilly w drodze do domu. Albert zaciągnął się papierosem. Dałem mu szansę rozwinięcia jego ulubionego tematu: jazda na skrót po Londynie.

- No więc... - zaczął.

- Powiedz mi, na przykład, którą jechałeś dziś wieczorem - przerwałem mu. - Jak się przedarłeś przez miasto? Wiedziałeś, że będzie okropny ruch... o której wyjechałeś... o siódmej?

- O siódmej piętnaście. No więc, najpierw wstąpili na drinka do *Białego Słonia*, na Curzon Street. Mogliby stamtąd dojść piechotą do hotelu Connaught, ale nie było pewności, czy nie zacznie padać, a o tej porze na Curzon Street nie ma taksówek. Stolik w grill-barze hotelu Connaught był zamówiony na ósmą. Taki wielki samochód jak mój nie mieści się na

Curzon Street. O tej porze roku i tak parkują tam w dwóch rzędach już od siódmej wieczorem. Dojechałem tam przez Birdcage Walk, obok pałacu Buckingham i Hyde Park Corner... może pan powiedzieć, że nadłożyłem sporo drogi. Ale gdyby pan jeździł po Londynie od tylu lat co ja...

Nie słuchając go zastanawiałem się, dlaczego moja żona powiedziała mi, że spędza wieczór z Tessą, skoro w istocie jadła w hotelu kolację z Bretem.

- Czy naprawdę już tak późno? - spytałem patrząc na zegarek i przerywając potok słów Alberta. - Muszę lecieć. Miło pogadać z tobą od czasu do czasu, Albert. Jesteś prawdziwą kopalnią informacji.

Albert uśmiechnął się. Wyjeżdżając po pochylni z garażu nadal słyszałem dobiegające z samochodowego radia dźwięki *Così fan tutte*.

* * *

Przyglądałem jej się, kiedy zdejmowała z głowy upstrzoną kroplami deszczu chustkę. Wkładała ją tylko wtedy, kiedy chciała osłonić szczególnie wyrafinowaną nową fryzurę. Potrząsnęła głową i dotknęła włosów czubkami palców. Jej oczy lśniły, a skóra była jasna i nieskazitelna. Uśmiechnęła się; jak bardzo była piękna i jak bardzo wydawała się odległa.

- Czy zjadłeś coś na mieście? - spytała. Zauważyła nadal stojące na stole nakrycie, które przygotowała dla mnie pani Dias.

- Tylko bułkę z serem w pubie.

- To najgorsze, co mogłeś wybrać - powiedziała. - Tłuszcz i węglowodany; bardzo szkodliwe. Kazałam ci przygotować kurczaka na zimno i sałatkę.

- Czy Tessa znalazła nowy dom?

Być może ostrzegł ją ton mojego głosu albo moja wyczekująca postawa, bo przyjrzała mi się badawczo, a potem dopiero zdjęła płaszcz.

- Nie mogłam dziś jechać do Tessy. Coś mi wypadło. - Potrząsnęła płaszczem i krople deszczu zalśniły w świetle.

- To znaczy w pracy?

Raz jeszcze przyjrzała mi się uważnie, a potem kiwnęła głową. Mieliśmy cichą umowę, że nigdy nie będziemy zadawać sobie pytań dotyczących spraw zawodowych.

- Rensselaer miał do mnie pewną sprawę - odparła patrząc na mnie nadal, jakby chciała mnie sprowokować do kontynuowania tego tematu.

- Wychodząc z biura widziałem na parkingu twój samochód, ale strażnik powiedział, że już wyjechałaś.

Przeszła obok mnie, by powiesić w korytarzu swój płaszcz. Potem spojrzała w lustro i zaczęła się czesać.

- Dziś po południu przyszło w torbie dyplomatycznej mnóstwo materiałów. Niektóre z nich trzeba było przetłumaczyć, a sekretarka Breta zna niemiecki tylko ze szkoły. Więc poszłam naprzeciwko i pracowałam tam.

Tłumaczenie swej nieobecności wizytą w MSZ było najstarszym wybiegiem wszystkich pracowników Departamentu. W tym ciemnym labiryncie nikogo nigdy nie można było znaleźć.

- Byłaś na kolacji z Rensselaerem - powiedziałem, nie mogąc dłużej opanować irytacji.

Fiona przestała się czesać, otworzyła torebkę i wrzuciła do niej grzebień.

- Nie możesz ode mnie żądać, żebym głodowała, prawda, kochanie? - spytała z uśmiechem.

- Nie rób mi wody z mózgu - powiedziałem. - Wyszłaś z budynku razem z Bretem o siódmej piętnaście. Kiedy wyjeżdżał z garażu, siedział w jego bentleyu. Potem dowiedziałem się, że kazał oficerowi dyżurnemu dzwonić do siebie w razie czego do recepcji hotelu Connaught.

- Nie wyszedłeś z sprawy, kochanie - powiedziała lodowatym tonem. - Agent operacyjny zawsze będzie agentem operacyjnym - tak wszyscy mówią, prawda?

- Tak mówią tacy ludzie jak Cruyer i Rensselaer. Kiedy starają się zbagatelizować wysiłki tych, którzy naprawdę pracują.

- Tak czy owak, teraz ci się to opłaciło - powiedziała. - Całe twoje doświadczenie umożliwiło ci odkrycie, że jadłam w hotelu Connaught kolację z Bretem Rensselaerem.

- Więc po co opowiadałaś mi te kłamstwa?

- Jakie kłamstwa? Powiedziałam ci, że Rensselaer zlecił mi pewną pracę. Zjedliśmy kolację - dobrą kolację, z winem - ale rozmawialiśmy o sprawach zawodowych.

- O czym?

Minęła mnie i weszła do jadalni, która łączyła się z przedpokojem tworząc coś, co projektanci wewnątrz nazywają „otwartą przestrzenią”. Zaczęła zbierać ze stołu przygotowane dla mnie nietknięte nakrycie.

- Wiesz, że nie powinieneś o to pytać - powiedziała i zniknęła w kuchni.

Poszedłem za nią. Ustawiała talerze na półce w kredensie.

- Cóż to za tajemnica? - spytałem.

- To sprawa poufna. Przecież ty też masz sprawy poufne, o których mi nie opowiadasz.

- Ale nie rozmawiam o nich w grill-barze hotelu Connaught.

- A więc wiesz nawet, w której sali byliśmy. Widzę, że naprawdę przeprowadziłeś dziś staranne dochodzenie.

- Co mam robić, kiedy ty idziesz na kolację z szefem? Jeść kurczaka na zimno i oglądać telewizję?

- Miałeś wypić piwo z przyjacielem, a potem odebrać dzieci od moich rodziców.

- Całkowicie zapomniałem o dzieciach - przyznałem.

- Zadzwoiłam do mamy. Domyśliłam się, że zapomnisz. Dała im kolację i odwiozła je taksówką. Nic się nie stało.

- Poczciwa, stara teściowa - mruknąłem.

- Nie musisz mówić z takim cholernym sarkazmem o mojej matce - powiedziała Fiona. - Wystarczy, że próbujesz zrobić mi awanturę o Breta.

- Zostawmy ten temat - zaproponowałem.

- Rób jak chcesz - odparła Fiona. - Ja mam dość rozmów na dzisiejszy wieczór. - Zgasiła światło w jadalni, a potem otworzyła drzwiczki maszyny do zmywania naczyń, zamknęła je ponownie i nacisnęła guzik. Strumienie wody zaczęły rozbrzmiewać w metalowym wnętrzu maszyny jak wagnerowskie werble. Hałas uniemożliwił dalszą rozmowę.

Wychodząc z łazienki spodziewałem się, że Fiona, wtulona w poduszkę, będzie symulować sen. Robiła tak czasem, kiedy się pokłóciliśmy. Ale tym razem siedziała w łóżku czytając jakąś książkę; po charakterystycznej, taniej oprawie poznałem, że pochodzi ona z biblioteki Departamentu. Najwyraźniej chciała mi przypomnieć, że zarabia na swą pensję rzetelną pracą.

- Czego chciał Bret? - spytałem rozbierając się, tym razem bardziej przyjaznym tonem.

- Przestań wreszcie o tym mówić.

- Chciałbym po prostu wiedzieć, czy coś was łączy.

Fiona zaśmiała się drwiąco. - Więc ty mnie podejrzewasz... z Bretem Rensselaerem? Przecież on jest niemal równie stary jak mój ojciec.

- Jest zapewne starszy niż ojciec tej dziewczyny z działu szyfrów, Jennie Jakiejś tam, która odeszła z pracy tuż przed Bożym Narodzeniem.

Fiona podniosła oczy znad książki; tego rodzaju sprawy zawsze ją interesowały. - Nie przypuszczasz chyba, że ona...? Z Bretem?

- Wydział Bezpieczeństwa Wewnętrznego wysłał do niej kogoś, żeby się dowiedzieć, dlaczego odeszła bez wymówienia. Przyznała się, że miała romans z Bretem. Powiedział jej, że wszystko między nimi skończone.

- Mój Boże, biedny Bret. Chyba musieli o tym powiadomić Dyrektora Generalnego?

- D.G. był zadowolony, kiedy mu powiedziano, że dziewczyna jest godna zaufania i na tym się skończyło.

- To ładnie ze strony starego. Byłabym skłonna przypuszczać, że dostanie szafu. Ale w końcu Bret nie jest żonaty. Jego żona odeszła od niego, prawda?

- Sugerując, że Bret grzeszył już przedtem.

- Ale zawsze z kimś, kto został uznany na godnego zaufania. No cóż, to dobrze o nim świadczy. A więc dlatego myślałeś... - Znów wybuchnęła śmiechem. Tym razem był to autentyczny śmiech. Zamknęła książkę zakładając palcem stronę. - Bret uczuła wszystkich pracowników na niebezpieczeństwo przecieków.

- Rozmawiałem z nim o Gilesie Trencie. Nie wspominałem o roli, jaką odegrała Tessa.

- Postanowił rozmawiać z każdym osobiście - ciągnęła Fiona.

- Przecież nie podejrzewa chyba ciebie?

- Nie, kochanie - powiedziała ze śmiechem. - Bret nie zaprosił mnie do hotelu Connaught po to, by mnie przesłuchiwać nad szczątkami ostatniej słonki upolowanej w tym sezonie. Przez cały wieczór rozmawiał ze mną o tobie.

- O mnie?

- A w swoim czasie poprosi cię na bok i będzie wypytywał o mnie. Wiesz, jak to się odbywa, kochanie. Pracujesz w tej branży dłużej niż ja. - Wetknęła zakładkę między kartki i odłożyła książkę.

- Och, na miłość boską...

- Jeśli mi nie wierzysz, kochanie, spytaj Breta.

- Niewykluczone, że to zrobię - oznajmiłem. Poczekała, dopóki nie wejść do łóżka, a potem zgasła światło.

- Zawsze myślałem, że w serze są też proteiny - powiedziałem. Nie odpowiedziała mi.

ROZDZIAŁ IX

Dicky Cruyer siedział już w biurze Breta, kiedy mnie tam wezwano. Była środa. Cruyer trzymał kciuki w tylnych kieszeniach dżinsów i przechylał swą kędzierzawą głowę w bok, jakby słuchając jakichś odległych dźwięków. Rensselaer siedział na swoim obrotowym fotelu z założonymi na piersi rękami trzymając stopy na obitym skórą stołku. Ich

nonszalanckie pozy były wystudiowane i domyślałem się, że przyjęli je dopiero wtedy, kiedy usłyszeli mnie przy drzwiach. Uznałem to za zły znak. Ich pozorna nonszalancja maskowała agresję; widywałem ekipy śledcze, zachowujące się w taki sam sposób podczas przesłuchań.

- Bernard! - powiedział Dicky Cruyer tonem oznaczającym miłe zaskoczenie, jakbym wpadł po prostu na herbatę, nie zaś kazał im czekać przez pół godziny i zjawił się dopiero po jego trzecim telefonie. Rensselaer obrzucił nas obojętnym spojrzeniem, jakim pasażer przejeżdżającej taksówki obrzuca dwóch obcych ludzi czekających na przystanku autobusowym. - Wygląda na to, że szykuje się kolejny wyskok do Berlina.

- Doprawdy? - spytałem bez entuzjazmu. Bret nie miał na sobie marynarki. W białej koszuli, muszce i kamizelce wyglądał jak jeden z tych zawodowych hazardzistów pływających parowcem po Missisipi, którzy odśpiewują solową pieśń w ostatnim akcie filmu.

- Nie przez druty, nic ryzykownego - dodał Dicky. - Chodzi tylko o wizytę w naszym biurze. Jakiś Niemiec ze Wschodu zapukał do drzwi Franka Harringtona, wręczył mu stos papierów i żąda, żeby wysłano go do Londynu. Nie chce rozmawiać z naszymi berlińskimi pracownikami - tak twierdzi Frank. - Dicky przejechał dłonią po swych kędzierzawych włosach, a potem spojrzął z powagą na Rensselaera.

- Kolejny maniak - powiedziałem.

- Tak uważasz, Bernard? - spytał Rensselaer ze szczerym zainteresowaniem, którego nauczyłem się nie brać za dobrą monetę.

- Co to za papiery? - spytałem Dicky'ego.

- Słuszne pytanie - stwierdził, ale nie odpowiedział mi. Rensselaer myślał przez chwilę, zanim zdecydował się ujawnić przede mną treść papierów. - Interesujące materiały - powiedział z namysłem. - Większość pochodzi stąd. Protokół ze spotkania D.G. z wyższymi funkcjonariuszami MSZ, ocena skuteczności naszego systemu podsłuchu telefonów dyplomatycznych poza Londynem, fragment sprawozdania dotyczącego stosowania przez nas amerykańskich maszyn szyfrowych... worek zawierający różne rzeczy, ale warto do niego zajrzeć. Prawda?

- Stanowczo warto do niego zajrzeć - odparłem.

- Co masz na myśli? - spytał Cruyer.

- Zwłaszcza jeżeli wierzymy w świętego Mikołaja - dokończyłem.

- Myślisz, że to sztuczka KGB? - spytał Rensselaer. - Tak, chyba masz rację. - Cruyer spojrzął na niego niepewnie, stropiony zmianą jego stanowiska. - Z drugiej strony, zignorowanie tej sprawy może mieć dla nas groźne konsekwencje. Nie sądzisz, Bernard?

Nie odpowiedziałem mu.

Dicky Cruyer wyjął ręce z kieszeni i uchwycił oburącz wielką mosiężną sprzączkę od swego kowbojskiego paska do spodni.

- Nasz berliński Rezydent jest zaniepokojony, cholernie zaniepokojony - stwierdził.

- Stary Frank jest zawsze zaniepokojony - odparłem. - Potrafi się zachowywać jak stara kobieta; wszyscy o tym wiemy.

- Frank ma wiele powodów do niepokoju, odkąd objął to stanowisko - powiedział Rensselaer, żeby podkreślić swą lojalność wobec podwładnych. Ale nie zaprzeczył, że Frank Harrington, nasz wysoki rangą przedstawiciel w Berlinie, potrafi się zachowywać jak stara kobieta.

- Czy wszystkie te materiały pochodzą stąd? - spytałem. - Czy można je zidentyfikować? Dokładne odpisy? Kopie naszych dokumentów? Jak mogły stąd przecieknąć?

- Nie warto nawet pytać o to starego Franka - stwierdził pospiesznie Dicky Cruyer, zanim ktokolwiek mu zarzucił, że nie usiłował się tego dowiedzieć. - Franka o nic nie warto pytać - odparłem. - Więc dlaczego po prostu nie przyśle tych wszystkich materiałów tutaj?

- Jestem temu przeciwny - powiedział Rensselaer. Nadal siedział z założonymi rękami, przyglądając się ustawionej na półce książce *Who's Who*. - Jeżeli jest to prowokacja ze strony KGB, to nie chciałbym sprowadzać tu tego ich człowieka na przesłuchanie. Byliby zachwyceni. Zachęciłibyśmy ich w ten sposób do podejmowania dalszych prób tego rodzaju. Nie, musimy rozegrać to spokojnie. Niech Bernard pojedzie do Berlina, przejrzy te materiały, pogada z tym facetem, i powie nam, co o tym sądzi. Ale nie reagujmy przesadnie. - Zamknął gwałtownie szufladę swego biurka z trzaskiem, który zabrzmiał jak wystrzał z pistoletu.

- Będzie to strata czasu - powiedziałem.

Bret odsunął stołek, na którym trzymał stopy, odwrócił się z fotelem i spojrzał wprost na mnie. Na chwilę rozplótł ręce, obciągnął swe wykrochmalone mankiety od koszuli i uśmiechnął się.

- Chcę to rozegrać właśnie w taki sposób, Bernard. Pojedź tam i przyjrzyj się całej sprawie tym swoim podejrzliwym oczkiem. Nie warto posyłać Dicky'ego. - Spojrzał na niego i uśmiechnął się ponownie. - - Tak się przejmie, że zacznie wydzwaniać do D.G. korzystając z gorącej linii.

Dicky wsunął dłonie głęboko do kieszeni dzinsów, skrzywił się i wzruszył ramionami. Był zły, że Rensselaer zarzucił mu panikarstwo. Chciał uchodzić za opanowanego i nieprzeniknionego młodego geniusza.

Rensselaer spojrział na mnie i uśmiechnął się. Wiedział, że udało mu się zirytować Cruyera i chciał, żebym podzielał jego rozbawienie.

- Skontaktuj się z Berlinem za pomocą telexu i zanotuj sygnatury tych dokumentów. Potem zajrzyj do oryginałów; przejrzyj protokół z tego zebrania w MSZ, wygrzeb tę notatkę na temat maszyn szyfrowych, i tak dalej. W ten sposób będziesz mógł po przyjeździe ocenić te materiały. - Zerknął na Dicky'ego, który wyraźnie urażony wyglądał przez okno, i znów przeniósł wzrok na mnie. - Bez względu na to, do jakich dojdiesz wniosków, powiedz Frankowi Harringtonowi, że to *Spielzeug* - śmieci.

- Oczywiście - odparłem.

- Poleć jutro samolotem RAF, pogadaj z Frankiem i uspokój go. Potem zobacz się z tym Niemcem i zbadaj, co chce nam sprzedać.

- Okay - powiedziałem. Byłem pewien, że Bret znajdzie jakiś sposób, żeby wysłać mnie do Berlina.

- A co słyhać w sprawie Gilesa Trenta? - spytałem.

- Zajmujemy się nim, Bernard - odparł Bret. - Pogadamy o tym, kiedy wrócisz. - Znów się uśmiechnął. Był bardzo przystojny i potrafił zachowywać się czarująco jak gwiazdor filmowy. Uznałem, że Fiona mogła dla niego stracić głowę. Miałem ochotę splunąć mu w twarz.

* * *

Nazajutrz poleciałem wojskowym samolotem do Berlina. Na pokładzie byli oprócz mnie tylko dwaj podoficerowie służby medycznej, którzy poprzedniego dnia przywieźli jakiegoś chorego żołnierza oraz pewien brygadier, obarczony zadziwiającą ilością bagaży.

Brygadier pożyczył ode mnie gazetę i chciał rozmawiać o łowieniu ryb na muchę. Był dość sympatyczny i wyglądał młodziej niż większość znanych mi brygadierów, ale nie znałem ich wielu. Nie ponosił winy za to, że był nieco podobny do mojego teścia, ale dla mnie stanowiło to wyraźną przeszkodę w nawiązaniu bliższych kontaktów. Rozłożyłem swój fotel i mruknąłem niewyraźnie, że ubiegłej nocy późno poszedłem spać. Potem wyglądałem przez okno, dopóki cienkie smużki chmur przypominające maźnięcia pędzlem nie odsłoniły regularnej szachownicy pól uprawnych, jakie widuje się tylko lecąc nad Niemcami.

Brygadier wciągnął w pogawędkę jednego z podoficerów służby medycznej. Pytał go, od jak dawna jest w wojsku, czy ma rodzinę i skąd pochodzi. Nerwowe odpowiedzi oficera wskazywały wyraźnie, że wolałby rozmawiać o piłce nożnej ze swoim kolegą. Ale brygadier gadał dalej. Również jego głos przypominał mi głos ojca Fiony. Kończył zdania takim samym „he?”, jakim mój teść akcentował każdą wygłoszoną przez siebie bzdurę.

Przypomniałem sobie moje pierwsze spotkanie z rodzicami Fiony. Zaprosili mnie na weekend. Mieli wielką rezydencję nie opodal Leith Hill w hrabstwie Surrey. Dom mieszkalny, którego wieku nie dało się precyzyjnie określić, otaczały liczne drzewa, przeważnie sosny i jodły. Stał on między trzema porośniętymi lasem pasmami wzgórz, dzięki czemu ojciec Fiony - David Timothy Kimber-Hutchinson, członek Królewskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych, bogaty businessman i farmer, wyróżniony licznymi nagrodami akwarelista amator mógł mówić z dumą, że jest właścicielem wszystkich terenów, jakie widać z okien jego pracowni. Człowiek, który każe sprzątać ze stołu niedzielne śniadanie już o 10.30, musi być pozbawiony normalnych ludzkich uczuć. Ojciec Fiony był innego zdania.

- Wstałem dziś o pół do siódmej rano, żeby być obecnym przy karmieniu koni. Jeszcze przed śniadaniem odbyłem lekki galop na moim najlepszym ogierze.

Miał na sobie bryczesy, lśniące buty do konnej jazdy, cienki wełniany sweter z golfem i kraciastą kurtkę, idealnie maskującą wypukłości jego figury. Zwróciłem uwagę na jego strój, gdy przyłapał mnie w kredensie, gdzie zdrapywałem z ustawionego na elektrycznym podgrzewaczu półmiska ostatnie kęsy jajecznicy. Miałem na sobie tylko piżamę i stary szlafrok.

- Nie zamierza pan chyba zanieść tego talerza z resztkami - podszedł bliżej, by zerknąć na dwa zeschnięte płatki szynki i cztery pomarszczone grzybki wyglądające spod jajecznicy - do sypialni.

- Szczerze mówiąc - odparłem - taki właśnie mam zamiar.

- Nie, nie, nie - zaprotestował ze stanowczością, która niewątpliwie rozstrzygała wszystkie sporne kwestie podczas posiedzeń rady nadzorczej. - Moja żona jest przeciwna jadaniu śniadania w sypialni.

- Nie niosę tego na górę dla pańskiej żony - odparłem idąc z talerzem w rękę w stronę drzwi. - Niosę to dla siebie.

Właśnie to spotkanie z panem Kimber-Hutchinsonem podcięło korzenie przyjaźni między zięciem a teściem, która mogłaby rozkwitnąć, gdyby sprawy potoczyły się inaczej. Ale w tym okresie nie myślałem jeszcze o małżeństwie z Fioną, więc szanse na ponowne spotkanie z panem Davidem Kimber-Hutchinsonem wydawały mi się, ku mojemu zadowoleniu, minimalne.

- Mój Boże, człowieku. Przecież pan się nawet nie ogolił! - zawołał za mną, kiedy wchodziłem z moim śniadaniem na schody.

- Ty go prowokujesz - powiedziała Fiona, gdy opowiedziałem jej o naszym spotkaniu. Leżała w moim łóżku, włożywszy już swoją koronkową koszulę nocną i chciała, żebym podzielił się z nią zgarniętym ze stołu łupem.

- Jak możesz tak mówić? - spytałem. - Odzywam się tylko wtedy, kiedy on zaczyna rozmowę i zawsze jestem dla niego uprzejmy.

- Ty hipokryto! Wiesz dobrze, że świadomie go prowokujesz. Zadajesz mu niewinnym tonem wszystkie te pytania dotyczące ciągnięcia zysków z taniej siły roboczej.

- Tylko dlatego, że stale podkreśla swoje socjalistyczne poglądy - odparłem. - I nie bierz tego drugiego kawałka szynki - po jednym dla każdego.

- Ty potworze. Wiesz dobrze, że nie znoszę grzybów. - Oblizła palce. - Sam wcale nie jesteś lepszy, kochanie. Na jakiej podstawie uważasz się za większego socjalistę niż tatuś?

- Wcale nie jestem socjalistą - oświadczyłem. - Jestem faszystą. Stale ci to powtarzam, ale ty nigdy nie słuchasz.

- Tatuś ma swój osobisty pogląd na socjalizm - stwierdziła Fiona.

- Odmawia robienia interesów z Francuzami, nienawidzi Amerykanów, nigdy nie zatrudnia Żydów, uważa wszystkich Arabów za oszustów, a jedynym Rosjaninem, którego lubi, jest Czajkowski. I jak tu mówić o braterstwie wszystkich ludzi?

- Znaczna część tej tyrady była skierowana przeciwko mnie - powiedziała Fiona. - Tatuś jest wściekły, że kiedy starałam się o tę pracę, dostałam referencje od starego Silasa Gaunta. On pochodzi z rodziny mamy, a tatuś jest z nimi skłócony.

- Rozumiem.

- Kiedy słyszę takie przemówienia mojego ojca jak to, które wygłosił wczoraj przy kolacji, mam ochotę wstąpić do partii komunistycznej, a ty?

- Nie. Ja mam ochotę zaproponować, żeby wstąpił do niej twój ojciec.

- Mówię poważnie, kochanie.

- Do partii komunistycznej?

- Wiesz, co mam na myśli; proletariusze wszystkich krajów łączcie się i tak dalej. Tatuś dużo gada o ideach socjalistycznych, ale nic nigdy dla nich nie zrobił.

- Nie uciekłaś od niego wstępując do partii komunistycznej - powiedziałem. - Twój ojciec wypisałby czek i kupiłby ją na własność. A potem sprzedałby należące do niej tereny sportowe pod budowę biurowców.

- Wracaj do łóżka. Teraz, kiedy przegapiliśmy śniadanie, nie ma po co wstawać.

Fiona rzadko wspominała o poglądach politycznych swego ojca i nie ujawniała własnych. Gdy przy stole mówiono o polityce, patrzyła tępo w przestrzeń albo zaczynała

rozmawiać o dzieciach czy o wizycie u fryzjera. Czasem zastanawiałem się, czy naprawdę interesuje ją praca w Departamencie, czy też została w nim tylko po to, by mieć mnie na oku.

- Zaraz będziemy lądować - powiedział brygadier. - Proszę zapiąć pasy.

Byliśmy już nad Berlinem. Dostrzegłem zygzakowaną linię Muru, gdy pilot zrobił ostatni zwrot, by podejść do lądowania na lotnisku RAF w Gatow, gdzie kiedyś szkolono lotników Luftwaffe. Pas startowy kończy się niemal przy samym Murze, który nie jest w tym miejscu Murem, lecz ogrodzeniem z płataniny drutów. Za nim ciągnie się piaszczyste pole, które - jak wynika z raportów wywiadu - nie jest zaminowane, na wypadek, gdyby stacjonująca nieopodal jednostka wojsk pancernych Armii Czerwonej postanowiła pewnego dnia przez nie przejechać i zająć lotnisko Berlin-Gatow, zanim ktokolwiek zdąży zniszczyć sprzęt elektroniczny i uszkodzić pasy startowe.

ROZDZIAŁ X

Czy witałeś się kiedyś z dziewczyną, której niegdyś, dawno temu, omal nie poślubiłeś? Czy uśmiechnęła się w tak samo ujmujący sposób i objęła cię gestem, który niemal już wymazałeś z pamięci? Czy widząc ujawnione przez uśmiech zmarszczki, pomyślałeś o wielu wspaniałych przeżyciach, które być może cię ominęły? Tak właśnie się czuję za każdym razem, kiedy przyjeżdżam do Berlina.

Hotel Lisi Hennig, leżący w Sektorze Zachodnim, tuż przy Kantstrasse, wcale się nie zmienił. Nikt nie próbował odremontować czy choćby pomalować jego fasady, upstrzonej przez odłamki pocisków Armii Czerwonej jeszcze w roku 1945. Imponująca brama wejściowa, sąsiadująca ze sklepem optycznym, prowadziła do tej samej monumentalnej klatki schodowej. Pocerowany dywan, niegdyś czerwony, a obecnie brunatny, wiódł do „salonu”, w którym zawsze można było znaleźć Lisi. Jej matka kupiła ciężkie, dębowe meble w domu towarowym Wertheima przy Alexanderplatz jeszcze w czasach poprzedzających epokę Hitlera. I na długo przedtem, zanim ten piękny stary dom stał się drugorzędnym hotelem.

- Hallo, kochanie - powiedziała Lisi, jakbyśmy widzieli się zaledwie wczoraj. Była starą, tęgą kobietą, wylewającą się z fotela, a jej czerwona jedwabna suknia podkreślała jeszcze bardziej wszystkie okrągłości figury, w wyniku czego wyglądała jak potok płynnej lawy zsuwający się ze stromego zbocza. - Wyglądasz na zmęczonego, chłopcze. Chyba zbyt ciężko pracujesz.

„Salon” niewiele się zmienił od czasów, kiedy Lisi była jeszcze dzieckiem, a jej rodzice zatrudniali pięcioro służących. Wszędzie wisiały fotografie; brązowe zdjęcia rodzinne w hebanowych ramkach, wyblakłe portrety znakomitości z lat trzydziestych. Aktorki z długimicygarniczkami, pisarze w kapeluszach z szerokim rondem, gwiazdy filmowe z

wytwórni UFA, starannie wyretuszowane primadonny z Opery Miejskiej, artyści dadaiści, linsokoczkowie z Wintergarten i śpiewacy z dawno już nie istniejących nocnych lokali. Wszystkie nosiły dedykacje pełne zapewnień o trwałej miłości, która jest jednym z najmniej trwałych atrybutów show-businessu.

Był tam też portret nieżyjącego męża Lisi, w stroju wieczorowym, który miał na sobie grając piąty koncert fortepianowy Beethovena z Berlińską Filharmonią w dniu, w którym na widowni zasiadł Fuhrer. Nie było natomiast fotografii małego, zgarbionego kaleki, który pod koniec swoich dni grywał w tandetnym barze na Rankestrasse, by zarobić na kieliszek sznapsa.

Niektóre fotografie przedstawiały przyjaciół rodziny, tych, którzy bywali w „salonie” Lisi w latach trzydziestych i czterdziestych, kiedy można tam było spotkać ludzi sławnych i bogatych oraz tych, którzy przychodzili w latach pięćdziesiątych, by zjeść potrawę z puszki i załatwić sobie pozwolenie pracy. Były tam też zrobione w bardziej współczesnej epoce portrety stałych klientów, którzy znosili wszystkie niewygody i ograniczenia: okresowe braki ciepłej wody, hałaśliwe centralne ogrzewanie, psujące się światła w łazienkach oraz beztroskę, z jaką nie przekazywano im telefonicznych poleceń i nie dostarczano listów. Kiedy ci lojalni klienci płacili swe rachunki za pobyt, byli zapraszani do małego kantorku Lisi na kieliszek sherry. A ich fotografie wisiały jak święte obrazy nad kasą pancerną.

- Fatalnie wyglądasz, kochanie - powiedziała do mnie.

- Nic mi nie jest, *Tante* Lisi - odparłem. - Czy znajdziesz dla mnie jakiś pokój?

Zapaliła jeszcze jedną lampę. Duża roślina stojąca w secesyjnej donicy rzuciła ciemny cień na brzydką, brunatną tapetę. Lisi odwróciła się, by na mnie spojrzeć i jej perłowy naszyjnik zniknął w fałdach tłuszczu.

- Dla ciebie zawsze znajdzie się tu jakiś pokój, *Liebchen*. Pocałuj mnie.

Pochyliłem się, by pocałować ją w policzek. Był to nieunikniony rytuał. Mówiła do mnie *Liebchen* i żądała pocałunków, odkąd zacząłem chodzić.

- A więc nic się nie zmienia, Lisi - powiedziałem.

- Nic się nie zmienia? Chcesz powiedzieć, że wszystko się zmienia. Spójrz tylko na mnie. Spójrz na tę brzydką twarz, to schorowane ciało. Życie jest okrutne, Bernd, mój drogi - nazwała mnie imieniem, którego używałem jako dziecko. - Sam to kiedyś odkryjesz: życie jest okrutne. - Tylko berlińczycy potrafią udawać, że litują się nad sobą, aby rozśmieszyć rozmówcę. Lisi była mistrzynią w sztuce przetrwania i oboje o tym wiedzieliśmy. Wybuchnęła głośnym śmiechem, a ja musiałem się do niej przyłączyć.

Upuściła na dywan trzymany w ręku egzemplarz *Stuttgarter Zeitung*. Przez całe życie czytała gazety i opowiadała wszystkim, czego się z nich dowiedziała.

- I co sprowadza cię do tego wspaniałego miasta? - spytała. Z westchnieniem potarła dłonią kolano. Odkąd artretyzm zaatakował jej nogi, rzadko wychodziła z domu i bywała regularnie tylko w banku. - Nadal sprzedajesz te pigułki? - spytała. Mówiłem jej zawsze, że pracuję w firmie farmaceutycznej, która eksportuje lekarstwa do wschodnich i zachodnich Niemiec. Nie czekała na odpowiedź, zwłaszcza że i tak nigdy nie uwierzyła w moją historyjkę. - Czy przywiozłeś zdjęcia swojej czarującej żony i tych ślicznych dzieci? Czy wszystko u was w porządku?

- Tak - odparłem. - Czy górny pokój jest wolny?

- Oczywiście - odparła. - A któż oprócz ciebie chciałby tam sypiać, kiedy mam pokoje z balkonami i łazienkami?

- Pójdę na górę i umyję się - powiedziałem. Pokój na strychu należał do mnie, kiedy mój ojciec, major wywiadu wojskowego, kwaterował w domu Lisi. Dom ten był pełen wspomnień.

- Mam nadzieję że nie wybierasz się na drugą stronę - oznajmiła Lisi. - Produkują tam wszystkie lekarstwa, jakie są im potrzebne. Traktują handlarzy lekarstwami bardzo brutalnie.

- Nigdzie się nie wybieram, Lisi - odparłem, śmiejąc się uprzejmie z jej żartu. - To po prostu urlop.

- Czy w domu wszystko w porządku, kochanie? To chyba nie jest tego rodzaju urlop, prawda?

* * *

Frank Harrington, szef Berlińskiej Jednostki Operacyjnej, zjawił się u Lisi punktualnie o czwartej.

- Znudziło ci się sypianie na kanapie u Wenera, co? - spytał. Spojrzałem na niego, ale nic nie odpowiedziałem.

- Działamy powoli - dodał - ale prędzej czy później docierają do nas wszystkie wiadomości.

- Czy przyniosłeś te papiery?

- Przyniosłem wszystko - odparł. Położył na stole elegancką teczkę z czarnej skóry i otworzył ją. - Przyniosłem ci nawet plan Londynu, który pożyczyłem od ciebie podczas ostatniej wizyty. Przepraszam, że przetrzymałem go tak długo.

- Nic nie szkodzi, Frank - odparłem wrzucając plan do mojej otwartej walizki, żeby o nim nie zapomnieć. - A gdzie jest facet, który dostarczył te materiały?

- Wrócił na tamtą stronę.

- Myślałem, że zostanie tutaj i będę go mógł przesłuchać. Tego życzył sobie Londyn.

- Ale wrócił - oznajmił Harrington wzdychając. - Wiesz, jak zachowują się ludzie w takich sytuacjach. Wczoraj wpadł w panikę i wyrwał się na tamtą stronę.

- Szkoda - powiedziałem.

- Widziałem na dole jakąś piękną dziewczynę, która rozmawiała z Lisi. Blondynka. Mogła mieć najwyżej osiemnaście lat. Czy ona tu mieszka?

Frank Harrington był szczupłym sześćdziesięcioletkiem. Miał bladą twarz, szare oczy, kościsty nos i czarne wąsiki, jakie często zapuszczają wojskowi. Pytał o dziewczynę po to, by zmienić temat, ale zawsze był kobieciarzem.

- Nie mam pojęcia, Frank - odparłem.

Zacząłem przerzucać przyniesione przez niego papiery. Były wśród nich stenogramy z narad odbywających się w MSZ z udziałem funkcjonariuszy wywiadu, którzy chodzili tam na specjalne odprawy. Żaden z dokumentów nie zawierał szczególnie ważnych informacji, ale fakt, że dostały się one w ręce enerdowskiego wywiadu, był niepokojący. Bardzo niepokojący.

Frank Harrington siedział przy małym mansardowym oknie, z którego puszczałem niegdyś papierowe samoloty, i palił swą cuchnącą fajkę.

- Czy pamiętasz, jak twój ojciec zorganizował przyjęcie urodzinowe dla *Frau Hennig*?

- Frank był jedynym znanym mi człowiekiem, który mówił o Lisi „*Frau Hennig*”. - Sprowadził sześciuosobową orkiestrę, która grała w salonie, a wszyscy czarnorynkowi handlarze z Potsdamerplatz dostarczyli jedzenie. Nigdy nie widziałem takiej różnorodności potraw.

Podniosłem wzrok znad papierów. Frank uspokajającym gestem pomachał w moim kierunku fajką.

- Nie zrozum mnie źle, Bernard. Twój ojciec nie miał nic wspólnego z czarnym rynkiem. Wszyscy dostawcy byli przyjaciółmi *Frau Hennig*. - Uśmiechnął się do własnych myśli. - Twój ojciec był ostatnim człowiekiem, który mógłby mieć coś wspólnego z czarnym rynkiem. Był tak skrupulatnie uczciwy, że wyrabiał w takich zwykłych śmiertelnikach jak ja, kompleks niższości. Był człowiekiem, który do wszystkiego doszedł o własnych siłach. Oni wszyscy są tacy sami - dość surowi, nieustępliwi i skłonni do ścisłego trzymania się przepisów. - Znowu pomachał w moim kierunku fajką. - Nie obrażaj się, Bernard. Byłem bliskim przyjacielem twojego ojca. Sam o tym wiesz.

- Owszem, wiem o tym, Frank.

- Nie miał dyplomu żadnej uczelni. Porzucił szkołę w wieku czternastu lat. Spędzał wieczory w bibliotece publicznej. Przeszedł na emeryturę w randze pułkownika, a potem kierował oddziałem berlińskim, prawda? To niezła kariera jak na samouka.

Przerzuciłem następny plik papierów szukając notatki poświęconej maszynom szyfrowym. - Czy ja też jestem taki? - spytałem. - Surowy, nieustępliwy i skłonny do trzymania się przepisów?

- Och, daj spokój, Bernard. Nie powiesz mi chyba, że chciałbyś mieć dyplom jakiegoś uniwersytetu. Ty jesteś *berlinisch*, Bernard, wychowałeś się w tym zabawnym, starym mieście. Jeździłeś na rowerze po ulicach i zaułkach, zanim jeszcze zbudowali Mur. Mówisz berlińską niemczyzną równie dobrze jak wszyscy znani mi berlińczycy. Umiesz zapaść się pod ziemię jak tubylec. Dlatego, do cholery, nie możemy cię znaleźć, kiedy dojdiesz do wniosku, że jesteśmy ci niepotrzebni.

- *Ich bin ein Berliner* - powiedziałem. Był to żart. *Berliner* to rodzaj pączka. Kiedy prezydent Kennedy wygłosił swą słynną proklamację, autorzy rysunków satyrycznych przeżywali wielkie dni.

- Myślisz, że twój ojciec powinien był cię posłać do Anglii, żebyś tam studiował nauki polityczne i języki? Myślisz, że skorzystałbyś więcej słuchając oksfordzkich profesorów, którzy opowiadaliby ci, jakie błędy popełnił Bismarck, i młodych asystentów tłumaczących, jakie przyimki rządzą trzecim przypadkiem?

Nie odpowiedziałem mu. Prawdę mówiąc, nie znałem odpowiedzi.

- Do diabła, chłopie, przecież ty wiesz więcej o tych stronach niż jakikolwiek absolwent Oxfordu czy Cambridge jest w stanie nauczyć się do końca życia.

- Czy możesz mi to dać na piśmie, Frank?

- Nadal się boczysz, że ten młody Dicky Cruyer został szefem? No cóż, dlaczego nie miałbyś być wściekły? Ja ze swojej strony jasno dałem im do zrozumienia, co o tym myślę. Możesz być tego pewien.

- Wiem, że to zrobiłeś, Frank - powiedziałem składając papiery i chowając je z powrotem do brązowej papierowej koperty. - Ale faktem jest, że w Oxfordzie i w Cambridge człowiek nie uczy się gramatyki czy historii; uczy się oceniać charakter ludzi, których tam poznaje. A w późniejszych latach życia polega na tych ocenach. Znajomość ulic i zaułków tego brudnego starego miasta nie jest wielkim atutem, kiedy chodzi o obsadzenie wolnego stanowiska.

- A w dodatku Cruyer był młodszy nie tylko wiekiem, lecz i stażem - powiedział Frank wypuszczając kłąb dymu z fajki.

- Nie musisz mi tego przypominać, Frank.

Roześmiał się głośno. Było mi trochę przykro, że porównałem go do starej kobiety, ale wszystko, co o nim mówiłem, nie miało żadnego wpływu na jego karierę, miał bowiem lada dzień przejść na emeryturę i wiadomo było, że odwołanie z Berlina nie sprawi mu przykrości. Nienawidził tego miasta i wcale tego nie ukrywał.

- Pozwól mi napisać do D.G. - zaproponował, jakby nagle olśnił go wspaniały pomysł.

- Przechodziliśmy razem przeszkolenie w czasie wojny.

- Na miłość boską, nie! - Na tym polegał kłopot z Frankiem; podobnie jak Lisi, zawsze chciał mnie traktować jak dziewiętnastolatka ubiegającego się o pierwszą posadę. Był nie tyle starą kobietą, ile życzliwą starą ciotką.

- Więc co sądzisz o całej tej makulaturze? - spytał grzebiąc zapalką w fajce, jakby czegoś w niej poszukiwał.

- Śmieci - odparłem. - To tylko kupa domysłów, które wysnuł ktoś w Moskwie, żeby nas zaniepokoić.

Frank kiwnął głową, nie podnosząc na mnie wzroku.

- Przewidywałem, że tak powiesz. Musiałbyś to powiedzieć. Cokolwiek by to było, musiałbyś powiedzieć, że to śmieci.

- Czy mogę zaprosić cię na drinka? - spytałem.

- Chyba lepiej wróć do biura i włożę te papiery do młynka.

- Okay - powiedziałem. Domyślił się, że Londyn kazał zniszczyć wszystkie materiały. Znał sposób myślenia naszych przełożonych. Być może zbyt długo przebywał w Berlinie.

- Pewnie będziesz chciał odbyć spacer po mieście i spotkać się z kilkoma byłymi kolegami?

- Chyba nie, Frank.

Uśmiechnął się i pyknął z fajki. - Zawsze taki byłeś, Bernard. Nigdy nie wtajemniczałeś nikogo w swoje plany. - Przypomniałem, sobie, że zawsze mi to powtarzał, kiedy byłem dzieckiem. - No dobrze, ale chciałbym cię widzieć na kolacji, którą wydaję jutro wieczorem. Nie musisz się stroić, to tylko nieoficjalne spotkanie.

Kiedy wyszedł, sięgnąłem do walizki, żeby wyjąć czystą koszulę. Zauważyłem, że z planu Londynu, który oddał mi Frank, wypadł kawałek złożonej koperty, służący jako zakładka. Koperta zaadresowana była do pani Harrington, ale zamiast nazwy ulicy wypisane były na niej tylko numery skrytki pocztowej oraz kodu. Pomyślałem sobie, że to dość osobliwy sposób adresowania listu do żony Franka i schowałem kopertę do portfela.

* * *

Rosjanie zagarnęli Operę Państwową, Pałac Królewski, budynki rządowe i część najgorszych slumsów; mocarstwa zachodnie - zoo, parki, domy towarowe, lokale nocne i wille bogaczy w Grinewald! Oba sektory przebija Oś Wschód - Zachód łącząc je z sobą jak szpikulec używany do pieczenia szaszłyków.

Bendlerblock, gmach, z którego Najwyższe Dowództwo wysyłało niemieckie armie na podbój Europy, został przerobiony na biura firmy produkującej kosmetyki. Bendlerstrasse otrzymała nową nazwę. Nic w Berlinie nie jest tym, czym się wydaje, co zresztą budzi moją sympatię. Anhalter Bahnhof, wielki żółty budynek z trzema ogromnymi bramami, był niegdyś dworcem, z którego odjeżdżały luksusowe ekspresy do Wiednia i całych południowo-wschodnich Niemiec. Teraz nie jest już ruchliwą stacją kolejową, lecz wielkim gmachem, stojącym na pustym skrawku ziemi, zarośniętym przez chwasty i dziczące kwiaty. Werner Volkmann - zresztą nie po raz pierwszy - wybrał ten właśnie budynek na miejsce naszego spotkania. Oznaczało to zazwyczaj, że jego obsesja się nasila. Dziś miał na sobie obszerny czarny płaszcz z futrzanym kołnierzem. Kto inny wyglądałby w nim jak impresario lub arystokrata, ale Werner - mimo trzymanej w ręku teczki na dokumenty - sprawiał wrażenie człowieka, który kupuje swoje ubrania na pchlim targu, mieszczącym się na dawnej stacji kolejki podziemnej przy Tauentzienstrasse.

Zapadał zmrok. Werner zatrzymał się i zerknął w głąb ulicy. Nad upstrzonym napisami murem unosiła się niebieskozielona poświata, która w każdym innym mieście kojarzyłaby się ze stadionem piłkarskim, oświetlonym na wieczorny mecz. Ale za tym właśnie murem rozciągała się wielka pusta przestrzeń Potsdamerplatz. Niegdyś był on jednym z najbardziej ruchliwych punktów w Europie, obecnie zaś jasno oświetloną, cichą i nieruchomą *Todesstreife*, strefą śmierci, pełną drutów kolczastych, min i samoczynnych karabinów maszynowych.

Werner stał przez chwilę na rogu śledząc wzrokiem grupę młodych ludzi, którzy minęli go i szli dalej w kierunku Hallesches Tor. Mieli na sobie przedziwne części garderoby; dziewczyny - ciasne spodnie z dzianiny, wysokie buty i afgańskie kozuszki, mężczyźni zaś ozdobione metalowymi guzikami skórzane kamizelki i czapki, jakie nosili żołnierze *Afrikakorps*. Niektórzy mieli ufarbowane włosy w różnokolorowe pasma. Ani mnie, ani Wenera nie zaskoczył widok tej grupy przedstawicieli młodego pokolenia berlińczyków. Mieszkańcy dawnej stolicy Niemiec zwolnieni są od służby wojskowej i mają skłonność do demonstrowania swej radości z tego powodu. Werner jednak nadal ich obserwował i czekał stojąc na miejscu, dopóki nie zajechał żółty dwupoziomowy autobus i nie zebrał z przystanku wszystkich oczekujących. Wtedy dopiero poczuł się bezpieczny. Odwrócił się gwałtownie i

przeszedł na drugą stronę ulicy. Ja pospieszyłem za nim udając, że chcę zdążyć przed zmianą światła.

Wszedł do *Cafe Leuschner* i powiesiwszy kapelusz na wieszaku, wybrał stolik w głębi sali. Pieczołowicie położył swą teczkę na sąsiednim krześle. Pomachałem do niego, jakbym dopiero w tej chwili go dostrzegł i podszedłem do jego stołu. Werner zamówił u kelnera dwie kawy. Usiadłem z westchnieniem. Werner przyszedł spóźniony, a to w naszym zawodzie jest niewybaczalnym grzechem.

- To był jeden z ludzi Franka Harringtona - oznajmił. - Musiałem się upewnić, że go zgubiłem.

- Dlaczego Frank miałby komuś kazać cię śledzić?

- Londyn daje Frankowi kopniaka w tyłek. Mówi się, że ma być natychmiast zmieniony.

- Ale co ty masz z tym wspólnego? Dlaczego miałby śledzić ciebie?

- Czy w Londynie jest jakiś przeciek? - spytał Werner. Wiedząc, że zapewne mu nie odpowiem, dodał: - Uczciwość wymaga, żebyś mi to powiedział. Skoro każecie mi przechodzić na drugą stronę, to mam prawo wiedzieć, co dzieje się w Londynie.

- Nie ma żadnego przecieku - odparłem. Mogłem dodać, że jak dotąd nikt nie prosił go o przechodzenie „na drugą stronę”, i że jego regularne wizyty w NRD były wystarczającym powodem, dla którego powinien wiedzieć jak najmniej o tym, co się dzieje w Londynie.

- A co z pieniędzmi? Czy Londyn pomoże mi z tym bankiem?

- Pieniądzy również nie ma - powiedziałem.

Werner pochylił się nad stołem i kiwnął posępnie głową. Rozejrzałem się po kawiarni. Był to przestronny lokal, pełen luster w złotych oprawach, podtrzymywanych przez gipsowe amorki; plastikowe blaty stolików zostały tak zaprojektowane, że wyglądały, jakby były z marmuru. Wzdłuż całej sali przebiegała piękna stara lada. Znałem tę kawiarnię jeszcze w czasach, w których podawał tu ojciec Leuschnera.

Berlińskie dzieciaki przychodziły tu na prawdziwe amerykańskie lody, dopóki córka Leuschnera nie wyszła za swego żołnierza i nie przeniosła się z nim do Arkansas.

Podano nam kawę; dwa nieduże metalowe dzbanuszki, śmietanka, cukier zawinięty w kolorowe papierki z reklamą herbaty i jak zwykle spodki i filizanki w kwiaty. Te spodeczki i filizanki w kwiecisty deseń przypominały mi śniadania z okresu mojego dzieciństwa, podczas których mój ojciec poprawiał kiepską niemczyznę matki. *Es geht um die Wurst*, czyli dosłownie: „To zależy od kielbasy”, znaczy w istocie: „Od tego wszystko zależy”. Ale *Mir ist alles Wurst*, czyli: „Dla mnie to wszystko kielbasa”, znaczy: „Wszystko mi jedno”. Moja

matka uśmiechała się tylko nalewając kawę do filiżanek w kwiaty. Chciała po prostu powiedzieć, że być może nie wystarczy dla nas wszystkich kielbasy na dzisiejszą kolację. Ale mój ojciec miał skłonność do nadmiernego komplikowania spraw. To również było charakterystyczne dla człowieka, który wszystko zawdzięczał sobie samemu.

- Po co zadajemy sobie tyle trudu, żeby się spotkać bez niczyjej wiedzy? - spytałem. - Przecież równie dobrze mogliśmy od razu umówić się tutaj.

- Tak, ale wtedy obserwowałby nas jeden z ludzi Franka.

- Jak wolisz, Werner - zgodziłem się.

- Frank Harrington jest zaniepokojony - oznajmił Werner.

- Czym? - spytałem, nie będąc dłużej w stanie ukryć swej irytacji. - Myślałem, że Frank Harrington nie pozwala ci nawet zbliżyć się do swego biura.

Werner zdobył się na uśmiech, który, jego zdaniem, nadawał mu wygląd nieprzeniknionego człowieka Wschodu.

- Nie muszę chodzić do jego biura, żeby mieć najnowsze informacje o tym, co się tutaj dzieje. Frank ma wielkie kłopoty z Londynem. Plotki mówią o jakimś przecieku. Frank obawia się, że zrobią z niego kozła ofiarnego. Boi się, że go spławią, a potem znajdą jakiś sposób, żeby nie płacić mu emerytury.

- Brednie!

- Czy myślisz, że oddział berliński znów zacząłby mnie zatrudniać, gdyby Frank został odwołany?

- Nie ma żadnego przecieku informacji.

- To dobrze - powiedział Werner, patrząc na mnie i kiwając głową. Nic chyba mnie tak nie drażni jak widok Wenera, który udaje szczerłość. - Max Binder wrócił. Ma żonę i troje dzieci, a nie mógł znaleźć posady. W końcu wrócił na wschodnią stronę.

Max Binder chodził z nami do szkoły; był pilnym uczniem, co rok na Boże Narodzenie śpiewał solo *Cicha noc*, i trzymał w ukryciu zbiór zakazanych odznak hitlerowskich, których mu wszyscy zazdrościliśmy. Zawsze go lubiłem.

- Max jest świetnym facetem - powiedziałem. - Jego żona pochodzi ze Wschodu, prawda?

- Dostali jedno z tych „sorealistycznych” mieszkań przy Stalinallee - Werner nadal używał dawnej nazwy tej ulicy. - Ludzie zaczynają sobie teraz zdawać sprawę, że te mieszkania nie są takie złe. Przynajmniej mają wysokie sufity i dużo szaf ściennych czy innych schowków. W tych nowych blokach przy Marzahn panuje straszna ciasnota. Czteroosobowe rodziny mieszkają w metrażu, jaki ma u Maxa komórka na miotły.

- Byłeś niedawno po drugiej stronie? Widziałeś się z nim?

- Widuję go od czasu do czasu. Ma teraz dobrą posadę. Pracuje na cle - jest głównym inspektorem.

W jego głosie było coś, co zwróciło moją uwagę. - Czy robisz z Maxem jakieś podejrzone interesy? - spytałem.

- Z Maxem? - Nerwowo dolał sobie kawy.

- Znam cię, Werner, i znam Maxa. Co tam kombinujecie?

- Po prostu biuro Maxa załatwia sprawy papierkowe związane z niektórymi moimi interesami.

- Domyślam się, że chodzi o to upłynnianie kredytów. Składanie gwarancji, że pieniądze zostaną wypłacone. A więc na tym to polega.

Werner nie próbował zaprzeczać, że jego interesy mają dość podejrzany charakter, lecz zmienił temat mówiąc: - Wiesz, Bernard, widziałem się w ubiegłym tygodniu z Zeną. Obiecała, że do mnie wróci.

- To dobrze - stwierdziłem widząc, że spodziewa się gratulacji.

- Była w Berlinie... tylko z krótką wizytą. Zjedliśmy razem lunch. Była ciekawa, jak się miewam.

- I czego się dowiedziała?

- Chcę, żeby wróciła, Bernie. Bez niej nie dam sobie rady. Powiedziałem jej to.

- No i?

- Powiedziałem jej, że będę miał więcej pieniędzy. Pieniądze zawsze były dla nas problemem. Jeśli będę zarabiał trochę więcej, wróci do mnie. Obiecała mi to, w pewnym sensie.

- Spróbuję jeszcze raz nakłonić Londyn, żeby wyraził zgodę na wyasygnowanie tych pieniędzy, Werner. Wybij sobie z głowy te podejrzone machinacje kredytowe, którymi się zajmujesz. Jeśli wpadniesz na Wschodzie w jakieś kłopoty, wsadzą cię do kryminału i potrzymają przez dłuższy czas. Oskarżą cię o „oszustwo na szkodę ludu pracującego” albo postawią ci inny, równie mało konkretny zarzut, i ukarzą cię dla przykładu, żeby się upewnić, że nikt inny nie spróbuje tej samej sztuczki.

- Chcę to zrobić jeszcze ze dwa razy, żeby mieć dość gotówki i nie musieć już więcej zebrać w bankach - powiedział Werner kiwając głową. - Ci faceci z wolnego rynku kapitałowego wyciskają mnie jak cytrynę, Bernie. Zbierają śmietankę z każdej transakcji, jaką przeprowadzam.

- Powiedziałem ci, żebyś wybił to sobie z głowy, Werner.

- Obiecałem Zenie, że zabiorę ją do Hiszpanii na naprawdę dobry urlop. Byłeś kiedyś w Marbella? Tam jest cudownie. Pewnego dnia kupię tam sobie mały domek i osiadę na stałe. Zena potrzebuje słońca i wypoczynku. Ja też. Taki wyjazd pozwoli nam w pewien sposób zacząć od nowa. Może nawet do Ameryki Południowej. Warto zaryzykować, żeby zacząć życie od początku.

Werner wypił już dwie filiżanki kawy, a teraz trzymał w ręku dzbanek i wytrząsał z niego ostatnie krople.

- Czy Frank wie o twojej działalności eksportowo-importowej? - spytałem.

- Frank Harrington? Na Boga, nie. Robi, co może, żeby się ze mną nie spotkać. W zeszłym miesiącu poszedłem do tego biura wymiany walut przy stacji ZOO, żeby zrealizować kilka czeków turystycznych. Frank był tam przede mną. Kiedy mnie zauważył, wyszedł z kolejki i zniknął. Frank Harrington mnie unika. Nie, do diabła, jest ostatnią osobą, z którą rozmawiałbym o interesach. - Podniósł drugi dzbanek i zakręcił nim, by przekonać się, czy nie zostało w nim trochę kawy. - Czy mogę wypić to do końca?

- Dlaczego nie chcesz, żeby Frank o tym wiedział? - spytałem kiwnąwszy głową.

Tym razem Werner nalał sobie do kawy śmietanki. Przejawiał nieodpartą potrzebę gryzienia czegoś i popijania, a to często bywa oznaką nerwowości.

- Nie chcę, aby wiedział, że często tam bywam - odparł.

- Czy ukrywasz coś przede mną?

Zajął się bardzo gorliwie swoją kawą, rozpakowując następną kostkę cukru, przełamując ją i wrzucając jedną połówkę do filiżanki. Potem włożył drugą do ust i zaczął ją hałaśliwie gryźć, rozprostowując równocześnie opakowanie grzbietem dłoni.

- Przestań traktować mnie jak dziecko, Bernie - powiedział w końcu. - Razem dorastaliśmy. Obaj wiemy, na czym to wszystko polega. - Nie dogadałeś się chyba z tymi ludźmi ze Wschodu? - nalegałem. - Nie zawarłeś z nimi jakiegoś idiotycznego porozumienia?

- Chodzi ci o to, czy nie zamierzam przekazać im wszystkich waszych tajemnic, co? - Starannie złożył opakowanie od cukru robiąc z niego niewielką papierową strzałę. Posłał ją w próbny lot w kierunku pojemników z solą i pieprzem. - I cóż mógłbym im powiedzieć? Że Frank ignoruje mnie w kantorze wymiany, a ty przyjeżdżasz do miasta i mieszkasz u Lisi? A może, według krążących w biurze plotek, Londyn wybrał ciebie na następcę Franka, ale on nie chce się na to zgodzić?

- Mógłbyś być dla nich użyteczny, Werner - powiedziałem spoglądając na jego strzałę.

- Wiesz, co w trawie piszczy. - Rzuciłem strzałę w jego kierunku, ale opadła na stolik.

- Czy nie rozumiesz? - spytał ściszym głosem. - Nikt mnie już nie zatrudnia. Frank się o to postarał. Dawniej dostawałem różne zlecenia od Amerykanów, a faceci z waszego wywiadu wojskowego też zawsze mieli coś, z czym nie mogli sobie poradzić. Teraz nie dostaję już od nich żadnych propozycji. Za mało wiem, żeby być podwójnym agentem, Bernie. Wypadłem z obiegu. Ty jesteś jedynym człowiekiem, który mnie obecnie czasem zatrudnia, a w dodatku robisz to przez wzgląd na dawne czasy. Wiem o tym, i ty też o tym wiesz.

Nie przypomniałem mu, że zaledwie przed kilku minutami upierał się, iż „ma prawo” dowiedzieć się ode mnie wszystkiego, co sam wiem na temat przecieków w Londynie.

- A więc mówią, że ja mam objąć Berlin? - spytałem. - A może mówią nawet, kto przejmie po mnie moją obecną posadę?

Werner wziął do ręki swą strzałę. Jemu była bardziej posłuszna, ale tylko dlatego, że długo układał jej skrzydła i poprawiał całą konstrukcję, by uzyskać optymalną aerodynamikę.

- Sam wiesz, jak jest w tym mieście - odparł. - Wszyscy bez przerwy plotkują. Nie chcę, żebyś myślał, że ja wierzę w którąś z tych informacji.

- No, jazda, Werner. Zamieniam się w słuch. Możesz spokojnie powiedzieć mi wszystko, co słyszałeś. Nie zamierzam się załamać ani wybuchnąć płaczem.

Moje słowa najwyraźniej zrobiły na nim spore wrażenie, większe niż zamierzałem. Rozmawialiśmy po niemiecku, a składnia tego języka wymaga, by układać każde zdanie w głowie przed jego wypowiedzeniem. Nie można - jak w angielskim - zacząć zdania z jakimś mglistym zamiarem i zmienić koncepcji w jego połowie. A zatem Werner, kiedy już raz zaczął, musiał dokończyć. - Krążą plotki, że twoją obecną posadę w Londynie przejmie twoja żona.

- To byłaby sprytna roszada - oznajmiłem. Nadal nie mogłem zrozumieć, co próbuje mi powiedzieć biedny, stary Werner.

Przybliżył strzałę do twarzy, by widzieć ją dokładnie w przyćmionym świetle kawiarni. Skupiając na niej pozornie całą swą uwagę zaczął mówić dość szybko: - Mówią, że się rozstajecie, ty i twoja żona. Mówią, że... że Rensselaer i twoja żona są... - Rzucił strzałę, ale tym razem spadła korkociągiem na jego spodek i jej skrzydła pobrązowiły od rozlanej kawy.

- Bret Rensselaer - powiedziałem. - Przecież on jest niemal w tym wieku, że mógłby być jej ojcem. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby Fiona zakochała się akurat w nim.

Z wyrazu twarzy Wenera wynikało wyraźnie, że ten niedostatek wyobraźni jest wyłącznie moją winą.

- Gdyby Rensselaer odczuwał wyrzuty sumienia, związane z tym, że oddał Sekcję Niemiecką Cruyerowi, a w dodatku odebrał ci żonę, postąpiłby logicznie załatwiając ci posadę w Berlinie. W ten sposób zniknąłbyś mu z oczu. Pensja jest dobra, a rachunek reprezentacyjny nieograniczony. To stanowisko, które bardzo chciałbyś dostać i do którego doskonale się nadajesz. Nigdy go nie odrzuciłbyś, Bernie, sam o tym wiesz.

Zastanawiałem się przez chwilę. Było mi niedobrze, ale postanowiłem nie pokazać tego po sobie.

- I nie stanąłbym na drodze Fiony, gdyby miała szansę na wysokie stanowisko w Wydziale Operacyjnym. Byłaby jedyną kobietą na szczycie kierowniczym. - Uśmiechnąłem się. - Nieźle pomyślane, Werner. Jak wszystkie dobre plotki, ta jest bardziej pomysłowa niż prawda. Ale prawda wygląda tak, że Fiona nie znosi Rensselaera, stary nigdy nie dopuściłby kobiety aż tak wysoko, a mnie nikt nie zaproponuje Berlina po odejściu Franka. - Uśmiechnąłem się, ale tak nieprzekonująco, że Werner odwrócił wzrok.

- Skąd masz tę pewność? - spytał. - Ja też nie spodziewałbym się nigdy, że moja żona ucieknie do Monachium z tym kierowcą ciężarówki, wożącym coca-colę. Spotkałem go ze dwa razy. Powiedziała mi, że jest bratem jej koleżanki z biura. Że czasem podwozi ją do domu. Wróciwszy kiedyś wieczorem, zastałem go w naszym mieszkaniu. Pił z nią piwo. Niczego nie podejrzewałem. Tak jak ty teraz. Mówiła, że jest trochę przygłupi. To wystarczyło, by mnie przekonać, że nic ich nie łączy. Było dokładnie tak samo jak w sytuacji, którą przed chwilą opisałeś. Myślałem, że ona nie znosi tego faceta na tej samej zasadzie, na której ty zakładasz, że twoja żona nie znosi Rensselaera. - Rozpakował jeszcze jedną kostkę cukru i zaczął robić następną strzałę. - Może prawda wygląda tak, że ty go nie znosisz - tak jak ja nie znosiłem tego kierowcy - więc też nie możesz sobie wyobrazić, by twoja żona mogła zwrócić na niego uwagę. - Odłożył nie dokończoną strzałę do popielniczki. - Przestałem palić - powiedział z pewnym żalem - ale ciągle szukam jakiegoś zajęcia dla rąk.

- Nie sprowadziłeś mnie tutaj tylko po to, aby naopowiadać mi tych historii o rzekomym romansie mojej żony z Bretem Rensselaerem, prawda, Werner?

- Nie. Chciałem spytać cię o sprawy firmy. Jesteś jedynym znanym mi człowiekiem, który rozmawia z Frankiem Harringtonem jak równy z równym.

- Nie rozmawiam z nim wcale jak równy z równym - odparłem. - Frank traktuje mnie tak, jakbym był dwunastoletnim dzieckiem.

- Frank odnosi się do ludzi w sposób bardzo protekcyjny - przyznał Werner. - Za jego czasów ta instytucja skupiała wyłącznie pedałów z Cambridge albo takich jak on filologów klasycznych, którzy uważali, że posadka w wywiadzie pomoże im zarabiać na

życie i zostawi dość wolnego czasu, by mogli pisywać sonety. Frank cię lubi, Bernie. Bardzo cię lubi. Ale nigdy nie pogodzi się z myślą, że taki prosty chłopak jak ty, wychowany na berlińskiej ulicy, mógłby przejąć jego obecną posadę. Wiem, że traktuje cię przyjaźnie. Ale jak się twoim zdaniem czuje, kiedy wydaje mu polecenia ktoś, kto nie ma wykształcenia klasycznego?

- Ja nie wydaję mu poleceń - sprostowałem jego wypowiedź, właściwie dla zasady.

- Ale wiesz, co mam na myśli - powiedział Werner. - Chcę tylko wiedzieć, co Frank ma przeciwko mnie. Jeśli zrobiłem coś, co mogło go rozzłościć, okay. Ale jeśli to nieporozumienie, chcę mieć szansę wyjaśnienia go.

- Dlaczego zależy ci na jego wyjaśnieniu? - spytałem. - Robisz jakieś podejrzone interesy, które mają zapewnić ci willę w Marbella, gdzie będziesz siedział wśród róż i popijał wino do końca swoich dni. Dlaczego, do cholery, miałoby ci zależeć na wyjaśnianiu jakichś nieporozumień z Frankiem?

- Nie bądź *dumm*, Bernie - odpowiedział. - Frank może mi narobić poważnych kłopotów.

- To jakieś urojenia, Werner.

- On mnie nienawidzi, Bernie, a ciebie się boi.

- Boi się?

- Jest przerażony, że możesz przejąć jego stanowisko. Zbyt dużo wiesz i mógłbyś zadawać zbyt wiele kłopotliwych pytań. A Frankowi zależy dziś już tylko na tym, żeby zachować nieposzlakowaną opinię i otrzymać wysoką emeryturę. Nie zrobi nic, co mogłoby mu to utrudnić, bez względu na to, co ci opowiada o swej przyjaźni z twoim ojcem.

- Frank jest zmęczony - powiedziałem. - Frank ma „berlińską chandrę”. Nikogo nie nienawidzi. Nie nienawidzi już nawet komunistów. Dlatego chce odejść.

- Czy nie słuchałeś, kiedy ci mówiłem, że to Frank zablokował twoje przeniesienie do Berlina?

- A czy ty nie słuchałeś, kiedy ci mówiłem, że to wszystko cholerne brednie? Powiem ci, dlaczego przestali cię zatrudniać, Werner. Bo stałeś się plotkarzem, a to najgorsza rzecz, jaka może się wydarzyć komuś, kto pracuje w tej branży. Opowiadasz mi głupie pogłoski o tym czy o tamtym, twierdzisz, że nikt cię nie lubi, a ty nie możesz zrozumieć dlaczego. Musisz wziąć się w garść, Werner, bo inaczej będziesz musiał dopisać i mnie do tej długiej listy ludzi, którzy cię nie rozumieją.

Werner siedział pochylony nad stołem; w tym obszernym płaszczu z futrzanym kołnierzem wydawał się jeszcze potężniej zbudowany niż w istocie był. Kiwnął głową, niemal dotykając podbródkiem blatu stolika.

- Rozumiem - powiedział. - Kiedy zdałem sobie sprawę, że moja żona mnie zdradza, nie potrafiłem do nikogo odezwać się życzliwie.

- Zadzwoń do ciebie, Werner - oznajmiłem wstając z krzesła. - Dzięki za kawę.

- Siadaj - mruknął Werner. Mówił cicho, ale w jego głosie wyczułem napięcie, które odsunęło na dalszy plan nasze spory. Do kawiarni weszli dwaj mężczyźni. Leuschner junior sprawdzał poziom trunków w butelkach ustawionych pod wielkim lustrem. Odwrócił się z uśmiechem, który jest dziedzictwem wielu lat spędzonych za barem. - Czym mogę służyć? - Nerwowo przetarł marmurowy blat baru, który był (obok braci Leuschner) jednym z niewielu relikwów przedwojennej świetności lokalu. - Czy panowie chcieliby coś zjeść? Mogę podać *Bratwurst* z czerwoną kapustą albo pieczonego kurczaka ze *Spätzle*.

Mężczyźni byli trzydziestoletnimi osiłkami w solidnych butach, dwurzędowych płaszczach i kapeluszach z rondem na tyle szerokim, by deszcz nie padał im za kołnierze. Uchwyciłem spojrzenie Wenera. Kiwnął głową; byli najwyraźniej policjantami. Jeden z nich wziął do ręki leżącą przed nim kartę dań. Młody Leuschner podkreślił wąsy w stylu cesarza Wilhelma, które zapuścił niegdyś, by wyglądać nieco doroślej. Teraz, kiedy zaczynał łyseć, nie były mu już potrzebne. - A może coś do picia?

- Lody czekoladowe - powiedział jeden z przybyszów takim tonem, jakby chciał sprowokować kogoś do okazania zdziwienia.

- *Schnaps* - zamówił drugi.

Leuschner wybrał jeden z kilku gatunków bezbarwnego, mocnego alkoholu i nalał sporą dawkę do kieliszka. Potem wrzucił dwie kulki lodów do pogiętej miseczki i podał serwetkę oraz łyżeczkę. - I szklankę wody - wymamrotał mężczyzna, który włożył już do ust dużą porcję lodów. Jego towarzysz oparł się o krawędź baru i zatoczył wzrokiem po sali. Żaden z nich nie usiadł na stołku.

Chcąc zapewnić sobie jakieś zajęcie, nalałem do swojej filiżanki trochę mleka i zacząłem je starannie mieszać. Mężczyzna jedzący lody pożarł je w rekordowym tempie. Ten drugi mruknął coś, czego nie dosłyszałem, po czym obaj podeszli do naszego stolika.

- Mieszka pan tutaj? - spytał, zwracając się do Wenera, amator lodów.

- W Dahlem - odparł Werner. Uśmiechnął się próbując ukryć niezadowolenie.

- To miłe miejsce - mruknął ten od lodów. Trudno było stwierdzić, ile w jego głosie było życzliwości, a ile sarkazmu.

- Pańskie dokumenty - zażądał ten drugi. Opierał się całym ciężarem o oparcie mojego krzesła i czułem zalatujący od niego zapach alkoholu.

Werner zawahał się przez chwilę, jakby rozważając, czy warto zażądać od nich dowodów, że są policjantami. Potem wyjął portfel.

- Proszę ją otworzyć - zażądał amator lodów wskazując leżącą obok Wernera teczkę.

- Teczka jest moja - powiedziałem.

- Wszystko mi jedno, czy jej właścicielem jest pan, czy Herbert von Karajan - oznajmił policjant.

- Ale mnie nie jest wszystko jedno - powiedziałem, tym razem po angielsku.

Obrzucił badawczym spojrzeniem moją twarz i moje angielskie części garderoby. Nie musiałem mu tłumaczyć, że jestem przedstawicielem jednego z „zaprzyjaźnionych mocarstw”.

- Pańskie dokumenty?

Podąłem mu brytyjską legitymację oficerską, z której wynikało, że nazywam się Bishop i jestem majorem Królewskich Wojsk Inżynieryjnych. Uśmiechnął się blado i powiedział: - Ważność tej legitymacji wygasła przed dwoma miesiącami.

- I cóż, pańskim zdaniem, mogło się wydarzyć od tej pory? - spytałem. - Czy sądzi pan, że zamieniłem się w kogoś innego?

Spojrzał na mnie bez sympatii.

- Na pańskim miejscu postarałbym się o ważną legitymację służbową, majorze Bishop - powiedział. - Następny spotkany przez pana policjant może podejrzewać, że jest pan dezerterem, szpiegiem albo czymś w tym rodzaju.

- W takim razie następny spotkany przeze mnie policjant zrobi z siebie durnia - odparłem. Ale w tym momencie obaj policjanci odchodzili już od naszego stolika. Jeden z nich rzucił w drodze do drzwi kilka monet na kontuar.

- Cholerni naziści - mruknął Werner. - Czepili się mnie, bo jestem Żydem.

- Nie opowiadaj głupstw, Werner.

- Więc dlaczego?

- Może istnieje milion powodów, dla których gliniarz prosi kogoś o dokumenty. Może popełniono w sąsiedztwie jakieś przestępstwo... rozpoznano w pobliżu jakiś samochód... może szukają kogoś, kto ma podobny rysopis.

- Wezwą żandarmerię wojskową. Wrócą i zmuszą nas do otwarcia teczki. Tylko po to, żeby pokazać, jacy są ważni.

- Nie, nie zrobią nic podobnego. Pójdą do następnej kawiarni lub następnego baru na tej samej ulicy i spróbują szczęścia jeszcze raz.

- Wolałbym, żebyś nie był tak cholernie uparty.

- W jakiej sprawie?

- W sprawie Franka Harringtona. To on stara się nas w ten sposób zastraszyć.

- Czy zastanowiłeś się kiedyś, ile kosztuje utrzymywanie pod nadzorem jednego człowieka? Dwa samochody i czterej ludzie, pracujący normalnie na ośmiogodzinnych zmianach przez pięć dni w tygodniu. Czyli potrzeba co najmniej sześciu ludzi i trzy samochody. Samochody muszą być wyposażone w radio, dostosowane do naszych długości fal, więc wynajęte nie wchodzi w rachubę. Ludzie muszą być wyszkoleni i zweryfikowani w zakresie bezpieczeństwa. Dodając do tego rozmaite ubezpieczenia i świadczenia na fundusze specjalne, przysługujące wszystkim pracownikom Departamentu, każdy z tych ludzi musi kosztować co najmniej tysiąc marek. Każdy z samochodów - co najmniej tyle samo. Dodaj jeszcze tysiąc na koszt ekipy wspierającej i okaże się, że Frank wydawałby na ciebie dziesięć tysięcy marek tygodniowo. Musiałby cię naprawdę cholernie nienawidzić, Werner.

- Spytaj go - powiedział pośpiesznie Werner. Odniosłem wrażenie, że nie chce wyzbyć się urojeń dotyczących zemsty Franka, gdyż wtedy musiałby zdać sobie sprawę, iż być może Frank zwolnił go po prostu za nie wywiązywanie się z obowiązków.

Uniosłem w górę ręce gestem oznaczającym kapitulację.

- Pomówię z nim, Werner. Ale ty tymczasem uspokój się. Przystań opowiadać, że Frank cię prześladowuje. Czy zrobisz to dla mnie?

- Ty tego nie rozumiesz - odparł Werner.,

Spojrzałem na teczkę, za której właściciela podałem się podczas rozmowy z policjantami.

- A poza tym, czy możesz zaspokoić moją ciekawość i powiedzieć mi, co jest w tej „mojej” teczce, Werner?

Wyciągnął rękę i dotknął jej.

- Czy uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział, że niemal pół miliona franków szwajcarskich, w nowych banknotach?

Spojrzałem na niego, ale nie odwzajemnił mojego uśmiechu.

- Trzymaj się, Werner - powiedziałem. Nawet wtedy, gdy byliśmy jeszcze dziećmi, nigdy nie wiedziałem, kiedy się wygłupia.

ROZDZIAŁ XI

Pamiętałem wystawne przyjęcia Franka Harringtona jeszcze z czasów, w których odwiedzałem wielki dom w Griinewald razem z moim ojcem, mając na sobie pierwszy w życiu smoking. Od tej pory wiele się zmieniło, ale dom był nadal taki sam, a personel nadal składał się z ogrodnika, kucharza, gospodyni, pokojówki oraz lokaja, który pracował u Franka jeszcze podczas wojny.

Na przyjęciu, o którym Frank powiedział: „nie musisz się stroić, to tylko towarzyskie spotkanie”, dostrzegłem chyba z dwunastu najbardziej wpływowych i zamożnych obywateli miasta Berlina. Do kolacji posadzono mnie obok jakiejś dziewczyny imieniem Poppy, niedawno rozwiedziona z właścicielem dwóch browarów i fabryki aspiryny. Przy stole siedzieli również: przedstawiciel *Bundesbank* z żoną, dyrektor zachodniobrzeńskiej *Deutsche Opera* w towarzystwie przepięknej mezzosopranistki, pewna dyrektorka muzeum, będąca podobno światowej klasy ekspertem od ceramiki z Mezopotamii, funkcjonariusz berlińskiego *Polizeiprdsidium*, przedstawiony jako „pan taki a taki z Tempelhofer Damm” oraz Joe Brody, cichy Amerykanin, który chciał uchodzić za pracownika zakładów elektrycznych Siemens. Obecna była także żona Franka Harringtona, wytworna, sześćdziesięcioletnia dama, pokazująca w uśmiechu wszystkie zęby i zwracająca uwagę trwałą ondulacją, która przylegała do jej głowy jak pływacki czepek. Zjawił się też syn Harringtonów, pierwszy oficer British Airways, regularnie latający między Londynem i Berlinem. Był to sympatyczny młody człowiek z drobnym blond wąsikiem; miał tak różową cerę, jakby jego matka wyszorowała go do czysta, zanim pozwoliła mu zejść do jadalni.

Wszyscy byli oczywiście ubrani wieczorowo. Panie miały długiesuknie, a mezzosopranistka klejnoty we włosach. Żona bankiera i dyrektorka muzeum również obwieszona były wytworną biżuterią. Panowie mieli ciemne ubrania z wstążeczkami w butonierkach oraz pasiaste krawaty, które dostarczały wszystkich niezbędnych informacji ludziom uprawnionym do ich posiadania.

Przy kolacji rozmawiano o pieniądzach i kulturze.

- Rzadko dochodzi do tarć między Frankfurtem a Bonn - oświadczył przedstawiciel *Bundesbank*.

- Dopóki odprowadzacie swoje zyski do rządowego budżetu. Dziesięć miliardów marek - tyle w tym roku oddajecie politykom, prawda? - spytał Frank. Oczywiście wszyscy obecni musieli się domyślać, kim jest Frank Harrington lub przynajmniej czym się zajmuje.

Bankier uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

- A co się stanie, jeśli któregoś dnia zarówno wam, jak i rządowi zabraknie pieniędzy?
- przyłączyła się do rozmowy dyrektorka muzeum.

- Rola Banku Federalnego nie polega na wspieraniu rządu ani na pomaganiu mu w rozwijaniu gospodarki, walce z bezrobociem czy wysiłkach na rzecz zrównoważenia bilansu handlowego. Podstawowe zadanie *Bundesbank* polega na utrzymywaniu stabilności waluty.

- Może tak to wygląda z pańskiego punktu widzenia - stwierdziła mezzosopranistka. - Ale wystarczy większość w bońskim parlamencie, by politycy mogli wyznaczyć Bankowi Federalnemu każdą rolę, jaką zechcą.

Bankier ukroił sobie kolejny kawałek bardzo aromatycznego sera *Limburger* i wziął kromkę ciemnego chleba, jakby zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Jesteśmy przekonani - odparł w końcu - że niezależność *Bundesbank* uważana jest obecnie za wymóg konstytucyjny. Żaden rząd nie odważyłby się narazić opinii publicznej usiłując objąć nad nami kontrolę opierając się na parlamentarnej większości.

- Dyrektorzy Banku Rzeszy - wtrącił syn Franka Harringtona, który studiował historię w Cambridge - mówili zapewne dokładnie to samo, dopóki Hitler nie zmienił odpowiedniej ustawy i nie uzyskał prawa do drukowania dowolnych ilości pieniędzy.

- Tak jak robicie to w Anglii? - spytał uprzejmie przedstawiciel *Bundesbank*.

Pani Harrington pospiesznie zwróciła się do mezzosopranistki i spytała:

- A co pani słyszała o nowej inscenizacji *Parsifaldl*

- *Du siehst, mein Sohn, zum Raum wird hier die Zeit*. Te słowa: - „Widzisz, mój synu, tu czas zamienia się w przestrzeń” - stały się dla pani Harrington, mezzosopranistki i dyrektorki muzeum pretekstem do roztrząsania fabuły *Parsifala* w poszukiwaniu filozoficznych aluzji i symboli. Było to bogate źródło materiału do dyskusji przy deserze, ale mnie znudziło jej słuchanie i uznałem, że przyjemniej będzie spierać się z Poppy o zalety *alcool blanc* i o to, czy lepszy jest on w wersji *poire, framboise, quetsche* czy *mirabelle*. Sporu tego nie rozstrzygnęła nawet prowadzona przez nas gorliwa degustacja zawartości licznych butelek ustawionych na podręcznym barze. W końcu Poppy wstała od stołu mówiąc: - Damy dyskretnie znikają. Chodź ze mną.

Chęć poflirtowania z nią była pochodną wszystkich obaw i wątpliwości dotyczących Fiony. Chciałem dowieść samemu sobie, że i ja potrafię zrobić skok w bok, a Poppy wydawała się idealną zdobyczą. Ale byłem na tyle trzeźwy, by zdać sobie sprawę, że nie jest to odpowiedni moment, a dom Franka Harringtona z pewnością nie jest odpowiednim miejscem

- Najdroższa Poppy - powiedziałem, ośmielony przez krążącą w moich żyłach mieszkankę różnych *eaux de vie* - nie możesz mnie teraz porzucić. Nigdy nie wstanę na nogi o własnych siłach. - Udawałem, że jestem bardzo pijany. Prawda wyglądała tak, że jak wszyscy

agenci operacyjni, którym udało się przeżyć, nie pamiętałem już nawet, co to znaczy naprawdę się upić.

- Najlepsza jest *poire* - stwierdziła biorąc do rąk butelkę. - A ty, przyjacielu, sam wpędziłeś się w maliny. - Z hałasem postawiła przede mną na stole butelkę *framboise*.

Odeszła, przyciskając do piersi w połowie pełną butelkę gruszkówki, pustą szklankę oraz swoje zdjęte dla wygody z nóg pantofle. Patrzyłem za nią z żalem. Była kobietą w moim typie. Wypiłem dwie filiżanki czarnej kawy i podszedłem do stojącego w przeciwległym kącie pokoju Franka Harringtona.

- Widziałem się wczoraj z Wernerem - oznajmiłem mu.

- Współczuję ci - odparł Frank. - Skoro chcesz rozmawiać na ten temat, to pozwól, że doleję ci koniaku. - Sięgnął po butelkę, ale ja zasłoniłem wylot swojej szklanki. - Co za idiota ze mnie. Przecież ty dziś pijesz damskie drinki.

- Uważa, że traktujesz go niesprawiedliwie - ciągnąłem puszczając mimo uszu jego aluzję.

Frank dolał sobie koniaku marszcząc brwi, jakby głęboko się nad czymś zastanawiał. Odstawił butelkę na boczny stolik, a potem dopiero zdecydował się na odpowiedź. - W jego aktach jest wyraźna instrukcja. Wiesz o tym, Bernard, bo ją czytałeś.

- Tak. Sprawdziłem to. Pochodzi sprzed pięciu lat. Może nadszedł moment, w którym powinniśmy dać mu jeszcze jedną szansę?

- Masz na myśli jakąś niezbyt delikatną sprawę? Hmm.

- Czuje się odstawiony na boczny tor.

- Nie dziwię się - odparł Frank. - Amerykanie nie zatrudniają go już, a nigdy właściwie nie pracował tu dla nikogo innego.

Spojrzałem na niego kiwając głową, by unaocznić mu, że uważam jego odpowiedź za idiotyczną: Amerykanie otrzymali kopię naszego memorandum, z którego wynikało, że nie należy zatrudniać Wenera. Nie posłużyliby się nim bez bardzo ważnego powodu.

- On uważa, że jesteś do niego osobiście uprzedzony.

- Czy powiedział ci dlaczego?

- Mówi, że nie ma pojęcia.

Frank rozejrzał się po pokoju. Funkcjonariusz policji dyskutował z Poppy; wyczuł spojrzenie Franka i uśmiechnął się do niego. Syn Franka rozmawiał z mezzosopranistką, a pani Harrington mówiła właśnie pokojówce - ubranej w biały czepek i fartuszek, jakie znałem tylko ze starych fotografii - żeby przyniosła jeszcze trochę tego odświeżającego półsłodkiego szampana. Frank odwrócił się ponownie do mnie, jakby żałując, że żadna inna sprawa nie

wymaga jego natychmiastowej interwencji.- Być może powinienem ci opowiedzieć o tej sprawie z Wernerem już wcześniej - stwierdził. - Ale staram się mówić wszystkim tylko tyle, ile powinni wiedzieć.

- Oczywiście - przyznałem. Poppy śmiała się głośno z czegoś, co powiedział do niej policjant. Czyżby naprawdę uważała, że jest tak zabawny?

- Pewnego wieczora, jeszcze w 1978, zostawiłem pod opieką Wenera nasze centrum łączności. W eterze panował okropny tłok. Gang Baader-Meinhof porwał boeinga *Lufthansy* i Bonn było przekonane, że lecą nim do Pragi... Spytaj swoją żonę, na pewno pamięta tę noc. Nikt nie zmrużył oka. - Wypił łyżeczek koniaku. - Około trzeciej nad ranem przyszedł szyfrant z przechwyconą depeszą, którą nadała radiostacja Armii Sowieckiej w Karlshorst. Głównodowodzący generał rozkazywał w niej, aby jakieś lotnisko wojskowe w południowo-zachodniej Czechosłowacji utrzymywane było w stanie pogotowia przez dwadzieścia cztery godziny na dobę aż do odwołania. Wiedziałem, do czego odnosi się ta depesza, bo widziałem inne przekazy i byłem pewien, że nie ma ona nic wspólnego z akcją grupy Baader-Meinhof, więc kazałem jej na razie nie ujawniać. Tylko nasza stacja podsłuchowa przechwyciła tej nocy tę depeszę; ustaliłem to na podstawie informacji uzyskanych z NATO.

- Nie bardzo wiem, do czego zmierzasz, Frank - powiedziałem.

- Ta cholerna depesza została ponownie nadana z Karlshorst - z ostrzeżeniem, że została podsłuchana. Werner był jedynym człowiekiem, który o niej wiedział.

- Nie jedynym, Frank. Musiał o niej wiedzieć szyfrant, operator aparatury nasłuchowej, urzędnik, który zarejestrował depeszę, kiedy kazałeś ją zatrzymać, twoja sekretarka, twój asystent... mnóstwo ludzi.

- A więc rozmawiałeś wczoraj z drogim, starym Wernerem - powiedział Frank, zręcznie kierując rozmowę na inny tor. - Gdzie miało miejsce to spotkanie - na dworcu Anhalter?

Nie umiałem widocznie ukryć zaskoczenia, bo Frank mówił dalej: - Daj spokój, Bernard. Wylegitymowałeś się tą starą wojskową kartą identyfikacyjną, którą sam ci kiedyś dałem, a ty byłeś zbyt leniwy, by ją zwrócić, kiedy straciła ważność. Wiesz przecież, że te lewe karty mają numery i że dzwonią do nas, ilekroć któraś z nich zostanie wspomniana w meldunku policyjnym. Oczywiście, powiedziałem im, że wszystko w porządku. Domyśliłem się, że to musiałeś być ty. Któż inny siedziałby u Leuschnera późnym wieczorem, kiedy przychodzą tam tylko drobni sprzedawcy narkotyków, alfonsi, kurwy, włóczędzy i jeden nieuleczalny romantyk, Bernard Samson?

- Co tam knujecie? - spytał podchodząc do nas Joe Brody, Amerykanin „od Siemensów”.

- Mówiliśmy o dworcu Anhalter - odparł Frank.

- Przed wojną był to pępek świata - z westchnieniem stwierdził Joe Brody. - Starzy berlińczycy do tej pory chodzą tam na spacer, patrzą na tę wielką ruinę i wyobrażają sobie, że słyszą odgłosy pociągów.

- Joe był tu w 1939 i 1940 - wyjaśnił mi Frank. - Widział Berlin, kiedy hitlerowcy byli u szczytu potęgi.

- Potem wróciłem tu z US Army. Czy mogę powiedzieć wam coś jeszcze o Anhalter Bahnhof? Kiedy otrzymaliśmy kopie rozkazu Stalina, w którym polecał dowódcom Frontu Białoruskiego i Frontu Ukraińskiego przystąpić do równoczesnego ataku, mającego doprowadzić do zdobycia Berlina i zakończenia wojny, Anhalter Bahnhof wymieniony był w nim jako punkt spotkania obu tych wielkich armii.

Frank kiwnął głową i powiedział: - Joe, powiedz Bernardowi, co zrobiliśmy w sprawie tej depechy z Karlshorst... w której rosyjski generał kazał utrzymywać w stanie gotowości to lotnisko. Czy przypominasz sobie? Joe Brody, łysy, bystrooki Amerykanin, łapał się w chwilach namysłu za nos, jak człowiek, który ma za chwilę wskoczyć do głębokiej wody.

- Co chciałby pan wiedzieć, panie Samson?

- Powiedz mu, jak odkryliśmy, kto ujawnił, że depecha została przechwycona - odpowiedział w moim imieniu Frank.

- Musi pan pamiętać, że nie była to jakaś nadzwyczaj ważna sprawa - odpowiedział powoli Joe Brody. - Ale Frank uważał ją za tak istotną, że zawiesił prawo dostępu do poufnych informacji wszystkim osobom, które pełniły tej nocy służbę, dopóki nie zbadaliśmy, o co chodzi.

- Sprawdziliśmy każdego, kto miał dostęp do tej depechy - dodał Frank. - Nie miałem nic przeciwko Wernerowi. Szczerze mówiąc podejrzewałem tego szyfranta, ale okazał się czysty.

- Czy Giles Trent zajmował się w tym czasie łącznością?

- Giles Trent? Owszem, on też tu wtedy był.

- Nie, nie - powiedział Brody. - W żaden sposób nie może pan tego zwalić na Gilesa Trenta. O ile wiem, nie miał dostępu do depech radiowych.

- Czy pamięta pan to dokładnie? - spytałem.

Brody błyskając okularami w złotych oprawkach rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt nie może go podsłuchać.

- Frank dał mi wolną rękę - oznajmił. - Powiedział, że mogę kopać tak głęboko, jak zechcę. Chodziło mu pewnie o to, bym oświadczył potem swoim szefom, że wy, Brytyjczycy, nie będziecie w przyszłości niczego tuszować. - Frank oblizał wargi i uśmiechnął się, by pokazać, że choć zna tę historię, nadal uważnie jej słucha. - Więc kopałem. To był ten wasz Werner Jakiśtam...

- Werner Volkmann - odpowiedziałem.

- Volkmann. Zgadza się! - przyznał Brody. - Wyeliminowaliśmy innych podejrzanych, jednego po drugim. Ten drugi facet - Trent, Giles Trent - zajął nam sporo czasu, bo Londyn zaczął utrudniać nam dostęp do jego akt. - Raz jeszcze złapał się za nos. - Proszę mi wierzyć, winnym przecieku był Volkmann. Przeprowadzałem setki tego rodzaju dochodzeń.

- I nigdy nie popełnił pan błędu? - spytałem.

- Takiego błędu nigdy - odparł Brody. - Nie mam zwyczaju podważać czyjejś lojalności tylko po to, by pokazać, jaki jestem ważny. To był Volkmann. Ani Trent, ani żaden z pozostałych; chyba że wszyscy mnie okłamywali. Może pan więc powiedzieć swoim kolegom w Londynie, że ta sprawa jest nieodwołalnie zamknięta.

- A gdybym panu powiedział, że akta Trenta znajdują się obecnie w pomarańczowej teczce?

- Jezu Chryste! - powiedział Brody bez zbytniego przejęcia. - Chyba nie zanosি się na kolejną aferę?

- Wygląda na to, że została zlikwidowana w zarodku - odparłem. - Ale byłoby bardzo trudno mnie przekonać, że Trent nie maczał palców również w tej waszej historii.

- Znam to uczucie, młody człowieku - powiedział Brody. - Badania i dochodzenia są bezsensowne, jeśli nie potwierdzają osobistych poglądów, których dopracowaliśmy się z takim trudem.

- Każdy, tylko nie Werner - czyż nie tak wygląda twoja linia rozumowania? - spytał Frank.

- Nie! - powiedziałem zbyt głośno. - Nie w tym rzecz.

- Bernard chodził z Wernerem do szkoły - wyjaśnił Frank Amerykaninowi.

- Pańska lojalność wystawia panu dobre świadectwo, chłopcze - powiedział Brody. - Mój Boże, znałem facetów, którzy w pańskiej sytuacji próbowali zwalić winę na własne żony. Frank Harrington roześmiał się głośno, a Brody poszedł za jego przykładem.

* * *

Następnego ranka jadłem śniadanie z Lisi. Siedzieliśmy w pokoju, który nazywała swoją pracownią. Z balkonu widać było ruch uliczny na Kantstrasse.

Był to piękny pokój, a ja pamiętałem go z czasów mego dzieciństwa, kiedy jako mały chłopiec przychodziłem tu z ojcem, by dokonać comiesięcznego rozliczenia. Ściany pokryte były małymi oprawionymi fotografiami, ale oko dziecka dostrzegało wiele innych cudów. Małe stoliki pełne tabakerek z kości słoniowej, przerobiony na popielniczkę brązowy fragment naboju armatniego z okresu Pierwszej Wojny, w którym wykuto młotkiem słowa PREZENT Z LEMBURGA, a jego krawędzie ozdobiono guzikami od rosyjskich mundurów. Dwa wachlarze, otwarte i ukazujące japońskie krajobrazy, mały porcelanowy sterowiec z napisem BERLINSTAAKEN, lornetka teatralna z żółknącej kości słoniowej i nie chodzący zegar w srebrnej obudowie. Najbardziej zachwycał mnie, jako małego chłopca, pruski medal przyznany dziadkowi Lisi; arcydzieło militarnego jubilerstwa, wyeksponowane na tle czerwonego aksamitu w srebrnej ramce, którą pokojówki Lisi czyściły stale do połysku. Śniadanie podano nam na małym stoliku pod oknem, które było na tyle otwarte, by ruch powietrza poruszał koronkową firanką, ale nie wykrochmalonym lnianym obrusem. Lisi siedziała na wysokim krześle, z którego mogła podnieść się o własnych siłach. Przyszedłem dokładnie o umówionej godzinie; wiedziałem, że nic tak kompletnie nie rujnuje spotkania z Niemcem jak niepunktualność.

- *Mein Liebchen* - powiedziała Lisi. - Pocałuj mnie. Nie mogę ciągle wstawać i siadać - to ten cholerny artretyzm.

Pochyliłem się i pocałowałem ją w policzek uważając, by nie naruszyć grubych warstw pudru, różu i szminki do ust. Zastanawiałem się, jak wcześnie musiała wstać, by przygotować fryzurę i makijaż.

- Nic nigdy tu nie zmieniał - powiedziałem. - Twój uroczy pokój jest równie piękny jak zawsze.

- *Nein, nein* - powiedziała z uśmiechem. Mówiła z charakterystycznym berlińskim akcentem: *ny-yen, ny-yen*. Kiedy słyszałem kogoś, kto tak mówi, wiedziałem, że jestem w domu.

- Wygląda dokładnie tak samo jak za życia mojego ojca - powiedziałem.

- Wygląda dokładnie tak samo jak za życia *mojego* ojca - odparła, wyraźnie zadowolona z moich komplementów odnośnie do pokoju. Spojrzała wokół, by się upewnić, czy mówi prawdę. - Przez kilka lat mieliśmy tu, nad kominkiem, fotografię Fihrera - fotografię z autografem - ale z ulgą powiesiłam tam na nowo Kaisera Wilhelma.

- Mimo że nie jest podpisana - dodałem.

- Jesteś bezczelny - upomniała mnie Lisi, ale pozwoliła sobie na uśmiech. - A więc skończyłeś pracę i wracasz do swojej uroczej żony i dzieci. Kiedy je przywieziesz, żebym je mogła zobaczyć, kochanie?

- Niedługo - odparłem nalewając sobie kawy.

- Lepiej się pospiesz - powiedziała chichocząc - bo twoja *Tante* Lisi może wyciągnąć nogi. - Oderwała kawałek bułki i dodała: - Werner mówi, że my, Niemcy, mamy zbyt wiele terminów na określenie śmierci. Czy to prawda?

- Po angielsku mówimy „śmiertelnie spokojny”, „śmiertelnie zmęczony”, „śmiertelnie poważny” i tak dalej. Język niemiecki jest bardziej precyzyjny i ma inne słowo na każdą okazję.

- Werner mówi, że Niemcy mają tysiąc słów na określenie śmierci, na tej samej zasadzie, na jakiej Eskimosi mają podobno tyle wyrazów określających śnieg. A Żydzi - tyle słów określających idiotę.

- Naprawdę?

- *Schmo, schlemiel, schnook, schmuck* - powiedziała wybuchając śmiechem.

- Często widzisz Wenera?

- To dobry chłopiec. Teraz, kiedy nie mogę chodzić o własnych siłach, czuję się czasem samotna, a Werner wpada do mnie z wizytą, kiedy jest w okolicy. On jest mniej więcej w tym samym wieku co ty.

- Jest trochę starszy, ale chodziliśmy w szkole do tej samej klasy.

- Pamiętam wieczór jego narodzin. To było 1 marca 1943. Mieliśmy ciężki nalot - pożary na Bachstrasse i Sigismundhof. Ucierpiała też Unter den Linden, a przejście do Friedrichstrasse zostało kompletnie zniszczone. Niewypały leżały na terenie ambasady włoskiej i w rezydencji rodziny Richthofenów. Jakaś bomba zatrzymała zegar kościelny na Ku-Dam, który od tej pory wskazuje siódmą trzydzieści. Czasem mówię do Wenera: - „To ty zatrzymałeś ten zegar w dniu, w którym się urodziłeś”. Jego matka była u nas kucharką. Mieszkała z mężem na jakimś strychu, o cztery domy stąd. Poszłam po nią i przyprowadziłam ją tutaj tuż przed porodem. Czy wiedziałeś, że Werner urodził się w tym domu? Oczywiście, że wiedziałeś, ja sama musiałam ci o tym mówić z tysiąc razy.

- Werner... - powiedziałem. - Czy to odpowiednie imię dla miłego żydowskiego chłopca?

- Jedno imię dla świata, drugie dla rodziny - odparła Lisi. - Oni zawsze tak robią.

- Czy ukrywałaś całą tę rodzinę, Lisi? - spytałem. - A co było z jego ojcem?

- Jego ojciec był wielkim, silnym mężczyzną - Werner odziedziczył tę budowę po nim - i przez całą wojnę pracował jako grabarz na żydowskim cmentarzu w Weissensee.

- I nigdy go nie aresztowano?

Na jej twarzy pojawił się uśmiech, który często widywałem na twarzach innych Niemców, uśmiech zarezerwowany dla tych, którzy i tak nigdy tego nie zrozumieją.

- Po to, żeby hitlerowcy musieli wyznaczyć Aryjczyków do kopania żydowskich grobów i grzebania zmarłych Żydów? Nie, pracownicy cmentarza w Weissensee nigdy nie byli aresztowani. Kiedy w roku 1945 weszli tu Rosjanie, rabin nadal był na wolności. Pracował jako grabarz razem z papą Wenera. - Roześmiała się, ale ja nie poszedłem za jej przykładem. Tylko ludzie, którzy przeżyli wkroczenie Rosjan, mieli prawo śmiać się mówiąc na ten temat.

- Ojciec Wenera umarł dopiero po wojnie. Umarł na skutek wieloletniego niedożywienia.- Werner miał szczęście - powiedziałem. - Pięcioletnie sieroty nie miały wielkich szans.

- Czy on ma jakieś kłopoty? - spytała Lisi. Wyczuła w moim głosie niezamierzony ton sympatii.

- Werner potrafi być uparty - powiedziałem po chwili wahania.

- Dałam mu połowę moich oszczędności, *Liebchen*.

- On cię nie oszuka, Lisi.

- Nie mogę sobie pozwolić na stratę tych pieniędzy - powiedziała trzepocząc uczerwonionymi rękami. - Zainwestowałam je, ale Werner powiedział, że znajdzie mi lepszą lokatę. Mam to wszystko na piśmie. Łatwo się ze mną dogadać i Werner o tym wie.

- On cię nie oszuka, *Tante* Lisi. Werner zawdzięcza ci tak wiele, że nigdy nie zdoła się odwdziżyć i dobrze o tym wie. Ale jeśli straci twoje pieniądze, to żaden dokument nie pomoże ci ich odzyskać.

- To miało coś wspólnego z eksportem - wyznała Lisi, jakby ten dowód zaufania mógł mnie skłonić do udzielenia jej pomocy.

- Muszę tu przyjechać jeszcze raz - powiedziałem. - Pogadam z nim podczas mojej następnej wizyty. Ale powinnaś ostrożniej postępować ze swoimi pieniędzmi, Lisi.

- Ostrożniej? - spytała, pogardliwie gwizdnąwszy przez zęby. - Jednej z najstarszych, największych, najbogatszych korporacji w Niemczech grozi bankructwo, a ty mi mówisz, żebym była ostrożna. Więc jak mam zainwestować swoje oszczędności?

- Zrobię, co będę mógł, Lisi.

- Samotna kobieta jest w takich sprawach bezradna, kochanie.

- Wiem, Lisi, wiem. - Zdałem sobie sprawę, że znowu myślę o Fionie. Przypomniałem sobie, jak telefonowałem do niej z Berlina podczas jednej z poprzednich podróży. Dzwoniłem dwa czy trzy razy w ciągu nocy i nikt nie odbierał telefonu. Powiedziała, że był uszkodzony, ale ja nie pozbyłem się wątpliwości.

Słabe promienie słońca padały na perski dywan tworząc złoty snop światła, w którym wirowały drobiny kurzu. Lisi zamilkła, by pogryźć kawałek bułki. Zadzwoił telefon. Okazało się, że dzwoni Frank Harrington i chce rozmawiać ze mną.

- Bernard? Cieszę się, że cię złapałem. Wysyłam samochód, żeby zawiózł cię dziś po południu na lotnisko. O której chcesz wyjechać od *Frau Hennig*? Czy zamierzasz zatrzymać się gdzieś po drodze?

- Zamówiłem już samochód, Frank. Ale tak czy owak bardzo ci dziękuję.

- Nie, nie, musisz skorzystać z mojego.

- Nie mogę już go odwołać, Frank.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Potem Frank powiedział: - Widząc cię wczoraj wieczorem, poczułem się jak za dawnych lat.

- Powinienem być wam podziękować - stwierdziłem, choć kazałem już doręczyć pani Harrington bukiet kwiatów.

- Ta nasza rozmowa... wiesz o kim... mam nadzieję, że nie zrelacjonujesz jej w Londynie na piśmie.

A więc o to mu chodziło. - Będę dyskretny, Frank - obiecałem.

- Wiem, że będziesz, stary. No więc, skoro nie chcesz, żebym ci przysłał samochód...

Wiedziałem, że „samochodem” okaże się sam Frank, który „akurat jedzie w tamtym kierunku” i który będzie mi wiercił dziurę w brzuchu aż do odlotu. Więc podziękowałem z udanym żalem i odłożyłem słuchawkę.

- Frank Harrington? - spytała Lisi. - Z pewnością chciał cię prosić o jakąś przysługę.

- Frank zawsze za bardzo się wszystkim przejmował. Sama o tym wiesz.

- Nie próbuje chyba pożyczyć od ciebie pieniędzy, co?

- Nie wyobrażam sobie, żeby mogło mu ich brakować.

- Utrzymuje duży dom w Anglii i tę tutejszą rezydencję. Ciągłe przyjmuje gości.

- To należy do jego obowiązków służbowych, Lisi - powiedziałem. Od dawna już byłem przyzwyczajony do utyskiwania Lisi na rozrzutność funkcjonariuszy rządowych.

- A ta mała ślicznotka, którą ukrywa w Liibars - czy ona też należy do jego obowiązków służbowych? - Jej wybuch śmiechu przypominał raczej złośliwe parsknięcie.

- Frank?

- Ja o wszystkim słyszę, kochanie. Ludzie myślą, że jestem tylko głupią starą kobietą, zamkniętą w swoim pokoju i wcierającą sobie maść w kolana, ale ja o wszystkim słyszę.

- Frank był w wojsku z moim ojcem. Musi mieć z sześćdziesiąt lat.

- To niebezpieczny wiek, kochanie. Czy nie wiedziałeś o tym? Ciebie też czeka niebezpieczny okres po sześćdziesiątce, *Liebchen*. - Rozlała trochę kawy próbując donieść ją do ust i nie roześmiać się.

- Musiałaś słuchać gadania Wenera - powiedziałem. Znowu zatrzepotała rzęsami. Potem utkwiła we mnie stalowe spojrzenie.

- Myślisz, że uda ci się ze mnie wyciągnąć, skąd to wiem. Znam twoje sztuczki, Bernard. - Pogroziła mi palcem. - Ale to nie był Werner. A ja wiem wszystko o Franku Harringtonie, który przychodzi tu starając się wyglądać jak niewiniątko. Jego żona spędza zbyt dużo czasu w Anglii, a Frank znalazł sobie na miejscu inne rozrywki.

- Jesteś kopalnią informacji, *Tante Lisi* - powiedziałem. Mówiłem spokojnym tonem, by jej pokazać, że nie jestem zbyt przekonany o prawdziwości informacji dotyczących podwójnego życia Franka, i że nie byłbym zbyt przejęty, nawet gdybym był przekonany.

- Człowiek pracujący w jego zawodzie powinien być mądrzejszy. Facet utrzymujący kochankę w kosztownym małym domku w Liibars może narazić się na szantaż.

- Chyba tak.

Myślałem, że zamierza zmienić temat, ale ona nie powstrzymała się od końcowej uwagi.

- A poza tym Liibars leży tuż obok Muru... cholernie blisko stamtąd do Ruskich.

- Wiem, gdzie jest Liibars, Lisi - stwierdziłem z niechęcią.

- *Happy Birthday*, kochanie - powiedziała, gdy byłem już przy drzwiach.

- Dziękuję, Lisi - odparłem. Zawsze pamiętała o moich urodzinach.

ROZDZIAŁ XII

Z najwyższych pięter barwnych budynków Markisches Viertel, dzielnicy Berlina zwanej przez architektów „planowanym osiedlem”, a przez sześćdziesiąt tysięcy jej mieszkańców „betonową dżunglą”, można zajrzeć ponad pobliską linią graniczną w głąb Sektora Wschodniego.

- Niektórym się tu podoba - powiedział Axel Mauser. - A przynajmniej tak twierdzą. - Axel bardzo się postarzał w ciągu ostatnich kilku lat. Był o trzy miesiące młodszy niż ja, ale jego ściągnięta blada twarz, jego łysina oraz zwyczaj garbienia się, nabyty w ciągu wielu lat pracy przy biurku, sprawiały, że wyglądał raczej na pięćdziesięcio - niż na czterdziestolatka. -

Mówią, że dobrze jest mieszkać w osiedlu, w którym ma się wszystko na miejscu: sklepy, kościół, basen kąpielowy i restauracje.

Wypiłem łyk piwa i rozejrzałem się po pokoju. Był zupełnie nagi; nie było w nim ani książek, ani obrazów, ani sprzętu muzycznego, ani nawet dywanu. Tylko telewizor, kanapa, dwa fotele i niski stolik, na którym stał wazon ze sztucznymi kwiatami. W jednym kącie rozpostarta była gazeta, mająca chronić podłogę przed olejem. Na niej leżały porozkładane części wyścigowego roweru, który Axel naprawiał, aby ofiarować w prezencie urodzinowym swemu kilkunastoletniemu synowi.

- Wypij swoje piwo, to naleję ci więcej. Nie, ja nienawidzę tego osiedla. Mamy w nim dwanaście szkół i piętnaście przedszkoli. Dwanaście szkół! Czuję się tu jak jakiś cholerny termit. Niektóre z tych dzieci nigdy nie były w centrum; nie widziały Berlina, w którym dorastaliśmy.

- Może jest im lepiej bez tego - powiedziałem.- Masz rację, Bernd - powiedział otwierając z trzaskiem i sykiem puszkę piwa *Export Pils*. - Cóż mogą te dzieci znaleźć w centrum miasta oprócz przestępców, narkomanów i nędzy? - Wlał połowę puszkę do swojej szklanki, resztę zaś do mojej. Taki właśnie był Axel; lubił się wszystkim dzielić.

- No cóż, masz za to widok, który wart jest wszystkie pieniądze.

- To zdumiewające, jak dobra jest widoczność w prawdziwie bezchmurny dzień. Ale chętnie oddałbym ten widok za tę starą norę, którą miał mój dziadek. Ciągłe słyszę o „niemieckim cudzie”, ale wcale go nie widzę. Mój ojciec dał mi na dwudzieste urodziny nowy rower. A cóż ja mogę dać mojemu najstarszemu synowi? Stać mnie tylko na ten, który jest używany.

- Dzieci nie rozumują w taki sposób, Axel - powiedziałem. - Nawet ja widzę, że to specjalny model wyścigowy. Będzie z niego jeszcze bardziej zadowolony wiedząc, że ciężko pracowałeś, żeby go wyremontować.

Axel Mauser był jednym z najbystrzejszych chłopców w szkole; należał do najlepszych z chemii i matematyki i tak gorliwie uczył się języków, że pożyczał mi swój rower w zamian za konwersację angielską. Teraz pracował w archiwum *Polizeiprdsidium* jako starszy referent i mieszkał w tym małym mieszkaniu wraz z trojgiem dzieci i żoną, która - nawet w sobotę - pracowała w pobliskiej fabryce AEG, by mogli pozwolić sobie na utrzymanie kupionego z drugiej ręki BMW i coroczne grupowe wakacje na wyspie Ibiza.

- Ale dokąd mogę się wyprowadzić przy moich zarobkach? - spytał. - Czy wiesz, ile kosztuje dziś w Berlinie wynajęcie mieszkania?

- Twój ojciec wrócił na stałe do NRD.

- To wszystko przez tego przekłętego durnia Bindera - stwierdził z ponurym uśmiechem Axel. - Max Binder... pamiętasz?... taki *Spieler*...

Zastanawiałem się przez chwilę, czy mówiąc: *Spieler*, chce powiedzieć: „błazen” czy „hazardzista”. Max był po trosze jednym i drugim.

- Zawsze lubiłem Maxa - powiedziałem.

Axel zrobił pauzę, jakby zamierzał rozpocząć ze mną spór, ale po chwili ciągnął dalej:
- Max stale pisał do ojca, jak świetnie mu się żyje po tamtej stronie. Ojciec we wszystko wierzył. Wiesz, jaki on jest. Stale utyskiwał, że już od trzydziestu lat nie może pójść na spacer po Unter den Linden. Zastanawiał się, czy na Alexanderplatz spotkałby dawnych przyjaciół - ten cholerny „Alex” był dla niego wszystkim - i mówił, że chce zobaczyć, jak odrestaurowano katedrę. Stale rozmawiał z *Tante Lisi* w tym jej barze, kiedy nie było klientów i oboje opowiadali sobie z nostalgicznym wzruszeniem, jak widzieli prezydenta Hindenburga w Bristolu czy Lotte Lenya w Wintergarten...

- ...i jak rozmawiali z Josephem Goebbelsem przy barze w Kaiserhof - dokończyłem. - Owszem, znam te wszystkie historyjki. Kiedy byłem młody, nie mogłem się nasłuchać tych anegdotek twojego ojca. Widywałem go często, kiedy prowadził bar u Lisi. - Z sąsiedniego mieszkania dochodził nieustannie ryk syren policyjnych, strzelanina i radosne okrzyki dzieci oglądających telewizję. Axel podszedł do ściany i uderzył w nią mocno otwartą dłonią. Nie odniosło to żadnego skutku poza tym, że niektóre z plastikowych kwiatów zatrzęsły się lekko w wazonie.

- Pracował też dla twojego ojca - dodał Axel wzdrygając się pod wpływem dochodzącego zza ściany hałasu. - A co będzie, jeśli odkryją, że wykonywał te zlecenia dla twojego ojca? Wsadzą go do więzienia.

- Nie traktuj go jak dzieciaka, Axel. Rolf jest twardym, starym draniem. Umie dbać o swoje interesy.

Axel kiwnął potakująco głową.

- Więc powiedziałem mu: „Tato, jeśli myślisz, że przechodząc na drugą stronę odzyskasz swoją młodość, to idź. I weź ze sobą *Tante Lisi*”... Kiedy moja matka jeszcze żyła, nie chciała słuchać tych jego opowieści. Mówiła mu po prostu, żeby się zamknął.

- A on znalazł chętne audytorium przy tym barze.

- Zawsze narzekał na tę pracę u *Tante Lisi*, prawda. Ale uwielbiał stać za barem i rozprawiać o „prawdziwym Berlinie”, w którym szanowano jeszcze chrześcijańskie zasady - *eine christliche Weltanschauung*. A kiedy kilku klientów postawiło mu drinka, zaczynał mówić o *Kaiserzeit*, jakby był generałem w pierwszej wojnie, a nie kapitanem artylerii w drugiej. -

Axel wypił łyk piwa. - Najgorszym durniem jest stary dureń! - powiedział z nieoczekiwaną gwałtownością i zaczął przyglądać się zawartości swej szklanki, żeby nie mógł spojrzeć mu w oczy. - Ale nie darowałbym sobie, gdyby coś mu się stało, Bernd.

- Wiem - odparłem. - Ale nie martw się o niego. Ma już ponad sześćdziesiąt pięć lat, więc może wyjeżdżać na Zachód.

- Czasem widuje się z Wernerem. - Spojrzał na mnie badawczo. - Robią wspólnie jakieś interesy. - Było to raczej pytanie niż stwierdzenie.

- Doprawdy?

- Czy ty nadal masz coś wspólnego z wywiadem wojskowym? Kiwnąłem głową. Było to moje alibi dla takich berlińczyków jak Axel, którzy pamiętali mojego ojca, wiedzieli, że często tu przyjeżdżam i od czasu do czasu użyczali mi swojej kanapy lub samochodu. Nie było to alibi, które przysporzyłoby mi szacunku wśród Niemców Niemcy to jedyny na świecie kraj, w którym człowiek zatrudniony w jakiegokolwiek instytucji wywiadowczej cieszy się niewiele większym uznaniem niż alfons. Jest to pokłosie lat powojennych, podczas których wszędzie roiło się od donosicieli.

- Ale nie masz nic przeciwko mojemu ojcu?

- Przestań się o niego martwić, Axel - powtórzyłem. - Rolf przetrwał wojnę, a potem przeżył lata powojenne. Jestem pewien, że dobrze sobie radzi. Być może podczas następnej wyprawy do Sektora Wschodniego znajdę czas, by się z nim spotkać. Jeśli chcesz, mogę coś dla niego zabrać.

- Więc o co naprawdę chodzi, Bernd? - Axel wstał z fotela podszedł do okna i spojrzął w kierunku wznoszącej się nad Alexanderplatz wieży enerdowskiej telewizji. Niegdyś było to serce miasta; piesi uskakiwali przed rowerami, rowerzyści omijali samochody, a samochody unikały kolizji z tramwajami, które przejeżdżały przez pięciopasmowe skrzyżowanie z zastraszającą prędkością. Teraz ruch uliczny zniknął, a „Alex” był jedynie uporządkowanym betonowym placem, pełnym czerwonych flag, skrzynek z kwiatami i sloganów politycznych.

- Może zechcesz w końcu mi powiedzieć?

- Ale co?

- Miło jest się z tobą zobaczyć, Bernd. Ale jak sam mówisz, pracujesz teraz głównie w Londynie. Jesteś w mieście tylko dwa dni i masz spotkania z wieloma dawnymi przyjaciółmi, więc nie mów mi, że przyjechałeś do mojej klitki tylko po to, by rozmawiać o tym, jak dobrze zdawałem egzaminy z chemii, pić piwo - które jak zauważyłem, pijesz bardzo, bardzo powoli jak policjant na służbie - słuchać wrzasków dzieci sąsiadów i siedzieć koło piecyka, ponieważ

nie stać mnie na to, by go podkreślić. Musisz mieć jakiś powód, dla którego tu przyszedłeś i myślę, że chcesz mnie poprosić o przysługę.

- Czy pamiętasz, jak dwa lata temu szukałem chłopaka, który ukradł teczkę z jakiegoś biura położonego niedaleko stacji ZOO?

- Podałeś mi numer skrytki pocztowej i prosiłeś, żebym sprawdził, kto ją wynajmuje. Ale to było oficjalne podanie. Nadeszło za pośrednictwem brytyjskich władz wojskowych.

- Ta sprawa jest bardziej delikatna, Axel. - Wyjąłem z kieszeni kopertę, którą Frank Harrington zostawił w moim planie Londynu. Axel niechętnie wziął ją do ręki, a nawet kiedy to zrobił, nie spojrzał na nią od razu. - Domyślam się, że to pilna sprawa? Takie sprawy są zawsze pilne. - Zerknął na adres.

- Owszem, Axel. W przeciwnym razie dowiedziałbym się tego za pośrednictwem poczty.

- Czy próbowałeś ostatnio załatwić cokolwiek na naszej wspianej poczcie? - spytał z szyderczym uśmiechem Axel. - W ubiegłym tygodniu doręczenie listu wrzuconego do skrzynki w Tiergarten zajęło im cztery dni, a kiedy doszedł, był przedarty niemal na pół. A wysłanie listu kosztuje teraz... - Odczytał cyfry wchodzące w skład adresu. - Tysiąc to Berlin, a dwadzieścia osiem to Liibars.

- Mówiłeś mi, że *Polizeiprdsidium* przechowuje kopie formularzy, które podpisują osoby wynajmujące skrytki pocztowe. Czy możesz zdobyć nazwisko i adres osoby, która wynajmuje tę skrytkę na poczcie w Liibars? Czy możesz się tego dowiedzieć, nawet w sobotę?

- Zadzwoń z sypialni.

- Dzięki, Axel.

- Wszystko zależy od tego, kto ma dziś rano służbę. Nie mogę nikomu tego nakazać. Jest to surowo wzbronione... przestępstwo kryminalne.

- Gdyby udało mi się natychmiast zakończyć to dochodzenie, mógłbym wrócić do domu.

- Wszyscy myśleliśmy, że wyrośniesz na gangstera - powiedział Axel. - Czy mówiłem ci to już kiedyś?

- Tak, Axel. Mówiłeś mi to wielokrotnie.

- Pytaliśmy pana Storcha, nauczyciela matematyki, ale on powiedział, że wszyscy Anglicy są tacy jak ty.

- Niektórzy są jeszcze gorsi, Axel.

Nie uśmiechając się kiwnął głową. Chciał, żebym wiedział, jak niechętnie to robi. Chciał, żebym w przyszłości zastanowił się dwukrotnie, zanim poproszę go o tego rodzaju przysługę. Kiedy wszedł do sypialni, by zatelefonować, przekręcił klucz w drzwiach. Chciał mieć pewność, że nie będę w stanie podejść na tyle blisko, by go podsłuchać.

Zajął mu to tylko pięć minut. Domyśliłem się, że *Polizeipräsident* ma takie dane w komputerze.

- Adresatka, pani Harrington, jest wynajemcą skrytki. Podała adres w Liibars - powiedział Axel po powrocie z sypialni. - Wiem dokładnie, gdzie to jest. Uliczka pięknych domów z widokiem na pola uprawne. Dałbym wiele, żeby mieszkać w takim miejscu.

- Jak trudno jest wynająć skrytkę pocztową na fałszywe nazwisko? - spytałem.

- To zależy, kto jest na służbie. Ale można bez większego trudu wynająć ją na każde nazwisko, na jakie zechcesz. Wielu ludzi wynajmuje skrytki pocztowe na pseudonim literacki albo sceniczny, i tak dalej.

- Nie byłem w Liibars od czasów naszego dzieciństwa. Czy nadal jest tam tak ładnie jak kiedyś?

- Liibars to małe miasteczko. Niedaleko stąd. Gdyby to okno wychodziło na północ, mógłbym pokazać ci tę uliczkę. Wszystko jest zachowane; mały osiemnastowieczny wiejski kościółek, skwer, na którym rosną piękne kasztany, domy wiejskie i stara oberża. Liibars leży tylko o rzut kamieniem stąd, ale to inny świat.

- Będę się zbierał, Axel - powiedziałem. - Dziękuję za piwo.

- A co będzie, jeśli w poniedziałek mnie wyrzucą? Co wtedy? Ty powiesz, że bardzo ci przykro, a ja spędzę resztę życia próbując utrzymać rodzinę z zasiłków socjalnych.

Nie odezwałem się.

- Jesteś nieodpowiedzialny, Bernd. Zawsze taki byłeś.

* * *

Skłonny byłem przypuszczać, że Frank Harrington ukryje swą kochankę w niewielkim, anonimowym bloku mieszkalnym we francuskim sektorze miasta, gdzie nikt nie zwraca uwagi na sąsiadów. Ale mieszkanie, którego adres podał mi Axel Mauser, znajdowało się na skraju północnego cypla Dzielnicy Zachodniej, na skrawku terenu wciśniętym pomiędzy Las Tegel a Mur. Były tam małe farmy, leżące w niewielkiej odległości od centrum miasta, a na wąskich uliczkach, wybrukowanych kocimi łbami, parkowały obok siebie traktory, porsche i czterolitrowe mercedesy.

Wielkie wille, mające w zamierzeniach projektantów wyglądać tak, jakby stały tam od czasów Bismarcka, były zbyt nieskazitelne, by nie można się było domyślić, że są jedynie

rekonstrukcjami. W ślad za trójką dzieci na dobrze utrzymanych konikach jechałem wolno elegancką, wysadzoną drzewami ulicą. Była ona schludna, czysta i pozbawiona charakteru, jak hollywoodzkie dekoracje, mające przedstawiać stare dzielnice obcych miast.

Pod numerem 40 stał wąski, dwupiętrowy budynek, oddzielony od ulicy ogródkiem, w którym rosły dwa duże drzewa; za domem rozciągał się spory obszar pustego terenu. Na metalowym ogrodzeniu wisiała tabliczka: HODOWLA PSÓW BELLEVUE, a obok niej druga, z napisem: UWAGA, ZŁE PSY, w trzech językach, między innymi po niemiecku. Zanim zdążyłem ją przeczytać, usłyszałem szczekanie psów. Z ich głosu wywnioskowałem, że muszą być bardzo duże.

Minąwszy furtkę dostrzegłem ogrodzony siatką wybieg, na którym stał ceglany barak oraz tłoczące się przy bramce stado psów. - Dobrze pieski! - powiedziałem w ich kierunku, ale chyba mnie nie dosłyszały.

Zza domu wyszła młoda kobieta. Miała około dwudziestu dwóch lat, szare oczy, opaloną twarz i kruczoczarne włosy, związane z tyłu w kok. Ubrana była w beżowe bawełniane spodnie i pasującą do nich koszulę z pagonami na ramionach i zapinanymi na guziki kieszeniami. Strój ten dokładnie przylegał do jej figury. Oprócz tego, miała na sobie podbitą futrem kamizelkę z owczej skóry, ozdobioną kwiecistym haftem, który niegdyś lansowali hippisi.

Obejrzała mnie od stóp do głów, więc musiała zauważyć mój płaszcz *Burberry* i kapelusz w stylu profesora Higginsa.

- Czy przyszedł pan kupić psa? - zapytała dobrą angielszczyzną.

- Tak - odpowiedziałem bez namysłu.

- Mamy tylko owczarki niemieckie.

- Lubię owczarki niemieckie. - Wielki przedstawiciel tej rasy właśnie wyłonił się z domu. Stał o jakieś dwa metry od nas, zerknął w kierunku kobiety, a potem zjeżył się i groźnie na mnie warknął.

- Pan wcale nie przyszedł kupić psa - powiedziała przyglądając się badawczo mojej twarzy. Cokolwiek w niej dojrzała, musiało ją rozbawić, bo uśmiechnęła się ukazując idealnie białe zęby. Pies poszedł za jej przykładem.

- Jestem przyjacielem Franka - wyznałem.

- Mojego Franka?

- Istnieje tylko jeden Frank - odparłem. Uśmiechnęła się, jakbym opowiedział jej dowcip.

- Czy coś się...?

- Nie, Frank czuje się doskonale - odparłem. - W istocie nawet nie wie o moich odwiedzinach u pani.

Dotąd patrzyła na mnie półprzymkniętymi oczami; teraz otworzyła usta i wydała cichy okrzyk zaskoczenia.

- Już wiem; pan jest tym angielskim przyjacielem Wenera, prawda?

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu, jakby onieśmieleni wzajemnym zaskoczeniem.

- Owszem, pani Volkmann - odparłem w końcu. - Ale nie przyszedłem tu w sprawie Wenera.

Rozejrzała się, by zobaczyć, czy z pobliskich ogrodów nie podsłuchują nas sąsiedzi. Ale wszyscy siedzieli w domach, bezpiecznie ukryci za podwójnymi szybami.

- Nie pamiętam pańskiego nazwiska, ale pan jest tym Anglikiem, który chodził z Wenerem do szkoły... Mówi pan bezbłędnie po niemiecku - stwierdziła przechodząc na ten język. - Nie musimy mówić po angielsku. Wpuszczę Rudolfa do wybiegu, a potem wejdziemy do domu i napijemy się kawy. Jest już gotowa. - Rudolf warknął złowrogo. Nie chciał iść na wybieg, chyba że mógłby zabrać mnie tam z sobą.

- W ciągu tygodnia mam dziewczynę do pomocy - mówiła pani Volkmann prowadząc Rudolfa, który potulnie dał się wepchnąć za siatkowe ogrodzenie. - Ale w czasie weekendów nie można nikogo znaleźć, za żadne pieniądze. Mówią o bezrobociu, ale ludzie po prostu nie chcą pracować, na tym polega cały problem. - Teraz rozpoznałem jej akcent. *Ostelbisch*; tak mówią Niemcy pochodzący z terytoriów, które leżą na wschód od Łaby. Podobno nie jest to określenie pejoratywne, ale słyszałem je tylko z ust ludzi, którzy pochodzili z terenów położonych na zachód od Łaby.

Weszliśmy do domu przez spiżarnię. Nad mruczącym zamrażalnikiem stały rzędem tuziny kolorowych plastikowych misek, wypełnionych mieszaniną chleba i siekanego mięsa. Dostrzegłem też ustawione w kącie wiadro ze szczotką do mycia podłóg, zlewozmywak z nierdzewnej stali, półki z puszkami zawierającymi jedzenie dla psów oraz obroże i kolczatki zwisające z wbitych w ścianę kołków.

- Nie mogę wychodzić z domu na dłużej niż godzinę lub dwie, bo szczeniaki trzeba karmić cztery razy dziennie. Dwa mioty. Jeden z nich ma dopiero cztery tygodnie i wymaga stałej opieki. Lada dzień oszczeni się następna suka. Nie brałabym się do tej hodowli, gdybym wiedziała, jak to wygląda.

Weszła po schodkach i otworzyła drzwi wiodące do kuchni. Poczulem miły zapach świeżo parzonej kawy. Tu nie zauważyłem niczego, co miałoby związek z hodowlą. Kuchnia

była niemal nienaturalnie czysta i schludna; z półek zwisały lśniące patelnie, a w kredensie stały migoczące szkła.

Pani domu wyłączyła automatyczny ekspres do kawy, zdjęła dzbanek z podgrzewanej podstawki, postawiła na tacy dodatkową filiżankę ze spodkiem i wysypała na talerzyk kilka herbatników. Filiżanka była duża jak miska i ozdobiona wielkimi, jaskrawymi kwiatami. Przeszliśmy do pokoju wychodzącego na tył domu. Przez wielkie, panoramiczne okno, wbudowane niewątpliwie podczas przebudowy, widać było, daleko za wybiegami dla psów, tereny uprawne.

Przez pole wolno jechał traktor pługując stada gawronów, które poszukiwały pożywienia w brunatnej, przeoranej ziemi. Sielski krajobraz psuła tylko szara linia Muru.

- Można się do tego przyzwyczaić - powiedziała pani Volkmann, jakby odpowiadając na pytanie, które zadawał jej każdy przybysz.

- Nie każdy to potrafi.

Wzięła ze stołu paczkę papierosów, zapaliła jednego z nich i zaciągnęła się głęboko.

- Mój dziadek miał farmę w Prusach Wschodnich - powiedziała. - Przyjechał tu kiedyś i nie mógł oderwać oczu od Muru. Jego gospodarstwo leżało niemal o osiemset kilometrów stąd, ale to były wtedy Niemcy. A czy wie pan, jak daleko jest stąd do Polski? Mniej niż sześćdziesiąt. Oto, co nam zrobił Hitler. Zamienił Niemcy w jedno z tych drugorzędnych, małych państweczek, którymi tak pogardzał.

- Czy mogę nalać nam kawy? - spytałem. - Pięknie pachnie.

- Mój ojciec był nauczycielem. Kazał nam uczyć się historii. Mówił, że to zapobiegnie powtarzaniu się pewnych wydarzeń. - Uśmiechnęła się, ale w jej uśmiechu nie było humoru; był to przelotny, uprzejmy uśmiech, jaki widuje się u modelek prezentujących drogie zegarki.

- Miejmy nadzieję - powiedziałem.

- Ale to niczemu nie zapobiegnie. Niech pan spojrzy na ten świat. Czy nie widzi pan wokół nas innych Hitlerów? Nie ma żadnej różnicy między hitlerowskimi Niemcami a Rosją Andropowa. Sierp i młot mogą wyglądać prawie tak samo jak swastyka, szczególnie kiedy przelatują człowiekowi nad głową. - Wzięła do rąk filiżankę z nalaną przeze mnie kawą. Przyglądałem jej się uważnie. Pod jej gościnnością i uśmiechami dostrzegałem sporą dozę wrogości. - Więc Werner chce, żebym do niego wróciła.

- Wcale nie wie, że tutaj jestem.

- Ale powiedział panu, gdzie mnie znaleźć.

- Czy pani się go boi? - spytałem.

- Nie chcę do niego wracać.

- On myśli, że pani mieszka w Monachium. Że uciekła pani z kierowcą ciężarówki, wożącym coca-cole.

- To był tylko pewien znajomy chłopak.

- Nie ma pojęcia, że pani jest nadal w Berlinie - powiedziałem. Chciałem, aby poczuła się pewniej.

- Nigdy nie jeżdżę do centrum. Każę sobie dostarczać wszystko, co jest dostępne tylko w dużych domach towarowych. Boję się, że wpadnę na niego w dziale spożywczym KaDeWe. Czy nadal tam chodzi na lunch?

- Tak, jada tam nadal.

- Więc dlaczego Frank powiedział panu, gdzie jestem?

- Frank Harrington nic mi nie powiedział.

- Po prostu sam pan do tego doszedł? - spytała z ironią.

- Zgadza się - odparłem. - Doszedłem do tego sam. W dzisiejszych czasach nietrudno kogoś znaleźć. Istnieją konta bankowe, karty kredytowe, rachunki w sklepach, dowody rejestracyjne samochodów, prawa jazdy. Gdyby Werner domyślił się, że pani mieszka w Berlinie, znalazłby panią o wiele szybciej niż ja. Werner jest ekspertem w dziedzinie znajdowania ludzi.

- Pisuję do niego pocztówki, które moja przyjaciółka wrzuca do skrzynki w Monachium.

Kiwnąłem głową. Czy taki zawodowiec jak Werner naprawdę mógł dać się nabrać na tę amatorską sztuczkę?

Rozejrzałem się po pokoju. Na ścianie wisiały dwa oprawione plakaty teatru Berliner Ensemble i litografia Kathe Kollwitz. Na podłodze leżał puszysty, kremowy dywan, a wyściełane meble miały lniane obicia i były ozdobione pomarańczowymi, jedwabnymi poduszkami. Wystrój był nieco krzykliwy, ale sam pokój bardzo wygodny - żadnych plastikowych misek czy obgryzionych kości, żadnych śladów istnienia psów. Pomyślałem sobie, że tego pewnie wymaga Frank Harrington. Nie był człowiekiem umiejącym dostosować się łatwo do życia wśród niewygód czy przykrych zapachów. Przez rozsuwane drzwi widziałem duży mahoniowy stół jadalny, na którym stała kryształowa waza i jakieś naczynie ze srebra. Największy pokój został przeznaczony na jadalnię. Ciekaw byłem, kto składa tu wizyty i jada dyskretne obiadki z Frankiem i jego kochanką.

- To nie jest stały związek - powiedziała pani Volkmann. - Frank i ja... jesteśmy sobie bliscy, bardzo bliscy. Ale to nie jest stały związek. Kiedy wróci do Londynu, wszystko się

skończy. Oboje to wiedzieliśmy od samego początku. - Wzięła herbatnika i zaczęła go obgryzać w taki sposób, by widać było jej idealnie białe zęby.

- A więc Frank wraca do Londynu? - spytałem.

Dotąd siedziała mocno wychylona do przodu na wielkiej, wygodnej kanapie; teraz jednak uderzyła pięścią w jedną z poduszek, a potem podłożyła ją sobie pod plecy.

- Jego żona chce, żeby awansował. Wie, że przeniesienie do Londynu zakończyłoby jego związek ze mną. Nie zależy jej na jego karierze, ale wie, że awans zmusiłby go do wyjazdu z Berlina i oderwałby go ode mnie.

- Takie już są żony - stwierdziłem.

- Ale ja nie wrócę do Wenera. Frank chciałby wierzyć, że jeśli... kiedy to nastąpi, wrócę do Wenera. Ale ja nigdy nie wrócę.

- Dlaczego Frank chciałby w to wierzyć? Przecież nienawidzi Wenera.

- Frank czuje się winien, bo odebrał mnie Wenerowi. Na początku naprawdę tym się gryzł. Tego rodzaju poczucie winy łatwo zmienia się w nienawiść. Wie pan o tym. - Uśmiechnęła się znowu i wygładziła zmysłowym gestem rękaw, przesuwając czubkami palców wzdłuż przedramienia. Była bardzo piękną kobietą. - Okropnie się tu nudzę podczas weekendów - dodała.

- Gdzie jest Frank?

- W Kolonii. Wróci dopiero jutro wieczorem. - Uśmiechnęła się sugestywnie. - Zbyt często zostawia mnie samą.

Brzmiało to jak zaproszenie do łóżka, ale nie miałem ochoty sprawdzać, czy istotnie nim było. Zbliżałem się do wieku, w którym odmowa pozostawia trwale ślady. Wypiłem więc łyk kawy, uśmiechnąłem się i spojrzałem na szarą linię Muru. Było jeszcze wczesne popołudnie, ale zaczynało się ściemniać.

- Więc po co pan tu przyjechał? Przypuszczam, że wysłał pana Londyn, żeby mnie przekupić. Czy chcą mi zapłacić, jeśli pozostawię Franka w spokoju?

- Jakiego rodzaju książki czytuje pani podczas tych długich wieczorów, kiedy Franka tu nie ma, pani Volkmann? Czasy, w których komukolwiek proponowano pieniądze za wedostarczanie rozrywek seksualnych, zniknęły razem z policjantami, którzy nosili cylindry.

- Oczywiście - powiedziała, tym razem uśmiechając się bardziej naturalnie. - A poza tym proponowali je ojcowie, a nie pracodawcy. Co za szkoda. Miałam nadzieję, że powie pan coś, po czym będę mogła się zerwać na równe nogi wołając, że nigdy się go nie wyrzeknę, nigdy, nigdy, nigdy.

- Czy to właśnie usłyszałbym od pani?

- Frank jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną, panie...?

- Samson. Bernard Samson.

- Frank potrafi być czasem bezwzględną świnia, ale jest bardzo atrakcyjny. Frank to prawdziwy mężczyzna.

- A czy Werner nie jest prawdziwym mężczyzną?

- Och, tak, wiem, o co panu chodzi. Werner jest pańskim przyjacielem. Słyszałam, jak o panu mówi. Wy dwaj tworzycie towarzystwo wzajemnej adoracji. No więc, być może Werner jest dobrym przyjacielem, ale niech pan spróbuje pomieszkać z nim przez rok, a przekonana się pan, jaki jest naprawdę. Nie może podjąć decyzji w żadnej sprawie. Zawsze chciał, żebym o wszystkim decydowała ja: jak, kiedy, co, dlaczego. Kobieta wychodzi za mężczyznę po to, żeby się od tego wszystkiego uwolnić, prawda?

- Oczywiście - odparłem, starając się, żeby mój głos brzmiał jak głos człowieka, który wie, o co jej chodzi. Prawdę mówiąc, myślałem o tym, że cholernie chciałbym, aby w moim życiu było więcej osób pragnących otrzymywać polecenia, a nie tylko je wydawać.

- Niech pan się napije jeszcze trochę kawy - powiedziała serdecznie. - Ale muszę stanowczo zażądać, żeby pan mi powiedział, o co właściwie chodzi. Tajemniczy nieznajomi mogą okazać się po pewnym czasie niepożądanymi gośćmi, chyba sam pan to wie.

- Okazała mi pani wiele cierpliwości, pani Volkmann, i doceniam to. Odnalazłem panią, by pani powiedzieć, nieoficjalnie, że zdaniem moich londyńskich przełożonych w tych okolicznościach musi pani zostać poddana weryfikacji.

- Chodzi o sprawdzenie mojej lojalności przez służby bezpieczeństwa?

- Owszem, pani Volkmann, będzie to konieczne. Chodzi o pani pozytywną weryfikację.

- Zrobiono to już, kiedy wychodziłam za Wenera.

- Hmm, no tak, ale tym razem chodzi o coś zupełnie innego. Jak pani wie, Frank Harrington jest ważnym przedstawicielem brytyjskich władz. Będziemy musieli przeprowadzić weryfikację tak zwanej Kategorii XX. Mamy nadzieję, że pani zrozumie, iż jest to konieczne, i zechce udzielić wszelkiej pomocy osobom wyznaczonym do tego zadania.

- Nie bardzo rozumiem. Czy nie może tego zorganizować Frank?

- Jeśli pani okaże mi jeszcze chwilę cierpliwości, sama pani zrozumie, jak bardzo jest ważne, żeby Frank o tym nie wiedział.

- Jak to, więc on się o tym nie dowie?

- Pozwólmy Frankowi zachować w tajemnicy jego życie prywatne. Frank zadał sobie sporo trudu, żeby to wszystko zorganizować... - Wykonałem nieokreślony gest machając ręką

w powietrzu. - Jak musiałby się poczuć, gdyby wiedział, że młodzi ludzie z jego instytucji muszą meldować na piśmie, gdzie pani chodzi, z kim się pani spotyka, ile pieniędzy ma pani w banku? I jak mógłby się poczuć czytając meldunek o jakimś dawnym związku, o którym pani już niemal zapomniała, a który jemu może jedynie sprawić ból.

Zaciągnęła się głęboko papierosem i spojrzała na mnie spod przymkniętych powiek.

- Chce pan powiedzieć, że wasi funkcjonariusze dochodzeniowi będą wnikać w tego rodzaju sprawy?

- Jest pani kobietą światową, pani Volkmann. Domyśla się pani oczywiście, że śledztwo, o którym mówimy, już trwa. Żaden z wyznaczonych do niego agentów nie złożył mi jeszcze meldunku, ale musiała pani dostrzec moich ludzi, którzy obserwują panią od jakichś trzech czy czterech tygodni. Oczywiście, nie wyznaczamy do tych weryfikacyjnych zadań naszych najbardziej doświadczonych funkcjonariuszy, więc nie jestem zaskoczony, że pani zauważyła, co się święci.

Czekałem na jej reakcję, ale ona rozsiadła się tylko wygodnie na kanapie i patrzyła mi prosto w oczy, paląc w milczeniu papierosa.

- Powiniennem być przyjechać i porozmawiać z panią o tym wszystkim już przed miesiącem - ciągnąłem - ale na moim biurku nagromadziło się tyle roboty, że po prostu nie mogłem się wyrwać.

- Jest pan sukinsynem - powiedziała, tym razem bez uśmiechu. Odniosłem wrażenie, że mam teraz przed sobą prawdziwą Zenę Volkmann.

- Wykonuję tylko otrzymane polecenia, proszę pani.

- To samo robił Eichmann - stwierdziła z goryczą.

- No cóż, pani zna historię Niemiec znacznie lepiej niż ja, więc wierzę pani na słowo.

Wypiłem jednym łykiem resztę kawy i wstałem z krzesła. Nie poruszyła się, ale obserwowała każdy mój ruch.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, to wyjdę frontowymi drzwiami - powiedziałem. - Nie chciałbym denerwować psów.

- Boi się pan po prostu, że rozerwą pana na strzępy.

- Tak, to jest również istotny powód - przyznałem. - Nie musi pani odprowadzać mnie do drzwi.

- Frank postara się, żeby wylano pana za to ze służby - obiecała.

Zatrzymałem się gwałtownie. - Na pani miejscu, pani Volkmann, w ogóle nie wspominałbym o tym Frankowi - powiedziałem. - To decyzja Londynu, decyzja podjęta przez jego przyjaciół. Gdyby sprawa nabrała charakteru oficjalnego, Frank musiałby stanąć przed

komisją śledczą. Musiałby wytłumaczyć się z wielu spraw. Istnieje możliwość, że straciłby swe stanowisko oraz widoki na emeryturę. Gdyby tak się stało, przyjaciele Franka mogliby uważać, że pani ponosi winę. Frank ma przyjaciół nie tylko w Londynie, lecz i w Bonn; bardzo lojalnych przyjaciół.

- Proszę wyjść!

- Jeśli nie ma pani nic do ukrycia, nie będzie żadnego problemu - powiedziałem uspokajająco.

- Proszę wyjść, zanim wypuszczę na pana psy.

* * *

Wróciłem do samochodu i czekałem. Postanowiłem poświęcić półtorej godziny, aby przekonać się, czy moja na prędcie zaimprovizowana historyjka wywoła jakąś reakcję. O tej porze, w sobotnie popołudnie, ruch był niewielki. Pomyślałem sobie, że coś niebawem powinno się wydarzyć.

Widziałem dom pani Volkmann z siedzenia kierowcy. W jakąś godzinę i kwadrans od zajęcia przeze mnie tego stanowiska obserwacyjnego wyszła przez frontowe drzwi niosąc dużą walizkę firmy Gucci i niewielką torbę podróżną. Miała na sobie płaszcz ze skóry lamparta i pasujący do niego kapelusz. Oczywiście, z prawdziwej skóry. Nie należała do kobiet, które przejmowałyby się nadmiernie losem lampartów. Samochód nadjechał, zanim jeszcze zamknęła za sobą furtkę. Usiadła na przednim siedzeniu, obok kierowcy i samochód natychmiast ruszył. Wyciągnąłem rękę, by włączyć silnik, ale rozpoznałem już samochód, do którego wsiadła. Było to audi Wenera, a on sam siedział za kierownicą. Kiedy mnie mijali, zauważyłem, że pani Volkmann przemawia do niego, gorączkowo wymachując rękami. Pochyliłem się, aby mnie nie było widać, ale oni byli zbyt zajęci rozmową, by mnie rozpoznać. A więc tyle było prawdy we wszystkim, co mówiła na temat Wenera. I we wszystkich historyjkach, jakie opowiadał o niej Werner.

Uznałem, że nie warto jechać za nimi. Gdybym próbował ich śledzić, Werner z pewnością by mnie zauważył. Zresztą Berlin był dobrze obstawiony. Mogłem się dowiedzieć, dokąd pojechali, od oficerów organów bezpieczeństwa, pełniących służbę na przejściach granicznych, na lotniskach i na drogowych punktach kontrolnych.

Wróciłem do domu. Otworzyłem okno od spiżarni za pomocą drucianego wieszaka, który znalazłem w moim samochodzie. Opuściła dom w pośpiechu. W zlewozmywaku piętrzył się stos brudnych, plastikowych misek. Frank nie byłby z tego zadowolony. Nie byłby też zadowolony z tego, że skłoniłem jego damę do ucieczki - gdyby się o tym kiedykolwiek dowiedział. Nie byłby zadowolony z wielu rzeczy.

Na telefonie leżała kartka papieru. Zena napisała na niej, że wyjeżdża na kilka dni z powodu jakiegoś kryzysu w rodzinie, i że w przyszłym tygodniu zadzwoni do niego do biura. Informowała też, że sąsiad będzie karmił psy i prosiła go o pozostawienie stu marek na stole w przedpokoju.

Miałem wrażenie, że bez względu na to, jakimi interesami zajmuje się Werner, Zena również ma w nich swój udział. Zastanawiałem się, czy udział ten wymagał wyciągnięcia informacji od Franka i o jakie informacje chodziło.

ROZDZIAŁ XIII

Z położonego na najwyższym piętrze gabinetu Breta Rensselaera rozciągał się widok w kierunku zachodnim. Patrząc przez okno mógłby ktoś dojść do wniosku, że Londyn jest jednym wielkim zieleńcem. Czubki drzew rosnących w St. James's Park, Green Park, ogrodach Buckingham Pałace i dalej Hyde Park, tworzyły nieprzerwany ciąg i wyglądały jak wełniany koc. Obecnie wszystko to tonęło w szarawej mgielce, która w pochmurne popołudnia spowija Londyn dość wcześnie. Niebo było ciemne, ale tu i ówdzie sączyły się z niego pojedyncze pasma zachodzącego słońca i ożywiały szmaragdowe czworoboki skwerów, leżących w dzielnicy Belgravia.

Choć niebo zasłaniały ciemne chmury, Bret nie zapalił jeszcze świateł w swym gabinecie. Wpadające przez okno skąpe światło odbijało się kontrastowo od wszystkich chromowanych przedmiotów i nadawało stalowy połysk szklanemu blatowi biurka. To metaliczne światło padało też na twarz Breta, która w takiej poświacie bardziej niż kiedykolwiek przypominała oblicze nieboszczyka.

Dicky Cruyer stał nad swoim przełożonym przechylając się w taki sposób, by widzieć jego twarz i móc udzielać mu w porę stosownych odpowiedzi. Cruyer dobrze wiedział, na czym polega jego rola; miał być na miejscu, kiedy Bret potrzebował świadka, człowieka do zadań specjalnych, wymownego poplecznika lub milczącego słuchacza. Ale Dicky był nie tylko lojalnym asystentem; był człowiekiem, który wiedział, że na wszystko przychodzi właściwy moment. Wiedział, innymi słowy, kiedy można spierać się z szefem. Mnie nigdy nie udało się trafić w ów właściwy moment. Nie wiedziałem nawet, kiedy spierać się z własną żoną.

- Nie powiedziałaś Frankowi, że wszystkie te materiały są autentyczne? - spytał Cruyer po raz trzeci w ciągu ostatnich trzydziestu minut.

- Frankowi jest wszystko jedno, czy są autentyczne, czy nie - odparłem. Obaj spojrzeli na mnie z bolesnym zaskoczeniem. - Interesuje go tylko to, czy miejscem przecieku nie jest jego berlińskie biuro.

- Jesteś wobec niego niesprawiedliwy - powiedział Bret, ale nie podjął ze mną dyskusji. Zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła, starannie rozprostowując rękawy.

- Więc co chcielibyście usłyszeć? - spytałem. - Że co wieczór siedzi w domu przymierzając fałszywe bokobrody i wprawiając się w posługiwaniu nowymi kodami i szyframi? - Chyba byłem na Franka trochę zły usłyszawszy od Wenera, że nie chce, abym odziedziczył jego posiadłość. Nie wierzyłem w te pogłoski, ale i tak mnie one zirytowały. Przyjaźń między mną a Frankiem zawsze była dość dwuznaczna. Byliśmy przyjaciółmi, dopóki znałem swoje miejsce, a ja czasem nie chciałem go znać.

- W oddziale berlińskim wcale nie jest mi potrzebny jakiś nadgorliwiec - powiedział Bret Rensselaer i zamilkł na chwilę, bym miał czas uświadomić sobie, że to on decyduje o obsadzie tej atrakcyjnej placówki. - Frank Harrington - użył nazwiska, aby zdystansować się do swego podwładnego - został tam posłany po to, by uprzątnąć bałagan wywołany przez niekompetencję - i zrobił to. Wszyscy wiemy, że nie jest żadną gwiazdą. Był po prostu komisarzem, mającym sprawować nadzór nad bankrutującą firmą. - To właśnie Bret powierzył Frankowi stanowisko w Berlinie i był oburzony, kiedy podważało się słuszność jego decyzji.

- Frank dokonał cudów - przyznał Dicky Cruyer. I podczas gdy ja podziwiałem jego szybki refleks, dodał: - Dużo ryzykowałeś powierzając Frankowi to stanowisko, Bret, ale zrobiłeś to, choć połowa grubych ryb z naszego Departamentu ostrzegała cię, że będzie to katastrofa. Katastrofa! - Dicky Cruyer przymknął usta i wydał nieokreślony odgłos, mający odzwierciedlić jego pogardę dla zdumiewająco krótkowzrocznych osób, które kwestionowały odważną decyzję Breta Rensselaera. Robiąc to spojrzał na mnie, gdyż należałem do owych niedowiarków.

- Czy zauważyłeś coś jeszcze w tych materiałach, które nasz szybko znikający pomocnik - tu Bret spojrzał na mnie, jako na człowieka, który pozwolił owemu pomocnikowi wyslizgnąć się z naszych rąk - złożył na biurku Franka? - Czy chcesz, żebym odpowiedział, Bret? - spytałem. - Czy też poczekamy obaj, żeby usłyszeć, co ma do powiedzenia Dicky?

- O co, do cholery, chodzi? - spytał Dicky z przejęciem. - W istocie zauważyłem w tych materiałach sporo interesujących rzeczy. Jestem właśnie w trakcie pisania poświęconego tej sprawie raportu.

Kiedy Dicky mówił, że jest w trakcie pisania raportu poświęconego czemuś, oznaczało to w istocie, że przyznaje się do całkowitej nieznajomości tematu.

- Bernard? - spytał Bret patrząc w moim kierunku.

- Że wszystkie te materiały przeszły przez biuro Gilesa Trenta.

- No właśnie - przyznał Rensselaer kiwając potakująco głową. - Każdy z dokumentów w tym pakiecie, który dotarł w jakiś sposób do Rosjan, przeszedł w tym czy innym momencie przez ręce Trenta.

- Więc mam dla ciebie jeszcze jedną wiadomość - powiedziałem. - Kilka lat temu - znam wszystkie daty i szczegóły - berlińskie biuro podsłuchało pewną depezę radiową, a stacja nadawcza w Karlshorst dowiedziała się o tym w ciągu trzech dni. Giles Trent pełnił tej nocy służbę.

- Więc dlaczego, do cholery, nie figuruje to w jego aktach? - spytał Cruyer. Zauważyłem, że pod ciemnoniebieską koszulą nosi złoty medalion. Pasował on do jego białych dżinsowych spodni.

- Został oczyszczony z wszystkich zarzutów - odparłem. - Berlin rozstrzygnął, kto ponosi winę i przedsięwziął niezbędne kroki.

- Ale ty w to nie wierzysz - powiedział Bret.

Uniosłem obie ręce w bezradnym geście, który mógłby wykonać prowincjonalny aktor grający Shylocka.

- Ale był w budynku? - spytał Bret.

- Był na służbie - odparłem wymijająco. - I miał w rękach wszystkie papiery, które wypłynęły w ubiegłym tygodniu w Berlinie.

- Co o tym myślisz, Dicky? - spytał Bret.

- Być może, jesteśmy *zbyt* subtelni - odparł Dicky. - Być może, mamy do czynienia z prostym przypadkiem zdrady Trenta, a my z uporem szukamy czegoś więcej. - Uśmiechnął się. - Czasami życie jest proste. Czasami rzeczywistość jest taka, jaka się wydaje. - Był to krzyk z głębi serca.

Nie odezwałem się, a Bret też nie skomentował tej wypowiedzi. Zerknął na mnie, ale nie spytał, co o tym myślę. Chyba nie jestem tak nieprzenikniony jak Cruyer.

Kiedy Bret pozwolił nam odejść, Dicky zaprosił mnie do swego gabinetu. Ton jego głosu dowodził wyraźnie, że odrzucenie tego zaproszenia postawiłoby mnie w niezręcznej sytuacji, ale patrzyłem na zegarek wystarczająco długo, by skłonić go do otwarcia szafki, w której trzymał alkohole.

- W porządku - powiedział podając mi duży gin z tonikiem. - O co w tym wszystkim, do cholery, chodzi?

- Od czego chcesz zacząć? - spytałem, ponownie zerkając na zegarek. Moje trudności z odczytywaniem zawilego i nie uporządkowanego sposobu myślenia Breta potęgowała jeszcze chaotyczna krótkowzroczność, jaką podczas każdej narady demonstrował Dicky.

- Czy próbujesz teraz nam wmówić, że Giles Trent jest niewinny? - spytał opryskliwie.

- Nie - odparłem. Wypiłem łyk bardzo słabej mieszanki, podczas gdy Dicky usiłował wyłowić ze swej szklanki kawałek etykiety z butelki toniku, pływający między kostkami lodu.

- A więc jest winny?

- Zapewne - odparłem.

- Wobec tego nie rozumiem, po co odgrywaliście obaj z Bretem tę komedię.

- Czy mogę sobie dolać jeszcze odrobinę ginu?

Cruyer kiwnął głową i obserwował mnie, żeby zobaczyć, ile nalewam.

- A więc dlaczego po prostu nie aresztujemy Trenta i nie uznamy sprawy za zakończoną?

- Bret chce go wykorzystać. Bret chce się dowiedzieć, czego chcą od niego Ruscy.

- Czego od niego chcą! - z niechęcią mruknął Dicky. - Wielki Boże! Wykorzystują go od tak dawna, a teraz Bret chce dać im jeszcze trochę czasu... Jak długo potrwa, zanim Bret dowie się na pewno, czego oni chcą? - Podniósł na mnie wzrok i dodał: - Chcą wiedzieć, co robimy, mówimy i myślimy, tutaj, na najwyższym piętrze. Tego właśnie chcą!

- W takim razie nie ma powodów do niepokoju. Można by spisać wszystkie istotne myśli, słowa i działania, z jakimi człowiek się tu styka, na odwrocie znaczka pocztowego, i jeszcze znalazłoby się na nim miejsce dla Modlitwy Pańskiej.

- Daruj sobie te dowcipy - powiedział Cruyer. Miał rację w sprawie Trenta. Agent, który był tak bliskim współpracownikiem naszego Departamentu, można było wykorzystać tylko w jeden sposób; jako źródło tak zwanych „komentarzy”. - Trent jest absolwentem Balliol College, tak samo jak ja - dodał zniechęca Dicky.

- Czy chcesz się pochwalić, zwierzyć, czy poskarżyć? - spytałem. Dicky zdobył się na uśmiech, z jakim wszyscy absolwenci Balliol reagują na zazdrość zwykłych śmiertelników. - Chcę po prostu powiedzieć, że nie jest durniem. Domyśli się, o co chodzi.

- Trent nie jest już szkodliwy - powiedziałem. - Został przesłuchany i teraz możemy wykorzystywać go w naszych celach, jak długo nam się podoba.

- Ja nie mam przekonania do tych historyjek o podwójnych, potrójnych czy poczwórnych agentach. W końcu dochodzi do sytuacji, w której nikt nie wie, kto pracuje dla kogo.

- Chcesz powiedzieć, że to jest skomplikowane?

- Oczywiście że jest skomplikowane! - powiedział podniesionym głosem Dicky. - Trent wkrótce dojdzie do punktu, w którym sam nie będzie wiedział, po czyjej jest stronie.

- Dopóki my to będziemy wiedzieć, wszystko będzie w porządku - stwierdziłem. - Staramy się, aby Trent słyszał tylko to, co chcemy podsunąć Moskwie.

Dicky Cruyer nie miał mi za złe, że rozmawiam z nim jak z ośmiolatkiem; był mi za to wdzięczny. - No dobrze - powiedział. - Rozumiem to. Ale co z tym nowym przeciekiem w Berlinie?

- To nie jest nowy przeciek. Chodzi o epizod, który miał miejsce wiele lat temu.

- Ale został niedawno ujawniony?

- Nie. Frank wiedział o nim od początku. Jest on nowy tylko dla nas i jedynie dlatego, że, jego zdaniem, nie warto było nas o nim informować.

- Czy ty próbujesz kogoś kryć? - spytał Dicky. Może był tępawy, ale jego instynkt nadal funkcjonował.

- Nie.

- Usiłujesz kryć Franka czy jednego ze swych berlińskich kolegów szkolnych?

- Nie zajmuj się tą sprawą, Dicky - poradziłem mu. - Ta informacja jest ważna tylko jako tło. Frank Harrington zamknął już dochodzenie. Jeśli zaczniesz rozgrzebywać wszystko na nowo, to ktoś gotów powiedzieć, że jesteś mściwy.

- Mściwy! Mój Boże, ja proszę tylko o kilka szczegółów, dotyczących przecieku informacji z Berlina, a ty mi mówisz, że jestem mściwy!

- Powiedziałem tylko, że ktoś cię może o to oskarżyć. Poza tym Frank widuje się towarzysko z Dyrektorem Generalnym podczas każdej swej wizyty w Londynie. Frank jest już tak bliski emerytury, że poruszy niebo i ziemię, jeśli zaczniesz mącić wodę w jego stawie.

- Twarz Dicky'ego pobladła nieco pod opalenizną, więc domyśliłem się, że dotknąłem czułego miejsca. - Zresztą, rób, co chcesz. Ja chciałem tylko dać ci dobrą radę, Dicky.

- Doceniam to - powiedział zerknąwszy w moim kierunku, by się upewnić, czy z niego nie kpię. - Zapewne masz rację. - Wypił łyk ginu i skrzywił się, jakby jego smak napawał go obrzydzeniem. - Frank żyje w wielkim stylu, co? W ubiegłym miesiącu byłem w jego wiejskim domu. Cóż za wspaniała rezydencja. A w dodatku musi utrzymywać ten dom w Berlinie.

Kusiło mnie, żeby powiedzieć: „dwa domy w Berlinie”, ale wypilem tylko łyk z mojej szklanki i uśmiechnąłem się.

Dicky Cruyer przesuwiał palcem po obszyciu swoich białych spodni, dopóki nie natrafił na przyszytą do tylnej kieszeni etykietę producenta. Wyraźnie podniosło go to na duchu.

- Harringtonowie traktowani są w tej wiosce jak miejscowi posiadacze ziemscy - powiedział. - Jego żona wręcza nagrody podczas wiejskich festynów, jest sędzią w czasie zawodów i ocenia ciastka wystawione na konkurs w domu parafialnym. Nie dziwię się, że chce przejść na emeryturę, skoro czeka na niego takie życie. Czy byłeś tam kiedyś?

- No wiesz, ja go znam od bardzo dawna - powiedziałem, nie wiedząc, dlaczego, do diabła, muszę się tłumaczyć Dicky'emu z faktu, że bywałem regularnie w domu Franka już jako małe dziecko.

- No tak, zapomniałem. On był przyjacielem twojego ojca. To Frank wciągnął cię do służby, prawda?

- W pewnym sensie - odparłem.

- Mnie zwerbował D.G. - oznajmił Dicky. Widząc, że zapada się w skórzany fotel i odchyła głowę w tył, wpadłem w panikę; oznaczało to zazwyczaj, że zamierza snuć wspomnienia. - Oczywiście, nie był jeszcze wtedy dyrektorem generalnym, tylko wykładowcą - na szczęście nie moim wykładowcą - i pewnego popołudnia zaczepił mnie w bibliotece college'u. Zaczęliśmy rozmawiać o Fionie. Twojej żonie - dodał na wypadek, gdybym zapomniał jej imię. - Pytał mnie, co sądzę o ludziach, z którymi ona się zadaje. Powiedziałem mu, że to banda pomyleńców. I miałem rację! Trockiści, marksiści, maoiści, którzy w dyskusji umieli posługiwać się jedynie sloganami i nie potrafili odpowiedzieć na żaden polityczny wywód, dopóki nie porozumieli się z siedzibą partii, by sprawdzić, jakie jest w danym momencie oficjalne stanowisko. Oczywiście dopiero w wiele lat później dowiedziałem się, że Fiona jest zatrudniona w Departamencie. Wtedy, rzecz jasna, zdałem sobie sprawę, że musiała wówczas zadawać się z tą marksistowską bandą na polecenie D.G. Uznała mnie niechybnie za kompletnego durnia. Ale zawsze się zastanawiałem, dlaczego D.G. nie dał mi do poznania za pomocą jakiejś aluzji, o co w istocie chodzi. Czy wiedziałeś, że Fiona infiltrowała marksistowskie grupy, kiedy była jeszcze dzieckiem?

- Dzięki za drinka, Dicky - powiedziałem opróżniając szklankę i rozmyślnie stawiając ją na polerowanym blacie jego biurka. Zerwał się z fotela, chwycił za szklankę i zaczął energicznie wycierać miejsce, w którym stała. Był to niezawodny sposób, by sprowadzić go z powrotem na ziemię, kiedy zaczynał jeden ze swych długich monologów, ale wiedziałem, że któregoś dnia rozszyfruje moją technikę.

Wypolerowawszy blat chustką do nosa, wpatrywał się w jego powierzchnię na tyle długo, by mieć pewność, iż wróciła do dawnego blasku, a potem znów odwrócił się do mnie.

- Tak, tak, oczywiście, nie powinienem cię zatrzymywać. Nie widziałeś się z rodziną od dobrych kilku dni. Ale ty lubisz Berlin, prawda? Słyszałem, jak sam to mówiłeś.

- Tak, lubię go.

- Nie mogę zrozumieć, co w nim widzisz. Brudna dziura, doszczętnie zbombardowana w czasie wojny. Jedyne budynki, które ocalały w jako takim stanie, znalazły się w sektorze rosyjskim i zostały zburzone spychaczami, by zrobić miejsce dla tych okropnych osiedli robotniczych.

- To prawda - przyznałem. - Ale to miasto ma coś w sobie. A berlińczycy są najwspanialszymi ludźmi na świecie.

- Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że masz w sobie coś z romantyka, Bernard - powiedział z uśmiechem Dicky. - Czy dlatego właśnie pokochała cię wyniosła i niedostępna Fiona?

- W każdym razie nie ze względu na moje pieniądze czy pozycję społeczną - odparłem.

Cruyer wziął moją pustą szklankę, kapsle od butelek oraz papierową serwetkę, której w ogóle nie użyłem i umieścił wszystko na plastikowej tacy, którą miały zabrać sprzątaczkę. Czy Giles Trent może mieć jakiś związek z naszymi problemami dotyczącymi siatki Brahmsa?

- Sam się nad tym zastanawiałem.

- Czy wybierzesz się na drugą stronę?

- Zapewne.

- Byłoby fatalnie, gdyby Trent dowiedział się o twoich zamiarach - powiedział cicho Dicky.

- Przecież on jest absolwentem Balliol, Dicky - przypomniałem mu.

- Mógłby *nieświadomie* przekazać to swemu Kontrolującemu Oficerowi. A wtedy czekałoby cię tam gorące przyjęcie. - Dicky dopił swego drinka, wytarł usta i postawił pustą szklankę na tacy, obok innych naczyń.

- A Bret straciłby swoje cenne źródło informacji - dodałem.

- Nie martwmy się o to - powiedział Cruyer. - To wyłącznie jego problem.

ROZDZIAŁ XIV

Tego wieczora odbierałem Fionę z domu jej siostry. Poprosiła mnie, żebym przyjechał tam samochodem, bo chce zabrać składane łóżko, które pożyczyła siostrze, gdy ta

zdecydowała się sypiać w innym pokoju niż George. Łóżko to nigdy nie zostało wykorzystane. Zawsze podejrzewałem, że Tessa pożyczyła je po to, by używać go jako groźby. Taka już była.

Tessa przygotowała kolację. Była to jakaś ekstrawagancka potrawa w stylu *nowelle cuisine*, na którą tak utyskiwał wuj Silas. Cieniutki plasterek cielęciny z dwiema małymi kałużami jaskrawo kolorowych sosów, pomidor faszerowany zielonym groszkiem oraz kilka posypanych miętą płatków marchwi. Tessa nauczyła się przyrządzać tę potrawę na kursie kulinarnym w Hampstead.

- Jest znakomita - powiedziała Fiona.

- On był wspaniały - opowiadała Tessa, kiedy skończyła jeść. Nie widziałem, żeby podczas jakiegokolwiek posiłku zjadła więcej niż łyżkę potrawy. *Nowelle cuisine* została wynaleziona właśnie dla takich ludzi jak ona, ludzi, którzy udawali tylko, że jedzą, i traktowali posiłki jako wydarzenia towarzyskie.

- Miał takie cudowne piwne oczy, których spojrzenie przenikało przez wszystkie części twojej garderoby, a kiedy demonstrował jakąś czynność kuchenną, otaczał cię ramionami i brał twoje dłonie w swoje. - „W ten sposób, w ten sposób”, powtarzał zawsze. Chyba był Hiszpanem, ale oczywiście udawał Francuza.

- Tessa gotowała dla mnie wspaniałe potrawy podczas twojej nieobecności - powiedziała Fiona.

- Takie jak ta? - spytałem.

- I posiłki dla dzieci - szybko dodała Fiona mając nadzieję, że wzbudzi we mnie uczucie wdzięczności. - Dała mi też duży pojemnik *minestrone*, który jest w zamrażalniku. Bardzo nam się przyda, Tess, a dzieci uwielbiają tę zupę.

- Jak było w Berlinie? - spytała Tessa z uśmiechem. Dobrze się nawzajem rozumieliśmy. Wiedziała, że nie lubię małych damskich przekąsek, które nam podała, i że nie podobają mi się jej opowieści o domniemanym flircie z hiszpańskim nauczycielem gotowania, ale nic jej to nie obchodziło. Fiona starała się zawsze wszystko łagodzić, a Tessa obserwowała jej wysiłki z rozbawieniem.

- Berlin był cudowny - odparłem z entuzjazmem.

- Niemiecka kuchnia jest cięższa niż francuska - powiedziała Tessa. - To samo można chyba powiedzieć o niemieckich kobietach. - Uwaga ta była skierowana pod moim adresem i dotyczyła postawnej młodej Niemki, z którą kiedyś spotkała mnie Tessa, na długo przed moim ślubem z Fioną.

- Znasz chyba to niemieckie przysłowie: człowiek jest tym, czym się odżywia - powiedziałem.

- Czym więc staje się człowiek, który jada dużo kapusty? - spytała Tessa.

- Może motylem?

- A człowiek, który żywi się pierogami?

- W każdym razie nie jest głodny - odparłem.

- Daj mu jeszcze kawałek mięsa - powiedziała Fiona do siostry - bo będzie przez cały wieczór w fatalnym humorze.

Kiedy Tessa wróciła z kuchni niosąc moją dokładkę, talerz nie przypominał już prospektu, mającego prezentować zalety *la nouvelle cuisine*. Leżał na nim solidny kawałek cielęciny, ozdobiony sporą porcją marchwi, której dziwaczne kształty dowodziły, jak trudno pokroić tę jarzynę w cienkie plasterki. Tym razem dostałem tylko jeden rodzaj sosu, którym hojnie polano mięso.

- Gdzie są listki mięty? - spytałem. Tessa uderzyła mnie pięścią w plecy - żartem, ale tak mocno, że zacząłem kaszleć.

- Czy zauważyłaś coś nowego w przedpokoju? - spytała Fionę, kiedy zająłem się pochłanianiem jedzenia.

- Owszem - odparła Fiona. - Ten uroczy stolik. Miałam właśnie o niego zapytać.

- Mam go od Gilesa Trenta. Sprzedaje niektóre przedmioty, które odziedziczył po babce. Poza tym twierdzi, że ma zatłoczony dom i chce sprzedać również inne meble. Gdyby ktoś był w stanie zmieścić u siebie stół jadalny... och, Fiona, cudowny mahoniowy stół z ośmioma krzesłami. Oddałabym za niego duszę diabłu, ale nie byłabym w stanie go tu upchnąć, a nasz stół należał niegdyś do matki George'a. Nie mam odwagi powiedzieć, że chętnie wymieniałabym go na inny.

- Giles Trent? - powtórzyłem. - Czyżby wyprzedawał meble?

- On pracuje teraz z tobą, prawda? - spytała Tessa. - Mówił mi, że z tobą rozmawiał i że wszystko będzie dobrze. Bardzo się cieszę.

- Co jeszcze ma do sprzedania?

- Tylko meble. Nie chce się rozstać z żadnym z obrazów. Chciałabym, żeby zdecydował się sprzedać jedną z tych małych litografii Rembrandta. Chętnie bym ją kupiła.

- Czy zgodziłby się na to George? - spytała Fiona.

- Ach, dałabym mu ją w prezencie urodzinowym - odparła Tessa. - Mężczyzna nie jest w stanie nic zrobić; kiedy kupujesz coś, co chcesz mieć, a potem pokazujesz mu to śpiewając *Sto lat*.

- Jesteś zupełnie pozbawiona skrupułów - powiedziała Fiona, nie próbując nawet ukryć swego podziwu.

- Na twoim miejscu uważałbym z litografiami Rembrandta - powiedziałem. - Istnieje wiele płyt, a handlarze odbijają z nich co jakiś czas kilka egzemplarzy i wypuszczają je na rynek za pośrednictwem takich frajerów jak Giles Trent.

- Czy to jest dozwolone?

- A któż im zabroni? - odparłem. - Przecież to nie jest fałszerstwo.

- Ale przecież to tak, jakby ktoś drukował pieniądze - powiedziała Fiona.

- Jeszcze lepiej - odparłem. - To tak, jakby ktoś wydawał pieniądze męża i śpiewał mu „Sto lat”.

- Czy już się najadłeś? - spytała Tessa.

- Cielęcina była wspaniała. Co jest na deser? Owoce kiwi?

- Tessa chce obejrzeć w telewizji powtórkę *Dallas*. Znieśmy to łóżko na dół i jedźmy do domu - powiedziała Fiona.

- Ono nie waży aż tak dużo - dodała Tessa. - George zaniósł je na górę sam, a nie jest bardzo silny.

Przymocowałem składane łóżko do bagażnika samochodu i zanim Tessa zasiadła przed telewizorem, byliśmy już w drodze do domu. - Prowadź ostrożnie - powiedziała Fiona, kiedy wyjechaliśmy z podjazdu do dużego budynku, w którym mieszkali Tessa i George, i okazało się, że pada śnieg. - Tak się cieszę, że już wróciłeś, kochanie. Okropnie za tobą tęsknię, kiedy cię nie ma. - W ciemnym wnętrzu samochodu panowała atmosfera intymności, którą podkreślała jeszcze bardziej fatalna pogoda szalejąca na dworze.

- Ja też za tobą tęsknię - odparłem.

- Ale w Berlinie wszystko poszło dobrze?

- Bez problemów. Śnieg w kwietniu... mój Boże!

- Ale nie natrafiłeś na nic, co oczyściłoby z zarzutów biednego Gilesa?

- Niestety, wygląda na to, że jest pograżony jeszcze głębiej, niż się wydawało.

- Wolałabym, żeby Tessa przestała się z nim widywać. Ale nie łączy ich nic poważnego. Wiesz o tym, prawda?

- Dlaczego wyprzedaje swoje meble? - spytałem.

- Antyki i meble osiągają ostatnio dobre ceny. To chyba przez tę recesję. Ludzie chcą łądować pieniądze w coś, co pójdzie w górę w razie inflacji.

- Skoro tak, to lepiej chyba je zachować - powiedziałem. - A jeśli już musi się ich pozbyć, to dlaczego nie robi tego za pośrednictwem jakiegoś domu aukcyjnego? Dlaczego wyprzedaje je pojedynczo?

- Czy od takich transakcji płaci się podatek? Czy to masz na myśli?

- Litografie są małe. Obrazy można zwinąć. Ale meble są duże i ciężkie.

- Bernard! Nie myślisz chyba, że Giles byłby takim idiotą, żeby zwiać?

- Owszem, przyszła mi do głowy i taka możliwość - odparłem.

- Przecież byłby kompletnym durniem. Czy możesz sobie wyobrazić biednego, starego Gilesa w Moskwie, w kolejce po kartkową wódkę?

- Zdarzały się już dziwniejsze wypadki, kochanie. W tym zawodzie niespodzianki nigdy się nie kończą.

Wjechałem w Finchley Road i skręciłem na południe. W przeciwnym kierunku jechało mnóstwo samochodów; pary małżeńskie, które spędziły wieczór w centrum, wracały teraz do swych domów, na północne przedmieścia Londynu. Śnieg topniał przy zetknięciu z ziemią, ale w powietrzu było go pełno, jak na ekranie telewizora, kiedy włączy się elektryczny mikser. Płatki, oświetlone przez neony i rozjarzone wystawy, wyglądały jak wielobarwne confetti. Niektóre z nich opadały na moją przednią szybę, ale szybko topniały.

- Rozmawiałem z Frankiem o dawnych czasach - powiedziałem. - Opowiedział mi o tej historii z roku 1978, kiedy wszyscy mówili o grupie Baader-Meinhof.

- Pamiętam - odparła Fiona. - Ktoś wpadł na pomysł, że może dojść do drugiego porwania. Byłam dość zdenerwowana, bo nigdy przedtem nie widziałam takiego stanu alarmowego. Miałam wrażenie, że wydarzy się coś okropnego.

- Przechwycono wtedy depezę z Karlshorst. Coś na temat jakiegoś lotniska w Czechosłowacji.

- Zgadza się. Ja prowadziłam tę sprawę. Frank zachowywał się tego wieczora jak nauczyciel. Powiedział mi wszystko o służbie podsłuchowej i wytłumaczył, jak poznawać różne rodzaje depeż nadawanych przez rosyjskie radiostacje wojskowe - za pomocą przedostatniej grupy sygnałów.

- Frank w ogóle nie przekazał treści tej depeży do Londynu.

- To bardzo możliwe - przyznała Fiona. - Frank zawsze twierdził, że Rezydent Berliński nie powinien zasypywać Londynu lawiną nieważnych materiałów. Mówił, że zdobywanie informacji jest łatwe, a najważniejsza jest ich selekcja. - Zadrzała z zimna i próbowała podkreślić ogrzewanie, ale było już nastawione na maksimum. - Dlaczego pytasz? Czy Frank chce wrócić do tej sprawy? To było dawno temu; zbyt późno na nowe wątpliwości.

Zastanowiłem się, czy ma na myśli również inne sprawy; czy uważa, że jest zbyt późno na wątpliwości dotyczące małżeństwa. - Patrz! - zawołałem. Biały jaguar wpadł w poślizg na mokrej jezdni i wjechał na trotuar uderzając tyłem w szybę wystawową. Wszędzie leżały białe jak śnieg odłamki szkła. Jakaś kobieta miała krew na rękach i twarzy. Kierowca dmuchał w plastikowy balon trzymany przez policjanta.

- Cieszę się, że nie pojechałam dziś porsche do Tessy. Człowiek siedzący za kierownicą czerwonego porsche nie ma żadnych szans w zetknięciu z policją. Kiedy odbierasz to nowe volvo?

- Agent stale powtarza: „w przyszłym tygodniu”. Liczy na to, że stracę cierpliwość i wezmę to combi, które próbuje mi wcisnąć.

- Idź do innego agenta.

- On daje mi niezły ekwiwalent za ten używany szmelc.

- Więc czemu nie weźmiesz tego combi?

- Jest za drogie.

- Pozwól, że ja pokryję różnicę cen. I tak zbliżają się twoje urodziny.

- Nie mogę na to pozwolić, kochanie. Ale dziękuję za dobre chęci.

- Takie combi nadawałoby się doskonale do przewożenia łóżek.

- Ale nie sprawię twemu ojcu tej satysfakcji i nie ruszę jego pieniędzy.

- On nie będzie o tym wiedział.

- Aleja będę wiedział. A to ja mu powiedziałem, co może zrobić ze swoim posagiem.

- Z *moim* posagiem, kochanie.

- Kocham cię, Fiona - powiedziałem - nawet kiedy zapominasz o moich urodzinach.

Przytknęła palce do warg, a potem do mego policzka. - Gdzie byłeś tej nocy, w 1978 roku? - spytała. - Dlaczego nie było cię przy mnie?

- Byłem w Gdańsku; miałem się spotkać z tymi robotnikami ze stoczni, ale nic z tego nie wyszło. Okazało się, że to pułapka KGB. Pamiętasz?

- Chyba celowo starałam się o tym zapomnieć. Oczywiście, w Gdańsku. Okropnie się niepokoiłam.

- Ja też. Od tej pory, aż do dziś, cała moja kariera była jednym pasmem niepowodzeń.

- Ale zawsze wychodziłeś cało.

- Nie można powiedzieć tego samego o wielu moich kolegach. W roku 1978 prosperowaliśmy zupełnie dobrze, ale niewiele z tego zostało.

- Ty bez przerwy gdzieś wyjeżdżałaś i załatwiałaś jakieś sprawy. A ja nie lubiłam siedzieć sama w Berlinie. Nienawidziłam tych ciemnych ulic i wąskich zaułków. Nie wiem,

co bym zrobiła, gdyby nie poczciwy, stary Giles, który co wieczór odwoził mnie do domu, dzwonił do mnie, by mnie pocieszyć i pożyczał mi książki na temat Niemiec, które jego zdaniem powinnam przeczytać, żeby uzupełnić swą wiedzę. Poczciwy, stary Giles. Dlatego mi go żal - teraz, kiedy ma kłopoty.

- Odwoził cię do domu?

- Bez względu na to, o której kończyłam pracę - nawet w środku nocy, jeśli mieliśmy jakąś awaryjną sytuację - Giles przychodził do Wydziału Operacyjnego, wypalał papierosa, żartował z nami, a potem odwoził mnie do domu.

Jechałem dalej przeklinając jakiegoś kierowcę, który nas wyprzedził i zachlapał mi przednią szybę. Dopiero po kilku minutach odezwałem się ponownie.

- Przecież Giles pracował w innym budynku. Chyba potrzebował przepustki, żeby przychodzić do centrum Operacyjnego.

- Oficjalnie tak. Ale pod koniec każdej zmiany - chyba że był tam akurat jeden z londyńskich bonzów - pracownicy z przybudówki przychodzili do głównego budynku. W przybudówce nie było ciepłej wody, a większość z nas chciała się wykapać i przebrać po ośmiu godzinach pracy.- Przecież toczyło się dochodzenie. Ten facet, Joe Brody, przesłuchiwał wszystkich w związku z tym przeciekiem, do którego doszło owej nocy.

- No i co mieliśmy mu powiedzieć? Czy myślisz, że ktoś chciał narazić Franka? Czy mieliśmy mu powiedzieć, że ludzie z przybudówki przychodzą do głównego budynku, kradną papier i ołówki, a często podejmują swoje dziewczyny w salonie na najwyższym piętrze?

- Nie miałem pojęcia, że tak to wyglądało.

- Dziewczyny rozmawiają między sobą, kochanie. Szczególnie, kiedy ich nieliczna grupka znajdzie się w obcym mieście. I kiedy pracują w biurze z bandą mężczyzn o fatalnej reputacji. - Porozumiewawczo ścisnęła mnie za ramię.

- Więc wszyscy okłamywali Joego Brody? Giles Trent miał dostęp do depesz?

- Brody jest Amerykaninem, kochanie. Przecież nie mogliśmy narazić na szwank opinii naszej ojczyzny, prawda?

- Frank dostałby ataku szału, gdyby się o tym dowiedział - powiedziałem. Przerazająca była myśl, że wszyscy lekceważyli zarządzenia, regulaminy, instrukcje i skomplikowane procedury działania opracowane przez Franka, nawet wtedy, kiedy urzędował w swym gabinecie. Ja w tym okresie spędzałem większość czasu na wyjazdach, od których moi sprytniejsi koledzy wykręcali się twierdząc, że nie znają wystarczająco dobrze niemieckiego. Mądry Dicky, głupi Bernard.

- Frank jest po prostu samolubną świnią - stwierdziła Fiona. - Lubi mieć pieniądze i prestiż, ale nienawidzi konkretnej pracy. Lubi podejmować znakomitych gości na koszt podatnika.

- Czasem jest to niezbędne - powiedziałem. - Niekiedy myślę, że D.G. trzyma tam Franka tylko po to, żeby zbierał wszystkie plotki. D.G. uwielbia plotki. Ale Frank rozumie, na czym polegają plotki i co jest w nich ważne. Poza tym ma talent do przewidywania kłopotów na długo przed ich pojawieniem się. Mógłbym opowiedzieć ci o kilku sytuacjach, w których uratował nas od wpadki, działając tylko na podstawie plotek i tych swoich podejrzeń, które czasem okazują się słuszne.

- Kto dostanie Berlin, kiedy Frank przejdzie na emeryturę?

- Nie pytaj mnie o to - powiedziałem. - Chyba pójdą do tego swojego komputera i znajdą kogoś, kto nienawidzi Berlina tak jak Frank, kto umie marnować pieniądze w sposób tak ekstrawagancki jak on, i kto tak samo jak on przypomina z wyglądu Anglika na wycieczce zagranicznej.

- Jesteś okrutny. Frank jest bardzo dumny ze swojej znajomości niemieckiego.

- Mógłby uchodzić za człowieka znającego język, gdyby nie pisywał tych instrukcji dla niemieckiego personelu, które przypina szpilkami do tablicy ogłoszeń. Raz tylko widziałem wybuch nieopanowanego śmiechu Wenera - było to przed tablicą ogłoszeń we frontowym hallu. Czytał napisaną po niemiecku instrukcję Franka, zatytułowaną: „Co robić w przypadku pożaru”. Przeszła ona do historii. Jeden z niemieckich strażników deklamował ją zawsze podczas przyjęć z okazji Bożego Narodzenia. Pewnego razu Frank usłyszał go i powiedział do mnie: „- Trzeba przyznać tym Szkopom, że umieją się śmiać z niedostatków własnego języka, no nie?” A ja odpowiedziałem: „- Owszem, Frank, ale czy zauważyłeś, że on ma trochę podobny głos do twojego?” „- Nie, tego nie zauważyłem” - odparł. Nigdy nie byłem pewien, czy Frank zrozumiał, o co chodziło.

- Bret mówi, że D.G. wymienił twoje nazwisko, kiedy była mowa o obsadzie placówki w Berlinie.

- Czy widywałeś się z nim często, kiedy mnie nie było?

- Och, nie zaczynaj od nowa, kochanie. Żaden związek pomiędzy mną a Bretem nie wchodzi w ogóle w rachubę.

- Nikt mi o tym nie wspomniał. To znaczy o tym stanowisku.

- Czy przyjąłbyś je?

- A czy ty chciałabyś tam wrócić?

- Zrobiłabym wszystko, żebyś był znowu szczęśliwy, Bernard.

- Jestem wystarczająco szczęśliwy.

- W takim razie wolałabym, żebyś to bardziej okazywał. Martwię się o ciebie. Czy chciałbyś pojechać do Berlina?

- To zależy - odpowiedziałem ostrożnie. - Gdyby zażądali, żebym przejął rozklekotaną strukturę Franka i utrzymał ją w nie zmienionym stanie, nie wziąłbym tej posady za żadne pieniądze. Gdyby pozwolili mi przekształcić ją w coś, co bardziej odpowiada wymogom dwudziestego wieku... wtedy warto by się tym zająć.

- I mogę sobie łatwo wyobrazić, jak mówisz to D.G. dokładnie w tej samej formie. Czy nie możesz wbić sobie do głowy, że Frank, Dicky, Bret i D.G. są przekonani, iż kierują wspaniałą instytucją, której zazdrości im cały świat. Nie zareagują z bezgranicznym entuzjazmem na twoją ofertę przeniesienia jej w dwudziesty wiek.

- Muszę to zapamiętać - powiedziałem.

- A teraz jesteś zły na mnie.

- Tylko dlatego, że masz słusność. Tak czy owak, nie warto zastanawiać się co powinienem powiedzieć, kiedy zaproponują mi posadę Franka, bo nie ma na to najmniejszej szansy.- Zobaczmy - powiedziała Fiona. - Czy zdajesz sobie sprawę, że minąłeś nasz dom? Bernard! Dokąd, do diabła, jedziesz?

- Naprzeciwko naszej bramy stoi zaparkowany samochód... siedzą w nim dwaj mężczyźni.

- Ależ, Bernard, naprawdę przesadzasz.

- Zrobię tylko kółko, żeby sprawdzić, czy jest jakaś ekipa wspierająca. Potem wysiądę i podejść do nich bliżej.

- Czy nie zanadto przejmujesz się zaparkowanym samochodem, w którym siedzą dwie osoby? To pewnie, po prostu, jakaś zakochana para, która całuje się na dobranoc.

- Od lat przejmuję się za bardzo różnymi rzeczami - odparłem. - Obawiam się, że z tego powodu trudno ze mną żyć. Ale dzięki temu dotąd nie dałem się zabić, kochanie. A jest to dla mnie dość istotne.

Ulice były opustoszałe. Nie dostrzegłem nikogo w żadnym z zaparkowanych samochodów ani żadnego przechodnia. Zatrzymałem wóz.

- Odczekaj pięć minut. Potem skręć w naszą ulicę i zatrzymaj się przed domem, jakby nigdy nic.

- Na miłość boską, Bernard - Fiona wydawała się teraz zaniepokojona. - Bądź ostrożny.

- Nic mi nie będzie - powiedziałem otwierając drzwi samochodu. - Za to mi płacą.

Wyjąłem pistolet z marynarki i włożyłem go do kieszeni płaszcza.

- Nosisz przy sobie broń? - spytała Fiona z przerażeniem. - Po co, na miłość boską, jest ci potrzebna?

- Nowe zarządzenie - odparłem. - Każdy, kto nosi przy sobie dokumenty pierwszej kategorii, musi chodzić z pistoletem. Zresztą to tylko małokalibrowa zabawka.

- Nienawidzę pistoletów - powiedziała.

- Pamiętaj: pięć minut. Wyciągnęła rękę i ścisnęła mnie za ramię.

- Nic mnie nie łączy z Bretem - powiedziała. - Nic mnie nie łączy z nikim, kochanie.

Przysięgam. Jesteś tylko ty.

- Mówisz to tylko dlatego, że mam pistolet - odparłem. Był to kiepski dowcip, ale ona zdobyła się na uśmiech, a potem przesunęła się na miejsce kierowcy.

Było zimno, a płatki śniegu uderzały mnie po twarzy. Teraz sypało już tak gęsto, że chodnik był zupełnie biały, a temperatura wyraźnie spadła, więc śnieg nie topniał, lecz kłębił się po ziemi.

Wszedłem w naszą uliczkę, czyli w Duke Street, od północnej strony. Chciałem podejść do tego samochodu od tyłu. Tak było bezpieczniej - odwracanie się na siedzeniu samochodowym jest cholernie utrudnione. Samochód nie wydawał mi się znajomy, więc chyba nie należał do Departamentu, ale nie był zaparkowany w taki sposób, by można było w pośpiechu nim odjechać. Była to stara lancia z radiotelefoniczną anteną na dachu.

Kierowca musiał patrzeć w lusterko, bo kiedy podszedłem bliżej, drzwi samochodu się otworzyły. Wsiadł z niego jakiś mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna. Miał na sobie zapinaną na zamek błyskawiczny kurtkę z czarnej skóry i jedną z tych kolorowych wełnianych peruwiańskich czapeczek, które można kupić w stacjach narciarskich. Podniosło mnie to na duchu; członek grupy likwidacyjnej KGB nie ubierałby się w sposób tak łatwy do zapamiętania.

Czekał, aż podejść bliżej trzymając ręce zwieszony w dół, z dala od kieszeni. Potem spytał: - Pan Samson?

Zatrzymałem się. Drugi pasażer samochodu siedział nieruchomo na miejscu. Nie odwrócił się nawet, by na mnie spojrzeć.

- Kim pan jest? - spytałem.

- Mam dla pana wiadomość od pana Cruyera - odparł. Ostrożnie podszedłem bliżej. Trzymałem pistolet w kieszeni płaszcza, zwrócony lufą w jego kierunku.

- O co chodzi? - spytałem.

- Pan Cruyer kazał mi na pana poczekać - odparł zerkając w kierunku wyraźnie widocznej spod mego płaszcza lufy pistoletu. - Nie zostawił pan numeru kontaktowego.

Miał słuszość. Po przyjeździe do domu zastałem kartkę od Fiony, w której prosiła mnie o przewiezienie tego przeklętego łóżka i pojechałem do Tessy.

- No więc słucham.

- Chodzi o pana Trenta. Rozchorował się. Jest w pewnym domu niedaleko Oval. Pan Cruyer siedzi przy nim. - Wykonał nieokreślony gest w kierunku samochodu. - Czy mam do niego zadzwonić i powiedzieć, że pan przyjedzie?

- Pojadę własnym samochodem.

- Jak pan sobie życzy - odparł mężczyzna i naciągnął swą wełnianą czapkę głębiej na uszy. - Poproszę pana Cruyera, żeby do pana zadzwonił i potwierdził to, co powiedziałem, dobrze? - Starał się powstrzymać uśmiech, ale był wyraźnie rozbawiony moją ostrożnością.

- Niech pan to robi - odparłem. - Ostrożności nigdy nie za dużo. - W porządku - powiedział, zsalutował mi niedbale i otworzył drzwi samochodu. - Czy coś jeszcze?

- Nie, to wszystko - odparłem. Nie wypuściłem pistoletu z dłoni, dopóki nie odjechali. Wtedy dopiero wszedłem do domu, nalałem sobie whisky i czekałem na telefon Cruyera. Fiona przyjechała, zanim jeszcze zadzwonił. Objęła mnie czule i pocałowała lodowatymi wargami.

Cruyer nie był zbyt rozmowny. Podał mi tylko adres, stwierdził, że próbował mnie złapać przez niemal godzinę, i oznajmił, że sprawa jest bardzo, bardzo, bardzo pilna. Nie chcąc zjawiać się tam ze składanym łóżkiem na dachu, zdjąłem je przed wyjazdem z bagażnika. Poczulem, że pod wpływem tego wysiłku mam przyspieszony oddech i że drżą mi ręce. A może był to skutek konfrontacji z człowiekiem z samochodu? Nie byłem tego pewien.

Oval, fragment południowego Londynu, biorący swą nazwę od pól krykietowych hrabstwa Surrey, nie jest - jak można by się spodziewać - elegancką dzielnicą willową. Mieści się w niej kilka podupadłych drobnych fabryczek, trochę robotniczych bloków mieszkalnych oraz park, po którym lepiej nie spacerować po zapadnięciu zmroku. Ale mimo to, z dala od głównych przelotowych ulic, pełnych spalin, śmieci i dzikich kotów, stoją tu enklawy odrestaurowanych, przeważnie wiktoriańskich domków. Mieszkają w nich politycy i urzędnicy państwowi, którzy odkryli, że ta niemodna dzielnica leży w bardzo dogodnej odległości od Westminsteru. W jednym z takich właśnie domków czekał na mnie Cruyer.

Siedział we frontowym pokoju czytając *The Economist*. Miał zwyczaj nosić przy sobie zawsze tego rodzaju lektury w kieszeni swej żeglarskiej kurtki, która teraz leżała obok niego

na kanapie. Miał na sobie dzinsy, adidas oraz biały sweter z golfem, jaki noszą w kiepską pogodę kapitanowie kutrów.

- Przykro mi, że nie mogłeś się ze mną skontaktować - powiedziałem.

- Nic się nie stało - odparł tonem oznaczającym, że stało się coś fatalnego. - Trent próbował się otruć.

- Co zażył? W jakim jest stanie?

- Znalazła go, na szczęście, jego siostra - odparł Dicky. Przywiozła go tutaj. To jej dom. Potem zadzwoniła po lekarza. - Słowo „lekarz” w ustach Dicky’ego brzmiało tak, jak w ustach kogoś innego zabrzmieć mogło słowo: „zboczeniec” lub „terrorysta”. - To nie jeden z naszych ludzi, tylko jakiś cholerny konował z miejscowego ośrodka zdrowia.

- W jakim jest stanie?

- Trent? Będzie żył. Ale jest to chyba znak, że jego rosyjscy przyjaciele przykręcają trochę śrubę. Nie chciałbym, żeby przykręcili ją aż do miejsca, w którym Trent zacznie bać się ich bardziej niż nas.

- Czy powiedział to? Czy powiedział, że wywierają na niego presję?

- Możemy chyba założyć, że tak jest - odparł Dicky. - I dlatego ktoś będzie musiał mu powiedzieć, jak wygląda jego położenie.

- To znaczy?

- Ktoś musi mu wytłumaczyć, że nie możemy sobie pozwolić na to, by znalazł się w Moskwie i odpowiadał tam na pytania, jakie zadawać mu będzie zespół oficerów śledczych KGB. Możemy mu wybaczyć zgubienie kilku poufnych dokumentów. Ale nie pozwolimy na to, żeby pomagał im w zbudowaniu dokładnego schematu naszego systemu łączności i struktury organizacyjnej, nie mówiąc już o dostarczaniu szczegółowych* informacji o członkach kierownictwa, które chcieliby mieć w swoich aktach. - Dicky uderzył w otwartą dłoń lewej ręki zwiniętym egzemplarzem czasopisma. I ostrzegawczym tonem dodał: - Poza tym Trent powinien zrozumieć, że zbyt wiele wie, by stanąć przed sądem w Old Bailey.

- I chcesz, żebym ja mu to wszystko wytłumaczył?

- Myślałem, że już to zrobiłeś - odparł Dicky.

- A nie przyszło ci do głowy, że być może ta próba samobójstwa dowodzi, iż został już poddany zbyt wielkiej presji?

Dicky pochłonięty był przez chwilę zwijaniem w rulon trzymanego w ręku czasopisma.

- Ja nie kazałem temu głupiemu sukinsynowi zdradzać swojego kraju - powiedział po dłuższym milczeniu. - Ty myślisz, że będę go traktował łagodnie, bo jest absolwentem Balliol. - Wyjął papierosy i wetknął jednego z nich do ust, nie zapalając go.

- Nigdy nie studiowałem na uniwersytecie - odparłem. - Nie wiem, o co ci chodzi.

Podniósł się ciężko z kanapy i podszedł do obudowy kominka, by poszukać zapalek. Przy okazji pociągnął za płatek jeden ze stojących tam w wazonie narcyzów, by przekonać się, że nie są sztuczne.

- Nie byłeś na uniwersytecie, ale czasem udaje ci się trafić w samo sedno. Myślałem o twojej rozmowie z Bretem, której przysłuchiwałem się dziś po południu. Dopiero wieczorem, siedząc tutaj, zacząłem rozumieć, do czego zmierzałeś. - Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby Dicky zachowywał się tak nerwowo. Znalazł na półce pudełko zapalek, ale okazało się puste.

- Doprawdy?

- Uważasz, że wszystko to przebiega zbyt gładko, prawda? Nie podoba ci się sposób, w jaki materiały obciążające Trenta wpadły w ręce Franka w Berlinie. Fakt, że pełnił służbę tej nocy, kiedy przechwycono tę cholerną depeszę, też budzi twoje podejrzenia. Krótko mówiąc, nie podoba ci się to, że wszystko wskazuje na Gilesa Trenta.

- Nie podoba mi się - przyznałem. - Kiedy otrzymuję wyczerpujące odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie zadaję, to wiem, że zadawałem niewłaściwe pytania.

- Dajmy sobie spokój z tym metaforami - powiedział. Postanowił nie zapalać papierosa i odłożył pudełko od zapalek na półkę. - Czy twoim zdaniem Moskwa wie, że rozszyfrowaliśmy Trenta? Czy podejrzewasz, że chcą z niego zrobić kozła ofiarnego? - Starannie odłożył papierosa do pudełka.

- To byłoby z ich strony rozsądne posunięcie.

- Żeby nas przekonać, że wszystkie przecieki, jakie zdarzyły nam się w ciągu kilku ostatnich lat, były zawinione przez Trenta?

- Owszem, mogliby w ten sposób zatrzeć wszystkie inne ślady. Może chodzi im o to, żebyśmy wsadzili Trenta za kratki, wydali westchnienie ulgi i byli przekonani, że wszystko jest w pełnym porządku.

Dicky zaczął teraz odciskać gazetą czerwone kółka na lewej dłoni, oglądając rezultat tych zabiegów ze skrupulatnością chiromanty, badającego układ linii papilarnych zamożnego klienta.

- Byłoby to logiczne pod jednym warunkiem - powiedział w końcu podnosząc wzrok znad swojej dłoni i patrząc mi badawczo w oczy. - Musieliby mieć kogoś, kto byłby

usytuowany równie korzystnie jak Trent... kogoś, kto mógłby nadal dostarczać im takie same materiały, jakie dostawali od Trenta.

- Lepsze - powiedziałem. - Znacznie lepsze.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ponieważ moskiewska Centrala zawsze sprowadza swoich ludzi do Rosji. Gotowi są wydać pieniądze, aresztować jakiegoś biednego turystę i wykorzystać go jako zakładnika, czy nawet zwolnić z więzienia agenta odsiadującego wyrok, żeby go za kogoś wymienić. Ale zawsze starają się usilnie sprowadzać swoich ludzi do siebie.

- Mógłbym ci wymienić kilku ludzi, którzy odkryli teraz, że wcale nie są „u siebie” - powiedział Dicky.

- To nie ma żadnego znaczenia - odparłem. - Centrala moskiewska używa tego jako argumentu motywacyjnego... że zawsze sprowadza ich bezpiecznie z powrotem do Rosji. Daje im medale, stopnie wojskowe i wszystkie te idiotyczne atrybuty bohaterstwa, które tak dobrze potrafi wykorzystywać.

- Tymczasem, jak dotąd, nic nie wskazuje na to, że zamierzają podjąć próbę sprowadzenia Trenta do Moskwy.

- A to popsuje im statystykę - dodałem. - Muszą mieć naprawdę ważny powód, aby rzucić Trenta wilkom na pożarcie. A jedynym motywem, jaki mogą mieć, jest chęć ulokowania lub uwiarygodnienia innego agenta. Lepszego agenta.

- Ale może Rosjanie nie wiedzą, że go rozszyfrowaliśmy.

- Możliwe jest też, że Trent nie chce jechać do Moskwy. Owszem, myślałem o obu tych hipotezach i każda z nich może być słuszna. Ale ja myślę, że chcą świadomie poświęcić Trenta. A to byłoby bardzo niecodzienne.

- Ta inna osoba... - powiedział Dicky. - Ten drugi agent Moskwy, który, być może, już przeniknął do naszej struktury. Masz na myśli kogoś na samej górze, prawda?

- Spójrz na fakty, Dicky - odparłem. - Od lat nie udało nam się zdobyć dobrego podwójnego agenta ani wpaść na trop żadnego z ważnych agentów Moskwy. Może z tego wynikać tylko jeden wniosek: ktoś udaremnia wszystkie nasze wysiłki. Mamy za sobą długie pasmo żalonych porażek, a niektóre z nich były związane z projektami, w których Trent nie maczał palców.

- W dodatku może to nie być wszystko i obaj o tym wiemy - dodał Dicky. - Gdyby ich agentem był ktoś, kto zajmuje wysokie stanowisko, to nie byłiby takimi głupcami, by wykorzystywać wszystko, co im doniesie. W takim wypadku łatwo byłoby go wytropić. Ale oni są na to zbyt sprytni.

- Zgoda - odparłem. - A zatem istnieje możliwość, że Moskwa wie o wiele więcej, niżby wynikało z przebiegu wydarzeń.

- Czy myślisz, że to mogą być ja? - spytał Dicky cicho, lecz szybko, bębniąc gazetą po ręce.

- Nie, to nie jesteś ty. Może zresztą nikt nie jest winien. Może mamy do czynienia nie ze zdradą, tylko z nieudolnością.

- Dlaczego nie ja? - nalegał Dicky. Był zawiedziony, że tak szybko skreśliłem go z listy podejrzanych.

- Bo gdybyś był agentem Moskwy, prowadziłbyś swój dział zupełnie inaczej. Ulokowałbyś sekretarkę w sąsiednim pokoju zamiast przenosić ją do gabinetu, gdzie przez cały czas może cię obserwować. Starałbyś się o dostęp do masy bieżących informacji, którymi nie chce ci się zaprzętać sobie głowy. Nie zostawiałbyś ściśle poufnych dokumentów w maszynie do kopiowania, co w ciągu ostatniego roku trzykrotnie wywołało alarm w całym budynku. Agent Moskwy nie zwracałby na siebie uwagi w taki sposób. A poza tym zapewne znalazłbyś się trochę na fotografii i nie robiłbyś co roku tak okropnych zdjęć z wakacji. Nie, ty nie jesteś człowiekiem Moskwy, Dicky.

- Ty też nie - powiedział - bo nie poruszyłbyś jako pierwszy tego tematu. Więc zawrzyjmy w tej sprawie sojusz. Masz jechać do Berlina i skontaktować się z siatką Brahmsa. Po powrocie złóż mi poufne ustne sprawozdanie. A poza tym od dziś zachowajmy dla siebie wszystko, co dotyczy Trenta. My dwaj możemy zachować w tajemnicy sporo faktów.

- Chodzi ci o to, żeby nic nie mówić Bretowi?

- Ja sam zajmę się Bretem. Powiem mu tylko tyle, ile musi wiedzieć.

- Chyba nie podejrzewasz Breta? - Pomyślałem natychmiast o Fionie. Gdyby miała romans z Bretem, to musiałby on zostać ujawniony w trakcie ewentualnego śledztwa. A to wywołałoby piekielne zamieszanie.

- Tym agentem może być każdy. Sam to mówiłeś. Może nim być D.G.

- Och, sam nie wiem, Dicky - powiedziałem niepewnie.

- Wiem, o co ci chodzi - stwierdził nerwowo. - Myślisz, że chcę w ten sposób perfidnie odciąć Breta od dopływu informacji. Po to, żeby zająć jego miejsce.

- Nie - zaprzeczyłem, choć to właśnie przyszło mi do głowy.

- Nie zaczynajmy od podejrzeń - zaproponował Dicky. - Musimy mieć do siebie zaufanie. Co mam zrobić, żebyś mi zaufał?

- Chciałbym, żebyś dał mi coś na piśmie, Dicky. Coś, co będę mógł pokazać, zanim wydadzą na mnie wyrok skazujący.

- Czy wtedy zastosujesz się do moich sugestii?

- Owszem. - Teraz, kiedy Dicky wyartykułował moje obawy, czułem się niewyraźnie, a raczej byłem wystraszony, cholernie wystraszony. Obecność agenta Moskwy narażała na niebezpieczeństwo nas wszystkich, natomiast jego ewentualne zdemaskowanie mogło zdyskredytować i zdeintegrować cały Departament.

Dicky kiwnął głową. - Ponieważ wiesz, że mam rację - powiedział. - Cholernie dobrze o tym wiesz. Mamy moskiewskiego agenta w samym kierownictwie Departamentu.

Nie przypomniałem mu, że - jak sam przyznał - właśnie moja rozmowa z Bretem pozwoliła mu domyślić się, do czego zmierzam. Wołałem, żeby był przekonany, że sam doszedł do takich wniosków. Absolwenci Balliol lubią uchodzić za ludzi o twórczych umysłach.

Usłyszeliśmy kroki, a potem pukanie do drzwi. Wszedł lekarz. - Pacjent teraz śpi, panie Cruyer - powiedział z szacunkiem. W tym wiktoriańskim otoczeniu spodziewałbym się doktora z kędzierzawymi bokobrodami i w cylindrze. Tymczasem lekarz był młody, młodszy niż Dicky; miał długie, faliste włosy, które sięgały mu aż do sztywnego, białego kołnierzyka, i zniszczony, staromodny kuferek, niewątpliwie odziedziczony po jakimś czcigodnym przodku.

- A więc jaka jest prognoza, doktorze? - spytał Dicky. Lekarz postawił swój kuferek na podłodze i zaczął wkładać płaszcz.

- Samobójstwo nie jest już wyjątkową tragedią, jaką było kiedyś - powiedział. - W Niemczech ginie na skutek samobójstw około czternastu tysięcy ludzi rocznie, czyli więcej niż w wypadkach drogowych.

- Darujmy sobie tę statystykę - przerwał mu Dicky. - Chodzi mi o to, czy można się spodziewać, że nasz przyjaciel podejmie kolejną próbę.

- Jestem tylko lekarzem, a nie jasnowidzem, panie Cruyer. Ale bez względu na to, czy lubi pan statystykę, czy też nie, mogę panu powiedzieć, że w ośmiu wypadkach na dziesięć samobójcy zapowiadają z góry swój czyn. Gdyby pański przyjaciel miał pod ręką kogoś życzliwego, zapewne nie podjąłby tego desperackiego kroku. Jeśli idzie o to, czy podejmie następną próbę, to powiem tyle, że jeśli zapewni mu pan opiekę, jakiej najwyraźniej potrzebuje, to będzie pan znał jego zamiary i zapewne uniknie pan konieczności wzywania kolejnego konowala, który może tylko zneutralizować skutki jego czynu.

Dicky kiwnął głową, jakby aprobuując tę krótką przemowę. - Czy będzie zdrowy do jutra? - spytał.

- W każdym razie do końca tygodnia - odpowiedział lekarz. - Głównie dzięki paninie Trent. - Usunął się na bok, wpuszczając do pokoju niezamężną siostrę Gilesa Trenta. - Przydała jej się praktyka, jakiej nabyła będąc pielęgniarką. Sam nie potrafiłbym zaopiekować się nim lepiej.

Panna Trent nie zareagowała na komplementy lekarza. Była kobietą pod sześćdziesiątkę, wysoką i szczupłą jak jej brat. Zwróciłem uwagę na jej ufryzowane, ufarbowane na ciemno włosy i okulary ozdobione lśniącymi błyskotkami. Miała na sobie wełniany sweter i szkocką spódnicę w czerwono-niebiesko-zieloną kratę. W kołnierzu bawełnianej bluzki wpięta była antyczna złota broszka. Wyglądała na osobę, która ma dość pieniędzy, by zaspokoić swe skromne potrzeby.

Umeblowanie pokoju przypominało jego właścicielkę; było skromne, mieszczańskie i staromodne. Dywany, półka na książki i stojący zegar były cennymi antykami, być może odziedziczonymi po rodzicach, ale nie bardzo pasowały do tego wnętrza i zastanawiałem się, czy nie są to przedmioty, których pozbył się niedawno Giles.

- Zrobiłam tylko to, co dyktował mi zdrowy rozsądek - powiedziała, energicznie zacierając ręce. W jej głosie słychać było śladowe pozostałości akcentu szkockiego.

Młody lekarz życzył nam dobrej nocy i wyszedł. Bóg wie, co naopowiadał mu Dicky, ale jeśli nie liczyć drobnego wybuchu, traktował nas przez cały czas z niezwykle szacunkiem.

- A więc pan jest człowiekiem, dla którego pracuje mój brat - powiedziała panna Trent.

- Owszem - odparł Dicky. - Może pani sobie wyobrazić, jak byłem wstrząśnięty, kiedy usłyszałem, co się stało.

- Tak, mogę sobie wyobrazić - powiedziała lodowatym tonem. Ciekaw byłem, jak wiele wie o miejscu pracy swego brata.

- Szkoda tylko, że wezwła pani tego miejscowego lekarza - ciągnął Dicky wręczając jej kartkę papieru z listą numerów, pod które pracownicy Departamentu mieli dzwonić w nagłych wypadkach. - O wiele lepiej skorzystać z usług prywatnej służby medycznej, do których pani brat ma prawo. - Uśmiechnął się do niej, ona zaś obrzuciła nieufnym spojrzeniem zarówno jego, jak i otrzymaną listę. - Zapewnimy pani bratu wygodny pokój, dyżurne pielęgniarki i opiekę lekarską. Pani już zrobiła swoje, panno Trent.

- Mój brat pozostanie tutaj - powiedziała, nie reagując na jego uśmiech i nie zmieniając niezyczliwego wyrazu twarzy.

- Wszystko już załatwiłem - oznajmił Dicky. Był dla niej godnym rywalem; odznaczał się gruboskórnym uporem nosorożca. Interesował mnie wynik tej konfrontacji, ale moje myśli znów powróciły do Fiony. Obsesyjnie wyobrażałem ją sobie w towarzystwie Breta; widziałem, jak z sobą rozmawiają, tańczą, śmieją się i kochają.

- Czy nie słyszał pan, co powiedziałam? - spytała spokojnie panna Trent. - Mój brat potrzebuje odpoczynku. Nie pozwolę zakłócać mu rekonwalescencji.

- Decyzja w tej sprawie nie należy do nas - powiedział Dicky. - Pani brat podpisał kontrakt, mocą którego jego pracodawcy są odpowiedzialni za jego leczenie. W takiej sytuacji - przerwał na chwilę i uniósł jedną brew - musi zostać zbadany przez jednego z naszych specjalistów. Musimy myśleć o firmie ubezpieczeniowej. Ci ludzie potrafią uczeplić się każdego odstępstwa od przepisów.

- Ale on teraz śpi - powiedziała bardziej ustępliwym głosem.

- Gdyby uchylono warunki ubezpieczenia, pani brat straciłby prawo do emerytury, panno Trent. Nie twierdzi pani chyba, że zna się pani na medycynie lepiej niż lekarz, który go badał.

- Nie słyszałam, żeby pozwolił go przewozić.

- Dał mi to wszystko na piśmie - odparł Dicky przerzucając strony trzymanego w rękę czasopisma, w którym poprzednio umieścił kartkę papieru. - Proszę bardzo. - Wręczył jej odręcznie napisane orzeczenie lekarskie. Przeczytała je i zwróciła mu w milczeniu.

- Musiał to napisać zaraz po przybyciu na miejsce.

- Istotnie - przyznał Dicky.

- Zanim jeszcze zbadał mojego brata. Czy o tym rozmawialiście tak długo, zanim przyszedł na górę?

- Karetka będzie tu lada chwila, panno Trent. Czy byłaby pani tak dobra spakować ubranie brata do jakiejś torby czy walizki? Oczywiście postaram się, żeby ją pani dostała z powrotem. - Znów uśmiechnął się serdecznie. - O ile wiem, będzie mógł się ubrać już jutro lub pojutrze.

- Pojadę z nim - oświadczyła.

- Zadzwoń do biura i spytam - obiecał Dicky. - Ale oni prawie zawsze odpowiadają *nie*. Trudno jest coś załatwić tak późnym wieczorem. Nie można znaleźć żadnego z członków kierownictwa.

- Myślałam, że pan reprezentuje kierownictwo - powiedziała.

- No właśnie! - stwierdził Dicky. - To właśnie mam na myśli. Nie można znaleźć nikogo, kto miałby prawo uchylić moją decyzję.

- Biedny Giles - powiedziała kobieta. - Pomyśleć, że musi pracować dla kogoś takiego jak pan.

- Przez większość czasu zostawialiśmy mu wolną rękę - odparł Dicky.

Panna Trent gwałtownie uniosła ku niemu wzrok, jakby chciała się przekonać, co ma na myśli, ale twarz Dicky'ego była równie pozbawiona wyrazu jak poprzednio jej własna. Ze złością odwróciła się w moją stronę i stwierdziła, że mam w ręku złożoną gazetę oraz ołówek.

- A pan - spytała. - Co pan tu robi?

- Rozwiązuję krzyżówkę - odparłem. - Sześć liter; wesele w operze, ale nie w Sewilli. Czy wie pani, co to może być?

- Nie znam się na operze. Nienawidzę opery i nie wiem nic o Sewilli - stwierdziła panna Trent. - A jeśli pan nie ma do roboty nic lepszego niż zadawanie mi takich pytań, to pora, żeby opuścić pan mój dom.

- Nie mam do pani ważniejszych pytań, panno Trent - powiedziałem. - Może pani brat pomoże mi to rozwiązać.

Jezu! - pomyślałem - a jeżeli Bret jest agentem Moskwy i próbuje pozyskać Fionę dla swojej sprawy? Mogłoby to mieć naprawdę poważne konsekwencje.

- To wcale nie jest krzyżówka - powiedziała panna Trent. - Wymyślił pan to pytanie. To strona z ogłoszeniami.

- Rozglądam się za nową posadą - wyjaśniłem.

ROZDZIAŁ XV

Dicky kazał umieścić Trenta w Berwick House, osiemnastowiecznej rezydencji magnackiej, noszącej nazwisko naturalnego syna Jakuba II i siostry księcia Marlborough. Została ona przejęta w roku 1940 przez Ministerstwo Wojny i, jak wiele innych cennych obiektów czasowo zagarniętych przez rząd, nigdy nie wróciła do poprzednich właścicieli.

Trudno było o bardziej ustronne miejsce, nawet gdyby zostało zbudowane specjalnie dla nas. Siedmioakrowy teren, otoczony starym, wysokim na pięć metrów murem, był tak zarośnięty chwastami i bluszczem, że wydawał się zupełnie opuszczony i bynajmniej nie sprawiał wrażenia tajnego obiektu.

Armia wzniosła na trawniku, na którym dawniej grywano w krykieta, kilka ciemnych baraków służących obecnie za kwatery dla strzegących obiektu uzbrojonych gwardzistów oraz dwie hale z prefabrykatów używane jako sale wykładowe, kiedy w głównym budynku odbywała się jakaś narada czy specjalna konferencja szkoleniowa. Ale mimo tych niekorzystnych zmian Berwick House zachował wiele ze swej dawnej elegancji. Najbardziej malowniczym fragmentem posiadłości była fosa, w której rosły kępy sitowia, irysy i lilie.

Zamontowane w niej podwodne urządzenia były całkowicie niewidoczne. Nawet mała wiejska herbaciarnia i domek odźwiernego zostały przebudowane na wartownię z troską o zachowanie ich dawnego wyglądu. A czujniki, w których wykorzystano promienie podczerwone, i ostrzegawcze bariery dźwiękowe zostały ukryte w krzakach tak starannie, że nawet obsługującym je technikom niełatwo było do nich trafić.

- Zachowujecie się nieodpowiedzialnie - powiedział Giles

-

Trent. - Jest to porwanie, niezależnie od tego, jaki wymyślny pretekst przedłoży Dicky.

- Może stał się nieodpowiedzialny, kiedy usłyszał, że zażyłeś nadmierną dawkę środków nasennych - odparłem.

- Jesteś cynicznym sukinsynem - oświadczył. Siedzieliśmy w jego niewielkim pokoju na drugim piętrze; kremowe ściany, metalowe łóżko oraz sztych przedstawiający śmierć admirała Nelsona pod Trafalgarem.

- Ty uważasz, że powinienem ci współczuć - powiedziałem. - A ja ci nie współczuję. To jest źródłem różnicy stanowisk.

- Nigdy nie przestajesz być na służbie, co?

- Nie jestem specjalistą od przesłuchań - powiedziałem pogodnie. - W odróżnieniu od ciebie, nigdy nim nie byłem. Znasz większość specjalistów z tej dziedziny, Giles. Niektórych spośród nich sam szkolileś - przeczytałem to w twoich aktach personalnych. Podaj nazwisko człowieka, z którym chciałbyś się widywać, a zrobię, co będę mógł, żeby wyznaczono go na twojego oficera przesłuchującego.

- Daj mi papierosa - powiedział Trent. Obaj wiedzieliśmy dobrze, że nie ma mowy o żadnym jego kontakcie z zawodowym specjalistą od przesłuchań. Taka konfrontacja wywołałaby falę domysłów i odbiła się echem od Curzon Street aż do Kremla. Podałem mu papierosa. - Dlaczego nie pozwalacie mi trzymać kilku paczek w swoim pokoju? - spytał Trent, który dużo palił.

- Regulamin Berwick House zabrania palenia w sypialniach, a lekarz powiedział, że papierosy ci szkodzą.

- Nie wiem, po co chcieliście zachować mnie przy życiu - powiedział Trent w nieprzekonywającym wybuchu melancholii. Skąpy, bawełniany szlafrok dostarczony mu przez administrację domu był na niego zbyt ciasny, więc stale szarpał za jego kołnierz, by ukryć pozbawioną guzików kurtkę od piżamy. Być może przypominał sobie podręcznik

techniki dochodzeniowej, w którym sam zalecał, by narażać osoby poddawane przesłuchaniom nie tylko na fizyczne niewygody, lecz również na upokorzenia psychiczne.

- W każdym razie nie po to, żebyś w dobrej formie dożył do procesu w Old Bailey, jeśli nawet masz takie podejrzania.

Zapalił papierosa zapalkami, które mu podałem i zaciągnął się głęboko w sposób typowy dla nałogowych palaczy.

- Myślisz, że nie? - spytał.

- Nie mogą sobie pozwolić na taki rozgłos. Za dużo wiesz, Giles.

- Pochlebiasz mi. Wiem tylko o drobiazgach. Czy kiedykolwiek zaproszono mnie do udziału w planowaniu jakichś poważnych operacji? Wyczułem w jego głosie nutę zawiedzionej ambicji. Zastanawiałem się, czy odegrała ona jakąś rolę w procesie jego zdrady.

- To właśnie przecieki drobiazgów najbardziej irytują władze, Trent. Drobiazgów, których poszukują gazety i tygodniki. I właśnie dlatego nigdy nie można precyzyjnie się w Old Bailey przez tłum reporterów. Oni dobrze wiedzą, że ich prenumeratorzy nie chcą czytać długich raportów o sowieckiej ekonomii, kiedy mogą dowiedzieć się, w jaki sposób założono podsłuch w sypialni kochanki węgierskiego attache wojskowego.

- A więc jeśli nie Old Bailey, to co...?

- Stale ci to powtarzam, Giles. Staraj się, żeby twój przyjaciel Chlestakow był zadowolony. - Usiadłem na łóżku Trenta. Chciałem mu pokazać, że szykuję się do długiej rozmowy, a poza tym wiedziałam, że zirytuję go rozgrzebując jego posłanie. Ludzie stają się pod wpływem irytacji gadatliwi i niedyskretni; tego również dowiedziałem się z napisanego przez Trenta podręcznika. - Ten twój facet z ambasady musi mieć poczucie humoru, skoro wybrał sobie nazwisko Chlestakow. Tak nazywa się ten fałszywy rewizor z komedii Gogola. Facet, który napelnia sobie kieszenie łapówkami, uwodzi córkę horodniczego, okłamuje, oszukuje i wystawia do wiatru wszystkich skorumpowanych dygnitarzy rządzących w mieście, a potem, tuż przed opadnięciem kurtyny, odchodzi wolny jak ptaszek. Bo nic mu nie mogą zrobić, prawda? Czy też trafia w końcu do więzienia?

- Skąd mogę wiedzieć?

- Ale Gogol miał poczucie humoru - stwierdziłem z uporem.

- Jeśli nie Old Bailey, to co?

- Nie podnoś głosu, Giles. No cóż, to chyba jasne, nie uważasz? Albo uznają, że z nimi lojalnie współpracowałeś, a wtedy włos nie spadnie ci z głowy i dożyjesz swoich dni w jakimś ulubionym przez emerytów nadmorskim kurorcie na południowym wybrzeżu, albo

odmówisz współpracy i skończysz w karetce z migającymi światłami, która nie zdąży dojechać w porę do dyżurnego szpitala.

- Czy chcesz mnie przestraszyć?

- Tak, i mam nadzieję, że robię to skutecznie. Próbuję wlać ci trochę oleju do twojego bezmyślnego łba.

- Chlestackow, czy jak on się tam nazywa, niczego nie podejrzewa. Ale jeśli będziecie trzymali mnie w tym zamknięciu, z pewnością wzbudzie jego nieufność. Gdzie jesteśmy, nawiasem mówiąc? Jak długo byłem nieprzytomny?

- Przestań pytać mnie w kółko o to samo, Giles. Wiesz, że nie mogę ci odpowiedzieć. Podstawowe pytanie brzmi: kiedy zaczniesz mówić prawdę. - Nie zareagował na tę uwagę; przyjrzał się tylko swemu papierosowi, jakby sprawdzając, ile razy może się jeszcze nim zaciągnąć. - Wróćmy więc do tego pierwszego przesłuchania. Czytałem stenogram dziś rano.

- Podniósł wzrok. - Ależ tak, ja nad tym pracuję, Giles. Wierzę w etos pracy wyznawany przez klasy niższe. Otóż podczas tego pierwszego przesłuchania powiedziałeś, że regularnie chodziłeś do opery z siostrą i Chlestackowem, by mu tam przekazywać fotokopie dokumentów. Z zainteresowaniem odnotowałem, że użyłeś słowa *treff*. - Zrobiłem krótką przerwę, by zobaczyć, czy zareaguje na wzmiankę o siostrze i wizytach w operze. Obserwując go bacznie, ciągnąłem dalej: - *Treff* to wyraz ze słownika szpiegów. O ile pamiętam, ja sam nigdy się nim nie posługiwałem, ale słyszałem je często w filmach telewizyjnych. Ma ono ów posmak romantyzmu, kojarzący się niektórym z zawodem szpiega. *Treff*. Po niemiecku oznacza spotkanie, ale również atak lub cios. I ma tak narzucające się konotacje wojskowe, jak „bitwa”, „walka” czy „akcja”. Może też oznaczać „przebieg bitwy”. Czy wiedziałeś o tym, Giles?

Trent zaciągał się papierosem tak mocno, że wypalił go już niemal do końca. Obecnie przyciskał końcówkę do warg, próbując przedłużyć jej życie. - Nigdy się nad tym nie zastanawiałem - odpowiedział.

- Dlatego zapewne Chlestackow posłużył się tym słowem. Sprawiało ono, że obaj czuliście się bardziej odważni i przedsiębiorczy, po prostu jak ludzie, którzy zmieniają bieg historii. Spytałem kiedyś pewnego faceta z KGB, po co dają swoim agentom te wszystkie gadzety, takie, jakie dali tobie. Aparaty fotograficzne, które wyglądają jak zapalniczki, nadajniki radiowe ukryte w odtwarzaczach video, specjalne bloczki do notatek i tak dalej. Chlestackow nigdy nie kazał ci posłużyć się żadnym z tych tandetnych wynalazków - ludzie z KGB prawie nigdy ich nie używają. Po co mieliby zadawać sobie tyle trudu w wolnym kraju, kiedy wystarczy im posłać jednego ze swoich ludzi taksówką na drugi koniec miasta i kazać

mu odbyć z kimś rozmowę lub spędzić kilka minut w zakładzie wykonującym fotokopie? Otóż ten facet z KGB powiedział mi, że to daje ich agentom poczucie pewności siebie. Czy dawało je tobie, Giles? Czy czułeś się bezpieczniej mając w domu wszystkie te rupiecie? Oczywiście, to one cię zgubiły. Kiedy znaleźliśmy cały ten sprzęt pod podłogą, byłeś skończony. Co za głupie miejsce - pod podłogą. Podłogi i strychy - od tego fachowcy zawsze zaczynają przeszukiwanie lokalu. Czy była to sugestia Chlestakowa?

- Szczerze mówiąc, tak - odparł Trent. Wstał z miejsca i zawiązując ciasniej pasek od szlafroka podszedł do drzwi. Otworzył je i spojrzał w głąb korytarza. Kiedy wrócił, wymamrotał coś na temat filiżanki herbaty. Wydawało mu się jakoby, że słyszał nadchodzącą pielęgniarkę, ale ja wiedziałem, że udało mi się go nastraszyć.

- Wracając do tematu, Giles; powiedziałeś, że kupowałeś bilety do opery dla Chlestakowa i twojej siostry po to, abyście we troje wyglądali - tu zawiesiłem głos - mniej podejrzanie. To było dziwne sformułowanie, Giles. Zastanawiałem się nad tym ubiegłej nocy, kiedy nie mogłem zasnąć. Mniej podejrzanie niż co? - myślałem. Mniej podejrzanie niż dwaj mężczyźni? Wydało mi się to pozbawione sensu. Po co brałbyś siostrę do opery, kiedy chciałeś utrzymać swoje spotkania z Chlestakowem w jak największej tajemnicy. Więc wstałem z łóżka i zacząłem od nowa czytać ten stenogram. Znalazłem ustęp, w którym opisujesz te wizyty w operze. Cytujesz zdanie swojej siostry, która powiedziała jakoby, że „pan Chlestakow jest miłym człowiekiem jak na Rosjanina”. Zapewne powiedziałeś to, by podkreślić fakt, że twoja siostra nie darzy Rosjan szczególną sympatią.

- Zgadza się - przyznał Trent.

- A nawet, że jest uprzedzona do Rosjan?

- Owszem.

- Ale cokolwiek ona sądzi o Chlestakowie i jego towarzyszach, stenogram z twoich zeznań zdaje się dowodzić, że znała jego nazwisko i jego narodowość. Czy mam rację?

- Tak. - Trent przestał chodzić po pokoju. Stał obok elektrycznego grzejnika wmontowanego w kominiek i nerwowo zacierał ręce. - Ona uwielbia operę. Zabieraliśmy ją z sobą, żeby mieć pretekst do spotkania.

- Twoja siostra nie była z nami zupełnie szczerą, Giles - powiedziałem. - Wczoraj wieczorem wymyśliłem pytanie, na które potrafiłyby odpowiedzieć nawet najgorzej poinformowany miłośnik opery na świecie. Twoja siostra powiedziała mi, że nie znosi opery. Powiedziała to bardzo stanowczo. Takim tonem, jakby miała szczególny powód, aby jej nienawidzić.

- Nie mam pojęcia, do czego zmierzasz.

- Czy jest ci zimno, Giles? Cały się trzęsiesz.

- Nic mi nie jest.

- Obaj wiemy, jak to naprawdę było, prawda, Giles? Dotarli do ciebie za pośrednictwem twojej siostry. Czy Chlestakow, miły pan w odpowiednim wieku, wszedł do należącego do niej sklepiku z wełną i poprosił ją o pomoc w wyborze wełny? Dla swojej matki? Dla swojej siostry? Dla swojej córki? Nie dla swojej żony - bo cóż się z nią stało? Czy przedstawił się jako wdowiec? Tak oni zwykle robią. A potem, kiedy ich związek rozkwitł - ci faceci z KGB nigdy się nie spieszą i za to ich podziwiamy; my zawsze robimy wszystko na wczoraj, a Amerykanie są pod tym względem jeszcze gorsi - twoja siostra zaproponowała, żebyś wziął udział w ich randkach. A ty się zgodziłeś.

- Mówisz o tym w taki sposób, jakby to wszystko zostało starannie zaplanowane. - Był zły, ale jego gniew nie był skierowany przeciwko mnie. Nie był skierowany przeciw żadnej konkretnej osobie. Po prostu eksplodował z trzaskiem, jak pocisk wrzucony do ognia.

- A ty nadal chcesz się łudzić, że nie było, prawda? No cóż, nie mam ci tego za złe. Człowiek nie może być zadowolony, kiedy się dowie, że zagrał wyznaczoną sobie rolę w sztuce napisanej w Moskwie.

- Przez dziesięć lat opiekowała się moim ojcem. Odrzuciła dwie korzystne propozycje małżeństwa. Czy miałem odebrać jej szansę na odrobinę szczęścia?

- Nie powiesz mi chyba - spytałem kręcąc niedowierzająco głową - że uważałeś to wszystko za prawdę? Wierzyłeś, że księżę z bajki wkroczył przez drzwi sklepu z wełną, a szklany pantofelek przypadkiem pasował akurat na nogę twojej siostry? Uznałeś za zbieg okoliczności, że on pracował dla KGB, a ty dla Tajnej Służby Wywiadowczej?

- On pracował w Sowieckiej Misji Handlowej - mruknął Trent.

- Nie żartuj sobie ze mnie w taki sposób, Giles, bo przewrócę się ze śmiechu.

- Chciałem w to wierzyć.

- Wiem - powiedziałem. - To tak jak ze mną i ze świętym Mikołajem, tylko że któregoś dnia trzeba zadać sobie pytanie, jak wprowadza przez komin tego cholernego renifera.

- Co za różnica, czy ja chodziłem do opery z nimi, czy też ona chodziła do niej z nami?

- Wreszcie zadałeś pytanie, na które mogę odpowiedzieć - powiedziałem. - D.G. nie chciałby stawiać cię przed sądem z powodów, o których już mówiliśmy. Ale nie miałby takich oporów w stosunku do twojej siostry.

- Mojej siostry?

- Przy czym ty odegrałbyś rolę nie wymienionego z nazwiska świadka. Wiesz, jak się załatwia takie sprawy. Czytasz w gazetach sprawozdania z procesów o szpiegostwo. Przypuszczam, że w twojej sytuacji czytujesz je bardzo starannie i uważnie.

- Ona nie ma nic wspólnego z całą tą sprawą.

- Byłbyś głupi, gdybyś przypuszczał, że to pozwoli jej uniknąć więzienia. - Ty świnió!

- Zastanów się nad tym - powiedziałem.

- Zabiję się - oznajmił z rozpaczą. - Następnym razem zrobię to skuteczniej.

- I zostawisz siostrę samą w obliczu konsekwencji? Chyba nie byłbyś do tego zdolny.

Wydawał się tak załamany, że dałem mu kilka papierosów i obiecałem, że każę mu przynieść jego ubranie. - Idź na badanie, zażyj tabletki i wszystko, czego zażąda pielęgniarka. Potem zjedz lunch, a później pójdziemy na spacer do ogrodu.

- Ogrodu? To raczej dżungla.

- Bądź gotowy o drugiej.

- Gotowy na co?

- Bądź gotowy powiedzieć całą prawdę o twoim przyjacielu Chlestakowie i wyjaśnić kilka sprzeczności, które znalazłem w twoim stenogramie.

- Jakich sprzeczności?

- Dowiesz się w swoim czasie.

* * *

Na niebie widoczne były plamy błękitu, ale chmury ciemniały coraz bardziej i deszcz wisiał w powietrzu. Trent miał na sobie krótką samochodową kurtkę z futrzanym kołnierzem, który podniósł, by zasłonić sobie uszy, oraz elegancką czapkę z daszkiem, niewątpliwie kupioną w drogim sklepie z kapeluszami.

Na łonie natury czuł się wyraźnie obco i zamiast wdychać świeże powietrze, palił kolejnego papierosa. - - Kiedy mnie stąd wypuszczą? - spytał. Skończywszy papierosa podniósł małą gałązkę, połamał ją na kawałki i wrzucił do wypełnionej stojącą wodą fosy.

- Jutro pojedziesz do domu.

- Czy jest tu ktoś, u kogo mógłbym zrealizować czek?

- Idź do kasjera. - Szliśmy wzdłuż fosy aż do małego drewnianego mostka, a po jego przekroczeniu znaleźliśmy się w zaniedbanym zagajniku. - Przyszła pocztówka od Chlestakowa - powiedziałem.

- Na mój adres domowy?

- A czy spodziewałbyś się, że przyjdzie na inny?

- Chce się spotkać?

- Jest w niej napisane, że jakiś Geof spędza weekend na rybach. Złapał wielką rybę nieokreślonego gatunku i będzie z powrotem w pracy 16 bieżącego miesiąca o drugiej po południu. Mam nadzieję, że to coś dla ciebie znaczy.

- A zatem dla was nie znaczy nic?

- Tylko tyle, że rosyjska machina szpiegowska nadal posługuje się tymi samymi starymi metodami, które okazały się mało przydatne już przed dwudziestu laty albo jeszcze dawniej.

- Ale osiąga rezultaty - powiedział agresywnym tonem Trent.

- Kiedy - wielkie państwo policyjne przeznacza tak wiele czasu, pieniędzy i materiału ludzkiego o na infiltrację wolnego zachodniego społeczeństwa, musi osiągać pewne rezultaty.

- Wcale nie lubię Rosjan bardziej niż ty - oznajmił Trent. - Zostałem zmuszony do współpracy z nimi.

- Ponieważ zagrozili ci, że doniosą na ciebie naszemu kontrwywiadowi. Tak, już mi o tym opowiadałeś.

- Łatwo ci kpić. Nie masz pojęcia, jakie to było okropne.

- Ale ty świetnie sobie z tym problemem poradziłeś, prawda? Szpiegowałeś coraz gorliwiej. Chodziłeś na czterech łapach przed swoim przyjacielem Chlestakowem i dawałeś mu wszystko, czego zażądał. Jak na człowieka, który nie lubi Rosjan, okazałeś im maksimum życzliwości i gotowości do współpracy.

- Bo wiedziałem, że to nie będzie trwało wiecznie. Robiłem wiele rzeczy, których ode mnie żądali, ale nie spieszyłem się wcale, a czasami im odmawiałem. Czasem mówiłem Chlestakowowi, że to czy tamto jest niemożliwe. Grałem na zwłokę. Wiedziałem, że w końcu dadzą mi święty spokój.

- Dlaczego im wierzyłeś? Dlaczego miałby jakikolwiek wywiad dać święty spokój dobrze ulokowanemu agentowi?

- Chlestakow zagwarantował mi to już na samym początku. - Trent spojrzął mi w oczy. - A ja mu uwierzyłem. Miało to być tylko rozwiązanie tymczasowe. Obiecał mi to. Narzuciłem też inne warunki. Obiecał mi, że nigdy nie będzie żądał informacji, które mogłyby narazić na niebezpieczeństwo naszych własnych agentów. Chodziło mu tylko o ogólne tło.

- I o kilka konkretnych drobiazgów - dodałem.

- To były tylko aktualne szczegóły, których Chlestakow potrzebował do swych raportów. Pytał mnie o zwyczaje panujące w biurze, o rozkład dyżurów personelu. Ile lat ma Rensselaer, czy Cruyer posiada własny dom i czy ciąży na nim dług hipoteczny? Na wiele z

tych pytań nie umiałem odpowiedzieć, a na niektóre nie chciałem odpowiadać. Ale on mi tłumaczył, że musi mieć takie detale, bo one zrobią wrażenie w Moskwie.- Grał na twoim współczuciu, co? - spytałem z ironią. - Gdybyś nie pomagał biednemu Chlestakowowi, zostałby skierowany do innych obowiązków w innym mieście. A twoja siostra chciała, żeby był w Londynie.

- To może brzmieć głupio...

- To brzmi obrzydliwie - przerwałem mu. - To brzmi idiotycznie i arogancko. Nie przyszło ci do głowy, żeby się zastanowić, czy twoja zdrada się opłaca? Czy nie pomyślałeś, że twój kraj płaci wysoką cenę za życie erotyczne twojej siostry?

- Idź do diabła.

- A czy nie martwiłeś się, że mogą cię złapać?

- Nie.

- Czy Chlestakow nie omawiał z tobą kroków, jakie podejmie, jeśli ktoś zacznie cię podejrzewać? Czy nie obiecywał, że w razie niebezpieczeństwa pomoże ci wyjechać z Anglii? Czy nie podał ci numeru telefonu, pod który masz zadzwonić, jeśli jakiś pies gończy z kontrwywiadu zacznie ci zadawać kłopotliwe pytania?

- Odpowiedziałem ci już na wszystkie te pytania. Nigdy nie rozmawialiśmy o możliwości mojej wpadki.

- Ale naopowiadałeś mi również kupę kłamstw, Trent. Teraz chcę, żebyś zaczął mówić prawdę, bo inaczej znajdziesz się w innym wiejskim domu, ale tam nie będziesz już spacerował po ogrodzie ani wypalał papierosa po lunchu. Czy wyrażam się jasno?

- Wyrażasz się zupełnie jasno - odparł Trent. Moje groźby najwyraźniej nie budziły w nim lęku - jedynie z trudem powściągany gniew. Dostrzegłem w nim teraz siłę fizyczną, dorównującą jego odporności psychicznej. Nie była to siła atlety, tylko naturalna siła wysokiego i mocnego mężczyzny. Nie mogłem pojąć, dlaczego usiłował popełnić samobójstwo, a jeszcze bardziej dziwiło mnie to, że nie zrobił tego skutecznie, skoro raz już podjął decyzję, ale postanowiłem się nad tym nie zastanawiać. Brnęliśmy na przełaj wśród drzew i krzewów. Pod naszymi stopami trzaskały gałęzie i chlupotało błoto. W pewnym momencie przestraszył nas obu królik, który wyskoczył nagle z zarośli.

W końcu Trent przerwał milczenie. - Powiedziałem im, że nigdy nie pojedę do Moskwy. Wolałbym siedzieć w więzieniu w Anglii niż jechać do Rosji i umrzeć na emigracji. Chlestakow powiedział, że nie ma nic przeciwko temu. Że nawet im to odpowiada. Był zadowolony, że powiedziałem mu to na wstępie, bo wobec tego postara się, żebym nie miał

dostępu do informacji, które mogłyby skompromitować KGB, gdyby zostały ujawnione przed sądem.

- Skompromitować KGB! Czy tego właśnie słowa użył? Trzymają zdrowych psychicznie dysydentów w szpitalach dla wariatów, wysyłają tysiące ludzi do obozów pracy, dokonują zamachów na uchodźców i szantażują przeciwników politycznych. Są najbardziej bezwzględny, pozbawionym skrupułów i najbardziej potężnym instrumentem tyranii, jaki zna historia świata. Ale poczciwy, stary Chlestakow obawia się, że ty mógłbyś ich skompromitować.

- To już należy do przeszłości - powiedział defensywnym tonem Trent. - Teraz powiedz mi, czego ode mnie żądasz, a ja to zrobię.

- Co oznacza ta pocztówka?

- Że mam się spotkać z Chlestakowem w przyszły wtorek wieczorem. Muszę zadzwonić w poniedziałek po południu, żeby uzgodnić szczegóły.

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli tym razem uprościsz procedurę. Porozum się z nim i powiedz, że powstały nieoczekiwane okoliczności. Poinformuj go, że po zażyciu tych środków nasennych zostałeś przywieziony tutaj na przesłuchanie. Trzymaj się jak najbliższej prawdziwej wersji wydarzeń.

- Czy mam powiedzieć, że ty mnie przesłuchiwałeś?

- Tak - odparłem. - Powiedz mu, że się boisz. Że wycofujesz się z całej zabawy. Że jesteś wystraszony, naprawdę wystraszony.

Trent kiwnął głową.

- Spyta cię, czy przesłuchiowano kogoś jeszcze, a ty mu odpowiesz, że przesłuchujemy wszystkich. Wtedy zapyta, czy mamy jakieś dowody, a ty po namyśle przyznasz niechętnie, że ich nie mamy.

- Żadnych?

- On wtedy powie, że zatrzymaliśmy cię tylko ze względu na tę próbę samobójstwa, a ty przyznasz, że chyba istotnie tak było. Chcę, żeby w wyniku tej rozmowy Chlestakow zaczął dodawać ci odwagi. A więc musisz przez cały czas grać rolę ofiary. Powie ci, że mam zbyt niską rangę, by prowadzić dochodzenie w sprawach najwyższej wagi. Że gdybyśmy mieli pojęcie o skali waszej działalności, powierzylibyśmy dochodzenie komuś z zewnątrz. Czy dobrze mnie rozumiesz?

- Wyrażasz się wystarczająco jasno.

- A kiedy wszystko to dotrze już do jego świadomości, wyrazisz żal z powodu własnej głupoty, która skłoniła cię do zażycia tych środków nasennych i nadmienisz mimochodem, że

byłbyś teraz w stanie zdobyć dla niego coś naprawdę ważnego. Powiesz mu, że zamierzałeś napisać raport dotyczący Systemu Berlińskiego; wszystkich berlińskich siatek szpiegowskich, wszystkiego, czym się tam zajmujemy. To powinno go zainteresować.- W życiu nie słyszałem o Systemie Berlińskim.

- Ale on z pewnością o nim słyszał.

- Ale teraz nie będę w stanie tego zdobyć? Czy to mam mu powiedzieć?

- Spokojnie, spokojnie. To będzie wymagało czasu. Musisz się najpierw upewnić, że nikt cię już o nic nie podejrzewa. Ale powiedz mu, że to naprawdę duża rzecz. Tateczka zawiera wszystkie fakty i liczby za okres ostatnich dziesięciu lat oraz wszystkie kontakty i powiązania z agentami CIA.

- Ale czy w końcu dacie mi jakieś materiały, które będę mu mógł przekazać? - spytał Trent. - Wolałbym od początku to wiedzieć.

- Nie zostawimy cię na lodzie, Giles. Damy ci coś, co go ucieszy i skłoni do kontynuowania romansu z twoją siostrą.

- Jej do tego nie mieszaj.

- W porządku. Nie będę jej do tego mieszał. Ale ty musisz naprawdę się postarać.

- Postaram się.

Wracaliśmy przez gęste zarośla i dotarliśmy do drewnianego mostka. Trent zatrzymał się, by zapalić następnego papierosa, używając podniesionego kołnierza kurtki jako osłony od wiatru.

- Chcę ci zadać jeszcze jedno pytanie - powiedziałem. - Nie ma ono w tej sprawie większego znaczenia, ale po prostu jestem ciekawy.

Wyprostował się wypuszczając kłąb niebieskawego dymu. Wrzucił wypaloną zapalniczkę do fosy. Podpłynęły do niej szybko dwie kaczki, ale odkrywszy, że nie nadaje się do zjedzenia, oddaliły się powoli.

- O co chodzi? - spytał patrząc w zamyśleniu na fosę, na płynące po niej powoli zeschnięte liście i na kępy wodorostów poruszające się w rytm ruchu kaczek.

- Pewnej nocy, we wrześniu roku 1978...

- W roku 1978 byłem w Berlinie - powiedział takim tonem, jakby sądził, że to wyczerpuje sprawę.

- Wszyscy tam byliśmy - powiedziałem. - Fiona była w Berlinie. Ja byłem w Berlinie. Dicky pracował we Frankfurcie i przyjeżdżał do Berlina, gdy tylko miał okazję. Bret również. Chciałem spytać cię o depeszę radiową, którą przechwycił nasz podsłuch podczas paniki wywołanej przez bandę Baader-Meinhof. Pamiętasz to?

- Urowadzony samolot pasażerski... tak, pamiętam to dość dokładnie. Frank Harrington zdawał się podejrzewać, że wszystko to zrobiono tylko po to, żeby podważyć jego opinię. - Trent uśmiechnął się z własnego żartu.

- Przeprowadzono wtedy specjalne dochodzenie w związku z tą depezą nadaną przez jednostkę armii rosyjskiej.

- Owszem, przypominam sobie. - Trent odwrócił się w moją stronę. - Frank zlecił je temu Amerykaninowi. Skończyło się to fiaskiem.

- Fiaskiem?

Trent bez słowa wzruszył ramionami.

- Zakończywszy swój dyżur przyszedłeś wtedy do głównego budynku i wszedłeś do pokoju, w którym urzędował sztab operacyjny. Zobaczyłeś tę depezę... może na biurku Fiony.

- Podczas tej nocnej paniki? Kto powiedział, że byłem w Centrum Operacyjnym?

- Fiona. Przyszedłeś po nią, żeby ją odwieźć do domu.

- Nie. Nie tej nocy.

- Czy jesteś pewien? Nie zaczniesz mi chyba tłumaczyć, że nie miałeś prawa wchodzić do pokoju operacyjnego?

- No... oficjalnie go nie miałem, ale każdy, kto nosił identyfikator, mógł wejść do głównego budynku. Nie przeczę, że regularnie bywałem w pokoju operacyjnym. Ale nie wchodziłem do niego, kiedy wiedziałem, że siedzi tam Frank urzędując w majestacie swego stanowiska. Do diabła, znasz przecież Franka. Widziałem, jak zwymyślał wyższego oficera tylko za to, że wyniósł ze swego pokoju gaśnicę.

- Frank ma obsesję na punkcie przepisów przeciwpożarowych - stwierdziłem. - Wszyscy o tym wiemy.

- Miał również obsesję na punkcie kilku innych spraw. Na przykład na punkcie osób urzędujących w przybudówce, które przychodziły do pokoju operacyjnego bez specjalnych przepustek. Nie, nie wchodziłem tam tego wieczora. Rozeszła się wiadomość, że Frank jest bliski hysterii, bo Bonn podejrzewa, że terroryści chcą porwać burmistrza Berlina, więc wszyscy trzymaliśmy się od niego z daleka.

- Chodziło tylko o przechwyconą depezę nadaną w Karlshorst...

Trent kiwnął głową. - Tak, ale Rosjanie dowiedzieli się o przechwyceniu tej depezy już po trzech dniach i zmienili wszystkie szyfry i długości fal. Owszem, słyszałem o tym. Ten Amerykanin... Joe Jakiśtam... cały czas powtarzał: „Mów do mnie Joe”...

- Joe Brody.

- Joe Brody. On wyjaśnił mi całą sprawę.
- Powiedz mi prywatnie, jak było.
- Prywatnie czy oficjalnie - co za różnica? Nie wchodziłem tego wieczora na górę.
- Fiona mi mówiła, że tam byłeś.- W takim razie Fiona nie mówi ci prawdy.
- Dlaczego miałyby mnie w tej sprawie okłamywać? - spytałem;
- To pytanie musisz zadać jej.
- Czy zdobyłeś te informacje inną drogą? Jestem zdecydowany dojść prawdy, Giles.

Lepiej od razu powiedz, co wiesz.

- Ponieważ zrobił to twój przyjaciel Werner Volkmann? A ty chciałbyś go oczyścić z zarzutów?

- Jak mógłby Volkmann wejść tego wieczora do Centrum Operacyjnego? Nigdy nie pracował w sztabie. Zawsze był agentem działającym w terenie.

- Werner Volkmann nie wchodził na górę. Był wtedy strażnikiem w sekcji nasłuchów. Tego wieczora przywiózł tę depezę z sekcji nasłuchów do pokoju szyfrantów.

- To wszystko? Przecież musiałyby być cudotwórcą, żeby rozszyfrować depezę w czasie pięciominutowej przejażdżki na tylnym siedzeniu samochodu.

Trent w zamyśleniu wciągnął dym. - Niektórzy twierdzili, że Werner Volkmann kręcił się tego wieczora w pobliżu pokoju szyfrantów. Mógł widzieć rozszyfrowaną depezę.' Nie musiał jej zresztą rozszyfrowywać, by donieść Rosjanom, że przechwytujemy ich sygnały radiowe. Musiał tylko rozpoznać symbole oznaczające nagłówek, podpis, czas nadania i sygnał identyfikacyjny radiostacji w Karlshorst! Rosjanie wiedzieliby dokładnie, co zostało przechwycone, nawet gdyby on nie miał pojęcia, czego dotyczyła ta depeza.

- A ty wierzysz, że to zrobił Werner?

- Brody jest bardzo skrupulatnym funkcjonariuszem dochodzeniowym. Pozwolił każdemu się wygadać. Przesłuchiwał nawet Fionę. Oczywiście nie widziałem jego raportu, ale wynikało z niego, że Volkmann jest najbardziej prawdopodobny spośród potencjalnych sprawców.

- Pytałem, czy ty wierzysz, że zrobił to Volkmann.

- Nie - odparł Trent. - Volkmann jest zbyt leniwy, by być podwójnym agentem. Z moich obserwacji wynika, że jest zbyt leniwy, by być pojedynczym agentem.

- Więc kto mógł to zrobić?

- Jak wiesz, Frank nienawidzi Wenera. Od dawna chciał się go pozbyć i szukał tylko okazji.

- Ale ktoś jednak musiał to zrobić. A może uważasz, że Frank sam przekazał Rosjanom wiadomość o przechwyconej depeszy, żeby zwalić winę na Wenera?

- To niewykluczone.

- Chyba żartujesz?

- Dlaczego nie?

- Bo gdyby Frank chciał się pozbyć Wenera, to mógł go po prostu zwolnić. Nie musiał zadawać sobie tyle trudu, by informować Rosjan o tej depeszy.

- To nie była informacja o zasadniczym znaczeniu - stwierdził Trent. - Znamy przypadki, w których wykorzystywano jako *Spielzeug* znacznie ważniejsze rzeczy tylko po to, by uwiarygodnić jakiegoś podwójnego agenta.

- Gdyby Frank chciał go zwolnić, mógł go po prostu zwolnić - powtórzyłem.

- Ale może Frank chciał go skompromitować? Popatrzyłem na niego i zastanowiłem się nad tym. - Chyba masz rację - powiedziałem.

- Wenera Volkmann rozповідаł o Franku różne historie.

- Historie?

- Słyszałeś, co wygaduje Wenera po kilku piwach. Zawsze dopatruje się skandali tam, gdzie ich nie ma. Opowiadał, że Frank przywłaszcza sobie pieniądze z funduszu specjalnego, z którego nie musiał się rozliczać. Albo że zaleca się do sekretarek. Myślę, że Frank miał tego dosyć. Kiedy ktoś stale opowiada takie historie, ludzie w końcu zaczynają w nie wierzyć, prawda?

- Chyba tak - odparłem.

- Ktoś przekazał tę informację Rosjanom - powiedział Trent. - Jeśli nie był to ani Wenera, ani Frank, to znaczy, że tego wieczora przebywał w Centrum Operacyjnym jakiś sowiecki agent. A z pewnością nie byłem to ja.

- Bóg raczy wiedzieć - powiedziałem takim tonem, jakby cała zagadka przestała mnie interesować. Ale teraz byłem pewien, że sprawa depeszy z Karlhorst ma wielkie znaczenie, bo był to jedyny błąd, jaki popełnił usytuowany na wysokim stanowisku agent Moskwy.

- Jak myślisz, co teraz będzie? - spytał Trent. Oczywiście chodziło mu o to, co będzie z nim.

- Pracujesz w tym zawodzie już bardzo długo - przypomniałem mu. - Dłużej niż ja. Wiesz, jak załatwia się takie sprawy. Czy wiesz, ilu ludzi, równie winnych jak ty, wycofało się ze służby nie tracąc prawa do emerytury, na mocy amnestii?

- Ilu? - spytał Trent. Wiedział, że nie potrafię mu odpowiedzieć i był tym wyraźnie rozbawiony.

- Mnóstwo - odparłem. - Ludzi z Piątki, ludzi z Szóstki ludzi z Wydziału Specjalnego, nie licząc tych trzech z Cheltenham, których sam w zeszłym roku przesłuchiwałeś.

Trent nic nie odpowiedział. Obserwowaliśmy czterech mężczyzn, którzy wyszli z głównego budynku kierując się w stronę stojącej przy bramie portierni. Jeden z nich skrócił krok, by iść „w nogę” z pozostałymi. Byli to oczywiście wartownicy. Tylko oni starają się zawsze chodzić równo jak na paradzie.

- Nienawidzę więzień - powiedział Trent tonem salonowej konwersacji, jakby mówił o swej niechęci do przyjęć lub żeglarstwa.

- Nigdy jeszcze nie siedziałeś, prawda?

- Nie.

- Możesz mi wierzyć, że nie jest w nich tak jak tutaj. Ale miejmy nadzieję, że nikt nie pójdzie do więzienia; ani ty, ani nikt inny.

- Widzę, że stosujesz taktykę, która nazywa się „zostawianiem otwartych drzwi” - powiedział Trent. Taki tytuł nosił jeden z podręczników jego podręcznika.

- To nie znaczy, że nie należy mi wierzyć - odparłem. Ale obaj wiedzieliśmy, co napisał w swej instrukcji: „Obiecujcie przesłuchiwanemu jak najwięcej. Obiecujcie mu wolność. Obiecujcie mu gwiazdkę z nieba. Potem i tak nie będzie w stanie dochodzić swoich racji”.

ROZDZIAŁ XVI

Niektórzy nazywali żartobliwie Bank Danych „żółtą łodzią podwodną”, ale Fiona bardzo lubiła schodzić do jego pomieszczeń, znajdujących się o trzy piętra pod ulicą Whitehall. Ja zresztą również lubiłem tam wpadać, byle nie na długo. Powietrze jest tam czyste, przefiltrowane i pozbawione wilgoci, a każdy przybysz ma wrażenie, że czas stanął w miejscu, by dać mu możliwość spokojnego zastanowienia się nad własnymi sprawami. Dlatego zapewne zatrudniony tam personel robi wszystko tak cholernie wolno. Dlatego też, kiedy musiałem szybko uzyskać jakieś informacje, schodziłem na dół i zdobywałem je sam.

Do Banku Danych wejść można tylko przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Ponieważ z bramy prowadzącej do gmachu ministerstwa korzystają tłumy najróżniejszych osób, chodzi o utrudnienie wrogim agentom rozpoznania personelu obsługującego, zwłaszcza komputery. Centrum zajmuje trzy podziemne piętra; na najwyższym stoją duże komputery, na niższym mieści się oprogramowanie, najniższe zaś i najtrudniej dostępne zajmuje bank danych.

Zszedłem przez wartownię na poziom parteru. Jak zwykle czekałem trzy minuty, dopóki umundurowany wartownik nie wywołał na ekran mojej fotografii i danych identyfikacyjnych. Oczywiście dobrze mnie znał, ale mimo to stosował się do obowiązującej procedury. Pracownikom wyższego szczebla było szczególnie trudno przebrnąć przez kontrolę, gdyż strażnicy chcieli wykazać się wobec nich swą gorliwością. Zauważyłem, że niektórzy młodszy funkcjonariusze przechodzili przez nią wymieniając z wartownikiem jedynie ukłony lub pozdrowienia.

- Wszystko w porządku, sir - powiedział stary strażnik, naciśnawszy odpowiedni przycisk, by odnotować w komputerze moją wizytę. Jego ton sugerował, że niecierpliwi się jeszcze bardziej niż ja. - Idzie pan spotkać się z żoną?

- Mamy dziś rocznicę ślubu - odparłem.

- A więc zapewne szampan i róże?

- Dwa piwa i kolacja przyniesiona z hinduskiej restauracji. Wybuchnął śmiechem. Wolał wierzyć, że chodzę w znoszonych ubraniach tylko dlatego, iż jestem szpiegiem.

Fiona była na Poziomie Trzecim, w dziale Poufnych Danych. Znajdował się on w dużej sali, przypominającej jasno oświetlony parking. Pod jedną ze ścian wydzielono miejsca dla personelu kierowniczego, umieszczając tam ozdobny kilim, półkę na książki oraz krzesło dla gości, którzy nigdy nie składali tu wizyt. Na metalowych regałach leżały zwoje taśm komputerowych i pudła z dyskietkami. Pod nogami leżał specjalny antystatyczny dywan; w jego srebrnoszarych nitkach odbijało się światło fluorescencyjnych lamp.

Fiona nie zauważyła mnie, kiedy szedłem oszklonym korytarzem, biegnącym wzdłuż całego pomieszczenia. Minąłem przezroczyste drzwi. Rozejrzałem się po sali; nie było w niej nikogo prócz mojej żony. Słychać było szum pracujących komputerów i transformatorów. Od czasu do czasu jedno z urządzeń przyspieszało nagle, by po chwili wrócić do dawnego miarowego rytmu.

Fiona stała przy jednym z komputerów czekając, aż zakończy cykl czynności. Potem nacisnęła jakiś guzik i z komputera wysunęła się szufladka. Wtedy umieściła w niej dyskietkę, zacisnęła zatrzask i na nowo zamknęła stację dysków. Chwaliła się często, że potrafiłaby zastąpić każdego z pracowników Centrum. - „Dzięki temu nie mogą mi wmawiać, że to długo potrwa, ani opowiadać tych wszystkich bajeczek, które wymyślają, kiedy chcą wcześniej wyjść do domu”.

* * *

Podszedłem do pobliskiego komputera wyposażonego w klawiaturę, monitor i drukarkę. Stało przy nim krzesło na kółkach oraz plastikowy kosz na śmieci wypełniony po brzegi szerokimi arkuszami bladozielonego papieru.

- Więc jednak pamiętałeś - powiedziała Fiona. Kiedy mnie dostrzegła, jej twarz rozjaśnił uśmiech. - Pamiętałeś. To wspaniale.

- Najlepsze życzenia z okazji rocznicy, kochanie.

- A czy wiesz, że mamy jechać do szkoły, żeby zobaczyć, jak nasz syn wygrywa zawody?

- Pamiętam nawet o tym. - Od początku naszego małżeństwa przyjęliśmy założenie, że to ja jestem przepracowany i o niczym nie pamiętam, ale w gruncie rzeczy Fiona poświęcała na pracę znacznie więcej czasu niż ja. Ciągle odbywała tajemnicze podróże i spotykała się wieczorami z anonimowymi współpracownikami. Kiedyś byłem dumny, że moja żona zajmuje ważne stanowisko i że nie mogą się bez niej obejść. Teraz nie ufałem jej już tak bezgranicznie. Zastanawiałem się, z kim się spotyka i co robi wieczorami, które ja spędzałem samotnie w zimnym łóżku.

Pocałowała mnie. Objąłem ją mocno i powiedziałem jej, jak bardzo ją Kocham i jak za nią tęsknię, kiedy musimy się rozstawać. Młoda dziewczyna, pchająca wózek wyładowany pudłami z taśmą magnetyczną, dostrzegła tę scenę i z pewnością pomyślała, że odkrywa jakiś potajemny romans. Mrugnąłem do niej porozumiewawczo, a ona uśmiechnęła się nerwowo.

Fiona zaczęła porządkować porozrzucone na swym metalowym biurku papiery; była otoczona aktami, książkami i instrukcjami obsługi komputerów. Zanim usiadła, musiała przenieść stos jakichś papierów. Zaczęła coś mówić, ale na chwilę przerwał jej odgłos przesuwającej się gwałtownie taśmy.

- Czy zadzwoniłeś do niani i poleciłeś jej, żeby dała dzieciom obiad trochę wcześniej?

- Robiła coś w ogrodzie. Poprosiłem Billy'ego, żeby jej to powtórzył.

- Sam wiesz, jak Billy potrafi wszystko pokręcić. Wolalabym, żeby spędzała czas przy dzieciach. Nie ma nic do roboty w ogrodzie.

- Pewnie wiesz tam ich ubrania.

- Mamy przecież doskonałą suszarkę - stwierdziła Fiona.

Niania po prostu wołała wieszac pranie w ogrodzie, ale postanowiłem nie podejmować tego tematu. Suszarka była stałym przedmiotem sporów między obiema kobietami. - Zadzwoń do niej jeszcze raz, jeśli uważasz, że to potrzebne - powiedziałem.

- Czy będziesz tutaj długo?

- Nie. Tylko jeden wydruk danych personalnych.

- Jeśli posiedzisz tu pół godziny albo dłużej, będę mogła w tym czasie popracować.

- Dziesięć minut - powiedziałem. Usiadłem przy komputerze i nacisnąłem guzik: WŁĄCZYĆ. Maszyna zaczęła szumieć i na ekranie ukazał się napis: „Proszę podać swoje nazwisko, rangę i departament”. Zrobiłem to i na chwilę wszystko zniknęło z ekranu; komputer sprawdzał moje informacje porównując je z zakodowanymi danymi personalnymi. Potem ukazał się napis: „Proszę upewnić się, że nikt inny nie obserwuje ekranu ani konsoli. Potem proszę wpisać swój tajny numer identyfikacyjny”. Wykonałem to polecenie i komputer zażądał: „Proszę wpisać datę i godzinę”. Zrobiłem to. Wtedy wyświetlił się napis: „Proszę o dzisiejszy numer szyfrowy”. Wpisałem go.

- O której zaczynają się te zawody? - zawołała Fiona ze swojego kąta sali. Była pochylona nad biurkiem i całą jej uwagę pochłaniało malowanie paznokci.

Na ekranie ukazał się teraz napis: „Program?”. Wpisałem słowo KAGOB, by uzyskać dostęp do danych dotyczących KGB.

- O wpół do ósmej - odparłem - ale miałem nadzieję, że zdążymy wypić szybkiego drinka w tym pubie naprzeciwko.

Wpisałem następane hasło szyfru: „Zagraniczni agenci”, a potem nazwisko: Chlestakow. „Wydruk czy tylko ekran?” - spytał komputer chcąc się upewnić, że chcę uzyskać wydruk na papierze. Nacisnąłem guzik: START.

Komputer zaczął mrużyć. Przeszukiwał swą pamięć odrzucając miliony informacji, które nie dotyczyły Chlestakowa. Potem nagle drukarka czknęła, zatrzęsła się i wydusiła z siebie cztery linijki tekstu. Później komputer na nowo zaczął szukać w swej pamięci.

- I nie ciągnij za papier - zawołała Fiona. - Ten nowy ma chyba wadliwą perforację. Dziś po południu już trzy razy się zaciął.

- Nigdy nie ciągnę za papier.

- Gdyby nie chciał się przesuwac, zadzwoń pod 03, do dyżurnego technika.

- I zrezygnuj z wyjścia stąd przed północą - mruknąłem.

- Nie ciągnij za papier, to się nie będzie zacinał - powiedziała Fiona. Nadal siedziała z pochyloną głową wpatrując się w swe paznokcie.

Drukarka nagle powróciła do życia i wydała z siebie sporą porcję informacji dotyczących Chlestakowa, pisząc co drugi wiersz od tyłu, co zawsze mnie zdumiewało. Przypominało mi to lustrzane pismo Leonarda da Vinci. Konstruktorzy komputerów najwyraźniej chcieli wyrobić w obsługujących je ludziach kompleks niższości. Wydruk skończył się krótkim zestawem haseł oznaczającym, że komputer przeszukał wszystkie dane,

po czym drukarka zamilkła. Na konsoli pojawił się napis: SYSTEMY ZAJĘTE, co w języku komputerowym oznacza bezczynność.

Fiona wstała od biurka machając w moim kierunku dłonią. Gdybym nie widział już kiedyś, jak suszy paznokcie, mógłbym pomyśleć, że grozi mi palcem.

- Miałeś ładną pogodę na podróż do Berwick House. Trzeba było wziąć porsche.

- Od kierowcy takiego samochodu wszyscy oczekują ogromnych napiwków.

- Jak się miewa biedny Giles?

- Jest pełen współczucia dla samego siebie.

- Czy zażył śmiertelną dawkę, czy było to tylko wołanie o pomoc?

- Wołanie o pomoc? Widzę, że znowu zadawałaś się z socjologami.

- Ale jak było?

- Kto to może wiedzieć? Buteleczka po lekarstwie jest pusta, ale mogło być w niej tylko kilka pastylek. Dzięki szybkiemu działaniu jego siostry zwymiotował, zanim wszystkie zdążyły się rozpuścić.

- A lekarz nie był w stanie tego określić?

- To był młody chłopak, a w dodatku Dicky zamącił mu w głowie mglistymi wzmiankami o tajnych służbach. Chyba sam nie wiedział, co robi. W gruncie rzeczy to siostra Trenta udzieliła mu pierwszej pomocy. Wezwała tego doktora tylko dlatego, że pielęgniarki - nawet były pielęgniarki - nadal wierzą w to, co im kiedyś wmówiono: że powinny pracować pod kierunkiem lekarza, który będzie akceptował ich decyzje i metody działania.

- Czy myślisz, że on spróbuje jeszcze raz? - spytała Fiona dmuchając na swoje paznokcie.

- Nie, jeśli dba o dobro swej siostry. Powiedziałem mu, że postawimy ją przed sądem, jeśli on da nogę w jakimkolwiek kierunku.

- Nienawidzisz go, prawda? Od dawna już nie słyszałam, żebyś mówił o kimś w ten sposób. Mogę się założyć, że śmiertelnie go wystraszyłeś.

- Bardzo w to wątpię.

- Sam nie wiesz, jaki potrafisz być przerażający. Opowiadasz te wszystkie swoje okropne dowcipy z kamienną twarzą. Chyba to mnie do ciebie przekonało. Byłeś takim cholernym brutalem.

- Ja?.

- Przestań pytać „ja?”, kochanie. Przecież wiesz, jaki potrafisz być bezwzględny.

- Nienawidzę ludzi w rodzaju Gilesa Trenta. I jeżeli to nazywasz bezwzględnością, to życzyłbym sobie, żeby na świecie więcej było ludzi bezwzględnych. Nienawidzę

komunistów, a także głupich durniów w tym kraju, którzy idą im na rękę uważając ich za „czułych, hojnych, wspaniałych ludzi”. Miałem okazję przyjrzeć się im z bliska. Nie chodzi mi o tych gładkich łobuzów, którzy przyjeżdżają tu z oficjalnymi wizytami do związkowców albo po to, by wygłaszać odczyty o przyjaźni między narodami. Widziałem ich tam, skąd pochodzą, tam gdzie nie muszą nosić plastikowych uśmiechniętych masek ani ukrywać kastetów.

- Nie można rządzić Związkiem Sowieckim za pomocą metod, które są przydatne przy organizowaniu wystawy kwiatów, kochanie.

Wydałem niechętny pomruk. Tak właśnie odpowiadała zwykle na moje tyrady dotyczące KGB. Mimo całej swej gadaniny o sprawiedliwości społecznej i potrzebie złagodzenia doli Trzeciego Świata gotowa była akceptować zasadę „cel uświęca środki”, gdy tylko służyła ona jej teoriom. Zawsze wtedy miałem wrażenie, że powtarza zdania zasłyszane od swego ojca.

- Ale Trent nie nadaje się w gruncie rzeczy na współpracownika KGB, nie uważasz?

- Powiedzieli mu, że będą go potrzebowali tylko przez trzy lata.

- Chyba tylko po to, żeby go za bardzo nie wystraszyć.

- Ale on w to uwierzył.

- Nie sądzę, żeby to stanowiło dla ciebie okoliczność łagodzącą - powiedziała ze śmiechem.

- On nie jest kompletnym idiotą. Mam wrażenie, że mówili prawdę.

- Jak to? Przecież to nie ma sensu.

- Ten jego kontakt z KGB kazał mu ukryć radio pod podłogą. Wyszło to na jaw w trakcie naszej rozmowy i jestem pewien, że w tej sprawie Trent nie kłamał.

- I co z tego?

- Pod podłogą? Kazałbym to zrobić swojemu agentowi tylko wtedy, kiedy chciałbym, żeby go złapano. Człowiek, który chowa nielegalny nadajnik pod podłogą, postępuje tak, jakby ogłosił w miejscowej gazecie, że jest szpiegiem.

- Nadal nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Nie dali Trentowi żadnych pożegnalnych namiarów.

- Co to są pożegnalne namiary?

- Numery, pod które może zadzwonić, kiedy stwierdzi, że jest śledzony, kiedy ktoś włamie się do jego domu albo kiedy przybywszy wcześniej do pracy zostanie tam jakiegoś funkcjonariusza kontrwywiadu przeszukującego jego biurko. Nie obiecali nawet, że wywiozą go z Anglii w razie wpadki.

- Czy możesz wyobrazić sobie Gilesa Trenta w Moskwie? Co ty wygadujesz, kochanie?

- Zasady działania KGB ustalone są w Moskwie. Nigdy nie pozwalają żadnemu ze swych terenowych przedstawicieli decydować o metodach traktowania tego czy innego agenta. Nie znasz Rosjan. Wszyscy agenci KGB otrzymują pożegnalne namiary.

- Może postanowili zmienić procedurę?

- Oni nigdy nic nie zmieniają.

- Jeżeli skończyłeś, to ja jestem już gotowa - powiedziała dotykając ostrożnie paznokcia, by się przekonać, czy jest już suchy.

- W porządku. - Wstałem z krzesła i raz jeszcze przeczytałem wydruk dotyczący Chlestakowa.

- Nie myśl nawet o wyniesieniu z budynku tego wydruku - ostrzegła mnie Fiona. - Kontrwywiad dostanie szau.

- W naszą rocznicę ślubu? Nie odważyłbym się. - Włożyłem wydruk do urządzenia mielącego papiery i patrzyłem na wpadające do plastikowego pojemnika strzępki.

- Przyjmuję to za dobrą monetę - powiedziała Fiona. - Dlaczego nie dali mu tych pożegnalnych namiarów, czy jak tam się to nazywa?

- Myślę, że od początku przeznaczili go na kozła ofiarnego. Chcieli, żeby wpadł w nasze ręce. Moim zdaniem przewidzieli taki właśnie przebieg wydarzeń.

- Ale dlaczego?

- Jedyne powód, jaki potrafię wymyślić, brzmi następująco: żeby ukryć fakt, iż mają już wśród nas swojego człowieka.

Myślałem, że się roześmieje, ale ona zmarszczyła z powagą brwi. - Mówisz serio, prawda?

- Kogoś na samej górze.

- Podzieliłeś się tą teorią z Bretem?

- Dicky uważa, że powinniśmy ją zachować dla siebie.

- A więc Dicky o tym wie.

- Cokolwiek można zarzucić Dicky'emu, nikt nie uwierzyłby, że jest podwójnym agentem. Rosjanie nigdy nie zatrudniliby takiego błazna jak on. Więc postanowiliśmy zachować w tajemnicy wszystko, co dotyczy Trenta.

- Wszystko?

- Wszystko, co ma jakiegokolwiek znaczenie.

Fiona poruszyła głowę, jakby próbując ujrzeć mnie w nowym świetle. - Ukrywanie informacji przed Bretem? To znaczy, że w praktyce ukrywanie je przed Dyrektorem Generalnym i przed Komisją.

- W praktyce, owszem.

- Chyba zwariowałaś, kochanie. Istnieje określenie na to, co robicie. Nazywają to zdradą.- To pomysł Dicky'ego.

- Ach, skoro tak, to inna sprawa - powiedziała z ironią. - Jeśli to pomysł Dicky'ego, to nie musisz mówić na ten temat nic więcej.

- Uważasz, że to szaleństwo?

Potrząsnęła głowę, jakby brakowało jej słów. - Nie mogę w to wszystko uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że na własne uszy słyszę z twoich ust ten stek idiotycznych bzdur.

- Więc chodźmy zobaczyć, jak nasz syn wygrywa olimpiadę - zaproponowałem.

- Biedny Billy - przyznała. - Jest przekonany, że wygra.

- A ty nie? - spytałem.

- Jest kochanym chłopcem - powiedziała Fiona. - Ale jestem pewna, że będzie ostatni.

- Nie macie na tym poziomie szafki z drinkami, prawda?

- Żadnych alkoholi w „żółtej łodzi podwodnej” - to zarządzenie samego D.G.

- Na moje następne urodziny kup mi piersiówkę - poprosiłem. Fiona udała, że nie słyszy.

ROZDZIAŁ XVII

Dotarliśmy do szkoły Billy'ego o 19.45, musiałem więc zrezygnować z drinka, którego sobie obiecywałem. Była to typowa państwowa szkoła, zaprojektowana w latach sześćdziesiątych przez architekta, który podczas pracy słuchał radia. Olbrzymie pudło na buty, którego jedynymi cechami wyróżniającymi były pęknięcia tynków i rdzawe zacieki na ścianach.

Tego wieczora zawody sportowe odbywały się w wielkiej oszklonej sali gimnastycznej przylegającej do szkolnego boiska. W najchłodniejszym jej kącie siedziały na składanych metalowych krzesłach ze trzy tuziny poważnie traktujących swe obowiązki rodziców. Młody brodaty nauczyciel w kolorowym szaliku jakiegoś prowincjonalnego uniwersytetu poprosił, żebyśmy się pospieszyli, bo jesteśmy spóźnieni i przypomniał nam, że nie wolno chodzić po parkiecie bez gimnastycznych pantofli. Ponieważ nie zaopatrzyłem się w stosowne obuwie, obszedłem salę naokoło przyglądając się grupce chłopców, którzy robili przysiady w takt muzyki zespołu *Pink Floyd*.

Nie było już wolnych krzeseł, więc pomogłem Fionie wdrapać się na przyrząd gimnastyczny zwany koniem i usiadłem obok niej. Nauczyciel spojrzął na mnie z dezaprobatą, jakby uznał mnie za człowieka gotowego chodzić po parkiecie w butach.

Zawody zaczęły się od wyścigu sztafet. Towarzyszyły mu liczne okrzyki, przepychanki i podskoki, mające oznaczać wielkie przejęcie. Fiona pochyliła się ku mnie i powiedziała: - Myślałam o Gilesie. Czy tego wieczora, kiedy zażył nadmierną dawkę leku, spodziewał się wizyty siostry?

- Oboje mówią, że nie, ale może oboje kłamią.

- Po co mieliby kłamać?- On - ponieważ jest wychowanym w prywatnej szkole stuprocentowym mężczyzną i nie chce się przyznać do zrobienia takiego numeru.

- A ona?

- Gdyby przyznała, że jej wizyta była zapowiedziana, musiałaby się zacząć zastanawiać, czy nie miał zamiaru dać jej w ten sposób do zrozumienia, że chce, aby się od niego odczepiła.

- To dość drastyczny sposób. Czy nie mógł jej tego powiedzieć przy filiżance herbaty?

- Jego siostra jest osobą o silnym charakterze. Nie należy do kobiet, które gotowe byłyby przyznać, że ich brat musi się sprzedać, by zdobyć dla nich adoratora. Mruknęłyby coś pod nosem, wzruszyła ramionami i zignorowała jego apel.

- Ale w tym okresie był już pod silną presją - zarówno ze strony Departamentu, jak i tego Rosjanina. Czy myślał, że próba samobójstwa skłoni tego człowieka do rezygnacji z jego usług?

- Może - odparłem. Przyglądałem się wyścigowi. Widząc energię tych dzieci, poczułem się bardzo stary.

- A może myślał, że próba samobójstwa skłoni Departament do osłabienia presji? - Fiona zaczęła zastanawiać się nad sprawą Gilesa Trenta, odkąd problem ten nabrał aspektów erotycznych i emocjonalnych. Tak chyba postępują wszystkie kobiety.

- Nie wiem, kochanie - odparłem. - Wszystko to są domysły.

- Twoje domysły bywają bardzo trafne.

- Ilu mężów może liczyć na taką pochwałę ze strony własnej żony?

- Ja po prostu chcę usnąć twoją czujność - odparła. Podniosła wzrok-, by przyjrzeć się płotkom, które ustawiano do następnego biegu. Brodaty nauczyciel dwoił się i troił. Miał w ręku taśmę mierniczą. Sprawdzał ustawienie przeszkód i wyrażał swą aprobatę lub dezaprobatę za pomocą kiwania albo potrząśnięcia głową. Fiona obserwowała defiladę dzieci,

dopóki nie upewniła się, że nie ma wśród nich naszego syna. Potem wróciła do sprawy Trenta.

- Giles zrobił to dla dobra swojej siostry. Nie musiał się w to w ogóle wdawać, prawda? Mówiłeś, że ten facet z KGB dotarł do niego za pośrednictwem siostry.

- Ale nie wyobrażaj sobie, że wybrali go przypadkowo. KGB nie zadawałoby sobie tyle trudu, gdyby nie miało powodów do przypuszczeń, że przystanie na ich propozycję.

- Nie myślałam o tym aspekcie sprawy.

- Czy myślisz, że kobieta zaleca się do żonatego mężczyzny licząc na to, że być może ma on dość własnej żony? Nie, sprawdza uprzednio, czy ma szanse na powodzenie. - O mało nie powiedziałem, Tessa”, ale udało mi się w porę powstrzymać.

- Na jakie oznaki zwraca uwagę?

- Niektórych ludzi fascynuje wyobrażanie sobie najgorszych rzeczy, jakich mogliby się dopuścić. Co by się stało, gdybym kogoś zamordował? Co by się stało, gdybym przekazał Rosjanom pewne informacje? Jak bym się czuł ukrywając gdzieś w Bayswater hałaśliwą kochankę? Na początku bawi ich taka myśl, gdyż wydaje im się szalona. Ale pewnego dnia ta niemożliwa sytuacja zaczyna przybierać realne kształty. Jak należałoby się do tego zabrać? - pytają siebie samych. I zaczynają planować kolejne kroki.

- Zauważyłam, że nie odpowiedziałeś mi na pytanie, jakich oznak szuka kobieta zalecająca się do żonatego mężczyzny?

Uśmiechnąłem się i zacząłem bić brawo zwycięzcy biegu przez płotki. Ale Fiona nie chciała zrezygnować z tego tematu.

- Więc myślisz, że Trent wyszedł poza sferę wyobrażeń, zanim jeszcze ten Rosjanin zbliżył się do jego siostry?

- Może nie, ale nie przybiegł w panice do kontrwywiadu, kiedy odkrył, jak zarabia na życie amant jego siostrzyczki.

- Ponieważ o tym myślał?

- Każdy o tym myśli.

- O kochance czy o sprzedawaniu tajemnic?

- Myślenie o takich rzeczach jest rzeczą naturalną.

- Więc na czym polegał błąd Gilesa?

- Wyobraził sobie, że popełnia przestępstwo i odkrył, iż potrafiłby żyć z takim wizerunkiem samego siebie. - Wyjąłem papierosa, ale nauczyciel podszedł bliżej i z uśmiechem potrząsnął przecząco głową, więc schowałem je na powrót do kieszeni.

- A ty nie potrafiłbyś żyć z wizerunkiem samego siebie w objęciach hałaśliwej kochanki ukrywanej w Bayswater?

- Nie można mieć wszystkiego - odparłem. - Nie można żyć równocześnie w wymiarze marzeń i w wymiarze rzeczywistym. Nie można mieć wszystkich plusów obu stron.

- W ten sposób podważasz program wyborczy Partii Liberalnej.

- Nie można służyć dwóm panom. Można by przypuszczać, że nawet taki wychowany w prywatnych szkołach głupek jak Trent powinien zdawać sobie z tego sprawę.

- Nigdy nic nie łączyło mnie z Bretem - powiedziała Fiona dotykając mojej dłoni.

- Wiem - odparłem. - Naprawdę o tym wiesz?

- Tak, naprawdę. - Chciałem w to wierzyć. Na tym polegała zapewne moja słabość.

- Tak się cieszę, kochanie. Nie mogłam znieść myśli o tym, że mi nie ufasz. - Odwróciła się, by spojrzeć mi w oczy. - I to akurat Bret... nigdy za nim nie przepadałam. Kiedy pobiegnie Billy?

- Chyba po tym, co będzie teraz - odparłem zaglądając do programu. - Bieg z przeszkodami dzieci młodszych.

Pochyliłem się do Fiony i szepnąłem jej, jak bardzo ją kocham. Dotknąwszy twarzą jej włosów poczułem delikatny zapach szamponu.

- Nikt nie sądził, że to potrwa dłużej - powiedziała obejmując mnie. - Moja matka twierdziła, że rzucę cię po sześciu miesiącach. Miała nawet przygotowany pokój dla mnie aż do dnia urodzin Billy'ego. Czy wiedziałeś o tym?

- Tak.

- Tessa była jedyną osobą, która namawiała mnie, żebym za ciebie wyszła. Widziała, jak bardzo jestem w tobie zakochana.

- Widziała, jak bardzo udało ci się owinać mnie wokół swego palca.

- Co za urocza myśl - zaśmiała się Fiona. - Zawsze drżałam ze strachu, że pojawi się jakaś sprytna dziewczyna i odkryje, jak można owinać cię wokół swojego palca, ale jak dotąd nie doczekałam się tego. Prawda polega na tym, kochanie, że ciebie nie można wokół niczego owinać. Ty po prostu nie jesteś człowiekiem, który ulega kobietom.

- A co trzeba zrobić, żeby być takim człowiekiem?

- Ty nie zawracasz sobie głowy kobietami. Nie boję się, że mógłbyś prowadzić podwójne życie. Nigdy nie zadałbyś sobie tyle trudu, żeby utrzymać w Bayswater jakąś wulgarną, hałaśliwą kochankę.

- Mówisz jak Giles Trent. Onegdaj powiedział mi, że Werner Volkmann nigdy nie mógłby być podwójnym agentem, bo jest na to zbyt leniwy.

- Ciebie nikt nie może oskarżyć o lenistwo, kochanie, ale ty z pewnością nie starasz się być miły dla kobiet - ani dla mnie, ani dla Tessy, ani nawet dla własnej matki.

Uznałem tę krytyczną uwagę za niezasłużoną. - Traktuję kobiety tak samo, jak traktuję mężczyzn - powiedziałem.

- Na miłość boską, mój kochany, niemądry mężu. Czy nie rozumiesz, że kobiety nie chcą być przez ciebie traktowane tak samo jak mężczyźni? Czy kiedykolwiek przyniosłeś do domu bukiet kwiatów albo jakiś niespodziewany prezent? Nigdy nie przyjdzie ci do głowy zaproponować, żebyśmy wyjechali gdzieś na weekend.

- Przecież ciągle wyjeżdżamy na weekendy.

- Nie chodzi mi o weekend z wujem Silasem i z dziećmi; jeździmy tam tylko po to, żeby niania mogła odpocząć. Chodzi mi o niespodziany wyskok do Paryża czy Rzymu - tylko we dwoje, w jakimś uroczym małym hoteliku.

Nigdy nie zrozumieję sposobu myślenia kobiet. - Przecież ilekroć proponuję ci, żebyś gdzieś ze mną pojechała, zawsze mówisz, że masz za dużo pracy.

- Nie chodzi mi o któryś z twoich cholernych służbowych wyjazdów. Czy myślisz, że mam ochotę spacerować po Berlinie, podczas gdy ty spotykasz się z jakimś dawnym kolegą?

- Będę musiał tam pojechać jeszcze raz.

- Słyszałam, jak Dicky rozmawiał o tym z Bretem.

- I co mówili?

Fiona, w typowy dla siebie sposób, rozejrzała się czujnie wokoło, by sprawdzić, czy nikt nie może nas usłyszeć. Ale nie musiała się niepokoić. Niektórzy spośród rodziców rozmawiali z nauczycielem, inni nawoływali swoje dzieci na ciemnym boisku, reszta zaś siedziała na miejscach, ze stoickim spokojem obserwując wyścigi.

- D.G. stwierdził najwyraźniej, że nie ma nikogo innego, kto dysponowałby takim doświadczeniem, by można go tam wysłać. Dicky mówił, że będą musieli niebawem zwinąć siatkę Brahmsa. Bret udawał, że przyznaje mu rację, ale on nie utrzyma się na stanowisku szefa Departamentu, jeśli zostanie pozbawiony takiego źródła informacji jak Brahms Cztery. Póki co, Dicky i Bret zgodzili się na wyjście kompromisowe; uznali, że trzeba skłonić go do pozostania na miejscu jeszcze przez dwa lata. I uważają cię za jedyne go człowieka, który może przekonać członków tej siatki, iż powinni z nami nadal współpracować.

- To znaczy do czasu, kiedy Bret przejdzie na emeryturę, a Dicky zostanie przeniesiony na inne stanowisko. Czy o to im chodzi?

- Myślę, że w gruncie rzeczy o to. Kiedy ustanie dopływ informacji od Brahmisa Cztery, nastąpi wielkie przegrupowanie. Ktoś będzie musiał ponieść odpowiedzialność. Nawet jeśli dojdzie do tego z przyczyn obiektywnych, będą chcieli zwalić na kogoś winę.

- Nie jestem przekonany, czy te materiały Brahmisa Cztery są aż tak rewelacyjne - powiedziałem. - Od czasu do czasu przekazuje nam jakiś cenny szczegół, ale znaczna część jego prognoz ekonomicznych to rzeczy oczywiste. - Jak sam wiesz, Bret broni dostępu do tych materiałów, jakby była to dla niego sprawa życia lub śmierci. Podejrzewam, że do nas obojga docierają tylko drobne fragmenty jego meldunków.

- Nawet Bret przyznaje, że wiele spośród tych meldunków potwierdza tylko informacje, jakie ma z innych źródeł. Brahmis Cztery dostarcza nam zazwyczaj ścisłe dane na temat sowieckich transakcji zbożowych, ale docierają one nierzadko już po podpisaniu przez Rosjan kontraktów przewozowych. A my wiedząc, jakie wyczarterowali statki, możemy dokładnie określić, ile zboża kupili w Argentynie, i ile chcą przewieźć przez Zatokę Meksykańską. Nie musimy dowiadywać się od Brahmisa Cztery, że moskiewski *Narodny Bank* skupuje argentyńską walutę. Ale czy usłyszeliśmy od niego cokolwiek o zamiarze wysłania sowieckich jednostek pancernych do Afganistanu? Ani słowa.

- Kochanie, nie bądź niemądry. Kiedy Rosjanie chcą wkroczyć do Afganistanu, nie potrzebują pomocy swojego banku państwowego. Brahmis Cztery może nam przekazywać tylko informacje dotyczące działalności banków.

- Czy myślisz, że Rosjanie nie pompowali pieniędzy do Kabulu już na wiele tygodni przed wkroczeniem wojsk? Czy myślisz, że nie kupowali informacji i nie płacili za usługi w Pakistanie? A ludzie, których tam można przepłacić, nie należą do businessmanów gotowych przyjąć czek czy kartę kredytową. KGB musiało płacić srebrnymi i złotymi monetami, i to w takich ilościach, jakich może dostarczyć tylko bank.

Na parkiecie sali układano skrzynki i opony samochodowe, najwyraźniej przygotowując trasę następnego wyścigu.

- Czy teraz pobiegnie Billy? - spytała Fiona. - Po co oni to robią?

- Tak, teraz Billy. Startuje w biegu z przeszkodami. - Bieg z przeszkodami! - pomyślałem. Tylko mój syn mógł wybrać taką konkurencję.

- Tak czy owak, kochanie - powiedziała Fiona - oboje wiemy, że wartość materiałów pochodzących od Brahmisa Cztery nie jest ważna. Ważne jest to, że mamy w sowieckim systemie bankowym swojego człowieka, dostarczającego takie informacje, które może zrozumieć nawet polityk. Nie jesteś w stanie wytłumaczyć żadnemu ministrowi, na czym polega elektroniczny system gromadzenia danych, ani zmusić go do oglądania zdjęć

satelitarnych. Jest to zbyt skomplikowane, a on i tak wie, że cała ta technologia należy do Amerykanów. Ale powiedz mu, że mamy swojego człowieka w moskiewskim *Narodnym Banku* oraz w sowieckiej komisji wywiadu ekonomicznego, a wpadnie w zachwyt. Wie, że jeśli stworzy komisję, która zajmie się przetwarzaniem informacji z tego źródła, będzie mógł rozmawiać z Amerykanami jak równy z równym. Wszyscy wiemy, że Bret zbudował swe imperium na fundamencie, jakim była siatka Brahmsa, więc nie próbuj rozpowiadać, że te informacje nie są aż tak szalenie cenne. Bo staniesz się bardzo niepopularny.

- To byłoby dla mnie zupełnie nowe doświadczenie. Uśmiechnęła się bezradnie jak zawsze, kiedy była pewna, że zignoruję jej rady, i dodała: - Chciałam powiedzieć: naprawdę niepopularny.

- Zaryzykuję to - powiedziałem z irytacją. - A jeśli twój przyjaciel Bret nie zechce podzielać moich opinii, to niech się wypcha. - Oczywiście zareagowałem przesadnie. Wiedziała, że nadal patrzę podejrzliwie na jej kontakty z Bretem. O wiele mądrzej byłoby zachowywać się pojednawczo i wpoić jej przekonanie, że niczego nie podejrzewam.

W tym momencie zauważyłem Billy'ego. Pomachałem do niego, ale on był zbyt onieśmielony, by odwzajemnić moje pozdrowienie i tylko się uśmiechnął. Maszerował przez salę wraz z innymi młodszymi dziećmi. Doszedłem do wniosku, że do biegu z przeszkodami dopuszcza się nawet tak mało sprawnych chłopców jak on.

Były to wyścigi sztafet. Billy z niepojętego dla mnie powodu biegł w swej drużynie na pierwszej zmianie. Przebrnął przez dwie opony, przebiegł zygzakiem po trasie slalomu, wdrapał się na skrzynkę i rozpoczął finisz w kierunku pozycji wyjściowej. Nagle poślizgnął się i upadł jak długi. Kiedy wstał, miał krew na twarzy i na białej koszulce gimnastycznej. Jego koledzy z drużyny wołali coś w jego kierunku, ale on najwyraźniej nie był pewien, w którą stronę ma biec. Znam bardzo dobrze to uczucie.

- Och, mój Boże! - krzyknęła Fiona. Chciała zeskoczyć z konia i pobiec w jego stronę, ale powstrzymałem ją.

- Rozbił tylko nos - powiedziałem.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem - odparłem. - Nic mu nie będzie.

ROZDZIAŁ XVIII

Rolf Mauser zawsze zjawiał się w miejscu i czasie, w których najmniej się go spodziewano. - Skąd się tu, do cholery, wzięłeś? - spytałem, wściekły, że telefonując do mnie we wczesnych godzinach rannych zmusił mnie do wstania z łóżka. Wściekły, że piję ohydny kawę z automatu stojąc po kostki w śmieciach na londyńskim dworcu autobusowym Victoria.

- Nie mogłem czekać do rana, a wiem, że mieszkasz niedaleko - odparł. Znałem Rolfa Mausera jeszcze w czasach, kiedy chodziłem do szkoły, a on był bezrobotnym byłym kapitanem Wehrmachtu, zarabiającym na życie handlem na berlińskim czarnym rynku i wykonującym od czasu do czasu jakieś zlecenia dla mojego ojca. Teraz miał sześćdziesiąt sześć lat, ale nie zmienił się zbyt wiele od naszego ostatniego spotkania w hotelu Lisi Hennig, gdzie pracował wówczas jako barman.

- Twój syn, Axel, mówił, że jesteś w Berlinie Wschodnim.

- W pewnym sensie nadal tam jestem - odparł Rolf. - Wypuszczają stamtąd teraz takich starych ludzi jak ja.

- Tak, wiem o tym. Czy widziałeś się z Axelem? On się o ciebie martwi, Rolf.

- A więc teraz jestem Rolf, co? Pamiętam czasy, w których zwracano się do mnie *Herr Mauser*.

- Pamiętam czasy, w których zwracano się do ciebie: *Hauptmann Mauser* - przypomniałem mu. To właśnie mój ojciec odkrywając, że Rolf został awansowany na kapitana zaledwie na trzy tygodnie przed końcem wojny, mówił do niego *Hauptmann Mauser*. Rolf był z tego bardzo dumny.

- *Hauptmann Mauser* - zdobył się na wymuszony uśmiech, jaki pojawia się na twarzach ludzi pozujących fotografom amatorom. - Tak, twój ojciec umiał grać na próżności młodego człowieka.

- Tak uważasz, Rolf?

Wyczuł w moim tonie nutę agresji i nie odpowiedział mi. Rozejrzał się po dworcu autobusowym, jakby widział go po raz pierwszy. Miał na sobie brązowy skórzany płaszcz, kupiony najwyraźniej na Unter den Linden w Berlinie Wschodnim, w jednym ze sklepów, na które pozwolić sobie mogą tylko bogaci turyści z Zachodu. Podobnie jak większość znanych mi Niemców lubił dopasowane do figury części garderoby. Miał okrągłą twarz, bladą cerę i zmęczone oczy - dziedzictwo wielu lat spędzonych w ciemnych barach, wielu zarwanych nocy, wielu papierosów i wielu kieliszków alkoholu. Niewiele w nim było z dziarskiego młodego oficera, który zdobył liście dębowe do swego Kawalerskiego Krzyża w bitwie pod Winnicą nad Bugiem, podczas wiosennej ofensywy Armii Czerwonej w roku 1944.

- Dokąd się wybierasz, Rolf?

- Czy przyniosłeś wszystko?

- Nie brak ci tupetu, Rolf.

- Masz wobec mnie dług wdzięczności, Bernd.

Przyjechał jakiś autobus; klekot dieslowskiego silnika odbił się od niskiej bramy wjazdowej. Cofnął się powoli na wyznaczone stanowisko i wysypała się z niego gromadka sennych podróżnych.

- Będziesz się rzucił w oczy w tym lodenowym kapeluszu i skórzanym płaszczu na angielskiej prowincji - powiedziałem. Nie zareagował na moją uwagę. Kierowca autobusu wysiadł i zmienił tabliczkę obwieszczającą punkt docelowy następnego kursu. Widniał teraz na niej napis: Cardiff.

- Daj mi tę paczkę, Bernd. Zachowaj swoje nauki dla młodego Wenera. - Zmarszczył nos. - Czyżbyś zaczynał się denerwować takimi drobiazgami? Nie robiłeś tego w dawnych czasach.

- Na cholere potrzebny ci pistolet, Rolf? - Chciałem mu powiedzieć, że jestem zdenerwowany, bo obawiam się, że popełni jakieś głupstwo. W „dawnych czasach” Rolf wypełniał polecenia mojego ojca i opowiadał o swoich wyczynach dokonanych zarówno w czasie wojny, jak i po jej zakończeniu. Bóg jeden raczył wiedzieć, jakich ciemnych uczynków dopuścił się w przeszłości. Ale od wielu lat ograniczał się do ukrywania pod swym barem listów lub paczek i oddawania ich nieznanym, którzy znali odpowiednie hasło.

- Czy ja pytałem, po co ci ten motocykl, wtedy, w Panków? - spytał.

Porównanie wydało mi się głupie, ale Rolf najwyraźniej uważał je za stosowne. Byłem zdziwiony, że nie powołał się na inne oddane mi przysługi. Nigdy nie ryzykował dla mnie życia, ale wielokrotnie narażał się na utratę posady, a to bardzo podnosi w moich oczach rangę przyjaźni.

- Czy dasz mi tę teczkę, czy zamierzasz rozpakować ją tutaj, na środku dworca autobusowego? - spytał. Dawniej napawał mnie lękiem jego wojowniczy wygląd i wielkie krzaczaste brwi sterczące ku górze i nadające mu nieco demoniczny wygląd. Kiedy zdałem sobie sprawę, że zaczesuje je w ten sposób, by nie zasłaniały mu oczu, przestałem się go bać i teraz widziałem w nim tylko samotnego starego człowieka żyjącego wspomnieniami młodości.

- A gdybym ci powiedział, że nie mam pieniędzy? - spytałem. Nie opodał nas jakiś szczupły Murzyn zaczął wymachiwać olbrzymią miotłą, zgarniając kości pieczonych kurcząt, opakowania od lodów i inne kolorowe śmieci.

- Wszyscy brytyjscy funkcjonariusze wyższego szczebla muszą mieć zawsze w domu pięćset funtów w używanych banknotach. To zarządzenie obowiązuje od lat, Bernd. Obaj o tym wiemy.

- To dla ciebie - powiedziałem wręczając mu teczkę.

- Zawsze byłeś uczynny, Bernd.

- Ale nie podoba mi się to wszystko.

- Dlaczego?

- Po co ci pistolet?

- Kto cię nauczył włamywać się do sejfu?

- To nie był sejf, Rolf. Tę szafkę, w której trzymano dzienniki szkolne, można było otworzyć nożem i widelcem.

- Mój syn Axel zawsze mówił, że jesteś dobrym przyjacielem.

- Czy potrzebne ci było jego potwierdzenie?

- Obaj wiemy, że jesteś dobrym przyjacielem.

- A może uznałeś, że tylko ja jestem na tyle głupi, żeby dać ci pistolet oraz pieniądze i nie zadawać żadnych pytań?

- Dobry przyjaciel. Doceniam to. Wszyscy to doceniamy.

- Wszyscy, czyli kto?

- Wszyscy, Bernd - odparł z uśmiechem. - Ja, Axel, Werner i inni. Teraz my mamy dług wdzięczności wobec ciebie.

- Być może - powiedziałem ostrożnie. Rolf należał do ludzi, których przysługi mogły człowieka narazić na wiele kłopotów.

Postawił teczkę na podłodze i przytrzymując ją nogami rozpiął swój okazały skórzany płaszcz. Potem zapiął go ponownie i zacisnął pasek jeszcze mocniej, jakby w nadziei, że teraz będzie mu cieplej.

- Kto to jest Brahms Cztery, Bernd? Jak brzmi jego nazwisko?

- Nie mogę ci tego powiedzieć.

- Czy jest nadal w Berlinie?

- Tego nikt nie wie - odparłem. Nie była to oczywiście prawda, ale nie mogłem zbliżyć się do niej bardziej.

- Krążą pogłoski, że Brahms Cztery nie pracuje już dla was. Chcemy wiedzieć, czy opuścił Berlin.

- Dlaczego was to interesuje? - spytałem.

- Dlatego, że kiedy Brahms Cztery będzie *kaputt*, spłacicie wszystkich członków siatki i zwiniecie nas. Chcemy o tym wiedzieć wcześniej. Musimy się do tego przygotować.

Przez chwilę patrzyłem na niego w milczeniu. O ile wiedziałem, był członkiem siatki Brahmsa od niedawna i nie grał w niej ważnej roli. Dopiero po chwili zrozumiałem sens jego wypowiedzi.

- Chodzi ci o te wasze interesy? O to, że Londyn pomaga wam w prowadzeniu tej importowo-eksportowej działalności Wenera?

- Chyba nie wspomniałeś o tym w oficjalnym raporcie, Bernd?

- Mam dość własnych problemów i nie szukam nowych - odparłem. - Ale londyńska Centrala nie będzie wam pomagać w robieniu ciemnych interesów ani w NRD, ani nigdzie indziej.

- Nie zawsze tak mówiłeś, Bernd. Pamiętam czasy, w których wszyscy byli zgodni, że Brahms to najlepsze źródło informacji w całym Systemie Berlińskim. Zdecydowanie najlepsze.

- Czasy się zmieniają, Rolf.

- A teraz chcecie nas rzucić wilkom na pożarcie?

- Co ty wygadujesz?

- Myślisz, że nie wiemy o szpiegu KGB, którego macie w londyńskiej Centrali? Siatka Brahmsa zostanie lada chwila zdemaskowana.

- Kto ci to powiedział? Wenera? Wenera nie jest członkiem tej siatki. Wcale nie jest pracownikiem Departamentu. Czy o tym wiesz?

- Nieważne, kto to powiedział - odparł Rolf.

- A więc to był Wenera. I obaj wiemy, kto jemu to powiedział, prawda, Rolf?

- Ja tego nie wiem - stwierdził stanowczo, ale poznałem po jego oczach, że kłamie.

- Ta jego cholerna żona. Ta cholerna Zena - powiedziałem. Przeklinałem w tym momencie Franką Harringtona i jego zamiłowanie do kobiet. Znałem go zbyt dobrze, by podejrzewać, że mógł jej powiedzieć coś naprawdę ważnego. Ale poznałem już na tyle Zenę Volkman, by być pewnym, że zechce ona wykorzystać swój związek z Frankiem. Byłem przekonany, że gotowa była udawać osobę dobrze poinformowaną podsuwając Wenerowi najróżniejsze domysły, plotki i półprawdy. A Wenera skłonny był wierzyć we wszystko, co od niej usłyszy.

- Zena martwi się o Wenera - powiedział wymijająco Rolf.

- Musisz być bardzo głupi, Rolf, jeśli przypuszczasz, że Zena martwi się o cokolwiek z wyjątkiem własnych interesów.

- Może to dlatego, że nikt wystarczająco nie troszczy się o nią.

- Wzruszasz mnie do łez, Rolf - odparłem.

Niestety, ta złośliwa uwaga zdominowała atmosferę naszego pożegnania. Kiedy się obejrzałem, stwierdziłem, że Rolf nie wsiadł jeszcze do autobusu. Podejrzewałem, że nie zamierza wsiadać do żadnego autobusu. Rolf Mauser potrafił postępować jak perfidny drań.

ROZDZIAŁ XIX

Niektóre spośród najbardziej poufnych rozmów, w jakich uczestniczyłem, odbyły się bynajmniej nie w zabezpieczonych przed aparatami podsłuchowymi „cichych salach” zbudowanych pod nowym biurowcem Departamentu, lecz w restauracjach, klubach, a nawet w taksówkach. Nie byłem więc zaskoczony, kiedy Dicky Cruyer zaproponował, żebym wpadł do niego koło dziewiątej „na poufną pogawędkę”.

Wpuścił mnie jakiś obcy człowiek zajęty naprawą dzwonka do drzwi. Żona Dicky’ego, Daphne, pracowała tego przedpołudnia w domu. Znaczną część stołu w salonie zajmowała wielka plansza. Na telewizorze, w słoiku po dżemie, stały różnobarwne flamastry, a na kanapie rozłożone były projekty ogłoszeń reklamujących nowy gatunek płatków śniadaniowych. Ślady wykształcenia plastycznego Daphne były wszędzie widoczne; jaskrawe malowidła ludowe i ludowe poszewki na poduszki, prymitywny portret Adama i Ewy nad kominkiem, kolekcja pudełek od zapalek wyeksponowana w oszklonej antycznej szafce. Jedynymi osobistymi akcentami w pokoju były fotografie; zdjęcie dwóch synów państwa Cruyer, stojących wśród setki innych posepnych, ubranych w szkolne mundurki chłopców na tle wielkiej gotyckiej budowli, oraz lśniąca na gzymsie kominka duża fotografia jachtu Dicky’ego. Z adapteru dochodziły ściszone dźwięki opery Gilberta i Sullivana. Dicky nucił fragmenty niektórych arii pod nosem.

Za „przestrzenią jadalną” znajdowała się kuchnia, w której dostrzegłem Daphne. Nalewała do wielkich ceramicznych kubków gorące mleko. Podniosła wzrok i zawołała do mnie: ciao jakby serdeczniej niż zwykle. Czy wiedziała, że jej mąż romansuje z moją szwagierką? Na głowie miała splątany bałagan, mogący być jedynie skutkiem częstych wizyt u drogiego fryzjera. Moja szczupła wiedza o kobietach kazała mi potraktować tę fryzurę jako reakcję na wiadomość o romansie męża.

- Wielki ruch? - spytał Dicky, kiedy wieszałem płaszcz na oparciu krzesła. W ten subtelny sposób chciał dać mi do zrozumienia, że się spóźniłem. Nauczył się takich chwytów z książki o młodych potentatach businessu. Kiedyś ściągnąłem ją potajemnie z jego półki i przeczytałem w czasie weekendu.

- Nie - skłamałem. - Jechałem tylko dziesięć minut. Skwitował moją odpowiedź uśmiechem, a ja zacząłem żałować, że dałem się wciągnąć w jego grę.

Daphne przyniosła kakao na pogiętej blaszanej tacy z reklamą zup firmy *Pears*. Mój kubek był pamiątką z okazji srebrnego jubileuszu króla Jerzego V. Dicky pochwalił smak kakao i zmusił mnie do wzięcia herbatnika. Daphne zebrała tymczasem swoje pióra i papiery, a potem poszła z nimi na górę. Czasem zastanawiałem się, jak mogą razem żyć; artystka z

agencji reklamowej i pracownik wywiadu. Lepiej było mieć żonę zatrudnioną w Departamencie; nie musiałem jej wypraszać z pokoju za każdym razem, kiedy dzwonił ktoś z biura.

Dicky odczekał, aż Daphne znajdzie się na górze, a potem spytał: - Czy zapowiadałem ci, że siatka Brahmisa się rozleci?

Było to oczywiście pytanie retoryczne; chciał, abym potwierdził, że przepowiadał to z niezwykłą precyzją co najmniej milion razy. Ale ja popatrzyłem mu tylko niewinnie w oczy i odparłem: - Być może, Dicky. Nie jestem pewien, czy sobie to przypominam.

- Bernard, na miłość boską! Zapowiedziałem to Bretowi zaledwie przedwczoraj.

- I co się stało?

- Ludzie się rozproszyli. Frank jest tutaj.

- Frank jest tutaj?

- Nie powtarzaj wszystkiego, co mówię. Tak, do cholery, Frank jest tutaj.

- W Londynie?

- Bierze kąpiel na górze. Przyjechał wczoraj wieczorem i przegadaliśmy pół nocy. - Dicky stał przy kominku bębniąc palcami po jego obudowie i opierając jeden ze swych kowbojskich butów o mosiężną kratę.

- Czy nie wybieracie się do biura? - spytałem. Trzymałem kubek w obu dłoniach, ale jego zawartość nie była bardzo gorąca, więc ją wypilem. Nienawidzę chłodnego kakao.

Dicky szarpnął za złoty medalion zwisający z jego szyi na cienkim łańcuszku. Był to kobiecy gest i taki sam był uśmiech, jakim odpowiedział na moje pytanie.

- Bret dowie się, że Frank jest w Londynie - powiedziałem. - Jeśli nie zjawisz się w biurze, będzie wiedział, że coś przed nim ukrywacie.

- Bret może iść do diabła - odparł Dicky.

- Czy nie będziesz pił tego kakao?

- To w gruncie rzeczy prawdziwa czekolada - oznajmił Dicky. - Nasi sąsiedzi z domu naprzeciwko przywieźli ją z Meksyku i nauczyli Daphne przygotowywać ją po meksykańsku.

Zorientowałem się, że chce w ten sposób dać mi do zrozumienia, iż napój mu nie smakuje. - Twoje zdrowie - powiedziałem i wypilem również zawartość jego kubka. Był ozdobiony rysunkami gryzoni, które nazywały się Flopsy, Mopsy, Cottontail i Peter. Był mniejszy niż mój; Daphne zorientowała się chyba, że Dicky nie przepada za meksykańską metodą gotowania kakao.

- Tak, Bret może iść do diabła - powtórzył Dicky. Gazowy palnik w kominku był wyłączony. Dicky delikatnie trącił butem sztuczne polano.

Gdyby Dicky zdecydował się na otwarty konflikt z Bretem, skłonny byłbym typować zwycięstwo Breta. Nie powiedziałem tego głośno; nie było to konieczne.

- Czy jest to część twojego planu polegającego na odcięciu Breta od informacji? - spytałem.

- Naszego planu - poprawił mnie Dicky. - *Naszego planu.*

- Do tej pory nie otrzymałem tej poufnej notatki, którą mi obiecałeś.

- Na miłość boską, nie zamierzam cię zawieść. - Z góry dobiegła muzyka zespołu *Rolling Stones*. - To Daphne - wyjaśnił Dicky. - Mówi, że pracuje jej się lepiej przy muzyce.

- Więc co kombinuje Frank? Po co tu przyjechał, by naradzać się z tobą potajemnie? Dlaczego nie zgłosił się do biura?

- Obaj znamy odpowiedź na to pytanie, Bernard - odparł z przebiegłym uśmiechem Dicky. - Frank ubiega się o moją posadę.

- Frank ma sto lat i czeka na emeryturę.

- Ale gdyby odszedł na emeryturę z za mojego biurka, dostałby o kilka tysięcy rocznie więcej. Odchodząc z za mojego biurka mógłby też liczyć na szlachectwo, a nawet na tytuł.

- Czy podsycasz w nim nadzieje na otrzymanie twojej posady? W tym wieku nie ma na to żadnych szans.

- No dobrze, nie rozwodźmy się nad tym, przynajmniej nie w tej chwili - powiedział Dicky marszcząc brwi. - Jeśli Frank ma jakieś ukryte ambicje, to nie do nas należy ocena jego szans. Nadążasz za moim tokiem rozumowania, prawda?

- Czy nadążam? Do diabła, wyprzedzam cię o kilka długości. Frank pomaga ci pozbyć się Breta. Wtedy ty obejmujesz stanowisko Breta, a Frank dostaje twoją posadę - tyle tylko, że jej nie dostanie.

- Masz przewrotny sposób rozumowania - powiedział Dicky bez pretensji w głosie. - Jesteś zawsze najgorszego zdania o wszystkich, którzy cię otaczają.

- A najbardziej przygnębia mnie to, że tak często okazuje się, iż miałem rację.

- No dobrze, ale traktuj Franka łagodnie. Jest w fatalnej formie.

Dicky oczywiście znacznie przesadzał, zarówno w sprawie dezintegracji siatki Brahmsa, jak i w sprawie formy Franka Harringtona. Frank zszedł na dół po upływie dziesięciu minut. Nie wyglądał wcale gorzej, niż wyglądałbym ja sam, gdybym przegadał całą noc z Dickym. Był świeżo ogolony i miał na twarzy dwa draśnięcia; zaciął się przystrzygając krawędzie wąsów. Miał na sobie trzyczęściowy garnitur w paski, czystą koszulę oraz lśniące buty i wymachiwał w powietrzu tą swoją cholerną fajką. Był zmęczony i zachrypnięty od

gadania, ale był też ekspertem w dziedzinie troski o własny wizerunek, więc wiedziałem, że nie okaże słabości w naszej obecności.

- Cieszę się, że tu jesteś, Bernard - powiedział i odniosłem wrażenie, że mówi szczerze. - Czy Dicky wtajemniczył cię w szczegóły sprawy?

- Nic mu jeszcze nie powiedziałem, Frank - oświadczył Dicky. - Czy napijesz się czekolady?

Frank zerknął przelotnie na swój złoty zegarek. - Szczerze mówiąc, wolałbym mały gin z tonikiem, jeśli nie zrobi ci to różnicy, Dicky.

- My pijemy kakao, Frank - poinformowałem go. - Przyrządzone na sposób meksykański.

- Mówiłeś, że ci smakuje - powiedział z wyrzutem Dicky.

- Bardzo mi smakowało. Przecież wypilem podwójną porcję.

- Jeśli masz gin marki *Plymouth* - stwierdził Frank - wypiję go bez toniku albo z agnosturą. - Podszedł do kominka i zaczął wytrząsać swoją fajkę. Kiedy Dicky wrócił z barku, natychmiast dostrzegł w palenisku zwęglone resztki tytoniu oraz popiół.

- Rany boskie, Frank, czy nie widzisz, że to gazowy kominek? - spytał. Podał Frankowi gin i uklęknął nad paleniskiem.

- Bardzo cię przepraszam - powiedział Frank.

- Wygląda jak prawdziwy - oznajmił Dicky zmiatając śmieci na małą kupkę, którą można było ukryć pod sztucznym polanem drewna.

- Bardzo mi przykro, Dicky - stwierdził Frank siadając na kanapie i układając sobie na kolanach żółty irchowy kapciuch na tytoń. Spojrzał na mnie, kiwnął głową i pociągnął łyk ginu. Potem, zupełnie innym tonem, zaczął mówić: - To może być paskudna sprawa, Bernard. Jeśli wybierasz się na tamtą stronę, to właśnie teraz jest odpowiedni moment.

- Jak paskudna?

- Cholernie paskudna - odparł Dicky wstając z kolan i otrzepując ręce z popiołu. - Powiedz mi, jak odkryłeś, co się dzieje.

- Nie jestem jeszcze pewien - czy w ogóle wiem, co się dzieje - powiedział Frank. - Ale pierwszym niepokojącym sygnałem był telefon od oficera łącznikowego bońskiego urzędu policji. Powiedział mi, że straż graniczna w Hitzacker, w Dolnej Saksonii, wyłowiła z Łaby jakiegoś faceta. Przeszedł przez Mur, przebrnął wszystkie cholerne pola minowe i bariery graniczne, a potem dotarł do rzeki. Był wyczerpany, ale nie odniósł żadnych obrażeń. Z raportu zachodnio-niemieckiej policji wynika, że nie słyszano z drugiej strony żadnych strzałów ani niczego w tym rodzaju. Można by to nazwać doskonałą ucieczką.

- Facet miał szczęście - wtrącił Dicky.

- Albo był dobrze poinformowany - ciągnął Frank. - W tym miejscu granica przebiega wzdłuż północno-wschodniego brzegu rzeki, więc energetycy nie mogą umieszczać tam barier ani pułapek w wodzie. Dlatego NRD stale twierdzi, że granica powinna przebiegać przez środek Łaby. Póki co, jest to dogodne miejsce dla ludzi podejmujących próby ucieczki.

- Zwykła ucieczka przez granicę? Więc dlaczego poinformowano o tym Bonn i dlaczego zatelefonowano do ciebie?

- Władze w Bonn zainteresowały się tą sprawą, kiedy przesłuchujący tego uciekiniera oficer ustalił, że jest on ważnym funkcjonariuszem Urzędu Celnego NRD. - Frank spojrzał na mnie badawczo, jakby spodziewał się jakiejś reakcji. Nie doczekawszy się jej, zaczął zapalać fajkę. Potem zgasił zapalkę machając nią energicznie.

O mało co nie wrzucił jej do kominka, ale przypomniał sobie w porę i umieścił ją w popielniczce z reklamą *Cinzano*, którą podsunął mu Dicky. - To Max Binder. Jeden z naszych ludzi. Członek siatki Brahmisa.

Dicky, który słuchał opowieści Franka przez całą noc, spróbował teraz przyspieszyć tok jego narracji: - Kiedy Frank usiłował skontaktować się w rutynowy sposób z pozostałymi członkami siatki, nikt nie zareagował na jego wezwanie.

- Tego nie powiedziałem, Dicky - pedantycznie sprostował Frank. - Dostałem dwa potwierdzenia odbioru.

- Nie dostałeś dwóch potwierdzeń odbioru, tylko dwa sygnały: „chwilowo nieobecny” - z jeszcze większym pedantyzmem poprawił go Dicky. Uznał najwyraźniej, że rozpad siatki Brahmisa jest jego wielką szansą i postanowił relacjonować przebieg wydarzeń w korzystny dla siebie sposób.

Frank mruknął coś niewyraźnie i pociągnął łyk ginu.

- Ci dranie robili jakieś kanty z bankowymi kredytami importowymi i zarabiali na tym krocie. A Bret prawdopodobnie zapewniał im fałszywe dokumenty, kontakty i wszystko, czego potrzebowali.

- Werner stale ostrzega przed fałszywymi dokumentami - powiedziałem.

- Tylko po to, żeby uspić nasze podejrzenia - oznajmił Frank. - Właśnie fałszywe dokumenty były im najbardziej potrzebne.

- NRD wielokrotnie kierowała do nas nieoficjalne protesty przeciwko „udzielaniu pomocy i wspieraniu antysocjalistycznych elementów” - przypomniałem.

- Nie przyjmuję tego do wiadomości, Bernard - powiedział Frank ostrym tonem podnosząc wzrok znad swej fajki. - Sam dobrze wiesz, że ci wschodni Niemcy stale kierują

pod naszym adresem tego rodzaju skargi. Skąd mogłem, do cholery, wiedzieć, że tym razem czyjeś wygłaszane na przyjęciu perory oparte były na faktach?

Dicky nie potrafił powstrzymać ironicznego uśmiechu, więc odwrócił się, żebyśmy go nie dostrzegli. Gdyby okazało się, że siatka Brahmsa była tylko przestępczym gangiem, wykorzystującym Departament do własnych celów, kariera Breta Rensselaera niewątpliwie dobiegłaby końca. A na dodatek straciłby on swe cenne źródło informacji - Brahmsa Cztery.

- Frank spodziewa się, że władze NRD oskarżą ich o morderstwo - dodał Dicky.

- Kogo? Jakie morderstwo? - spytałem. Pomyślałem natychmiast o Rolfie Mauserze i byłem tak zaskoczony, że moja konsternacja musiała być widoczna. Mój niepokój był tym większy, że sam niedawno nakłaniałem Breta do udzielenia Wernerowi gwarancji kredytowych. Czy będzie mnie podejrzewał o udział w tej nielegalnej działalności? Chcąc ukryć swe myśli wstałem z krzesła i podszedłem do barku. - Czy mogę sobie nalać drinka, Dicky? - spytałem.

- Czy ktoś się z tobą kontaktował? - Pytanie Franka skierowane było do mnie. - Syn Rolfa Mausera sądzi, że jego ojciec pojechał do Hamburga. Ja stawiałbym raczej na to, że jest w Londynie.

- Kto jeszcze? - spytałem podnosząc butelkę z ginem. - Nie. Jak dotąd nikt się ze mną nie kontaktował.

Frank patrzył mi przez chwilę w oczy, potem potrząsnął głową. - Nie - powiedział. - Ja mówiłem tylko, że jeśli ta siatka została rozpracowana, to następnym krokiem będzie oskarżenie o morderstwo. To kruczek prawny, który NRD stosuje wobec ukrywających się obywateli. Oskarżenie o morderstwo automatycznie przenosi poszukiwanego do pierwszej kategorii. Jego rysopis zostaje rozesłany telefaksem do jednostek wojskowych, służb policyjnych i placówek straży granicznej. Poza tym osoby prywatne bardziej skłonne są wydać w ręce policji poszukiwanego mordercę niż kogoś, kto oskarżony jest o handel na czarnym rynku. Prawda, Bernard?

Wypiłem łyk ginu zastanawiając się, czy Frank podejrzewa, że widziałem się z Rolfem lub jakimkolwiek innym członkiem siatki. Dicky nie podejrzewał niczego; widać było, że myśli tylko o tym, jak wykorzystać tę nową sytuację dla własnej korzyści. Ale Frank znał mnie od dziecka; jego trudniej było oszukać.

- Kiedyś musiało do tego dojść - powiedział Frank. - Nie mieliśmy żadnego pożytku z siatki Brahmsa; w gruncie rzeczy była tylko kanałem, przez który docierały do nas materiały Brahmsa Cztery. Wdali się w podejrzane afery, a teraz mają kłopoty. Takie rzeczy już się zdarzały, prawda?

- Czy myślisz, że próbują uciekać na własną rękę, nie korzystając z naszej pomocy?

- Nie. Tak uważa Dicky. Ja myślę, że może po prostu ukryli się na kilka dni. Tak robią zwykle, kiedy władze bezpieczeństwa przeprowadzają rutynowe kontrole.

- Ale nawet podczas najbardziej rutynowej kontroli mogą zostać aresztowani - powiedziałem. - A wtedy otrzymają na Normannen-strasse propozycję nie do odrzucenia, więc mogą wsypać następną siatkę albo zrobić coś w tym rodzaju. Czy o tym myślisz, Frank?

- Jaka może być ta propozycja, która okaże się nie do odrzucenia? - spytał Dicky.

Zbyłem jego pytanie milczeniem, ale odpowiedział mu Frank. - Funkcjonariusze *Stasi* zmuszą ich do mówienia, Dicky. Dicky nalał sobie drinka.

- Biedni faceci - powiedział. - Max Binder, stary Rolf Mauser... kto jeszcze? - Przestańmy nad nimi biadać, dopóki nie wiemy, co właściwie się stało - powiedziałem. - Gdzie jest teraz Max Binder?

- Nadal w centrum imigracyjnym w Hamburgu. Urzędnicy bezpieczeństwa nie chcą go nam wydać, dopóki nie skończą go przesłuchiwać.

- To mi się nie podoba, Frank - powiedział Dicky. - Nie chcę, żeby jakiś niemiecki policjant przesłuchiwał jednego z naszych ludzi. Wydostań go stamtąd natychmiast.

- Nie jesteśmy w stanie tego zrobić - odparł Frank. - Musimy działać zgodnie z obowiązującą procedurą.

- Nasi ludzie w Berlinie nie są kierowani do centrum imigracyjnego - stwierdził Dicky.

- Berlin nadal znajduje się pod okupacją sił sprzymierzonych - cierpliwie wyjaśnił Frank - więc możemy tam zawsze postawić na swoim. Ale wszystko, co dzieje się w Republice Federalnej, musi przejść przez państwowy urząd bezpieczeństwa, a potem przez Kolonię, a to zajmuje trochę czasu.

- Kiedy go widziałeś, Frank?

Usłyszeliśmy pukanie i w drzwiach pojawiła się głowa Daphne Cruyer. - Jadę do agencji, kochanie - powiedziała. - Mamy próbne zdjęcia dzieci do reklamówki telewizyjnej. Moja asystentka nie poradzi sobie sama z tą czeredą małych potworów. - Miała na sobie kapelusz z szerokim rondem, długą niebieską suknię i lśniące wysokie buty. Najwyraźniej zmieniła styl od czasu wizyty u Silasa, gdzie zaprezentowała nam kwiecisty fartuszek i okulary babuni.

- Do widzenia, kochanie - odparł Dicky i pocałował ją jak dobry mąż. - Zadzwoń do ciebie, jeśli będę musiał dłużej zostać w biurze.

- Wy, mężczyźni, zawsze musicie zostawać dłużej - powiedziała Daphne całując również mnie. Byłem teraz przekonany, że wie o romansie Dicky'ego z Tessą. Zastanawiałem się, czyjej zdumiewający strój był reakcją na niewierność męża.

Dopiero kiedy wsiadła do swojego samochodu i odjechała, Frank zdecydował się odpowiedzieć na moje pytanie.

- Wystarczyło mi zapewnienie, że został zidentyfikowany ponad wszelką wątpliwość - stwierdził. - Nie warto było jechać do jakiejś zakazanej dziury w Dolnej Saksonii. I tak straciłem cały następny dzień usiłując skontaktować się z pozostałymi.

- Daphne zapomniała zabrać swoje rysunki - powiedział Dicky podnosząc ze stołu płaską skórzaną teczkę. - Zadzwoń do jej firmy i powiem, żeby przysłali po nie posłańca na motocyklu. - Z troskliwością, jaką wykazują tylko niewierni mężowie, pospieszył do stojącego na korytarzu telefonu. Dobiegł nas stamtąd jego donośny głos, stłumiony przez oszklone drzwi.

- Powiedz mi, jak było naprawdę - poprosiłem Franka. - Dopóki Dicky nas nie słyszy.

- O co ci chodzi?

- Enerdowski celnik przepływający Łabę obszedłby oficera łącznikowego urzędu policji w Bonn tyle co zeszłoroczny śnieg. A nawet gdyby to odkrycie tak go poruszyło, to dlaczego miałby uznać, że musi o tym niezwłocznie powiadomić akurat ciebie? - Frank nie odpowiedział, więc szedłem za ciosem. - Oficerowie łącznikowi urzędu policji w Bonn nie znają numerów berlińskiego oddziału brytyjskiego wywiadu, Frank. Myślałem, że nawet Dicky uzna tę wersję za podejrzaną.

- Przyszli do domu Maxa Bindera, żeby go aresztować.

- Pod jakim zarzutem?

- Tego nie wiemy. Musiało to mieć coś wspólnego z tą alokacją kapitałów. W domu była tylko jego żona. Dała mu znać, a on szybko się ulotnił.

- Dowiedziałeś się tego od niego?

- Nie, od kogoś, kogo zawiadomił o tym Werner - przyznał Frank. - Wernerowi nic nie grozi. Nic nie wskazuje na to, by poszukiwali kogokolwiek oprócz Bindera. A Max Binder, tak jak mówiłem, uciekł przepłynąwszy Łabę. Jest nadal w centrum imigracyjnym. Chciałbym się skontaktować z Brahmsem Cztery, ale nikt nie chce mi powiedzieć jak.

Z przedpokoju nadal dobiegał głos Dicky'ego. Wyjaśnił już szczegółowo, co zawiera teczka i skąd ją należy odebrać, a teraz niepokoił się, czy posłaniec będzie w stanie przewieźć ją na motocyklu. Dzwonek przy drzwiach dwukrotnie zaterkotał i Dicky zawołał do elektryka, żeby przestał sprawdzać jego działanie.

- A więc dowiedziałeś się o tym od kogoś, komu powiedział o tym Werner - powtórzyłem. - Ale kim był ten ktoś, Frank?

- Powiedziała mi o tym Zena - odparł Frank grzebiąc w swojej fajce, żeby uniknąć mego badawczego spojrzenia. - To miła osóbką i bardzo ją lubię. Ona widuje się od czasu do czasu z Wernerem. Wniosła kilka szczegółów na temat Maxa Bindera. - Zaczął ssać swą fajkę, ale nie dostrzegłem dymu.

- Rozumiem.

- Wiesz chyba o mnie i o Zenie Volkmann, prawda? - Nadal grzebał w fajce. Kiedy upewnił się, że wygasła, wetknął ją do górnej kieszeni marynarki i pociągnął ze swej szklanki. - Owszem, Frank. Wiem. Przypuszczam, że to ona dała ci ten stos dokumentów, które oglądałem w Berlinie.

- Były autentyczne - powiedział Frank.

- Aż za autentyczne - przyznałem. - Prosto z Centrali w Moskwie. Ważne materiały, tak dobrane, by nas przekonać, że jedynym człowiekiem, jakiego mają w Londynie, jest Giles Trent. Skąd ona je wzięła?

- Zena zna wielu ludzi - odparł Frank.

- Zena zna zbyt wielu ludzi, Frank. Zbyt wielu nieodpowiednich ludzi.

- Lepiej, żebyśmy nie mówili o tym wszystkim Bretowi i innym grubym rybom z londyńskiej Centrali.

- Zena najwyraźniej bierze udział w tych podejrzanych interesach, którymi zajmowała się siatka Brahmsa.

- To jest możliwe - przyznał. Dopił swój gin i oblizał wargi.

- To nie jest możliwe, Frank. To jest zupełnie oczywiste. Ta dziewczyna robiła z ciebie durnia. Przez cały czas była w zмовie z Wernerem i z resztą.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że twój przyjaciel Werner był alfonsiem własnej żony? - Frank mówił agresywnym tonem; postanowił wyzbyć się swych iluzji rozwiewając zarazem moje.

- Nie wiem - odparłem. - Być może zerwanie z Wernerem nastąpiło wcześniej. Potem znalazła się w posiadaniu czegoś, co mogła sprzedać siatce Brahmsa, a Werner był jedynym człowiekiem, który mógł ułatwić jej kontakt.

- Co chciała sprzedać siatce Brahmsa? - Frank był teraz wyraźnie zdenerwowany. Zapinał i odpinał swój kapciuch na tytoń przyglądając mu się z uwagą i wielkim zainteresowaniem.

- Informacje, Frank.

- Nie sugerujesz chyba, że powiedziałem jej coś ważnego?

- Powinniśmy się o tym przekonać, Frank. I to cholernie szybko. Mamy w terenie agentów. Trzeba ich natychmiast ostrzec, jeśli się okaże, że Zena Volkmann dzieliła się twoimi zwierzeniami z ludźmi, którzy mogą wylądować na Normannenstrasse.

- Nie reagujmy zbyt pochopnie - powiedział Frank. - To ja uzyskuję informacje od niej; ona nie dowiedziała się ode mnie niczego.

- Mnie taka reakcja wcale nie wydaje się zbyt pochopna - stwierdziłem. - Ponieważ to ja mam tam jechać. To ja muszę przejść na drugą stronę, żeby wyciągać twoje kasztany z ognia. I będę musiał poruszać się na tyle szybko, żeby nie nadążyli za mną agenci *Stasi*. Więc aby mieć absolutną pewność, że Zena nie będzie wiedziała o mojej planowanej podróży, zamierzam trzymać się z dala od ciebie i od twoich pozamałżeńskich przygód.

- Nie bądź głupcem, Bernard. Czy myślisz, że którykolwiek z tych błaznów, z którymi pijasz w Steglitz, potrafi w miarę bezpiecznie przeprowadzić cię przez druty? Czy myślisz, że którykolwiek z twoich kolegów szkolnych zna to miasto tak dobrze jak ja? Spędziłem większość życia czytając o nim, oglądając je i rozmawiając z jego mieszkańcami. Otrzymuję informacje z miliona różnych źródeł i dokładnie je studiuję. Tym właśnie zajmuję się przez cały dzień, Bernard. Znam Berlin tak jak bibliotekarz zna swoje półki z książkami, jak dentysta zna usta pacjenta, jak pierwszy mechanik na statku zna tryby i kółka swego silnika. Znam każdy centymetr kwadratowy tego zasnętego miasta od pałaców po ścieki.

- Znasz miasto, Frank. Gotów jestem przyznać, że znasz je lepiej niż ktokolwiek inny. Przez chwilę przyglądał mi się badawczo.

- Na miłość boską! - wybuchnął nagle. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że mi nie ufasz. - Wstał, podszedł do mnie i uderzył się otwartą dłonią w piersi. - To ja, Frank Harrington. Znałem cię, kiedy byłeś jeszcze małym szkrabem.

- Nie mówmy o tym, Frank - powiedziałem.

- Będę o tym mówił. Obiecałem twojemu ojcu, że będę się tobą opiekował. Powiedziałem mu to, kiedy zacząłeś pracować w Departamencie i powtórzyłem mu to pod sam koniec. Obiecałem, że będę się tobą opiekował i jeżeli masz iść na drugą stronę, to pójdziesz tam tak, jak ja chcę.

Nigdy jeszcze nie widziałem go w stanie takiego podniecenia. - Pozwól mi to przemyśleć, Frank - powiedziałem.

- Mówię serio - oznajmił. - Pójdziesz tak, jak ja chcę albo nie pójdziesz wcale. - Dawał mi szansę uniknięcia tej wyprawy i przez chwilę kusiło mnie, żeby z niej skorzystać. - Jak ja chcę albo zgłoszę veto.

Z przedpokoju słychać było podniesiony głos Dicky'ego, który tłumaczył elektrykowi, że żąda zbyt wiele za naprawę dzwonka. Potem zajął do nas i pożyczył ode mnie pięć funtów. Na tym polega ta czarnorynkowa ekonomika - tłumaczył biorąc pieniądze. - Można znaleźć ludzi tylko pod warunkiem, że płaci się gotówką.

- Okay, Frank - powiedziałem, kiedy Dicky wyszedł. - Zrobimy to tak, jak zechcesz.

- Tylko ty i ja - oznajmił. - Obiecuję, że cię tam przeprowadzę. - Zauważyłem, że nie obiecuje mi pomyślnego powrotu.- Dicky chowa wszystkie informacje pod kloszem - powiedziałem. - Czy mówił ci o tym?

Frank znów przyglądał się swemu kapciuchowi sprawdzając, ile jeszcze zostało w nim tytoniu. - Nigdy nie można być nadmiernie ostrożnym - mruknął.

- Nie dzieli się nimi nawet z Bretem - dodałem.

- Ktoś przekazuje je Rosjanom - powiedział Frank. - Ktoś, kto ma dostęp do ważnych materiałów.

Nie odpowiedziałem nic. Tego rodzaju uwaga ze strony Franka była *lesemajeste* i nie przysłała mi do głowy żadna stosowna riposta.

Spojrzałem na wiszący nad kominkiem zegar i zacząłem się zastanawiać głośno, czy wskazuje on dobrą godzinę. Zaproponowałem Frankowi, żeby przyszedł do nas któregoś wieczora na kolację, a on obiecał, że zadzwoni, jeśli znajdzie czas. Potem zawołałem: „do widzenia” w kierunku Dicky'ego, który nadal tłumaczył komuś przez telefon, żeteczka Daphne zawierająca projekty reklam płatków śniadaniowych jest ogromnie ważna. Jego rozmówca najwyraźniej zdawał się w to wątpić.

* * *

Spśród utajnionych lokali, którymi dysponował Departament, wybrałem na spotkanie z Gilesem Trentem kasę totalizatora wyścigów konnych na Kilburn High Road. Dziewczyna stojąca za ladą kiwnęła głową, gdy tylko przekroczyłem próg. Mijając trzech mężczyzn zajętych dyskusją o końskich rodowodach, otworzyłem drzwi z napisem: „Tylko dla personelu” i wszedłem po schodach do małego pokoju nad sklepem. Jego okno wychodziło na szeroki chodnik, na którym prezentowano liczne używane wanny i zlewozmywaki.

- Zawsze przychodzisz wtedy, kiedy kawa jest już gotowa - powiedział Trent. Pochylał się nad drewnianym stołem, na którym stała butelka mleka, duża puszka kawy rozpuszczalnej i torba z cukrem. Trent nalewał wrzątek z elektrycznego czajnika do poobtłukiwanej filiżanki. - Niezależnie od tego, jak długo na ciebie czekam, zjawiasz się, gdy tylko postanowię zrobić kawę.

- Coś mnie niespodziewanie zatrzymało - powiedziałem mglście. Po raz pierwszy dostrzegłem w nim przystojnego mężczyznę, którego Tessa uważała za tak atrakcyjnego. Był wysoki i miał szlachetny profil oraz długie, faliste włosy. Siwiały one inaczej niż włosy większości mężczyzn; nie szarzały równomiernie, lecz były upstrzone srebrnymi pasmami. Trent wyglądał trochę jak jeden z tych włoskich gwiazdorów filmowych, którzy przeżywają na ekranie romanse z seksownymi nastolatkami.

- Nie sądzę, żebyśmy naprawdę musieli stosować te bzdurne środki ostrożności i spotykać się w tym tandetnym pokoju - oznajmił niskim, dźwięcznym głosem.

- W jakim tandetnym pokoju wolałbyś się spotykać? - spytałem biorąc sobie jedną z filiżanek stojących na obudowie zlewozmywaka. Wsypałem do niej kawę i cukier, a potem nalałem wodę i mleko.

- Moje biuro znajduje się tak blisko twojego - odparł Trent. - Bywam w tym budynku kilka razy tygodniowo w ramach moich normalnych obowiązków służbowych. Dlaczego, do diabła, muszę przychodzić do tej parszywej kolektury w Kilburn, w której moja obecność może wydać się podejrzana?

- Czego nie lubię w rozpuszczalnej kawie - stwierdziłem - to tych małych, nie rozpuszczonych grudek, które pływają po powierzchni. Mają okropny smak.

- Czy słyszałeś, co mówiłem?

- Nie zdawałem sobie sprawy, że oczekujesz odpowiedzi. Myślałem, że skarzysz się po prostu na niesprawiedliwość losu.

- Gdybyś zalewał kawę wrzącą wodą, a dopiero po chwili wlewał zimne mleko, rozpuszczałyby się w całości.

- Nigdy nie byłem dobry w gotowaniu - odparłem. - Po pierwsze, wcale nie rzucasz się tak bardzo w oczy wchodząc do podupadłej kolektury w Kilburn, jak ci się wydaje. W dniu wyścigów ten lokal roi się od kosztownie ubranych mężczyzn, którzy stawiają więcej na jednego konia, niż ty zarabiasz w ciągu roku. Jeśli zaś naprawdę uważasz, że bezpieczniej byłoby spotykać się w twoim czy moim biurze, to mogę tylko wyrazić zaskoczenie twoją naiwnością.

- Co masz na myśli?

- Bezpieczniej przed kim? - spytałem. - Czy też, jak może wolałbyś to ująć, bezpieczniej wobec kogo? Czy naprawdę uważasz, że można dyskretnie się spotykać w twoim biurze, w którym ci wszyscy absolwenci Oxfordu przyglądają się człowiekowi, szeroko otwierając oczy i usta? Czy myślisz, że nie pamiętam tej procesji rachitycznych wymoczków, która przewinęła się przez twoje biuro podczas moich ostatnich odwiedzin?

Każdy z nich gapił się na mnie, by sprawdzić, czy ludzie z SIS noszą swoje sześciopalcowe pistolety na biodrze, czy też w specjalnych kaburach pod marynarką.

- Masz bujną wyobraźnię - stwierdził Trent.

- Istotnie - przyznałem. - Za to właśnie mi płacą: za wyobraźnię. I mogę bez większego trudu wyobrazić sobie, co stanie się z tobą, jeśli zawalimy tę sprawę z Chlestakowem. Być może w dziedzinie przyrządzania kawy rozpuszczalnej jesteś autorytetem na światową skalę, ale będziesz mniej zagrożony zostawiając kwestie bezpieczeństwa w moich rękach.

- Przestań mnie bez przerwy pouczać o konieczności zachowania środków ostrożności - powiedział Trent. - Nie chcę, żeby mój dom był pod obserwacją przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i nie potrzebuję specjalnych zamków w drzwiach i oknach.

- W takim razie jesteś cholernym głupcem - stwierdziłem. Obaj staliśmy podczas tej wymiany zdań przy drewnianym stole. W pokoju były tylko twarde krzesła, więc wygodniej było rozmawiać na stojąco.

- Chlestakow się nie zjawił - powiedział Trent. Wyglądał przez okno obserwując jakąś młodą kobietę z dzieckiem na rękach. Ona z kolei przyglądała się przechodniom. Większość mijała ją z wyrazem zażenowania na twarzy. - Ona żebrze - zauważył Trent. - Myślałem, że te czasy minęły już na zawsze.

- Spędzasz zbyt wiele czasu w dzielnicy Mayfair - odparłem. - Więc kto przyszedł?

- I nikt jej nic nie daje. Czy to zauważyłeś?

- Więc kto przyszedł?

- Na spotkanie na dworcu Waterloo? Nikt.

- Oni zawsze kogoś przysyłają - powiedziałem. - I trzymaj się z dala od okna. Jak myślisz, po co zawiesiliśmy te firanki?

- Nie przybył nikt. Zrobiłem wszystko według instrukcji. Przyszedłem pod ten wielki czworoboczny zegar siedem minut po ustalonej godzinie. I wróciłem w dwie godziny później. Nadal nikogo nie było. Wtedy poszedłem na awaryjne miejsce spotkania.

- To znaczy dokąd?

- Do działu spożywczego w domu towarowym *Selfridge's*. Stałem obok stoiska z rybami. Zrobiłem wszystko ściśle według ustaleń.

- Moskiewska Centrala lubi trzymać się wypróbowanych i skutecznych metod - stwierdziłem. - Aresztowaliśmy jednego z ich ludzi pod tym cholernym zegarem jeszcze w roku 1975. - Podszedłem do okna, przy którym stał, nadal obserwując żebrzącą kobietę. Jakiś mężczyzna w ciemnym trenczu i szarym filcowym kapeluszu sięgał właśnie do kieszeni.

- W końcu dopisało jej szczęście - powiedział Trent. - Zastanawiałem się, dlaczego nie zebrze pod bankiem *Barclays*, ale pewnie ten punkt pod kolekturą jest lepszy.

- Czy nie potrafisz rozpoznać tajniaka? - spytałem. - Zebranie lub zbieranie datków w publicznym miejscu jest przestępstwem na mocy Ustawy o włóczęgostwie z roku 1824, a ponieważ ma przy sobie dziecko, może być również oskarżona o naruszenie Ustawy o dzieciach i osobach niepełnoletnich.

- Co za drań - mruknął Trent.

- Ten tajniak kontroluje tę okolicę dlatego, że mieści się tu punkt kontaktowy. On tego oczywiście nie wie; orientuje się jednak, że jest to teren szczególnie nadzorowany przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Kobieta nie jest zawodową zebraczką, bo inaczej wiedziałaby, że należy trzymać się z dala od kolektur wyścigowych, bo w kolekturach bywają oszuści, a oszuści przyciągają policjantów.

- Czy chcesz powiedzieć, że ta kobieta pracuje dla KGB i że ta skrzynka kontaktowa naszej służby wywiadowczej znajduje się pod ich obserwacją?”

- Musieli myśleć, że jesteś śledzony, Trent - oznajmiłem, nie odpowiadając na jego pytanie. - To jedyny sposób wytłumaczenia nieobecności Chlestakowa. Rosjanie zawsze stawiają się na umówionym miejscu. Opowiedz mi jeszcze raz o poprzednim spotkaniu.

- Masz rację, przyjechał samochód policyjny i pakują ją do środka. - Spojrzał na mnie i zmienił temat. - Wszystko poszło bardzo dobrze. Powiedziałem Chlestakowowi, że być może uda mi się zdobyć dostęp do Systemu Berlińskiego, a on oszalał z radości na samą myśl. Zaprosił mnie na kolację do jakiegoś eleganckiego klubu przy Curzon Street, gdzie z uporem zamawiał wspaniałe dania i drogie wino. Nie przepadam aż tak bardzo za wyszukaną francuską kuchnią, ale on najwyraźniej chciał wprawić mnie w dobry humor. I dlatego nie mogę zrozumieć, dlaczego ambasada mnie zignorowała.

- To nie ambasada, tylko wydział KGB przy ambasadzie - sprostowałem. - Mają jakiś motyw; Rosjanie nigdy nic nie robią bez wyraźnego motywu.

- Mówiłeś, że o wszystkim decyduje Moskwa.

- Tak mówiłem? Skoro to powiedziałem, miałem rację. Szef Sekcji Londyńskiej nie zmienia nawet bielizny, dopóki Centrala moskiewska nie zaaprobuje gatunku mydła używanego w pralni.

- Ale dlaczego Moskwa kazała im mnie zignorować? A jeśli chcieli zerwać współpracę ze mną, to dlaczego mi o tym nie powiedzieli?

- Giles, mój stary przyjacielu, nie mam pojęcia.

- Nie mów do mnie: „Giles, mój stary przyjacielu” takim sarkastycznym tonem.- Póki co, będziesz musiał pozwolić mi mówić do ciebie, jak mi się spodoba - odparłem. - Bo jeśli Centrala moskiewska postanowiła z tobą zerwać, to być może nie oznacza to tylko skreślenia z listy osób zapraszanych do ambasady na wódkę i kawior oraz na pokazy filmów o hydroelektrowni w Kujbyszewie.

- Nie?

- Może to oznaczać, że sięgną po środki bardziej brutalne.

- Czy chciałbyś usłyszeć moje zdanie? - spytał Trent. Przyjął moją sugestię bez większego wzruszenia.

- Bardzo chciałbym je usłyszeć - odparłem. Trent nie wyczuł ironii w moim głosie.

- Myślę, że kazałeś zwinąć Chlestakowa.

- Zwinąć? Masz na myśli aresztowanie przez Wydział Specjalny?

- Wydział Specjalny albo waszego dyżurnego oficera do spraw aresztowań. A może przez jakąś agencję czy tajną służbę działającą niezależnie od ciebie.

- Jaką „działającą niezależnie ode mnie” agencją mógłbym się twoim zdaniem posłużyć, by zwinąć Chlestakowa?

- Na przykład CIA.

- Mówisz jak osiemnastolatek biorący udział w demonstracji przeciw broni nuklearnej. Wiesz, że nie pozwolilibyśmy cholernej CIA aresztować nikogo na terenie tego kraju. I wiesz bardzo dobrze, że nie istnieje żadna niezależna czy zależna od nas agencja, która mogłaby aresztować obywatela rosyjskiego.

- Od takich prostaków jak wy nigdy nie można uzyskać jasnej odpowiedzi - powiedział Trent.

- Czy ty jesteś pijany, Trent? - spytałem podchodząc do niego bliżej.

- Ależ skąd.

- Rany boskie, przecież nie ma jeszcze nawet pory obiadowej.

- Dlaczego, do cholery, nie miałbym wypić drinka, kiedy mam na niego ochotę? Odwalam za ciebie całą brudną robotę, prawda? Kto dostanie order i awans, jeśli wyprowadzimy w pole tego Chlestakowa? Ty, ten cholerny Dicky Cruyer, cała ta banda.

Chwyciłem go za kłapy i potrząsałem nim tak mocno, aż jego głowa zakołysała się w przód i w tył.

- Posłuchaj mnie, ty bydlaku - powiedziałem cicho. - Jedyna brudna robota, jaką odwalasz, to sprzątanie twojego własnego gówna. Jeśli wypijesz jednego drinka bez mojego

pozwolenia, zdobęde nakaz aresztowania i zamknę cię w miejscu, w którym nie będziesz mógł narażać na niebezpieczeństwo życia naszych agentów.

- Nie jestem pijany - powiedział. W istocie, wytrzeźwiał trochę, kiedy nim potrząsnąłem.

- Jeśli stracę jednego agenta, zabiję cię, Trent.

Nie odpowiedział mi; wiedział, że mówię poważnie. - To twoi przyjaciele, prawda? - spytał po chwili. - Twoi szkolni koledzy z Berlina. Och!

Nie powinienem był go uderzyć, ale był to tylko lekki cios w żołądek, pod wpływem którego wytrzeźwiał jeszcze bardziej.

Podniosłem słuchawkę telefonu i zadzwoniłem pod numer dyżurnego oficera. - Peter? - spytałem, rozpoznawszy jego głos. - Mówi Bernard. Jestem w pubie *Coach and Horses*. - Wszystkie nasze punkty kontaktowe nosiły nazwy barów. - Potrzebuję kogoś, kto odwiezie do domu pijanego faceta i posiedzi przy nim, dopóki nie wytrzeźwieje. I chcę, żeby był to ktoś, kto nie da się wzruszyć płaczącymi opowieściami.

Odłożyłem słuchawkę i spojrzałem na Trenta. Siedział na twardym krześle, trzymał się za brzuch i cicho płakał.

- Nic ci nie będzie - powiedziałem. - Zachowaj swoje łzy dla Chlestakowa. Kiedy przestanie im być użyteczny, odeślą go do kraju i dadzą mu taką posadę, żeby ci, którzy tu pozostaną, jeszcze bardziej się starali.

ROZDZIAŁ XX

Rolf Mauser zjawił się jak zwykle w nieodpowiednim momencie. Oglądałem bardzo dobry telewizyjny film dokumentalny o modelach pociągów, dzieci bawiły się z hałasem na górze, a Fiona siedziała w kuchni dyskutując z nianią o jej poborach.

Wprowadziłem Rolfa do salonu i chciałem pomóc mu zdjąć jego skórzany płaszcz, ale powstrzymał mnie niecierpliwym ruchem ręki.

- Czy nic ci nie jest? - spytałem.

- Daj mi whisky.

Był bardzo blady. Nalałem mu sporą porcję *scotcha*, a on usiadł i zaczął niewidzącymi oczyma wpatrywać się w prezentowane na ekranie pociągi. W świetle stojącej obok niego lampy dostrzegłem świeżą ranę na jego uchu. W tym samym momencie uniósł rękę i zaczął obmacywać głowę. Dotykając niektórych miejsc krzywił się z bólu.

- Czy nic ci nie jest, Rolf? - powtórzyłem pytanie. Odniosłem wrażenie, że cała jego pewność siebie nagle zniknęła; nawet demoniczne brwi wyraźnie opadły w dół.

- Mam sześćdziesiąt sześć lat, Bernd, i nadal żyję.

- Jesteś twardym, starym draniem, Rolf - przyznałem. Jego buty były w okropnym stanie, a przód skórzanego płaszcza pokrywały brudne plamy. Zaczął je ścierać papierowymi chusteczkami, które wyjął ze stojącego na stole pudełka.

Małe pociągi w telewizorze robiły dużo hałasu. Za pomocą urządzenia do zdalnego sterowania ściszyłem trochę fonię. Rolf Mauser rozejrzał się czujnie, a potem wyjął z kieszeni brunatną, papierową torbę.

Powiedziałeś, że się tego pozbędziesz - powiedział wręczając mi. Wyjąłem z torby jej zawartość. Odwinąłem gruby wełniany szalik i znalazłem mój rewolwer. Wyciągnąłem magazynek i powąchałem komorę nabojoową. Poczulem tylko zapach świeżego oleju. Broń została dokładnie wyczyszczona. Rolf musiał być dobrym żołnierzem.

- Powiedziałeś, że się go pozbędziesz - powtórzył. Potrząsnąłem torbą. Były w niej trzy kule i trzy zużyte łuski.

- Po co był ci potrzebny, Rolf?

- Mówię ci, żebyś się go pozbył.

Odłożyłem rewolwer wraz z szalikiem do papierowej torby. Potem zamknąłem torbę w szufladzie biurka, w którym trzymałem nie zapłacone rachunki, biżuterię Fiony i listy z banku dotyczące mojego debetu.

Rolf odwrócił się i patrzył, co robię. Potem powiedział: - Wracam dziś wieczorem. Czy możesz mi pożyczyć samochód, żebym dojechał do Harwich?

- Wolałbym wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Tak czy nie? - spytał.

- Przed domem stoi niebieskie *mini*. O której musisz tam być?

- Daj mi solidną kopertę, to włożę do niej kluczyki i wrzucę ją do skrzynki. Napiszę ci też, gdzie go zaparkowałem.

- Nie zdążysz już na prom do Hamburga - powiedziałem. Rolf spojrzał na mnie, ale nie odpowiedział. Nie byłem wcale pewien, czy zamierza przepłynąć Kanał promem wypływającym z Harwich. Chcąc utrzymać coś w tajemnicy, zawsze opowiadał wszystkim niezliczone kłamstwa. - Przyniosę kluczyki. To samochód niani, więc uważaj na niego.

- Czy znajdziesz dla mnie jakiś kapelusz, Bernd? Mój gdzieś przepadł.

Wróciłem po chwili z kilkoma nakryciami głowy. Wybrał sukienną czapkę i przymierzył ją. Pasowała na tyle, by ukryć blizny i zasłonić jego twarz.

- Ukradłeś ten samochód - powiedziałem poprawiając czapkę na jego głowie. - Zjawileś się pod moim domem, zobaczyłeś, że kluczyki są w stacyjce, i odjechałeś nie dzwoniąc do drzwi.

- Oczywiście, Bernd, oczywiście.

- Nikt w to nie uwierzy, ale trzymaj się tej wersji, a ja zrobię to samo.

- Powiedziałem ci już, że rozumiem - mruknął z irytacją.- Co się dzieje z siatką Brahmsa?

- Nic.

- Max Binder przepłynął Łabę.

- Maxowi wysiadły nerwy - oznajmił.

- Komu jeszcze wysiadły nerwy?

- W każdym razie nie mnie - odparł patrząc mi w oczy. Być może stracił pewność siebie, ale był nadal tak samo nieustępliwy jak kiedyś. - Kiedy pojawiają się problemy, rozwiązuję je. Nie przepływam na drugą stronę Łaby zostawiając żonę i dzieci własnemu losowi.

- Czy pozostali ludzie z siatki Brahmsa są nadal na miejscu? Londyn jest zaniepokojony.

- Drobną czkawka - odparł. - Brahms ma drobną czkawkę; taką, o jakiej mówią ekonomiści, kiedy w wyniku ich pomyłki pół miliona ludzi traci pracę. - Zilustrował swój gorzki żart krzywym uśmiechem.

- Miejmy nadzieję, że czkawka nie przejdzie w koklusz.

- Podejmujemy środki ostrożności - odparł Rolf skinąwszy głową. - Dawno już nauczyliśmy się, że Londyn nie potrafi zapewnić nam bezpieczeństwa.

Pozostałem jego krytyczną uwagę bez komentarza. Siatka Brahmsa Cztery była stara i zmęczona. Należało już dawno ją rozwiązać. Ale Londynowi opłacało się ją utrzymywać, dopóki przekazywała informacje od Brahmsa Cztery, a dla jej członków jedynym motywem istnienia i działania był ten cholerny interes importowo-eksportowy. Było to małżeństwo z rozsądku i jak wszystkie tego rodzaju małżeństwa opierało się na interesie obu stron.

Rolf nalał sobie następnego dużego drinka. Potem wstał, zapiął płaszcz i oznajmił, że musi iść.

- Nie zatrzymuj się, żeby spytać jakiegoś policjanta o drogę - poradziłem mu. - Jeśli poczujecie od siebie alkohol, skończysz w areszcie.

- Zaryzykuję - powiedział. - Lubię działać na własną rękę, Bernd. Nigdy nie trzymałem się sztywno przepisów. Twój ojciec o tym wiedział.

- Czy masz angielskie pieniądze?

- Wracaj do telewizora. I powiedz swojej żonie, jak mi przykro, że nie mogłem zostać dłużej.

- Ona to zrozumie - odparłem.

Znów zdobył się na krzywy uśmiech. Nigdy, jeszcze przed naszym małżeństwem, nie potrafił znaleźć wspólnego języka z Fioną.

* * *

Mniej więcej w trzy godziny po wyjściu Rolfa zatelefonował do mnie Dicky.

- Gdzie jesteś? - spytał.

- Gdzie jestem? A gdzie, do cholery, mam być? Jestem w domu. Siedzę przed telewizorem i zastanawiam się, czy nie włączyć na nowo ogrzewania i nie obejrzeć nocnego filmu.

- Tak teraz łączą te rozmowy, że nie wiadomo, gdzie kto jest - mruknął niechętnie Dicky.

- O co chodzi? - spytałem. Film już się zaczął, więc nie miałem ochoty na długą pogawędkę o moich wydatkach w Berlinie czy o nowym samochodzie.

- Czy ktoś się z tobą kontaktował? - spytał. Na ekranie telewizora miejsce napisów czołowych zajął mały parowiec płynący po błękitnym jeziorze.

- Nikt.

- Dzwoniłeś dziś do oficera dyżurnego i kazałeś przysłać kogoś, kto odwiezie Trenta do domu.

Na dziobie parowca stali trzej mężczyźni w białych kombinezonach i przechylając się nad relingiem bacznie obserwowali wodę.

- Trent był pijany - wyjaśniłem. - Zachowywał się agresywnie i oskarżał nas o aresztowanie Chlestakowa, tego faceta z ambasady.

- Kto odebrał telefon?

- W biurze oficera dyżurnego? Ten chłopak z wąsami... Peter. Nie znam jego nazwiska.

- Czy miał z Trentem jakieś kłopoty?

- Posłuchaj, Dicky - powiedziałem. - Ja decyduję, kiedy trzeba przejąć i odwieźć do domu faceta oznaczonego pomarańczową teczką. Trent może się poskarżyć D.G., o ile ma na to ochotę, ale jeśli ten sukinsyn zrobi jeszcze jeden numer, każę go z powrotem zamknąć. I nikt nie ma prawa mi w tym przeszkodzić. Można tylko odebrać mi nadzór nad tą sprawą, co zresztą wcale by mnie nie zmartwiło. Jak wiesz, bynajmniej się do niej nie palę.

- Wszystko to wiem - stwierdził Dicky.

- Ale jeśli mi ją odbiorą, ty znajdziesz się w idiotycznej sytuacji, Dicky.

- Nie denerwuj się - powiedział pojednawczym tonem Dicky. Nikt nie ma do ciebie pretensji. Zrobiłeś wszystko, co było możliwe, wszyscy zgodnie to przyznają.

- O czym ty mówisz, Dicky?- O tym krachu z Trentem. Te cholerne gazety zaczęły sugerować, że to nasza sprawka. Sam o tym wiesz. A moglibyśmy z nimi polemizować tylko pod warunkiem, że zgodzimy się ujawnić rzeczy, które chcemy zataić przed Moskwą.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - powiedziałem.

- Czy nikt do ciebie nie telefonował z wiadomością, że Trent został zamordowany?

- Kiedy? Jak?

- Dziś, późnym popołudniem albo wczesnym wieczorem. Ktoś przeszedł przez ogrodzenie na tyłach domu, wspiął się po rynnie i wszedł przez otwarte okno na pierwszym piętrze. Wydział Specjalny przysłał faceta, który napisał już wstępny protokół.

- Więc Trent nie żyje?

- Został zastrzelony. Brał akurat prysznic. Morderca zaciągnął zasłonę, żeby krew nie trysnęła na niego. Tak przynajmniej twierdzi ten detektyw z Wydziału Specjalnego. Nikt z sąsiadów nie słyszał strzału. Teraz, kiedy telewizja pokazuje tylko filmy kryminalne, możesz strzelać z karabinu maszynowego i nikt nie zwróci uwagi na hałas.

- Czy podejrzewacie kogoś?

Dicky wydał krótki, pełen dezaprobaty pomruk.

- Chyba żartujesz. W protokole stwierdzono, że kule uderzyły w ścianę łazienki z niezwykle małą prędkością. Nasi rzeczoznawcy od balistyki mówią, że musiały być specjalnie przygotowane przez ekspertów. Usunięto z nich odpowiednią część prochu. Wygląda to na robotę laboratoryjną, prawda? Czyli wszystko wskazuje na naszych przyjaciół z KGB. Jak sądzisz, Bernie, dlaczego to zrobili?

- Żeby kule nie przeszły przez dwa albo trzy następne domy zakłócając sąsiadom wieczór przy telewizorach. Kto go znalazł?

- Jego siostra. Otworzyła drzwi własnym kluczem. Przyszła sprawdzić, jak się czuje po tej aferze z tabletkami nasennymi. Gdyby nie ona, znaleźlibyśmy ciało dopiero jutro rano. Zawsze podejrzewałem, że Trent jest pedałem. Nigdy nie był żonaty... wiesz, co mam na myśli, prawda? Ale skoro dał siostrze klucz od swego domu, to chyba nie miałem racji. Co o tym sądzisz?

- Czy masz jeszcze dla mnie jakieś informacje, Dicky?

- Co? Nie. Ale chciałem cię spytać, czy Trent zachowywał się normalnie, kiedy rozstawałeś się z nim dziś rano.

- Nie potrafię ci powiedzieć nic nowego, Dicky.

- No cóż, wiem, że musisz jutro rano wcześniej wstać. Frank radzi, żebyś ciepło się ubrał. W Berlinie jest zimno.

Pożegnałem się z nim i ponownie podszedłem do biurka. Odpakowując pistolet odkryłem w wełnianym szaliku kilka dziur. Rolf Mauser owinął nim broń, a potem zastrzelił Trenta. Nie można w inny sposób wyciszyć rewolweru. Z pomocą szkła powiększającego obejrzałem wyraźne ślady na łuskach, powstałe podczas preparowania naboju. Nie ulegało wątpliwości, że zostały one specjalnie przerobione przez kogoś, kto dysponował narzędziami rusznikarskimi i miarką do prochu.

Usiadłem jeszcze na chwilę przed telewizorem. Parowiec szedł pod wodę; załoga tonęła. Zapewne była to jakaś komedia.

ROZDZIAŁ XXI

Był o bardzo ciemno, a Frank Harrington posługiwał się latarką niezwykle ostrożnie oświetlając tylko studzienki przeciwpożarowe, do których mógłbym wpaść, wielkie kałuże i tory kolejowe przebiegające w poprzek naszej trasy.

W tunelach berlińskiej kolei podziemnej unosi się charakterystyczny zapach. Przywodzi on na myśl opowieści o wysadzeniu przez saperów w ostatnich godzinach wojny śluz kanału pomiędzy Schöneberger a Móckern, w wyniku czego utonęli przebywający w tunelach cywile, żołnierze niemieccy oraz Rosjanie. Niektórzy twierdzą, że nie było to celowe zatopienie, lecz zwykły przeciek wody ze śluz przy stacji kolejki Friedrichstrasse. Ale nie należy podważać prawdziwości tej wersji wobec ludzi, którzy kiedykolwiek brnęli w ciemności potykając się o podkłady kolejowe, przez podziemne tunele, gdyż skłonni są oni opowiadać o straszących w nich duchach. I nadal utrzymuje się tam ten dziwny zapach.

Frank posuwał się bardzo powoli, od czasu do czasu odzywając się do mnie cicho, żebym nie stracił z nim kontaktu.

- Połowa pasażerów, którzy jadą kolejką podziemną z Moritz-platz na Voltstrasse, nie zdaje sobie sprawy, że przejeżdża pod Berlinem Wschodnim i wraca do Berlina Zachodniego - powiedział.

- Czy jesteśmy już pod Sektorem Wschodnim? - spytałem.

- Oczywiście, na tym odcinku trasy wszyscy o tym wiedzą. Pociągi zatrzymują się przy Friedrichstrasse i pasażerowie są legitymowani. - Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać, ale do naszych uszu docierała tylko kapanina kropli wody i szum dalekich generatorów prądu.

- Kiedy tam dotrzemy, zobaczysz oznakowania na ścianach tunelu. Linia graniczna zaznaczona jest czerwoną farbą.

Oświetlił latarką ścianę, żeby pokazać mi, gdzie będzie ta czerwona linia. Na razie dostrzegłem tylko zwisające z podpór zwoje drutu, pociemniałe od nagromadzonego przez dziesięciolecia brudu. Frank zgasił latarkę, potknął się o jakiś kawałek przewodu kanalizacyjnego i cicho zaklął. On był w lepszej sytuacji niż ja; miał na nogach gumowe kalosze, a pod kombinezonem robotnika kolejowego tylko stare, wygodne części garderoby. Ja musiałem zmieścić pod nim wszystko, co mogłem zabrać do wschodniej strefy. Obaj uznaliśmy, że chodzenie po nocy z torbą lub paczką naraziłoby mnie na zatrzymanie i rewizję.

Szliśmy wolno wzdłuż torów; miałem wrażenie, że trwa to wiele godzin. Frank zatrzymywał się od czasu do czasu i nadstawiał uszu, ale słychać było tylko chrobotanie szczurów i nieprzerwany szum urządzeń elektrycznych.

- Poczekamy tu przez chwilę - powiedział nagle, podnosząc do oczu rękę, na której nosił zegarek. - Podczas niektórych nocy wschodniobерlińscy technicy kolejowi przechodzą tędy, żeby sprawdzić działanie aparatury na dawnej stacji Kaiserhof. Teraz nazywa się ona Thalmannplatz. Czy zauważyłeś, jak komuniści lubią nadawać ulicom i stacjom kolejowym nazwiska swych bohaterów? - Zapalił latarkę, by oświetlić wnękę w ścianie tunelu, mieszczącą żółtą metalową skrzynkę, w której znajdował się aparat telefoniczny. Korzystali z niego maszyniści, kiedy ich pociąg zatrzymywał się między stacjami. Obok telefonu stała ławka, na której usiadłem idąc za przykładem Franka. Byliśmy tuż pod poziomem ulicy; czułem powiewy zimnego powietrza płynące z przewodów wentylacyjnych.

- Czy zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego Mur berliński przebiega po tak absurdalnej linii? - spytał Frank. - Zdecydowano o tym na konferencji, która odbywała się w londyńskim Lancaster House jeszcze podczas wojny. Ustalano na niej granice sektorów, które mają zostać zajęte przez poszczególne mocarstwa po zdobyciu miasta. Posłano urzędników po mapy, ale okazało się, że rząd brytyjski dysponuje jedynie turystycznym planem Berlina z roku 1928. Uczestnicy konferencji nakreślili więc granice stref wzdłuż linii oddzielających w roku 1928 poszczególne dzielnice. Chodziło tylko o prowizoryczny podział administracyjny, więc nikt nie zwracał uwagi na przebieg przewodów gazowych, kanalizacji i podziemnej sieci kolejowej. Było to w roku 1944. Ale niestety, ten podział nadal obowiązuje.

Siedzieliśmy w zupełnej ciemności. Wiedziałem, że Frank chciałby zapalić swoją cholerną fajkę, ale walczy z pokusą i dlatego tak dużo mówi.

- Wypuszczę cię na ulicę niedaleko stacji Stadtmitte - powiedział. Zaznajomił mnie już ze swoim planem i pokazał mapy oraz fotografie, ale nie przerywałem mu, kiedy

powtarzał wszystko od nowa. - Stadtmitte to stacja węzłowa. Przejeżdżają przez nią wszystkie pociągi wschodnioniemieckie i zachodnioniemieckie. Oczywiście na różnych poziomach.

- Jak długo jeszcze, Frank?

- Nie denerwuj się. Musimy być pewni, że energetycy nie naprawiają swoich torów. Nie są uzbrojeni, ale czasem mają nadajniki radiowe, by móc się porozumieć z elektrykami, którzy włączają i wyłączają prąd. Chodzi o to, żeby któryś z robotników nie został porażony podczas pracy.

Chwile oczekiwania w ciemności nieznośnie się dłużyły. Potem znów ruszyliśmy powoli w głąb tunelu. W pewnym momencie Frank zatrzymał się gwałtownie i ostrzegawczo uniósł rękę nakazując mi, bym zachowywał się cicho. Musiał mieć nadzwyczaj czuły słuch, bo ja dopiero po dobrej chwili usłyszałem głosy i stłumiony stuk młotów.

- Dźwięk rozchodzi się w tych starych tunelach bardzo daleko - szepnął Frank. - Ci ludzie pracują chyba aż na starym, nie używanym peronie przy Französischestrasse. Tu się pożegnamy. - Rozejrzał się i pokazał mi wiodący w górę przewód wentylacyjny. U jego wylotu dostrzegłem słabe światło, ledwie widoczne przez metalową kratę. - Ale poruszaj się ostrożnie.

Zdjąłem kombinezon i wręczyłem go Frankowi, a potem zacząłem wspinać się po żelaznych klamrach. Niektóre z nich były stare i przerdzewiałe, ale miałem wolne ręce, więc bez większego trudu dotarłem do wylotu przewodu. Kratę przytrzymały zardzewiałe metalowe sztaby. Wyglądała na przeszkodę nie do przebycia.

- Podnieś ją - zawołał cicho Frank. - Podnieś ją i sprawdź, czy nikogo nie ma na ulicy. Potem wybierz odpowiedni moment i wyłaź.

Odsunąłem kratę bez większego wysiłku. Nie była ona wyczyszczona i naoliwiona - Frank, jako człowiek subtelny, nie stosował tak prymitywnych środków - ale ktoś najwyraźniej niedawno ją odblokował i przygotował w taki sposób, bym mógł ją łatwo ruszyć z miejsca.

- Powodzenia, Bernard.

Zrzuciłem Frankowi moje robocze rękawice i jak najszybciej przeszedłem przez otwór wylotowy, ale nie musiałem się niepokoić. Friedrichstadt - centrum rządowe starego Berlina - jest puste i ciche w porównaniu z miastami zachodnimi nawet w ciągu dnia. O tej porze nie było tu nikogo; słyszałem tylko dobiegające od wschodu dalekie odgłosy ruchu ulicznego. Ta dzielnica, *Stadtbezirk Mitte*, to wysunięta na zachód pięść komunistycznego Berlina. Jest otoczona z trzech stron antyfaszystowską barierą ochronną, którą reszta świata nazywa Murem. Czułem jego bliskość. Na otwartym skrawku terenu przygranicznego, oświetlonym

przez niezliczone reflektory, było jasno jak w dzień, a unosząca się nad nim ciemność miała barwę szarą jak mgła podążająca ku lądowi znad lodowatego morza.

Frank starannie wybrał moją trasę. Wyjście z przewodu wentylacyjnego było ukryte przed wzrokiem przechodniów. Zaslaniała je góra piasku i wielkie stosy śmieci oraz niewielki agregat prądotwórczy należący do Berlińskiego Przedsiębiorstwa Energetycznego. Żeliwna pokrywa, zamykająca włącz do przewodu wentylacyjnego, okazała się bardzo ciężka, więc zanim udało mi się zasunąć ją na miejsce, byłem zdyszany i czerwony na twarzy. Odpocząłem przez chwilę, a potem ruszyłem w górę Charlottenstrasse zamierzając przejść na skróty za Operą Państwową, równoległe do Unter den Linden. Wiedziałem, że będę musiał przekroczyć Szprewę. Nie mogłem uniknąć przejścia przez jeden z mostów, rzeka bowiem oddziela tę dzielnicę od reszty miasta tworząc wraz z Murem coś w rodzaju zamkniętej enklawy.

Zbliżając się do Opery dostrzegłem światła i ludzi. Brama w tylnej ścianie budynku była otwarta i robotnicy wynosili z niej wielkie plansze scenograficzne oraz posąg jeźdźca, pochodzący najwyraźniej z ostatniego aktu opery *Don Giovanni*. Przeszedłem na drugą stronę ulicy, by trzymać się w cieniu, ale na widok dwóch policjantów idących mi naprzeciw od strony budynku dawnego *Reichsbank*, szybko zmieniłem zdanie. Gdybym nie musiał czekać na przejazd ostatniej kolejki podziemnej, mógłbym się wmieszać w tłum turystów zachodnich, którzy przekraczają granicę tylko na jeden wieczór, by odwiedzić teatr czy operę. Niektórzy z nich mają na sobie smokingi i koszule ze sztywnym gorsem albo prezentują emblematy swoich stacjonujących w Berlinie Zachodnim pułków. Towarzyszą im kobiety w długich sukniach, uczesane przez drogich fryzjerów. Goście tacy umożliwiają znudzonym tubylcom przelotny kontakt z zachodnią dekadencją. Nigdy nie są legitymowani na ulicy, ale gdybym ubrał się tak jak oni, rzucałbym się w oczy w dzielnicach robotniczych, które zamierzałem odwiedzić.

Na ulicach było prawie pusto. Szedłem przez jakiś czas na północ i zatrzymałem się pod bramą wejściową stacji Friedrichstrasse. Byli tam dwaj mężczyźni, dyskutujący hałaśliwie o satyrycznym kabarecie, który mieścił się po drugiej stronie ulicy, robotnicy kolejowi oczekujący na początek swej zmiany oraz jacyś turyści z Afryki, w milczeniu przyglądający się wszystkiemu, co ich otacza. Uznałem, że zrobię najlepiej idąc przez Weidendamm. Było tam ciemniej niż na innych mostach łączących tę enklawę z centrum miasta, a położonych bliżej strzeżonych budynków rządowych.

Gdziekolwiek spojrzełem, czułem, że nie potrafię uniknąć wspomnień z okresu wojny. Tędy właśnie szli ostatni pozostali przy życiu mieszkańcy bunkra Hitlera. Kiedy zawiodły ich

wszystkie inne rachuby, przeszli przez rzekę wplaw obok podpór mostu pozostawiając na brzegu ciało Martina Bormanna.

Szpital Charite. W kostnicy tego ponurego budynku żołnierze Armii Czerwonej znaleźli zwłoki ludzi, którzy usiłowali obalić Hitlera w lipcu 1944. Trzymano ich ciała w chłodni na osobisty rozkaz Hitlera.

Od strony starego teatru Brechta, stojącego tuż nad Szprewą, nadchodził jakiś policjant. Na mój widok przyspieszył kroku. Moje dokumenty były w porządku, ale przypomniałem sobie po niewczasie, że nie wiem, jak należy zwracać się do policjanta.

- Hej, wy! - zawołał w moją stronę.

Jak zwracają się obecnie mieszkańcy Berlina Wschodniego do policjantów? - myślałem nerwowo. To nie są Stany Zjednoczone. Zbyt duża poufałość może być równie podejrzana jak przesadny respekt. Postanowiłem udawać robotnika, który wraca ze zmiany, wypiwszy po drodze kilka wódek. Ale ile wódek można wypić, nie narażając się na odwiezienie do komisariatu?

- Co tu robicie? - Miał ostry głos, zdradzający jego pochodzenie: Rostock, Stralsund, może wyspa Rugia. Po tej stronie Muru wierzono, że policjanci oddelegowani z prowincji są bardziej godni zaufania niż berlińczycy. Nadal szybko szedłem naprzód.

- Wstawać! - rozkazał policjant. Zatrzymałem się i odwróciłem głowę. Mówił do jakichś dwóch mężczyzn, którzy siedzieli na chodniku, u podnóża mostu. Nie ruszyli się z miejsca. - Skąd jesteście?

- A skąd ty jesteś, synku? - spytał starszy z mężczyzn, brodac z robotniczym kombinezonie i zniszczonej skórzanej kurtce.

- Zaraz odstawimy was do domu - powiedział policjant.

- Do domu... - powtórzył ten sam mężczyzna i roześmiał się głośno. - W porządku. Odwieź mnie do domu, do Schöneberg. Yorkstrasse, tuż obok stacji kolejowej.

Młodszy mężczyzna z trudem dźwignął się na nogi.

- Chodźmy - powiedział do swego kolegi.

- Yorkstrasse, Schöneberg - powtórzył brodac. - Tylko o dwa przystanki kolejki podziemnej stąd. Ale ty nigdy o tej dzielnicy nie słyszałeś i nigdy jej już nie zobaczysz. Zaczął śpiewać fałszywie *Das war in Schöneberg im Monat Mai*. Dopiero ta próba ujawniła, że jest bardziej pijany niż się poprzednio wydawało.

- Nie wolno śpiewać na ulicy - powiedział policjant, już mniej pojednawczym tonem. - Wstańcie. Pokażcie swoje dokumenty.

Starszy z pijaków roześmiał się drwiąco. Jego kolega powiedział:

- Daj mu spokój, czy nie widzisz, że źle się czuje? - Bełkotał tak niewyraźnie, że trudno było zrozumieć poszczególne słowa.

- Jeżeli w ciągu dwóch minut nie wyruszyście do domu, zaprowadzę was na komisariat.

- *Er ist polizeiwidrig dumm* - oznajmił starszy z pijaków i wybuchnął śmiechem. Oznacza to: kryminalnie głupi, ale każdy niemiecki policjant dobrze zna to określenie.

- Pójdziecie ze mną - oznajmił policjant.

Brodaty mężczyzna ponownie, tym razem jeszcze głośniejsze, zaczął śpiewać: *Das war in Schöneberg im Monat Mai...*

Odszedłem pospiesznie, by policjant, nie mogąc poradzić sobie z tymi dwoma pijakami, nie zażądał ode mnie pomocy. Jeszcze z odległości stu metrów słyszałem głos starego, który śpiewał o młodej dziewczynie tak chętnie i często całującej chłopców w Schöneberg, przed wielu laty.

Przy Oranienburger Tor, skąd Chausseestrasse prowadzi na stadion piłkarski, skręciłem w ciemny labirynt małych uliczek. Zapomniałem już, jak czuje się niedawno „zdeponowany” agent, zaopatrzony w fałszywe dokumenty i niezbyt przekonującą historyjkę. Byłem już na to zbyt stary; wiedziałem, że kiedy wrócę bezpiecznie do mojego londyńskiego biura, nie będę tęsknił za następną eskapadą.

Stojące tu ponure pięcio - i sześciopiętrowe domy czynszowe, zbudowane zostały przed przeszło stu laty dla chłopów, którzy przybywali do Berlina, by znaleźć pracę w tutejszych fabrykach. Od tej pory nie zmieniły się zbytnio. Rolf Mauser mieszkał na drugim piętrze w tandetnej kamienicy przy Prenzlauer Berg. Kiedy uchylił drzwi, zobaczyłem, że ma zaspane oczy i bose stopy oraz jedwabny szlafrok, narzucony na piżamę.

- Co, do diabła, tutaj robisz? - spytał odczepiając łańcuch. Tym razem to ja zbudziłem go w środku nocy i sprawiło mi to pewną satysfakcję.

Zaprosił mnie gestem do pokoju, gdzie zapadłem się w fotel, nie zdejmując płaszcza ani kapelusza.

- Zmiana planów, Rolf - powiedziałem. - Uznałem, że niedobrze kręcić się dziś w nocy po ulicy.

- Na ulicy nigdy nie jest dobrze - odparł Rolf. - Czy chcesz się u mnie przespać?

- Znajdziesz dla mnie wolny pokój?- Wolne pokoje to jedyna rzecz, której mam pod dostatkiem - odparł. - Możesz sobie wybrać jeden z trzech. - Postawił na stole butelkę polskiej wódki, a potem otworzył drzwiczki porcelanowego pieca i pogrzebał w popiele. - Czynsze po tej stronie Muru są niemal takie same, bez względu na to, czy zajmujesz dwupokojowe mieszkanie, czy duży dom. Więc po co miałbym się prznosić?

- Byłem ciekaw, czy cię zastanę, Rolf.
- Dlaczego nie? Po tym, co zdarzyło się w Londynie, tu jest chyba najbezpieczniej.
- Na jakiej podstawie tak sądzisz?
- Ślady przestępstwa zostały w Londynie. Tam będą szukać sprawcy.
- Mam nadzieję, że się nie mylisz, Rolf.
- Musiałem to zrobić, Bernd. Musiałem go zlikwidować. Ten facet zamierzał wsypać całą siatkę.

- Zapomnijmy o tym - powiedziałem, ale on koniecznie chciał zmusić mnie do wyrażenia aprobaty dla jego czynu.

- Do berlińskiego KGB dotarły już odpowiednie polecenia. Kazano im przygotować personel oraz pojedyncze cele dla pięćdziesięciu aresztowanych. Cała siatka Brahmisa byłaby *kaputtgemacht*. I szereg innych siatek. Czy rozumiesz teraz, dlaczego musiałem zrobić to, co zrobiłem?

- Rozumiem, Rolf. Rozumiem nawet lepiej niż ty. - Nalałem sobie kieliszek gatunkowej wódki i wypilem go. Była tak mocna, że jej smaku nie łagodził nawet aromat owoców.

- Musiałem dokonać egzekucji.

- Spójrzmy prawdzie w oczy, Rolf. To było morderstwo.

- Nie, to był zamach.

- Można dokonywać zamachów tylko na przywódców państwowych i to pod warunkiem, że są tyranami. Egzekucja jest wynikiem procesu sądowego. Spójrz prawdzie w oczy; zamordowałeś go.

- Bawisz się w gierki słowne. Łatwo jest być mądrym teraz, kiedy niebezpieczeństwo zniknęło.

- To był słaby i głupi człowiek, nękany przez lęk i poczucie winy. Nie wiedział nic ważnego. Usłyszał po raz pierwszy o Systemie Berlińskim dopiero w ubiegłym tygodniu.

- Tak - przyznał Rolf. - System Berliński; to właśnie im obiecał. Pytałem o to Wenera. Powiedział mi, że jest to kompletny wykaz wszystkich siatek i kontaktów istniejących na terenie całego Berlina. Byliśmy bardzo zaniepokojeni, Bernd.

- Skąd wzięłeś nazwisko i adres Trenta?

Nie odpowiedział mi.

- Od Wenera. Który dostał je od tej choleryjnej Zeny. Zgadza się?

- Wypytywałeś Franka Harringtona o jakiś skandal z roku 1978. Frank domyślił się, że sprawdzacie tego Trenta.

- I powiedział o tym Zenie?

- Znasz Zenę. Ona to z niego wyciągnęła.

- Ile razy muszę ci powtarzać, że Werner nie jest pracownikiem Departamentu?

Dlaczego nie porozumiałeś się z Centralą Londyńską?

- Nie było na to czasu, Bernd. Poza tym Werner bardziej zasługuje na zaufanie niż wasi ludzie z Centrali. Dlatego właśnie go zatrudniasz, prawda?

- A dlaczego nie powiedziałeś mi, co zamierzasz zrobić podczas naszego nocnego spotkania w Londynie?

- Nie chcieliśmy, żeby Centrala Londyńska o tym wiedziała - odparł Rolf. Nalał sobie kieliszek wódki. Zaczynał się pocić, choć w pokoju nie było gorąco.

- Dlaczego?

- A skąd niby ten Trent miał wziąć System Berliński? Odpowiedz mi na to pytanie. Miał go dostać od kogoś z Centrali Londyńskiej, Bernd.

- Masz rację - powiedziałem ze złością. - Miał go dostać ode mnie. - Spojrzałem na niego zastanawiając się, na ile mogę mu zaufać.

- Od ciebie, Bernd? To niemożliwe.

- To był jeden z elementów całej gry, ty głupcze. Powiedziałem mu, żeby obiecał go tym facetom z Moskwy. Obiecałem mu System, bo chciałem go wykorzystać dla swoich celów.

- Chcesz powiedzieć, że to była prowokacja Centrali?

- Jesteś cholernym durniem, Rolf.

- Więc niepotrzebnie zabiłem tego biednego drania?

- Iw, dodatku pomieszałeś wszystkie moje plany.

- Och mój Boże, Bernd, co ja zrobiłem?

- Lepiej pokaż mi, gdzie mogę się położyć, Rolf. Mam jutro ciężki dzień.

Wstał z krzesła i wytarł pot z czoła czerwoną chusteczką do nosa.

- Nie pójde dzisiaj spać, Bernd. Zrobiłem coś strasznego. Jak mógłbym spać mając coś takiego na sumieniu?

- Pomyśl o wszystkich biednych draniach, których zabiłeś podczas bombardowań artyleryjskich i dolicz do nich jeszcze jednego.

ROZDZIAŁ XXII

Poranek następnego dnia był bardzo słoneczny. Nawet Prenzlauer Berg prezentował się korzystnie. Ale okna mieszkania Rolfa Mausera wychodziły na pokryte kocimi łbami podwórko, niemal całkowicie zasłonięte przez wielki kasztanowiec. Zielonkawe światło

odbite od jego młodych liści wywoływało takie wrażenie, jakby cały dom znajdował się pod wodą.

Na podwórku rosło poza tym tylko kilka drobnych krzewów. Ale stały tam liczne rowery i wózki dziecięce oraz kubły ze śmieciami, których zawartość rozwlekały głodne koty; słyszałem ich gniewne wrzaski przez całą noc. Od odrapanych ścian podwórka odbijały się echem dyskusje, spory i powitalne okrzyki dwóch kobiet, które szorowały bruk ryżowymi szczotkami na kijach.

- Nie jest to dzielnica Kaiserhof w okresie największego rozkwitu - stwierdził Rolf nalewając sobie kawę z poobijanego dzbanka i zostawiając resztę dla mnie. Zachowywał się bezceremonialnie jak żołnierz albo jak człowiek, który mieszkając od lat samotnie, stał się egocentrykiem. - Budziły mnie te cholerne koty.

- „Kocie łby” - powiedziałem sięgając po jedną z razowych bułek, które berlińczycy jadają na śniadanie. - Ja spałem bardzo dobrze. Dzięki za nocleg, Rolf. Dziś się wyniosę.

- Trudno je teraz dostać - odparł. - Ceny pieczywa są kontrolowane. A piekarze to leniwe świny i nie chce im się robić nic oprócz zwykłego chleba. - Widać było, że pozbył się wczorajszych skrupułów jak żołnierz, który musi co rano regenerować swoje sumienie.

- Wszędzie jest tak samo - stwierdziłem.

- Jeśli chcesz, możesz zostać nawet tydzień. Nudzi mi się, kiedy siedzę tu sam. Małżeństwo, które odnajmuje mi część mieszkania, wyjechało z wizytą do zameknej córki. - Zdjął swoją filiżankę z tacy, nalał do niej mleka i usiadł na łóżku. Ja tymczasem kończyłem się golić. - Ale będziesz musiał na zmianę ze mną chodzić do piwnicy po węgiel.

- Mam nadzieję, że nie będę potrzebował tygodnia, Rolf.

- Zamierzasz się spotkać z Brahmsem Cztery?

- Prawdopodobnie.

- Czy naprawdę istnieje osoba nosząca ten kryptonim?

- Mam nadzieję, że tak, Rolf.

- Zawsze myślałem, że pod tym kryptonimem kryje się zespół ludzi. Z jakiego innego powodu chciałby Londyn oddzielać materiały Brahmisa Cztery od wszystkich naszych pozostałych meldunków?

- Nie ma w tym nic niezwykłego, Rolf.

- Oficjalnie jest ona członkiem siatki. - Przerwał, by dać mi do zrozumienia, że zamierza powiedzieć coś ważnego. - Ale żaden z pozostałych członków siatki nigdy Brahmisa nie widział.

- Skąd to wiesz? - spytałem ostrym tonem. - Do diabła, Rolf, powinieneś wiedzieć, że nie wojno rozmawiać z osobami trzecimi o oznaczonych kryptonimem agentach.

- Nawet jeśli te osoby trzecie również są agentami?

- Szczególnie wtedy, bo wtedy istnieją większe szanse, że zostaną one poddane przesłuchaniu.

- Nie było cię tu od dawna, Bernd. Siedziałeś za biurkiem w Londynie zbyt długo. Mówisz teraz tak, jakbyś czytał jedną z tych notatek służbowych, które lubi wypisywać Frank Harrington.

- Zostaw trochę kawy dla mnie, Rolf - poprosiłem. Odstawił swoją filiżankę, podniósł na mnie wzrok i uśmiechnął się.

- A jeśli odkryjesz, że on nie istnieje? - zapytał nalewając mi resztę kawy, razem z fusami. - Jeśli odkryjesz, że jest on tylko skrytką pocztową w budynku KGB, a wy od lat dajecie się wodzić za nos?

- Tak przypuszczasz, Rolf?

- Nie. Zakładam tylko najgorszą możliwość.

* * *

Rolf Mauser miał rację; choć Werner Volkmann nie był pracownikiem Departamentu, ufałem mu bardziej niż któremukolwiek z ludzi, których mogła mi przydzielić Berlińska Jednostka Operacyjna. Dysponował w Berlinie Wschodnim samochodem. Czekał na mnie na tym odcinku Schonhauserallee, na którym kolejka podziemna biegnie na powierzchni po starym wiadukcie, zacieniającym całą ulicę.

Otworzyłem drzwi samochodu i usiadłem obok niego. Bez słowa powitania włączył silnik i ruszył w kierunku północnym.

- Nic dziwnego, że Brahmsowi Cztery wysiadają nerwy - powiedziałem. - Zbyt wielu ludzi zaczyna się nim interesować.

- Nie przetrwa następnego sześciu miesięcy - odparł Werner.

- W Londynie mają nadzieję, że uda się go utrzymać na miejscu jeszcze przez dwa lata.

Werner wydał odgłos mający wyrazić jego pogardę wobec pracowników Centrali Londyńskiej oraz wszystkich ich planów i ambicji.

- Mimo że wszystkie jego raporty docierają za pośrednictwem siatki?

- Można by sięgnąć po inne sposoby.

- Na przykład nadajnik radiowy o takiej mocy, żeby można go odbierać w Berlinie Zachodnim? - spytał drwiąco.

- Owszem, padła taka propozycja - odparłem. Był to jedyny wkład Dicky'ego w bardzo długą naradę, jaka odbyła się miesiąc wcześniej w Londynie.

- Musiał ją zgłosić jakiś dureń - mruknął Werner.

- Ale co innego można zrobić? Przenieść go do innej siatki?

- To byłoby możliwe, prawda?

- Nigdy jeszcze nie próbowałeś wprowadzić nowego agenta do innego systemu - powiedziałem. - Na czele większości siatek stoją historyczne primadonny. Nie zniósłbym tych wszystkich sporów i awantur, jakie towarzyszą tego rodzaju wymuszonym związkom.

- Poza tym kontaktując go z inną siatką opóźnisz dopływ informacji - powiedział Werner. Oczywiście, opierał się jedynie na domysłach; nie miał pojęcia, czy mamy inne systemy działające na terenie Berlina. Ale jego domysły były słuszne. Należał do ludzi, którzy nie mogą oderwać się od pracy bez względu na to, czy otrzymują za nią wynagrodzenie czy też nie. To zapewne dzięki niemu siatka Brahmsa istniała tak długo.

- I zwiększę liczbę ludzi, którzy wiedzą o jego istnieniu.

- A czy on w ogóle istnieje? Czasem zaczynam w to wątpić.

- Czy rozmawiałeś z Rolfem Mauserem?

- Oczywiście, że z nim rozmawiałem - przyznał. - Czy wyobrażasz sobie, że jakaś siatka może przekazywać materiały nie zastanawiając się, od kogo one pochodzą? Szczególnie, jeśli stale jej się przypomina, że są to materiały szczególnie pilne i ważne?

- Zobaczę się z nim jak najprędzej - powiedziałem.

Werner oderwał wzrok od jezdni i przyjrzał mi się uważnie.

- Jesteś dziś skłonny do zwierzeń, co? To do ciebie nie pasuje, Bernie. Dlaczego mi mówisz, że zamierzasz się z nim zobaczyć?

- Bo i tak już się tego domyślasz.

- Nie, nie, nie - powiedział Werner. - Musi być inny powód.

- Ponieważ być może będziemy musieli przerzucić go z Berlina Wschodniego na drugą stronę. I to szybko.

- Zawiozę cię tam, dokąd chcesz pojechać - zaproponował Werner. - Do centrum? Nie mam nic do roboty.

- Będę potrzebował samochodu, Werner. Poza tym masz mnóstwo roboty. Chcę, żebyś złapał samolot do Londynu i wrócił jeszcze dziś wieczorem.

- Po co?

- Kiedy sprawy ruszą z miejsca, potoczą się bardzo szybko.

- Jakie sprawy?

- Przypuśćmy... - Nie chciało mi to przejść przez gardło. - Przypuśćmy, że tym agentem KGB w Londynie jest Fiona.

- Twoja żona?

- Zastanów się nad tym. Wszystkie szczegóły do siebie pasują: fiasko, jakie ponieśliśmy w sprawie Gilesa Trenta, i to, że próbowała obciążyć go winą za przeciek tej depechy z Karlshorst. Breta nie było wtedy w Berlinie. Dicky nie miał tej depechy w ręku. Fiona jest jedyną osobą, która zawsze była w odpowiednim miejscu w odpowiednim momencie.

- Chyba nie mówisz poważnie, Bernie.

- Chciałbym się mylić, Werner. Ale jeśli to Fiona i jeśli zdecyduje się na ucieczkę, weźmie z sobą dzieci. - Miałem nadzieję, że wyśmieje moją teorię.

- Ależ Bernie, oficer dyżurny na lotnisku zapewne ją rozpozna. Jeśli będzie sama, może powiedzieć, że wyjeżdża służbowo. Ale jeśli zjawi się tam z dwójką dzieci, nie przepuszczą jej, dopóki nie uzgodnią tego z Centralą.

- Więc jak może to zrobić? - spytałem.

- Jeśli naprawdę współpracuje z KGB, to zażąda od nich, żeby wywieźli dzieci oddzielnie. Jezus Maria, Bernie. To zbyt okropne, by o tym myśleć. To nie może być Fiona, prawda?

- Będziemy musieli zaufać Dicky'emu - powiedziałem. - Da ci wszystko, czego będziesz potrzebował. Zawieź dzieci do mojej matki. Zrób tak, żeby wszystko wyglądało normalnie. Nie chcę, żeby Fiona wiedziała o moich podejrzeniach. Ale znajdźcie kogoś, kto będzie je pilnował przez dwadzieścia cztery godziny na dobę - nie zwykłych strażników, tylko fachowców, którzy będą wiedzieli, jak się zachować - i załatwcie wszystko w taki sposób, żebym ja mógł przysiąc, że o niczym nie wiedziałem. Na wypadek, gdybym się mylił w sprawie Fiony.

- Jestem pewien, że się mylisz, Bernie.

- Lepiej już idź. Wsiądź przy postoju taksówek i zostaw mi samochód. Czeka mnie ciężki dzień. Do zobaczenia u Rolfa, dziś wieczorem.

- Jestem pewien, że mylisz się w sprawie Fiony - powiedział Werner. Ale za każdym razem, gdy to mówił, wydawał się coraz mniej przekonany.

ROZDZIAŁ XXIII

Poszedłem na spotkanie z Brahmsem Cztery do jego biura przy Otto-Grotewohl-Strasse. W dawnych czasach ulica ta znana była jako Wilhelmstrasse i jej dolny odcinek, przebiegający za Murem, nadal nosił tę nazwę. Budynek również nazywał się teraz inaczej,

był to bowiem monumentalny gmach Ministerstwa Lotnictwa, który zbudował Hermann Göring dla swych kłótliwych biurokratów. Jako jeden z niewielu gmachów rządowych przetrwał on walki, toczące się w centrum miasta.

Wypełniłem w recepcji niezbędny formularz i pojechałem na górę. Czekał tam na mnie człowiek, który - jak to określił Dicky Cruyer - wrócił niegdyś z jakiejś zakazanej dziury w Turyngii, by wyprowadzić mnie z kryjówki, mieszczącej się przy małej uliczce na tyłach Muzeum Goethego w Weimarze, na kilka minut przed pojawieniem się policji z nakazem aresztowania mnie. Nigdy mu tego nie zapomniałem.

Bóg raczy wiedzieć, który z londyńskich urzędników nadał tej siatce nazwę Brahms i dlatego ten właśnie jej członek otrzymał numer 4. Ale od dziesięcioleci znany był tylko pod tym kryptonimem. Naprawdę nazywał się Dr Walter von Munte, ale jako mieszkaniec proletariackiego państwa - Niemieckiej Republiki Demokratycznej - dawno już zrezygnował z członu „von”. Był wysokim, poważnym, mniej więcej sześćdziesięcioletnim mężczyzną. Miał pobrużdżoną twarz, okulary w złotej oprawie i krótkie, szpakowate włosy. Mimo okazałego wzrostu wydawał się dość wątły, a przygarbione ramiona i nieco staromodne manery sprawiały, że mógł się wydawać przesadnie ugrzeczniejszy. Jego ciemny garnitur był starannie wyprasowany, ale - podobnie jak koszula ze sztywnym kołnierzykiem i czarny krawat - dość mocno znoszony. Zacierał ręce jak przedsiębiorca pogrzebowy z powieści Dickensa.

- Bernd... - powiedział. - Nie mogę uwierzyć, że to ty... po tylu latach.

- Czy to było aż tak dawno temu?

- Nie byłeś jeszcze żonaty. A teraz, jak słyszę, masz dwoje dzieci. A może się mylę?

- Nie, nie mylisz się - odparłem.

Stał za swoim biurkiem i przyglądał mi się uważnie. Podeszedłem do okna. Byliśmy blisko Muru; z wyższego piętra dostrzegłbym zapewne resztki dworca Anhalter, a nawet *Cafe Leuschner*. Mimochodem dotknąłem gniazdka telefonicznego na parapecie okiennym i zerknąłem w górę, by przyjrzeć się obudowie lampy. Potem wróciłem na miejsce.

- Och, nie musisz się niepokoić o ukryte mikrofony - powiedział z posępnym uśmiechem Brahms Cztery domyśliwszy się przyczyn mego zachowania. - Cały gabinet jest regularnie sprawdzany przez ekipy poszukujące tego rodzaju urządzeń.

Dopiero kiedy usiadłem na plastikowym krześle-, wrócił na swój fotel.

- Czy chcesz zostać przerzucony na Zachód? - spytałem cicho.

- Zostało mi niewiele czasu - odparł spokojnie i rzeczowo.

- Skąd ten pośpiech?

- Sam to dobrze wiesz - odparł. - Jeden z waszych ludzi w Londynie regularnie składa meldunki KGB. Jest to tylko kwestia czasu...

- Ale ty funkcjonujesz na specjalnych prawach - stwierdziłem. - Twoje akta trzymane są z dala od wszystkich innych materiałów, którymi się zajmujemy.

- Mają dobre źródło informacji - powiedział. - To musi być ktoś w Londynie, ktoś na samej górze.

- Londyn chciałby, żebyś został na miejscu - oznajmiłem. - Jeszcze co najmniej przez dwa lata.

- Londyn jest jak Oliver Twist. Londyn zawsze chce więcej. Czy po to tu przyjechałeś? Żeby mnie namawiać do pozostania na miejscu?

- Między innymi - przyznałem.

- Więc tracisz czas, Bernd. Ale tak czy owak miło cię zobaczyć.

- Oni będą nalegać.

- Nalegać? - Zastanowił się nad tą możliwością, starannie oddzierając papierowy margines od arkusza znaczków pocztowych. - Jak oni mogą na cokolwiek nalegać? Co mogą zrobić, jeśli przestanę przysyłać im materiały? Jeśli mnie wsypią, wiadomość o tym szybko się rozejdzie i cała wasza służba poważnie na tym ucierpi.

- Nie ma mowy o tym, żeby Londyn cię wsypał. Dobrze o tym wiesz.

- Więc jakimi dysponują sankcjami? Jak mogą nalegać? - Oderwał już margines od arkusza znaczków i zwijał go teraz w kulkę.

- Musiałbyś zrezygnować z wyjazdu na Zachód - powiedziałem. - A o ile wiem, masz taki zamiar.

- Moja żona chce tam jechać. Chce zobaczyć grób swego brata. Zginął w Tunisie w czasie wojny. Byli sobie bardzo bliscy, jako dzieci. Ale jeśli okaże się to niemożliwe, to trudno. - Wzruszył ramionami i odwinął pasek papieru rozprostowując go na nowo.

- A ty chcesz zobaczyć się z synem, który mieszka w Sao Paulo. Milczał przez dłuższą chwilę, pozornie koncentrując całą uwagę na trzymanym w ręku kawałku papieru.

- Nadal jesteś tak skrupulatny jak dawniej, Bernd - powiedział w końcu. - Mogłem się domyślić, że wyśledzisz, dokąd idą te przelewy.

- Firma maklerska w Luksemburgu, która otrzymuje pieniądze z *Bayerische Vereinsbank* w Monachium i przekazuje je do oddziału *Banco National* w Sao Paulo, nie jest aż tak skutecznym kamuflażem - powiedziałem. - A konto tej firmy wydawniczej nie jest aż tak aktywne, by mogło na dłuższą metę wszystkich wyprowadzić w pole.

- Kto jeszcze o tym wie? - spytał otwierając mosiężną pokrywkę ustawionego na biurku ozdobnego kałamarza i ciekawie zaglądając do środka.

- Ja nikomu nie powiedziałem.

- Doceniam to, Bernd.

- Wyprowadziłeś mnie z Weimaru - przypomniałem. - ' Byłeś młody. Potrzebowałeś pomocy.

Zwinął ponownie pasek papieru w kulkę i precyzyjnym ruchem wrzucił go do kałamarza, a potem zamknął pokrywkę.

- Następnego dnia aresztowali Buscha.

- To było dawno temu.

- To ja podałem im jego adres.

- Wiem o tym.

- Kto mógł się domyślić, że ten biedny staruszek wróci do domu?

- Ja zrobiłbym to samo - powiedziałem.

- Ty nie, Bernd. Ty jesteś ulepiony z twardszej gliny.

- Dlatego właśnie mnie przysłali, żebym cię namawiał do pozostania na miejscu. Nie uśmiechnął się. Nie podnosząc wzroku znad biurka spytał:

- A co byłoby, gdybym wam pomógł zdemaskować tego zdrajcę, który urzęduje w Londynie?

Więc o to mu chodziło. Do tego prowadziły wszystkie jego sugestie i obiekcje. Milczałem. Munte nie wiedział nic o sytuacji w Londynie; znał osobiście tylko Silasa, który był dawno temu jego przyjacielem i jego łącznikiem z Centralą. Ale obecnie Silas nie miał bliskiego kontaktu z bieżącymi problemami Departamentu. Z pewnością nie był agentem Moskwy.

- Nie potrafię podać jego nazwiska - powiedział Munte, nadal bawiąc się kałamarzem - ale mogę go zidentyfikować w sposób wykluczający wszelkie wątpliwości. I dostarczyć dowodów, które będą przekonujące nawet dla sądu, o ile Londyn zdecyduje się na proces.

Pomyślałem, że być może ma na myśli Gilesa Trenta. Postanowiłem sprawdzić czy nie próbuje mi sprzedać czegoś, co już mam.

- W jaki sposób? - spytałem. - I jakiego rodzaju dowodów?

- Czy możesz mnie przerzucić?

- Samego?

- Mnie i moją żonę. Razem. Musielibyśmy jechać wspólnie. Nie damy się rozdzielić.

Byłem pewien, że ma na myśli Gilesa Trenta. Jeśli KGB odkryło, że Trent działał na nasze polecenie, chciałem o tym wiedzieć. Ale nie była to informacja na tyle ważna, bym mógł w zamian za nią przerzucić go na Zachód.

Munte odgadł chyba moje myśli, bo powiedział:

- Mówię o kimś, kto ma dostęp do londyńskiego Banku Danych. - Spojrzał na mnie uważnie czekając na moją reakcję, wiedząc, że nie przypuszczam, bym mógł w ogóle wiedzieć o istnieniu takiego centrum. - O kimś, kto ma dostęp do danych zakodowanych pod kryptonimem: „Odruch bezwarunkowy”.

Siedziałem bez ruchu starając się zachować obojętny wyraz twarzy. Wiedziałem, że nie uniknę dłużej okropnej prawdy. Dostęp do tych danych miała tylko starannie wyselekcjonowana grupa członków ścisłego kierownictwa Centrali. Osoby znające ten kryptonim mogły za pomocą naszych komputerów korzystać z banku informacyjnego CIA. Jeśli jakiś wydruk opatrzony tym kryptonimem znalazł się w Berlinie Wschodnim, to rozmiary przecieku mogły być wprost nieograniczone. Nie chodziło o Gilesa Trenta; musiał to być ktoś zajmujący znacznie wyższe stanowisko, ktoś współpracujący blisko z Wydziałem Operacyjnym.

- Kiedy możesz dostarczyć mi ten dowód?- spytałem.

- Dziś wieczorem.

- Kiedy chciałbyś jechać? - Wobec takiego rozwoju wydarzeń cała sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Skoro Brahm Cztery mógł przyczynić się do identyfikacji uplasowanego tak wysoko agenta sowieckiego, był nam potrzebny w Londynie po to, by złożyć zeznania w sądzie.

- Wiesz, jakie są kobiety, Bernd. Moja żona będzie pewnie musiała zastanowić się nad tym przez kilka dni.

- Jutro. Wezmę was ze sobą. Ale chcę postawić sprawę jasno. Jeśli nie otrzymam od ciebie bezspornych dowodów, umożliwiających identyfikację osoby, która dostarcza te materiały, nasza umowa traci moc.

- Przyniosę ci odręczny odpis wydruku komputerowego. Czy to cię zadowoli?

- Odręczny odpis? Z pewnością nie będzie autentyczny. Żaden agent nie byłby aż tak głupi.

- Naprawdę tak uważasz, Bernd? Czasami, kiedy jest już późno i człowiek jest bardzo zmęczony, trudno spełnić wszystkie wymogi bezpieczeństwa. To wina zatrudnionego w londyńskiej ambasadzie funkcjonariusza KGB, który przekazał oryginał, zamiast zrobić z

niego kopię. Albo tutejszych, berlińskich urzędników, którzy zostawili ten dokument w aktach, Bernd. Żał mi tego agenta. Wiem dokładnie, jak się czuł.

- Odręczna kopia? I nikt tutaj nie zwrócił na to uwagi?

- Mamy do czynienia z wieloma dokumentami pisanymi ręcznie. Nie jesteśmy tak zautomatyzowani jak wy na Zachodzie. To charakterystyczny charakter pisma - bardzo wyraźne litery z zakręconymi brzuszkami.

- Z Londynu? - Tak pisała Fiona. Ale może to wszystko prowokacja?

- Jesteśmy tylko bankiem. Nasze środki ostrożności nie są zbyt wymyślne. Był to bardzo interesujący i bardzo poufny dokument, dotyczący planowanych działań *Bank of England* na rzecz umocnienia funta. Wpadł mi w oko tylko dlatego, że szukałem tego rodzaju informacji.

- I możesz mi go dostarczyć dziś wieczorem?

- Wiem, gdzie jest.

- Twoja żona musi być uprzedzona, że może wziąć ze sobą tylko to, co będzie w stanie włożyć na siebie i ukryć w kieszeniach.

- Rozmawiałem z nią o tym wiele razy, Bernd.- Żadnych przyjaciół czy krewnych, żadnych psów, papużek, czy rodzinnych albumów ze zdjęciami.

- Ona o tym wie.

- Nie jest to takie łatwe - powiedziałem. - Nie przestrasz jej, ale daj jej do zrozumienia, że ryzykuje życiem.

- Nie będzie się bała, Bernd.

- W porządku.

- Zobaczmy się o dziewiątej wieczorem. Czy trafisz do Domu Pionierów przy Wiihlheide, niedaleko Kópenick? Dwadzieścia pięć minut jazdy kolejką podziemną stąd. Pokój G-341. Będę miał z sobą te papiery.

- Trafię.

Wstał, oparł obie ręce na biodrach, odchylił głowę do tyłu i westchnął jak człowiek zbudzony z długiego snu.

- A więc w końcu decyzja zapadła - powiedział. - Czy zdajesz sobie sprawę, co to dla mnie znaczy, Bernd?

- Muszę zadzwonić do Londynu, do mojej żony - powiedziałem. - Denerwuje się, kiedy nie ma ode mnie wiadomości. Czy mogę skorzystać z bezpośredniego połączenia przez bezpieczny telefon?

- Dzwon z tego aparatu. Telefonuję na Zachód kilka razy w ciągu dnia. Nakręć dziewięć, a potem odpowiedni numer. Nie ma podsłuchu, ale rozmowa będzie odnotowana. Zachowaj ostrożność, Bernd.

- Mamy ustalony szyfr - odparłem. - To będzie rodzinna pogawędka. Wspomnę o ręcznie zapisanym kawałku papieru. Ona zrozumie, co się wydarzyło.

ROZDZIAŁ XXIV

Park Pionierów jest przekonującym dowodem na to, że władze NRD uważają sport i rekreację za sprawy najwyższej wagi. Obejmuje on dwie mile kwadratowe terenu, na którym mieszczą się hale sportowe, bieżnie, boiska piłkarskie i lekkoatletyczne, łaźnie, baseny kąpielowe a nawet tor wyścigów konnych. Dotarłem do głównego budynku i szedłem lśniąącym korytarzem, mijając luksusowe sale gimnastyczne i wielkie baseny kąpielowe, wyposażone we wszystko, od instruktorów nurkowania aż po szeregi wmontowanych w ścianę suszarek do włosów.

Znalazłem pokój G-341 na trzecim piętrze i zanim wszedłem, zajrzałem do wnętrza przez oszklone drzwi. Była to mała sala prób, ozdobiona piękną boazerią z różnych gatunków drewna. Czterej starsi mężczyźni grali w niej kwartet smyczkowy Schuberta. Dr Munte siedział przy fortepianie, ale nie trzymał rąk na klawiaturze. Z przechyloną na bok głową i przymkniętymi oczami słuchał muzyki. Nagle wstał i powiedział:

- Nie, panowie, nie tak. Nie ma w tym wdzięku. - Dostrzegł mnie przez oszklone drzwi, ale nie dał po sobie poznać że mnie zna. - Być może mamy już dość Schuberta na dzisiejszy wieczór. Spróbujmy zagrać Haydna - opus siedemdziesiąte siódme.

Zaprosił mnie gestem do sali i powitał ceremonialnym ukłonem oraz uściskiem dłoni. Czterej muzycy układali tymczasem nuty następnego utworu.

- To dopiero nasza trzecia próba - powiedział z pewnym zażenowaniem. Jeden z mężczyzn upuścił nuty na podłogę i musiał przyklęknąć, by pozbierać rozsypane arkusze.

- To trudny utwór - przyznałem. Munte uniósł delikatnym ruchem obie ręce i dał im sygnał, by zaczęli grać. Przez chwilę przyglądał im się z satysfakcją, a potem poprosił mnie do sąsiedniego pomieszczenia. Ten pokój był nieco większy, a w jego ściany wmontowane były metalowe szafki na instrumenty oraz drewniane szafki na ubrania.

- Spóźniłeś się na Pstrąga - powiedział. - Gram w tym kwartecie partię fortepianową.

- Czy masz ten dokument? - spytałem.

Munte pochylił głowę i słuchał przez chwilę płynącej z sąsiedniego pokoju muzyki.

- Pierwszy skrzypek nie daje już sobie rady - przyznał ze smutkiem. - Bierze naświetlania na stawy palców, ale chyba niewiele mu one pomagają.

- Ten dokument - powtórzyłem niecierpliwie. - Czy go przyniosłeś?

- Nie - odparł. - Nie mam go.

- Dlaczego?

Zanim zdążył odpowiedzieć, drzwi od jednej z przyległych sal prób otworzyły się gwałtownie. Wszedł przez nie jakiś zażywny mężczyzna wlokąc za sobą w jednym ręku wiolonczelę, w drugim zaś małego chłopca.

- Tu jest dr Munte - powiedział do syna. - Spytaj go, ile godzin dziennie powinienes ćwiczyć. - Odwrócił się do nas i dodał: - Trzeba mieć świętą cierpliwość, żeby zmusić go do grania. Interesuje się tylko amerykańskim jazzem. Proszę z nim porozmawiać, doktorze Munte. Proszę mu powiedzieć, że musi ćwiczyć. Że musi grać prawdziwą muzykę, niemiecką muzykę.

- Jeśli dziecku brak zainteresowania, nigdy nie pokocha muzyki, *Herr Sprengler*. Może powinien pan mu pozwolić grać to, co chce.

- Tak, wiem, to nowoczesna metoda pedagogiczna - powiedział mężczyzna, nie usiłując ukryć irytacji wywołanej brakiem poparcia ze strony doktora Munte. - Ale ja nie wierzę w nowoczesne metody. To nie Kalifornia... - Przyjrzał mi się uważnie i chyba zgadł, że nie jestem mieszkańcem Berlina Wschodniego. Nie wziął mnie jednak najwyraźniej za cudzoziemca, bo ciągnął dalej: - Jesteśmy Niemcami, prawda? To nie Kalifornia, jeszcze nie. I niech nas Bóg broni od różnych rzeczy, jakie dzieją się na Zachodzie. Kiedy mówię, że mój syn będzie ćwiczył na wiolonczeli, to musi robić, co mu każe. Słyszysz, Lothar? Będziesz ćwiczył codziennie przez godzinę, zanim wolno ci będzie grać w piłkę z kolegami.

- Dobrze, *Yaterchen* - powiedział czule chłopiec. Mocno trzymał za rękę ojca, którego słowa wyraźnie dodały mu otuchy, mężczyzna jednak wysunął po chwili dłoń z jego uścisku, by wyjąć z kieszeni klucze. Następnie umieścił wiolonczelę w szafce i zamknął drzwi. Potem zabezpieczył je kłódką.

- Nie jesteś na tyle sprawny, by grać w piłkę - powiedział głośno idąc w kierunku drzwi. Chłopiec ponownie chwycił go mocno za rękę.

- My, Niemcy, znajdujemy otuchę w tyranii - powiedział ze smutkiem Munte. - To nas zawsze gubiło.

- Co z tym dokumentem?

- Teczki z dokumentem, o który ci chodzi, zażądał sekretarz naczelnika Komitetu Ekonomicznego naszego banku.

- Dlaczego? Czyżby berliński oddział KGB podjął już jakąś akcję?

- To obszerna teczka z aktami, Bernd. Może mieć wiele, najzupełniej normalnych powodów, by do niej zajrzeć.

- Czy możesz ją jutro od niego wycofać?

- Według zasad procedury muszę o nią poprosić archiwum i czekać, aż ustalą, gdzie ona się znajduje. Ale prędzej czy później wyląduje na moim biurku.

- Nie proponujesz chyba, żebyśmy czekali, dopóki ociężała komunistyczna machina biurokratyczna nie wpadnie na nasz trop?

- Niczego nie sugeruję - odpowiedział ostro Munte. Najwyraźniej identyfikował się z ociężałą machiną biurokratyczną i uznał moją uwagę za obraźliwą.

- Znajdź jutro tę teczkę. Wyjmij z niej ten cholerny odręcznie napisany dokument i przynieś go do mnie.

- I jak się z tego wytłumaczę? Chcąc zajrzeć nawet do najzwyczajszej teczki z aktami, trzeba odnotować jej wypożyczenie i zwrot. Co powie naczelnik Komitetu Ekonomicznego, kiedy dowie się od swego sekretarza, że wziąłem te akta, czy nawet, że przyszedłem do jego biura, by je obejrzeć?

- Na miłość boską - powiedziałem z gniewem. Miałem ochotę na niego krzyknąć, ale nadal mówiłem cicho. - Co cię obchodzi to, czy pogwałcisz procedurę? Co cię obchodzą czyjeś podejrzenia? Chodzi o ostatnią rzecz, jaką musisz zrobić, zanim cię stąd wywiozę.

- Łatwo ci tak o tym mówić - oznajmił. - Ale co się stanie, jeśli po obejrzeniu tego dokumentu stwierdzisz, że nie o to ci chodziło? Podziękujesz mi, odleczysz do Londynu i powiesz im, że nie miałem nic do zaoferowania - a ja będę musiał wrócić do biura i ponieść konsekwencje.- W porządku - powiedziałem. - Ale nie mogę zagwarantować, że cię stąd wydostanę, dopóki Londyn nie wyrazi zgody na moją propozycję. Nie mogę przerzucić cię na własną rękę, sam o tym wiesz. Mógłbym naopowiadać ci kłamstw, ale mówię ci prawdę.

- I jak długo to potrwa? Wzruszyłem ramionami.

- Ociężała zachodnia machina biurokratyczna? - spytał drwiąco.

Był wyraźnie zły. Taką reakcję wywołuje w ludziach lęk; szczególnie w tak opanowanych, powściągliwych starych ludziach jak Munte. Dziwna była myśl, że człowiek, który nieustraszenie znosił przez lata wszystkie zagrożenia wynikające z działalności szpiegowskiej, tak bardzo się boi myśli o życiu na Zachodzie. Widziałem wiele takich przypadków; perspektywa życia w konkurencyjnym, hałaśliwym, ruchliwym, zmieniającym się społeczeństwie i stawienia czoła łączącym się z tym niebezpieczeństwom (takim jak przestępczość, ubóstwo czy utrata zdrowia), często budzi w ludziach przerażenie. Musiałem dodać mu otuchy. Wiedziałem, że jeśli nie zrobię tego szybko i skutecznie, gotów nagle dojść

do wniosku, że jednak nie chce przenieść się na Zachód. Takie rzeczy już się zdarzały i to nie raz, lecz wielokrotnie.

- Trzeba wszystko odpowiednio przygotować - powiedziałem. - Ty i twoja żona nie zostaniecie skierowani do ośrodka dla uchodźców. Będziecie ważnymi osobistościami, otoczonymi odpowiednią opieką. Pojedziecie do Gatow, na wojskowe lotnisko i polecicie samolotem RAF wprost do Londynu; bez żadnej kontroli celnej czy paszportowej. Ale do tego potrzebne są odpowiednie dokumenty, a to wymaga czasu. - Celowo nie wspomniałem o niebezpieczeństwach związanych z przekraczaniem Muru.

- Jutro zdobędę ten papier - obiecał. - Czy będzie tam Silas Gaunt?

- Jestem tego pewien.

- Byliśmy w dawnych latach bliskimi przyjaciółmi. Znałem też twojego ojca.

- Owszem, wiem o tym. - Muzyka płynąca z sąsiedniego pokoju ucichła na chwilę; potem znów doszły do nas delikatne dźwięki skrzypiec.

- Haydn mówi odwieczną prawdę - stwierdził Munte.

- Kiedy już raz znajdziesz się na miejscu, odczujesz ulgę - powiedziałem. - Spotkasz wielu starych przyjaciół i będziesz miał mnóstwo zajęć.

- A poza tym zobaczę się z synem.

Wiedziałem, że nie pozwolą mu tak łatwo pojechać do Brazylii. Że będzie musiał przejść liczne przesłuchania, a nawet po sześciu miesiącach, kiedy pozwala się niekiedy zbiegłym agentom jeździć za granicę, podróż do Brazylii, w której niemiecka społeczność zinfiltrowana jest przez agentów NRD, może budzić pewne opory.

- Być może, uda nam się sprowadzić twego syna do Londynu - powiedziałem.

- Powoli, powoli - odparł. - Ja sam nie jestem jeszcze w Londynie.

- Ale niedługo tam będziesz - powiedziałem zdawkowo zastanawiając się, którą drogą jechać z powrotem do centrum miasta.

- Doprawdy? - spytał Munte takim tonem, że natychmiast skupiłem całą uwagę na jego słowach. - Powiedziałeś Londynowi, że chcę zostać przerzucony. A ponieważ byłem obecny przy twojej telefonicznej rozmowie z żoną, mogę się domyślić, że wiedzą tam już, iż otrzymasz ode mnie dokument, umożliwiający wykrycie tamtejszego agenta.

- No i co z tego? - spytałem niepewnie. Z sąsiedniego pokoju nadal dochodziły dźwięki muzyki.

- Czy naprawdę jesteś aż takim głupcem? Ktoś w Londynie niepokoi się twoim tutejszym odkryciem. Nasi wrogowie postarają się dotrzeć do przekazanych przez ciebie informacji. A potem zlikwidują i ciebie, i mnie.

- Znadto się przejmujesz - powiedziałem. - To, co mówiłem żonie, nie znajdzie się w oficjalnym raporcie.

- Nie wierzę ci. Ktoś będzie musiał oficjalnie zdecydować o przerwaniu nas obojga.

- Mój bezpośredni przełożony. Tylko on będzie o wszystkim wiedział. Bądź pewien, że nie jest to człowiek, którego poszukujemy.

- Nie będę dziś w nocy spał w domu.

- Więc dokąd się wybierasz?

- Mamy altanę w ogrodach działkowych. Są tam tylko dwa pokoiki z kuchnią, ale mamy elektryczność, a ja nie będę leżał bezsennie przez całą noc czekając, czy policja zapuka do drzwi. Moja żona pojechała tam już dziś po południu. Będzie na mnie czekać z gorącą zupą.

- Gdzie to jest?

- W Buchholz, za kościołem. To duża kolonia ogródków działkowych. Setki ludzi jeżdżą tam na weekendy, nawet o tej porze roku. - Chcesz tam jechać dziś wieczorem? To daleka podróż. Może cię podwieźć? Mam samochód.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony. Autobusem niełatwo tam dojechać, a jesteśmy dość daleko od stacji kolejki podmiejskiej.

Domyśliłem się, że Munte celowo poruszył ten temat w nadziei, iż zostanie odwieziony na swą działkę.

- Kiedy będziesz gotowy? - spytałem.

- Muszę poczekać, aż skończą grać Haydna. Chcę powiedzieć mojemu przyjacielowi, że jego palce funkcjonują sprawniej. Oczywiście, nie jest to prawda, ale wiem, że tego ode mnie oczekuje. - Uśmiechnął się blado. - A i tak już nie zobaczę żadnego z moich przyjaciół, prawda?

* * *

Zawiozłem najpierw doktora Munte do jego domu w Erkner, otoczonym jeziorami i lasami miasteczku, stanowiącym najdalej wysunięty na wschód przyczółek Berlina. Czekałem w samochodzie około dziesięciu minut. Wrócił z małą walizką.

- Fotografie rodzinne, stare listy i ordery mojego ojca - wyjaśnił skruszonym tonem. - Zdałem sobie nagle sprawę, że nigdy już tu nie wrócę.

- Nie bierz ze sobą zbyt wiele rzeczy - ostrzegłem.

- Wyrzucę większość z nich - obiecał. - Powinienem to zrobić już wiele lat temu, ale nigdy jakoś nie miałem na to czasu.

Pojechałem z Erkner na północ autostradą, którą Fritz Todt - naczelny konstruktor Hitlera - opasał cały Berlin. Nawierzchnia była w kiepskim stanie i w wielu miejscach można było się posuwać tylko po jednym paśmie ruchu. Niedaleko Blumberg zatrzymał nas jakiś wojskowy na motocyklu. Funkcjonariusze żandarmerii wymachiwali latarkami sygnalizacyjnymi i biegali po szosie wznosząc rozkazujące okrzyki, których wszyscy żandarmi uczą się na specjalnych kursach. Zatrzymano cały ruch cywilny, by przepuścić konwój wojsk sowieckich. Ogromne ciężarówki, załadowane czołgami i rakietami, przez dziesięć minut przedzierały się przez fatalny odcinek drogi.

- Mieszkańcy Berlina Wschodniego żartują często z tych zaniedbanych autostrad - powiedział Munte. - Pytają, kiedy wreszcie wrócą ci *verdammten* hitlerowcy i doprowadzą swoje *Autobahnen* do porządku.

- To dobry dowcip - przyznałem.

Czekaliśmy dłuższą chwilę, podczas gdy rosyjskie ciężarówki brnęły przez kałuże i urywały sobie zawieszenie na dziurach w jezdni. Munte patrzył na nie niewidzącymi oczyma.

- Jechałem tędy podczas walk o Berlin - powiedział nagle. - Było to w końcu kwietnia 1945. Otrzymaliśmy meldunki, że czołgi Pierwszego Frontu Białoruskiego przedarły się przez północną część Charlottenburga i stanęły na Bismarckstrasse. Były też nie potwierdzone plotki o pojawieniu się jednostek rosyjskiej piechoty w Moabicie. W samochodzie był oprócz mnie mój młodszy brat i jego dwaj koledzy szkolni. Próbowaliśmy dojechać do domu moich rodziców w Wannsee, zanim pojawią się tam Rosjanie'. Jakim byłem idiotą! Nie wiedzieliśmy, że Rosjanie nadjechali z południowego zachodu i są już w Wannsee. W tym czasie minęli Grinewald i toczyli walki na ulicach Friednau.

- Czy dotarliście tam? - spytałem po chwili ciszy.

- Było to na tej samej drodze, na tym samym odcinku autostrady. Zostaliśmy zatrzymani, tak samo jak teraz, tyle że przez zmotoryzowaną jednostkę SS. Wyssali mi z baku ostatnie krople benzyny i zepchnęli samochód z drogi. Robili tak z wszystkimi samochodami i ciężarówkami, jakie się tam pojawiły. Widziałem, jak skonfiskowali dwie cysterny z paliwem dla Luftwaffe grożąc obsłudze rozstrzelaniem.

- I doszedłeś do domu na piechotę?

- Kiedy SS-mani kazali nam wysiąść z samochodu, sprawdzili moje dokumenty. Miałem przepustkę z *Reichsbank*, którą zaakceptowali bez żadnych komentarzy. Ale kazali tym trzem dzieciakom przyłączyć się do zbieraniny różnych żołnierzy, których kierowali na pole bitwy. Próbowiałem protestować, ale kazali mi się zamknąć grożąc, że i mnie wyślą na

front. - Odchrząknął, jakby zaschło mu w gardle. - Nigdy już nie widziałem żadnego z tych chłopców.

- To było przeszło czterdzieści lat temu - przypomniałem mu. - Chyba nie masz już wyrzutów sumienia?

- Powinienem być zostać z nim. Miał zaledwie piętnaście lat.

- Zrobiłeś to, co uważałeś za słuszne.

- Zrobiłem to, co mi kazano - odparł Munte. - Zrobiłem to, ponieważ się bałem. Nigdy nie przyznałem się do tego nikomu, ale powiem ci szczerze, że byłem przerażony.

Konwój rosyjski przejechał i samochody stojące na naszym pasie ruchu zaczęły posuwać się naprzód. Munte rozsiadł się na fotelu opierając głowę o szybę. Nie odezwał się do końca podróży; uprzedził mnie tylko, gdy zbliżaliśmy się do zjazdu z autostrady w pobliżu Panków.

Było już późno, gdy dojechaliśmy do Buchholz - wioski, która stała się przedmieściem. Tory tramwajowe kończyły się przed kościołem, na ulicy, która była dość szeroka, by pełnić funkcję wiejskiego rynku. Zapadły już ciemności i jedyne światło dobiegało z opustoszałej winiarni, w której jakiś kelner zamiatł podłogę.

Munte poprosił, żebym skręcił przed kościołem. Jechaliśmy wyboistą wiejską drogą obok cmentarza. Było ciemno, ale w świetle reflektorów widziałem drzewa i krzewy rosnące po obu stronach wąskiej dróżki. Skrawki terenu ogrodzone były świeżo pomalowanymi płotami, a furtki z kutego żelaza i strzyżone żywopłoty odzwierciedlały wątpliwy często gust właścicieli.

Na tle horyzontu, lekko zaróżowionego od neonowych reklam Sektora Zachodniego, widziałem kontury domków i baraków, ustawionych na każdej działce. Budowle te, pieczołowicie zaprojektowane i wzniesione przez dumnych właścicieli, były jedynymi domami prywatnymi dostępnymi obywatelom NRD. Obrót zaś takimi posiadłościami - jedyną tolerowaną przez władze namiastką kapitalistycznego wolnego rynku.

Munte wyciągnął rękę, by pokazać mi, gdzie mam się zatrzymać. Z wdzięcznością wysłuchałem jego pouczeń, jak wydostać się z labiryntu uliczek, było tu bowiem zbyt wąsko, by zawrócić samochód lub choćby uniknąć kolizji z nadjeżdżającym z przeciwka innym pojazdem.

- Twoje meldunki trzymane są z dala od wszystkich innych materiałów - powiedziałem. - Nawet jeśli w Londynie działa wtyczka KGB, nie musisz się obawiać zdemaskowania.

Brahms Cztery z trudem wysiadł z samochodu powłócząc zeszywniałymi nogami. Odniosłem wrażenie, że postarzał się podczas krótkiej podróży z centrum miasta.

Pochylił się, by na mnie spojrzeć. Nachyliłem się nad przednim siedzeniem pasażera i odkręciłem szybę, by go usłyszeć.

- Nie musisz być tak przewrotny, Bernd - powiedział. - Zamierzam pójść rano do swojego biura. Zdobędę dla ciebie ten dokument. Wcale się nie boję.

Nie odpowiedziałem mu. Zauważyłem, że znów zaciera ręce, tak samo jak poprzednio w swym gabinecie.

- Nigdy tędy nie jeżdżę - powiedział takim tonem jakby uważał, że należy mi się od niego wytłumaczenie. - Niezależnie od tego, ile muszę nadłożyć drogi i czasu, nigdy tędy nie jeżdżę. Dziś wieczorem byłem na tym odcinku autostrady po raz pierwszy od dnia, w którym się to zdarzyło.

- Przykro mi, że tak cię to przygnębiło.

- Powinienem był to zrobić już dawno temu. Przynajmniej pozbędę się w ten sposób tych okropnych dawnych koszmarów.

- To dobrze - powiedziałem, choć byłem pewien, że zamienia tylko dawne koszmary na nowe.

* * *

Kiedy dojechałem do mieszkania Rolfa Mausera w Prenzlauer Berg, byłem już bardzo zmęczony. Ale zastosowałem się do wymogów ostrożności i zaparkowałem samochód Wernera za rogiem, a potem siedziałem w nim przez chwilę obserwując okolicę.

Ulice były puste. Ciszę przerywały jedynie kolejki pędzące po wiadukcie przy Schönhauserallee oraz przejeżdżające od czasu do czasu autobusy. W dzielnicy, w której mieszkał Rolf, nie było kłopotów z parkowaniem samochodów.

Bramę budynku rozjaśniała słaba żarówka umocowana zbyt wysoko, by można ją było wyczyścić. W jej świetle widać było potłuczone kafle podłogowe i rząd poobijanych metalowych skrzynek na listy. Na lewo rozpoczynała się obszerna klatka schodowa. Po prawej stronie, na końcu długiego wąskiego korytarza, znajdowały się okute drzwi, wychodzące na podwórze. W nocy zamykano je na klucz, by chronić zaparkowane na podwórku rowery, i by nikt nie zakłócał spokoju wysypując śmieci do ustawionych tam kubłów.

Wiedziałem, że ktoś stoi w bramie, zanim dostrzegłem czyjś ruch. Był to ruch człowieka, który od dawna na coś czeka, a teraz wie, że nie będzie musiał czekać dłużej.

- Nie ruszaj się z miejsca - powiedział ktoś szeptem. Cofnąłem się w mrok i sięgnąłem po nóż - jedyną broń, jaką odważyłem się nosić przy sobie w mieście, w którym tak często rewidowano przypadkowych przechodniów.

- Bernie? - Był to Werner, jeden z niewielu Niemców, którzy nie mówili do mnie „Bernd”.

- O co chodzi?

- Czy ktoś widział, jak wchodziłeś?

- Nie. Dlaczego?

- Rolf ma gości.

- Jakich gości?

W tym momencie usłyszeliśmy silniki dwóch nadjeżdżających samochodów. Kiedy dwa samochody zajeżdżają równocześnie pod blok mieszkalny w Prenzlauer Berg, można się domyślić, że nie chodzi o towarzyską wizytę. Pospieszyłem za Wernerem w głąb wąskiego korytarza, ale nie udało mu się otworzyć drzwi na podwórze. W bramie stanęli dwaj mundurowi policjanci oraz dwaj mężczyźni w skórzanych płaszczach. Przy świetle latarki usiłowali odczytać nazwiska na skrzynkach pocztowych.

- Mauser - powiedział któryś z mundurowych kierując światło na jedną ze skrzynek.

- Jesteście wspaniałym detektywem - z ironicznym podziwem mruknął jeden z tajniaków. Kiedy się odwrócił, zauważyłem, że ma około trzydziestu pięciu lat i małą capią bródkę, taką jaką nosił Lenin.

- Mówiliście numer dziewiętnaście - bronił się młody policjant. - Zawiozłem was pod podany adres. - Był bardzo młody i mówił z saksońskim akcentem, który większości Niemców wydaje się komiczny.

- Szef kazał mi tu być już kwadrans temu - mruknął Lenin z twardym akcentem, typowym dla berlińskich robotników. - Prędzej dotarłbym na piechotę.

- I trafilibyście pod zły adres - odpowiedział policjant. Mężczyzna w skórzanym płaszczu odwrócił się do niego z gniewem.

- Może ktoś wam powiedział, że służba w policji jest łatwiejsza niż służba w wojsku. Nic mnie nie obchodzi, że wasz ojciec jest znanym działaczem partyjnym. Tu jest Berlin. To moje miasto. Więc zamknijcie się i róbcie, co wam każe. - Zanim młody rekrut zdążył mu odpowiedzieć, ruszył po schodach na górę. Pozostali trzej szli za nim słuchając dalszego ciągu jego perory. - Poczekajcie, aż przyjedzie ten pułkownik z KGB. On dopiero da wam szkołę, chłopcy, zapamiętajcie moje słowa.

Werner zdał sobie sprawę, że policjanci nie oświetlą korytarza i nie znajdą nas przy drzwiach wiodących na podwórze, więc przestał mocować się z klamką.

- Mało brakowało - powiedział.

- Co się dzieje?

- Na górze, w mieszkaniu Rolfa, siedzą dwaj faceci ze *Stasi*. Przyjechali tu przed trzema godzinami. Wiesz, co to oznacza.

- Czekają na kogoś.

- Nie, nie czekają na kogoś - powiedział ponuro Werner. - Czekają na ciebie. Czy zostawiłeś coś w jego mieszkaniu?

- Oczywiście, że nie.

- To zabierajmy się stąd.

- Czy myślisz, że postawili kogoś przed bramą?

- Pójdę pierwszy. Moje papiery są w porządku.

- Poczekaj chwilę - powiedziałem dostrzegając jakiś cień, a potem wchodzącego do bramy policjanta. Stał przez chwilę w progu, jakby usłyszał nasze głosy, a potem wrócił na ulicę.

Poczekaliśmy jeszcze kilka minut. Potem czterej funkcjonariusze służby bezpieczeństwa sprowadzili Rolfa na dół i wsadzili go do samochodu. Rolf robił wiele hałasu. Jego tubalny głos rozbrzmiewał echem w całej klatce schodowej, zanim jeszcze on sam znalazł się w polu naszego widzenia.

- Puśćcie mnie - wołał. - O co chodzi? Odpowiedzcie na moje pytanie! Jak śmiecie zakładać mi kajdanki? Można było poczekać z tym do rana. Puśćcie mnie!

Jego gniewne okrzyki słychać było niewątpliwie we wszystkich mieszkaniach. Ale nikt nie pojawił się w drzwiach. Nikt nie sprawdził, co się dzieje.

Drzwi frontowe zatrzasnęły się z hukiem i usłyszeliśmy głos Rolfa rozbrzmiewający na ulicy. Potem zagłuszyły go silniki samochodów.

Dopiero po odjeździe policji wraz z więźniem drzwi od mieszkań zaczęły się uchylać. Usłyszeliśmy zadawane szeptem pytania i jeszcze cichsze odpowiedzi. Po kilku minutach wszystko się uspokoiło.

- To jedyny sposób - powiedziałem. - Aresztant, który milczy, może równie dobrze przyznać się do winy. Rolf krzyczał, żeby wzbudzić w nich wątpliwości. Gdyby zaczęli się zastanawiać, mielibyśmy szansę jakoś mu pomóc.

- On nie krzyczał po to, by ich przekonać, że jest niewinny - odparł Werner. - Krzyczał, żeby ostrzec ciebie.

- Wiem - przyznałem. - Zresztą i tak nie bylibyśmy w stanie nic dla niego zrobić. - Zastanawiałem się, czy Rolf Mauser jest pierwszą ofiarą Fiony. I czy ja będę następną.

ROZDZIAŁ XXV

Werner Volkmann nie miał oficjalnie mieszkania w Berlinie Wschodnim. Ale jego nadrzeczny magazyn w Friedrichshain, oprócz biura, które mieściło się na parterze, obejmował cztery pokoje z kuchnią na pierwszym piętrze. Spędzając tam noce naruszał rządowe przepisy - żaden z obywateli NRD nie miał prawa nawet przenocować cudzoziemca bez zgody władz - ale ponieważ Werner przysparzał państwu dewiz, przymykano oko na jego małe „mieszkanko”.

Gdy dotarliśmy do magazynu, otworzył trzema kluczami masywną bramę.

- Składuję tu od czasu do czasu lodówki, kolorowe telewizory, prawdziwe amerykańskie dżinsy, wiertarki firmy *Black and Decker*, słowem wszystkie najbardziej poszukiwane cuda dekadentckiego Zachodu - powiedział tłumacząc mi konieczność zainstalowania skomplikowanych zamków.

- Wiertarki firmy *Black and Deckerl*

- Ludzie przerabiają i powiększają swe mieszkania. Albo, jeszcze chętniej, budują domki weekendowe, które wolno im sprzedawać. - Wszedł po stromych schodach i otworzył kluczem następne drzwi.

- Tutaj też musiałeś sporo przerobić - powiedziałem rozglądając się po niedawno zbudowanym przedpokoju, w którym wisały dwie akwarele; akt i portret kalekiego clowna. Pochyliłem się, by obejrzeć je dokładniej. Oczywiście, były to dzieła niemieckich ekspresjonistów. Zawarty w nich tragizm przemawia do duszy każdego berlińczyka.

- Nolde i Kirchner - powiedział Werner zdejmując płaszcz i umieszczając go na wymyślnym mahoniowym wieszaku. - Wiem, że za nimi nie przepadasz.

- A ja wiem, że są warte kupę pieniędzy, Werner. - Rozejrzałem się po mieszkaniu i dostrzegłem kilka pięknych antycznych mebli. Werner zawsze był mistrzem w dziedzinie zaopatrzenia. W szkole potrafił zdobywać amerykańskie batony czekoladowe, kawałki rozbitych czołgów, dystynkcje wojskowe, kółka do wrotek i wszystkie inne upragnione wówczas przez chłopców skarby.

- Za marki zachodnie można po tej stronie Muru kupić wszystko. A na strychach i w piwnicach nadal ukryte są prawdziwe cuda.

Powiesiłem płaszcz i kapelusz na tym samym wieszaku i poszedłem w ślad za Wernerem do następnego pokoju. Przez okno wpadało światło. Werner przeszedł przez pokój i wyjrzał na zewnątrz. Płynęła tu rzeka Szprewa. Księżycowa poświata padała na ponury

obszar nadrzecznych terenów. Na tle nieba ciemniały metalowe rusztowania wiaduktu kolejowego, który został urwany w połowie drogi do zachodniej części i obecnie był pokryty rdzą. Nieco bliżej stał pozbawiony dachu budynek fabryczny, nie używany i opuszczony od chwili zakończenia walk, to jest od roku 1945. Na prawo, nad ciemną powierzchnią rzeki, jaśniały światła na moście Oberbaum, na którym znajdowało się jedno z przejść granicznych. Granica między sektorem wschodnim i zachodnim przebiega w tym miejscu przez środek Szprewy.

Werner gwałtownym ruchem zasunął kotary i zapalił stojącą na stole lampę.

- Musimy wypić drinka - powiedział. Nie doczekawszy się mojego protestu przyniósł butelkę niemieckiego winiaku i dwa kieliszki. Potem wyjął z lodówki, ustawionej obok wielkiego stereofonicznego telewizora, lód i dzbanek z wodą.

- To nieomylny znak, że żyjesz w separacji - powiedziałem. - Mężczyzna, który rozstał się z żoną, zawsze ma lód pod ręką, w salonie. Mężczyzna żonaty musi przynosić go z kuchni.

- A po czym poznasz kawalera? - spytał.

- Po tym, że ma lód w sypialni.

- Zawsze masz na wszystko odpowiedź - stwierdził Werner. - Irytowało mnie to, kiedy obaj byliśmy dziećmi.

- Wiem - odparłem. - Jestem mistrzem w irytowaniu ludzi.

- No, w każdym razie udało ci się zirytować Zenę - powiedział.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, że wiesz, gdzie przebywa?

- Po to, żebyś myślał, że ma romans z Frankiem Harringtonem?

- A czy nie miała romansu z Frankiem Harringtonem? - spytałem ostrożnie. Popijałem mój winiak bez wody, którą podsunął mi Werner.

- Za dużo pijesz. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

- Owszem, bo powtarza mi to stale moja żona.- Przepraszam - powiedział Werner. - Nie zamierzałem cię krytykować. Ale teraz nie możesz sobie pozwolić na przytępienie trzeźwości myślenia.

- Jeśli ten winiak działa w taki sposób, to nalej mi jeszcze jeden.

- Nie - powiedział napełniając mój kieliszek. - Nie, ten dom w Liibars jest skrzynką kontaktową. Zena wykonywała poufne zadanie na zlecenie Franka Harringtona. Nigdy mnie z nim nie zdradziła. Wyznałaby mi więcej, ale wiedziała, jak bardzo zawsze go nie znośłem.

- Tak ci powiedziała? Poufne zadanie?

- Wróciła do mnie - ciągnął Werner. - Wyjaśniła mi wszystko i zaczęliśmy od nowa. Czasem musi dojść do prawdziwego konfliktu, zanim dwoje ludzi potrafi się zrozumieć.

- No więc, twoje zdrowie, Werner.

- To ty doprowadziłeś do pojednania między nami - powiedział. - Przestraszyłeś ją.

- Możesz na mnie zawsze liczyć - oznajmiłem. Uśmiechnął się w taki sposób, by mi pokazać, że nie jest rozbawiony.

- Zrobiłem, co chciałeś - powiedział. - Pojechałem dziś do Londynu i spotkałem się z Dickym. Musiałem się spieszyć. Ledwie zdążyłem na powrotny samolot.

- Wszystko poszło dobrze? Nie miałeś kłopotów z kontrolą graniczną?

- Chodzi ci o to, czy ktoś mnie śledził? Słuchaj, tych Niemców z NRD gównem obchodzą moje podróże do Londynu. W Londynie mieści się teraz centrum alokacji kapitałów. Ciągłe jeżdżę tam i z powrotem. A jak, twoim zdaniem, mógłbym im inaczej załatwiać te transakcje? Żaden z zachodniemieckich banków nie pali się do współpracy, o ile w interesie nie macza palców jakiś poważny bank londyński lub nowojorski.

- To dobrze.

- NRD potrzebuje zachodnich marek, Bernie. Odczuwają rozpaczliwy brak wymiennalnych walut. Są wciśnięci między Rosję i Zachód. Potrzebują ropy z Rosji, ale potrzebują też zachodniej technologii. Są w coraz trudniejszej sytuacji. Nie wiem, co się tu stanie za dziesięć lat. Nawiasem mówiąc, zwróciłem Lisi wszystkie pożyczone pieniądze - razem z odsetkami.

- Nie przejmuj się tak bardzo, Werner.

- Ci ludzie są Niemcami, Bernie. Muszę się przejmować tym, co ich czeka.

- Oczywiście - przyznałem.

- Przestań tak na mnie patrzeć.

- A jak na ciebie patrzę?

- Tak jakbyś mówił: - „Dlaczego wy, Żydzi, macie do wszystkiego tak emocjonalny stosunek?”.

- Oszczędź mi swoich obsesji - powiedziałem. - I dlaczego tak żałujesz tego winiaku? Przecież to nie francuski koniak.

Tym razem Werner przesunął butelkę w moim kierunku.

- Widziałem się z Dickym Cruyerem, tak jak chciałeś, a on wyraził zgodę na to, żeby wsadzić cię jutro do ciężarówki. Było to już po twojej rozmowie telefonicznej z Fioną, więc Dicky załatwił wszystko od ręki. Gdy tylko znajdziesz się w Republice Federalnej,

przerzucimy twojego cennego Brahmsa Cztery. - Werner uśmiechnął się. Wiedział, że Dicky przysłał mnie tu po to, bym nakłonił Brahmsa Cztery do pozostania na miejscu.

- To brzmi rozsądnie - przyznałem.

- Będę o wiele spokojniejszy, kiedy już wrócisz na Zachód. Zbyt wielu ludzi może tu rozpoznać twoją twarz.

- I co z tego?

- Nie bądź dziecinny - - powiedział Werner. Wziął butelkę, zakorkował ją i odstawił do antycznego sekretarzyka z chińskiej laki, na którym namalowany był jakiś górski pejzaż.

- Czy ten sekretarzyk też kupiłeś za parę dzinsów? - spytałem, zirytowany sposobem, w jaki zamknął drzwiczki.

- Jeśli rozpozna cię jakiś sprytny chłystek ze *Stasi*, wezmą cię na przesłuchanie. Zbyt wiele wiesz, by chodzić po Berlinie bez opieki. Nie wiem, dlaczego Londyn się na to zgodził.

- Nie możesz wiedzieć wszystkiego, Werner - odparłem. - D.G. pozwala sobie od czasu do czasu na podejmowanie pewnych działań, których nie uzgadnia z tobą.

- Nie myślisz chyba, że te dzisiejsze odwiedziny *Stasi* u Mausera to była rutynowa wizyta? Wiesz, że kogoś szukają, Bernie. Szukają ciebie - to zupełnie oczywiste.

- Pozwól, że ja się będę o to martwił, Werner - poprosiłem. - Ja mam w tym więcej wprawy.

Werner wstał z krzesła i powiedział:

- Zejdźmy na dół. Chcę ci pokazać tę ciężarówkę, w której cię ukryjemy.

Podniosłem się i wysączyłem ze swej szklanki ostatnie krople.

- Robisz się agresywny pod wpływem alkoholu - stwierdził Werner.

- Nie - odparłem. - Robię się agresywny, kiedy ktoś zabiera mi butelkę. Magazyn, który wynajmował Werner od Ministerstwa Handlu Zagranicznego, był ogromny. Stały w nim dwie trzydziestotonowe ciężarówki, a mimo to było dość miejsca dla skrzyń i warsztatów oraz biura, w którym mieściły się dwa biurka, trzy szafy na akta i stara maszyna do pisania marki *Adler*.

- Zanitujemy cię w środku - powiedział Werner wdrapując się na tył ciężarówki. Jego głos rozbrzmiewał echem w zamkniętej przestrzeni. - Początkowo spawaliśmy te blachy, kiedy ludzie byli już w środku, ale kiedyś poparzyliśmy komuś nogę, więc teraz nitujemy je i malujemy szybko schnącą farbą. Mam nadzieję, że nie cierpisz na klaustrofobię. - Pokazał mi miejsce, w którym można było odsunąć dwa arkusze blachy i odsłonić mały podłużny schowek. - Jest tu mnóstwo dziur, ale nie są widoczne, bo zasłaniają je przegrody. W te dwa

uchwyty włożymy małe drewniane siedzenie, do którego przymocujemy miękką poduszkę, jako że czeka cię długa droga.

- Jak długa?

- Ci cholerni celnicy zachowują się tak, jakby nie pracowali na pełnym etacie - odparł Werner. - Przez dziesięć minut wypełniają formularze, a potem muszą usiąść i odpoczywać przez co najmniej godzinę.

- Więc jak długo to wszystko potrwa?

- Niekiedy ciężarówki stoją na parkingu przez dwa dni, zanim ekipa kontrolna raczy do nich zajrzeć i kiwnąć głową. Kierowcy dostają szału w poczekalniach. Może o to im chodzi.

- A więc najwyżej trzy dni?

- To jest gra losowa, Bernie. Uspokój się i weź ze sobą coś do czytania. Zamontuję ci światło. Zgoda? Być może po prostu machną ręką i każą nam przejechać granicę.

- To nie ja będę jechał w tym metalowym pudełku.

- Wiedziałem o tym - powiedział Werner głosem, w którym więcej było irytacji niż zadowolenia.

- Co wiedziałeś?

- Od początku myślałem sobie: ten drań na pewno zrobi jakiś numer. I nie omyliłem się. Więc kto będzie w tej ciężarówce?

- Pierwszy pojedzie Brahms Cztery. Chce wziąć ze sobą żonę. W tej skrytce zmieszczą się dwie osoby, prawda? Lepiej, żeby oni pojechali jako pierwsi.

- To nie jest twój prawdziwy motyw. Chodzi ci o to, żeby mnie wzruszyć i pokazać mi, jakim jesteś wspaniałym facetem.

- Bo jestem wspaniałym facetem - odparłem.

- Jesteś perfidnym sukinsynem.

- Czy Dicky o wszystkim wie?

- Zrobiłem tak, jak chciałeś. Nie wie o tym nikt oprócz Dicky'ego... i osób, którym on zechce powiedzieć.

- A moje dzieci? - Musiałem w końcu zadać pytanie, którego dotąd unikałem.

- Niepotrzebnie się martwisz, Bernie. To nie może być Fiona.

- Obstawa przez dwadzieścia cztery godziny na dobę? Trzej ludzie i dwa samochody na każdej zmianie?

- Zrobiłem wszystko tak, jak mi poleciłeś. Twoje dzieci są pilnowane w dzień i w nocy. Byłem zaskoczony, że Dicky Cruyer to zaakceptował.

- Dziękuję, Werner - powiedziałem.

- Czy Fiona wie o istnieniu tego magazynu? - spytał. A więc i on był już w gruncie rzeczy przekonany.

- Ode mnie nigdy o nim nie słyszała.

- Ona nie pozwoliłaby cię aresztować, Bernie. Jesteś ojcem jej dzieci. - Mówił o niej jakby z poczuciem winy. Dlaczego zdradzany partner zawsze jest traktowany jak trędowaty? Wydawało mi się to niesprawiedliwe. Ale traktowałem Wenera tak samo, kiedy to on miał kłopoty ze swoją nielojalną żoną.

- Więc wstawicie tu dwa siedzenia? - spytałem pukając w metalową obudowę schowka.

- Skąd mamy ich zabrać?

- Będziemy musieli dobrze się nad tym zastanowić, Werner - odparłem. - Nie chcę, żeby przyjeżdżali tutaj. Nie ma sensu, żeby jakiś gówniarz, prowadzący ich przesłuchanie, wpisał ten adres do formularza, który zostanie rozesłany do oficerów wywiadu wszystkich państw NATO. - Werner bez słowa wzruszył ramionami. - Ale taka wielka ciężarówka nie powinna być widziana na bocznych drogach. Na uliczkach Panków będzie cholernie rzucać się w oczy.

- Miiggelheimer Damm - zaproponował Werner. Był to długi, niemal prosty odcinek szosy, która biegła przez las i dochodziła do Grosser Miiggelsee - dużego podmiejskiego jeziora. - Między Altstadt a Muggelheim nie ma żadnych domów; tylko leśna droga. I można tam stąd łatwo dojechać.

- Którędy chcesz jechać? Obok głównej kwatery wojsk sowieckich w Karlshorst? Czy też może obok pomnika bohaterów Armii Czerwonej w Treptow? - W obu miejscach pełno było zawsze czujnych policjantów drogowych i cywilnych agentów służby bezpieczeństwa.

- Co za różnica? Na tym etapie podróży będziemy jeszcze czysci.- Ciężarówka zaparkowana na tym długim odcinku leśnej drogi? - spytałem z powątpiewaniem.

- Będzie wyglądało na to, że kierowca poszedł za drzewo - odparł Werner.

- W którym miejscu na Miiggelheimer Damm?

- Jedź szosą, dopóki mnie nie zobaczysz. Sam wybiorę odpowiednie miejsce. Znajdziesz mnie. W dzień powszedni nie będzie wielu żółtych trzydziestotonowych ciężarówek, parkujących na tym odcinku szosy.

- O dwunastej trzydzieści - powiedziałem. - Miejmy nadzieję, że policjanci drogowi będą w tym czasie jedli obiad.

- Czy myślisz, że jego żona może cierpieć na klaustrofobię? Zdarza się to wielu kobietom. Pamiętam, jak przed kilku laty pewna uciekinierka zaczęła stukać w podłogę samochodu. Nie mogła wytrzymać dłuższego zamknięcia w bagażniku. Wszyscy zostali aresztowani. Czy myślisz, że Brahms Cztery będzie w stanie zrobić jej zastrzyk, jeśli dam mu strzykawkę?

- O ile będzie to niezbędne.

- Wiedziałem, że nie pojedziesz pierwszy. Wiedziałem, że najpierw będziesz chciał wyekspediować Brahmsa Cztery.

- Dlaczego tak myślałeś, Werner?

- Bo wiem, że nie zaakceptujesz sytuacji, w której Londyn będzie mógł zmienić zdanie, a ty nie będziesz w stanie nic na to poradzić.

- Jesteś najlepszym uczniem w klasie, Werner - powiedziałem.

- Twój styl to polityka *fait accompli*. Zawsze tak było. - Zeskoczył z ciężarówki.

- Jeszcze jedna sprawa - powiedziałem. - Na wszelki wypadek chcę, żeby obserwowano Brahmsa Cztery od momentu, kiedy wsiądzie jutro w Buchholz do tramwaju, by pojechać do pracy.

- To żaden problem.

- Jedno odstępstwo od instrukcji, jakich mu udzieliłem, a wycofamy się z całej sprawy.

- Lubię cię, Bernie. Jesteś jedynym znanym mi człowiekiem, który jest bardziej podejrzliwy niż ja. To podtrzymuje mnie na duchu.

- Jedno odstępstwo - powtórzyłem.

- Nie powiesz mu, że mamy się spotkać na Miiggelheimer Damm, dopóki go tam nie zawieziesz?

- Nie odpowiem mu, nawet jeśli powie mi „dzień dobry”.

- Nawet jeśli to Fiona - powiedział Werner - to nie może natychmiast wykorzystywać bieżących informacji, bo ujawni, że to ona jest agentem KGB.

- Moskwa może uznać, że warto ją poświęcić. Brahms Cztery to dobre źródło - może jedyny poważny przeciek, którego nie udało im się zatkać.

- I dlatego chcesz, żeby on jechał przed tobą. Rosjanie przepuszczą pierwszą ciężarówkę, nawet jeśli będą wiedzieli, że ktoś się w niej ukrywa. Przepuszczą ją zakładając, że siedzisz w niej ty. Zatrzymają drugą licząc na to, że znajdą w niej Brahmsa Cztery. To niebezpieczna gra, Bernie. Jeśli masz słuszność, zostaniesz złapany.

- Ale nie jest wykluczone, że się mylę - odparłem.

ROZDZIAŁ XXVI

Proszę się nie niepokoić, *Frau von Munte* - powiedziałem. - Pani mąż niebawem wróci. - Wyrząłem przez okno. Małe ogródki działkowe rozpościerały się we wszystkich kierunkach, a zbieranina domków i baraczków wyglądała w świetle dziennym jeszcze dziwniej. Wszędzie widoczne były sterty piachu, worki cementu oraz stosy cegieł, pustaków i drewna, mające służyć dalszej rozbudowie.

Był już maj. Budynki ukryte były wśród drzew owocowych, pnących kwiatów, krzewów i zarośli. Kwitły bzy, których zapach unosił się w całej okolicy, drzewa czereśniowe, róże i rododendrony. Ale nawet bujna roślinność nie mogła zakryć stojącego na sąsiedniej parceli jednopiętrowego domku, który właściciel pomalował na jaskrawy czerwony kolor i pracowicie narysował na nim żółte linie, by upodobnić go do średniowiecznego zamku.

Mały domek państwa Munte był skromniejszy. Pomalowano go na zielono, by pasował do otoczenia, a drewniane okiennice ozdobiono kwiatami. Obok niego znajdowała się mała oranżeria, w której stłoczone na słońcu stały doniczki z ziołami oraz skrzynki z rozsadą sałaty i goździków. Ogródek również pasował do pary starszych ludzi; wszystko w nim było schludne i uporządkowane jak na ilustracji z podręcznika ogrodnictwa.

- Dlaczego kazał mu pan powiedzieć, że źle się czuje? - spytała pani Munte. Wyglądała poważnie i uroczyście w czarnej sukni z białym koronkowym kołnierzem. Jej włosy zaczesane były z tyłu w ciasny węzeł, a wystające kości policzkowe i nieco skośne oczy pozwalały się domyślić, że wywodzi się z rodziny bałtyckich Niemców. Takie niebieskie oczy i rudawe włosy często miewają mieszkańcy Estonii. - Dlaczego pan to zrobił?

Miała nieprzeniknioną twarz, na której - jeśli nie liczyć kilku zmarszczek - nie było żadnych oznak pozwalających domyślić się jej wieku.

- Żeby nikt nie był zaskoczony, kiedy nie pokaże się w biurze przez kilka dni.

- Żałuję, że nie zostaliśmy w mieszkaniu w Erkner. Tu nie mamy telewizora. Okropnie mi się nudzi.

- Pani sąsiad się opala. Dlaczego nie wyjdzie pani na pół godziny do ogrodu? - Właściciel sąsiedniego *Schloss* rozłożył na swym maleńkim trawniku koc. Teraz smarował sobie klatkę piersiową kremem i z niepokojem obserwował niebo, na którym pojawiły się ciemne chmury.

- Nie. Będzie do mnie gadał - powiedziała pani Munte. - To emerytowany kierowca autobusu. Jest samotny. Kiedy raz otworzy usta, nie można go powstrzymać. Hoduje tulipany. Ja nienawidzę tulipanów, a pan? Wyglądają, jakby były z plastiku. - Stała przy oknie patrząc

na swe rododendrony i róże. - Walter pracował tak ciężko przy tych kwiatach. Będzie mu ich brakowało, kiedy zamieszkamy gdzie indziej.

- Będzie tam miał inne róże i rododendrony - zapewniłem ją.

- Jeszcze dziś rano wyszedł, by podlać róże. Powiedziałam mu, że to nie ma sensu, ale on się uparł.

- O tej porze roku potrzebują dużo wody - powiedziałem. - Moje dostały jakichś czarnych plam.

- Czy pojedzie pan z nami?

- Nie, pojedę za wami.

- Pewnie nie po raz pierwszy odbędzie pan taką podróż, prawda?

- Nic pani nie grozi, pani Munte. Jest to niewygodne, ale nie niebezpieczne.

- Pan oczywiście musi tak mówić - stwierdziła przekornie. - Musi pan dodawać nam odwagi.

- Kiedy wróci dr von Munte, będziemy musieli ruszać.

- Po co pan kazał mu wracać taki kawał drogi, skoro mamy zaraz jechać? Czy nie mogliśmy spotkać się w mieście?

- W taki sposób zostało to zaplanowane - odparłem. Spojrzała na mnie i potrząsnęła głową.

- Chodzi o to, żeby pan mógł spojrzeć na te papiery, które panu przywiezie. Żeby miał pan szansę wszystko odwołać. Walter powtórzył mi pańskie słowa.

- Dlaczego nie czyta pani swojej książki? - spytałem. Była to antologia zatytułowana „Opowiadania pisarzy polskich”. Dwukrotnie lub trzykrotnie zaczynała ją czytać, ale za każdym razem odkładała na stół. Nie mogła skupić uwagi. - Te rozmyślenia nic pani nie pomogą.

- Skąd mogę wiedzieć, że mój mąż nie jest już w drodze?

- Na Zachód?

- Tak. Skąd mogę wiedzieć, że on nie jest już w drodze?

- Nie pojechałby nigdzie bez pani, *Frau* von Munte.

- Być może jest pan tym zawiedziony - powiedziała. Wyczułem w jej głosie nutę złośliwej satysfakcji. - Chciał pan, żeby Walter jechał sam, prawda?

- Nie - odparłem.

- Ależ tak, o to panu chodziło. Przygotował pan wszystko tylko dla jednej osoby. Chciał pan, żebym ja tu została.

- Czy tak pani powiedział dr von Munte?

- Zawsze mi się zwierza. Tak było przez cały okres naszego małżeństwa.

- Z czego jeszcze pani się zwierzył? - spytałem uśmiechając się łagodnie, by jej nie spłoszyć.

- Wiem, po co wrócił do biura, jeśli to ma pan na myśli.

- Więc proszę mi to powiedzieć.

- Po jakiś dokument, napisany odręcznie przez komunistycznego agenta. Przez kogoś, kto zajmuje wysokie stanowisko w londyńskim wywiadzie.

Nie zaprzeczyłem jej.

- Tak - ciągnęła dalej. - A pan będzie w stanie rozpoznać pismo i stwierdzić, kto jest tym agentem.

- Mam nadzieję - mruknąłem.

- Ale co pan wtedy zrobi? Czy ujawni pan, kto to jest, czy wykorzysta tę informację dla własnych celów?

- Dlaczego pani o to pyta?

- Dla mnie sprawa jest oczywista - odparła. - Gdyby chodziło panu tylko o ujawnienie prawdy, kazałby pan wysłać ten dokument do Londynu. Ale pan chce mu się przyjrzeć. Chce pan być jedynym człowiekiem znającym prawdę.

- Czy mogę poprosić jeszcze o trochę kawy?

- Mój mąż jest zbyt łagodny - powiedziała. - On nigdy nie wykorzystałby swej władzy dla własnej korzyści. Robi to, co robi, ponieważ w to właśnie wierzy. - Kiwnąłem głową. Pani von Munte podeszła do małego zlewozmywaka, który można było zamknąć w szafce, naląła wody do elektrycznego czajnika i włączyła go do kontaktu. - Kupiliśmy tę altanę podczas wojny. Walter twierdził, że bomby są mniej niebezpieczne, kiedy padają na miękką ziemię.

Uprawialiśmy ziemniaki, pory i cebulę. Oczywiście wtedy nie było tu jeszcze elektryczności i musieliśmy daleko chodzić po pitną wodę. - Stała nad czajnikiem z rękami opartymi na biodrach i najwyraźniej nie mogła opanować potrzeby mówienia. Potem zaczęła zacierać drobne, czerwone dłonie jakby było jej zimno. Do tej pory ukrywała swe zdenerwowanie, ale teraz zrobiło jej się chłodno. Jest to objaw często towarzyszący wielkiemu napięciu. Gdy woda się zagotowała, naląła ją do dzbanka. - Czy jest pan żonaty? - spytała. Przykryła dzbanek filcowym pokrowcem i wzięła go w obie ręce, by poczuć emanujące z niego ciepło. - Czy pańska żona siedzi w domu i nudzi się całymi dniami?

- Moja żona chodzi do pracy - wyjaśniłem. - Pracuje ze mną.

- Czy poznaliście się w pracy? Ja poznałam Waltera w wielkim domu jego rodziców niedaleko Bernau. Pochodzi ze znanej, starej rodziny, czy wiedział pan o tym?

- Spotkałem kiedyś ojca pani męża - odparłem. - Wydał mi się niezwykle starym człowiekiem. Byłem wtedy małym chłopcem, ale on rozmawiał ze mną jak równy z równym. A w kilka dni później przysłał mi oprawny w skórę egzemplarz *Die schone Mullerin*. Pochodził z jego biblioteki; nazwisko Munte wytrawione było złotymi literami na okładce oraz na ekslibrisie. Mój ojciec mówił, że tylko kilka książek z jego biblioteki przetrwało wojnę. Nadal mam ten egzemplarz.

- A więc mieszkał pan jako dziecko w Berlinie. To wyjaśnia pański bezbłędny akcent. - Teraz, kiedy wiedziała, że znałem starego pana von Munte, wydawała się spokojniejsza. - Na pogrzeb mego teścia przyszły setki okolicznych mieszkańców. Odbywał się na wsi, tam gdzie pochowani są pozostali członkowie rodziny. Mój ojciec był wiejskim lekarzem. Opiekował się starym von Munte aż do końca. A co robił pański ojciec?

- Zaczynał jako urzędnik. W latach trzydziestych był przez dłuższy czas bezrobotny. Potem wstąpił do wojska. Kiedy zaczęła się wojna, mianowano go oficerem. Po wojnie pozostał w armii.

- Ja jestem oczywiście drugą żoną Waltera. Ida zginęła podczas jednego z pierwszych nalotów. - Nalała nam obojgu kawy. - Czy ma pan dzieci?

- Dwoje; chłopca i dziewczynkę.

- Ten syn, z którym Walter chce się zobaczyć, jest oczywiście dzieckiem Idy. - Przesunęła w moim kierunku dużą filiżankę z kawą jakby odpychając ją od siebie.

- W Sao Paolo?- Ma tylko jedno dziecko. Dlatego właśnie tak go kocha. Mam nadzieję, że nie przeżyje rozczarowania. I modłę się o to.

- Jakiego rodzaju rozczarowania?

- Minęło tak wiele czasu - odparła, jakby powody, dla których ojciec i syn muszą w tych warunkach przeżyć rozczarowanie, wydawały jej się oczywiste.

- Syn będzie z pewnością wdzięczny - powiedziałem. - Walter tyle mu dał.

- Oddał swojemu synowi wszystko - oznajmiła. - Posyłał mu co do pensa wszystkie pieniądze, jakie od was dostawał. Poświęcił mu swe życie, które w gruncie rzeczy należało się mnie. - Wypiła łyk kawy. Jej słowa były gorzkie, ale twarz zupełnie spokojna.

- A teraz jego syn będzie w stanie podziękować wam obojgu.

- Będziemy dla niego obcymi ludźmi. Nie będzie chciał brać nas sobie na głowę. A Walter nie będzie już mógł zarabiać.

- Wszystko jakoś się ułoży - powiedziałem enigmatycznie.

- Nasza obecność będzie mu przypominać o długu wdzięczności, a to zawsze jest irytujące. Potem zacznie odczuwać wyrzuty sumienia z powodu swej irytacji i staniemy się

dla niego symbolem winy. - Wypiła jeszcze trochę kawy. Widać było, że dużo na ten temat myślała. - Jestem zawsze pesymistką. Czy pańska żona też jest pesymistką?

- Musi być optymistką, skoro za mnie wyszła - odparłem.

- Nie opowiedział mi pan, jak się poznaliście - przypomniała. Bąknąłem coś o spotkaniu na przyjęciu i zbliżyłem się do okna, by wyjrzeć na dwór. Fiona przyszła na to przyjęcie z dwiema koleżankami. Dicky Cruyer znał jej nazwisko, a ja natychmiast podszedłem do niej z butelką *Sancerre* i dwoma kieliszkami. Tańczyliśmy przy muzyce ze starego, rozklekotanego adapteru i obgadywaliśmy naszego gospodarza, młodego pracownika MSZ, który świętował nominację na placówkę w Singapurze.

Fiona pracowała wtedy jako sekretarka w jakimś biurze podróży na Oxford Street. Była to posada sezonowa i w następnym tygodniu mieli ją zwolnić. Spytała mnie, czy nie wiem o interesującej pracy dla kogoś, kto ma dyplom uniwersytetu, a poza tym umie pisać na maszynie i stenografować w trzech językach. Początkowo myślałem, że żartuje. Jej strój i biżuteria nie pasowały do kogoś, kto rozpaczliwie szuka zatrudnienia.

- Powiedziała mi, że jest bezrobotna - oznajmiłem.

W tym okresie Bret Rensselaer zakładał tajną agencję, która miała się mieścić w jakimś biurowcu na terenie Holborn i przetwarzać wybrane dane z berlińskiego biura. Potrzebowaliśmy personelu, a Bret postanowił już, że nie skorzystamy z usług normalnego biura zatrudnienia, zajmującego się rekrutacją urzędników państwowych. Procedura była zbyt długa i skomplikowana, a poza tym biuro to przysyłało jedynie kandydatów odrzuconych przez MSZ.

- Co miała na sobie? - spytała pani Munte.

- Nic specjalnego - odparłem. Był to obcisły sweter z angorskiej wełny. Zapamiętałem go dobrze, bo dopiero po dwóch wizytach w pralni chemicznej i wielu szczotkowaniach udało mi się usunąć resztki włosów z mojego jedyne go porządnego ubrania. Spytałem ją, gdzie nauczyła się stenografii, a ona powiedziała żartem coś, z czego wynikało, że jest absolwentką Oxfordu. Udałem, że nie rozumiem jej subtelne go wyjaśnienia. W tym momencie Dicky Cruyer próbował zabawić się w odbijanego, ale Fiona spytała go, czy nie widzi, że tańczy z najprzystojniejszym mężczyzną na sali.

- I spotkaliście się ponownie? - spytała pani Munte. Umówiłem się z nią na następny wieczór. Chciałem jej powiedzieć, że mam dla niej posadę. Cieszyłem się na myśl, że będzie pracować w tym samym biurze, co ja. Bret Rensselaer nie był zachwycony perspektywą zatrudnienia kogoś, kto nie był odpowiednio sprawdzony, ale kiedy odkryliśmy, że jest spokrewniona z Silasem Gauntem - który był w Departamencie czymś w rodzaju

legendarnego bohatera - niechętnie wyraził zgodę. Początkowo zażądał, by pracowała tylko w moim biurze i nie miała dostępu do naprawde ważnych materiałów ani kontaktów z naszym personelem berlińskim. Ale po kilku latach dzięki ciężkiej pracy i pilności przeskoczyła kilka szczebli kariery i otrzymała samodzielne stanowisko w Wydziale Operacyjnym.

- Załatwiłem jej posadę - odparłem.

- Może chodziło jej w gruncie rzeczy o tę posadę, a nie o pana - powiedziała pani Munte przechylając głowę w bok, by mi pokazać, że nie mówi tego serio.

- Niewykluczone - przyznałem.

Obserwowałem dwóch mężczyzn na końcu wąskiej drogi prowadzącej do kościoła w Buchholz. Obaj byli w cywilnych ubraniach, ale nie ulegało wątpliwości, że są funkcjonariuszami *Stasi*. Władze nie pozwalały im zapuszczać wąsów ani bród i kazały ubierać się w taki sposób, że każdy mieszkaniec NRD potrafił ich rozpoznać na pierwszy rzut oka. Tylko najbardziej naiwni nie zdawali sobie sprawy, że istnieją inni policjanci w cywilu, znacznie lepiej zamaskowani, aby nikt nie potrafił ich zidentyfikować.

- *Frau von Munte* - powiedziałem rzeczowym tonem - uliczką nadchodzą dwaj policjanci. Sprawdzają kolejno wszystkie domki. - Obserwowałem ich nadal. Po chwili dostrzegłem jeszcze dwóch mężczyzn, z których jeden miał na sobie policyjny mundur oraz czarne volvo, które ostrożnie posuwało się za nimi. Z tyłu jechał mikrobus z reflektorem na dachu. - Czterej policjanci - poprawiłem się. - Być może, jest ich więcej.

Podeszła nieco bliżej do okna, ale rozsądnie zatrzymała się w głębi pokoju.

- Jacy policjanci? - spytała.

- Tacy, którzy jeżdżą volwami - odparłem. Ze względu na brak walut wymienialnych importowanych samochodów używali tylko wysocy oficerowie policji oraz pracownicy służb specjalnych.

- Co zrobimy? - Nie okazała strachu. Myślę, że będąc przez dwadzieścia lat żoną szpiega wielokrotnie przeżywała w myślach ten makabryczny scenariusz wydarzeń.

- Niech pani weźmie z oranżerii dwie skrzynki sadzonek - powiedziałem. - Ja chcę się tu przed wyjściem rozejrzeć.

- Dokąd pójdziemy?

- Do mojego samochodu.

- Będziemy musieli przejść obok nich.

- Zobaczą nas bez względu na to, w którą stronę pójdziemy. Lepiej będzie, jeśli spróbujemy ich zaskoczyć.

Włożyła absurdalny mały kapelusik i umocowała go na głowie groźnie wyglądającymi szpilkami do włosów. Rozejrzała się po pokoju. Z pewnością chciała zabrać ze sobą wiele rzeczy, ale wzięła tylko futro, ukryte w skrzynce pod łóżkiem, i włożyła je na siebie. Poszła do oranżerii i przyniosła dwie skrzynki rozsady; wręczyła mi jedną z nich, a drugą zachowała dla siebie. Wychodząc uśmiechnąłem się do leżącego na słońcu sąsiada. Przymknął oczy i udał, że mnie nie widzi. Zamknąłem starannie furtkę i pospieszyłem za panią Munte w kierunku nadchodzących policjantów.

Działali systematycznie; każdą stronę uliczki sprawdzał dwuosobowy zespół. Jeden z nich wchodził do ogrodu i pukał do drzwi, drugi obserwował tył domu. Kierowca samochodu z pewnością otrzymał polecenie strzelania do każdego, kto próbowałby uciekać. Na tylnym fotelu volva siedział jeszcze jeden mężczyzna. Był to *Lenin*, dowódca patrolu, który aresztował Rolfa Mausera. Wygodnie rozparty na siedzeniu skreślał nazwiska i adresy z trzymanej w ręku listy.

- Kim jesteście i dokąd idziecie? - spytał jeden z policjantów, kiedy zbliżyliśmy się do nich. Był to ten sam młody rekrut z Saksonii. Szedł skrajem uliczki przytrzymując gałęzie krzewów, które mogłyby podrapać karoserię volva.

- Nie twój interes, młody człowieku - powiedziała pani Munte. Stojąc na ścieżce ze skrzynką w ręku, ubrana w futro i absurdalny kapelusik, wyglądała jak osoba nie pasująca do otoczenia.

- Czy mieszkaacie tutaj? - Zrobił jeden krok i zagroził nam drogę. Zauważyłem, że pasek zabezpieczający jego kaburę był rozpięty. Skrzyżował ręce na piersiach w geście, który policjanci uważają za przyjazny.

- Mieszkać tutaj? - powtórzyła pani Munte. - Czy wyglądamy na bezdomnych nędzarzy?

Nawet policjant się uśmiechnął. Pani Munte z pewnością nie wyglądała na jednego z brudnych, długowłosych włóczęgów zamieszkujących Berlin Zachodni i często pokazywanych w enerdowskiej telewizji.

- Czy znacie tu kogoś, kto nosi nazwisko Munte?

- Nie znam nikogo z tych ludzi - powiedziała z pogardą. - Przyjechałam w to okropne miejsce, żeby kupić rozsadę, której nie mogę dostać gdzie indziej. Mój bratanek pomaga mi nosić te goździki. Ma wolny dzień i przywiózł mnie tu samochodem. Dziesięć marek za kilka sadzonek. To skandal. Powinniście zająć się spekulantami, którzy znakomicie tu prosperują.

- Robimy to - odparł policjant. Nadal się uśmiechał, ale nie zszedł nam z drogi. Pani Munte nachyliła się ku niemu.

- Kogo szukacie? - spytała szeptem. - Tych facetów, którzy zamieniają się żonami? A może znowu wprowadziły się tu kurwy?

Policjant roześmiał się i zszedł jej z drogi.

- Jest pani zbyt młoda, żeby wiedzieć o takich rzeczach, *Mutti* - powiedział. Odwrócił się i patrzył, jak z trudem dźwigamy skrzynki z rozsądą. - Przepuście tych pracowitych ogrodników! - zawołał do swych idących z tyłu kolegów. Oni również zeszli nam z drogi. Mężczyzna siedzący w samochodzie patrzył w swe papiery i nie odezwał się. Zapewne był przekonany, że sprawdzili nasze dokumenty.

ROZDZIAŁ XXVII

Moja skrzynka z sadzonkami goździków była na tyle ciężka, że zanim dotarliśmy do kościoła w Buchholz, zacząłem się obficie pocić. Pani Munte nie skarżyła się. Być może była silniejsza niż się wydawało. A może wybrała dla siebie lżejszą skrzynkę.

W Buchholz kończy się linia tramwajowa numer 49. Na wybrukowanym kocimi łbami rynku miasteczka ustawione były rowery mieszkańców, którzy dojeżdżali do pracy do Berlina. Stłoczone na małej przestrzeni tworzyły zawiły labirynt. W centralnym punkcie tego labiryntu stał jakiś mężczyzna. W rękę trzymał gazetę, ale nie czytał jej zbyt uważnie; czasem rozglądał się wokół siebie, czasem zaś zerkał w głąb ulicy jakby sprawdzając, czy nie nadjeżdża tramwaj. Był to Werner Volkmann; poznałem go bez trudu po potężnej klatce piersiowej, krótkich nogach i kapeluszu, sterczącym na czubku jego dużej głowy.

Nie pokazał po sobie, że mnie widzi, ale wiedziałem, że wybrał to miejsce, aby nie tracić mego samochodu z pola widzenia. Otworzyłem drzwi wartburga, umieściłem sadzonki w bagażniku i posadziłem panią Munte na tylnym siedzeniu. Dopiero wtedy - kiedy pani Munte siedziała już w samochodzie i nie mogła nas słyszeć - Werner przeszedł na drugą stronę ulicy i zbliżył się, żeby ze mną porozmawiać.

- Myślałem, że jesteś teraz na drugim końcu miasta - powiedziałem cicho powstrzymując impuls, który skłaniał mnie do podniesienia na niego głosu.

- Chyba postąpiłem słusznie przyjeżdżając tutaj - odparł Werner. Przed budynkiem poczty stał samochód policyjny, ale jego kierowca nie zwracał na nas uwagi. Rozmawiał z kolegą w białej kurtce policjanta drogowego. - Czterej tajniacy odwiedzili dziś rano biuro twojego człowieka. Zadali tylko uprzejmie kilka pytań, ale śmiertelnie go wystraszyli.

- Ten sam patrol, który aresztował Rolfa Mausera, przeszukuje teraz wszystkie altany wypytyując, czy ktoś go zna.

- Wiem. Widziałem, jak przyjechali.

- Dziękuję ci bardzo, Werner.

- Nie było sensu, żebym tam pędził i został aresztowany razem z tobą - powiedział takim tonem, jakby bronił się przed jakimś zarzutem. - Mogę ci skuteczniej pomóc, kiedy jestem na wolności.

- Więc gdzie on teraz jest?

- Brahms Cztery? Wyszedł z biura wkrótce po przybyciu do pracy. Wyszedł na ulicę z małą walizką w rękę i zatroskanym wyrazem twarzy. Nie wiedziałem, co robić - nie mogłem się z tobą porozumieć, bo nie ma tu telefonu. Więc kazałem jednemu z moich ludzi go zaczepić. Sam nie pokazałem mu się na oczy. Nie widział mnie. Nie chciałem ujawniać przed nim tego magazynu, więc kazałem go zawieźć do Miiggelsee. Ciężarówka pojedzie tam oddzielnie. Potem przyjechałem tutaj, by cię spytać, czy mamy realizować nasz plan.

- Podejmijmy w każdym razie próbę, której opis będzie dobrze wyglądał w raporcie - powiedziałem. - Zawieźmy tę damę do Miiggelsee i umieścimy ją w ciężarówce.

- Nieźle ukryłeś tego twojego faceta - przyznał Werner. - Działa w tym mieście co najmniej od dwudziestu lat, a ja aż do dzisiaj nigdy go nie widziałem.

- Głęboki kamuflaż - powiedziałem naśladując napszony głos Franka Harringtona. Werner uśmiechnął się. Lubił wszystkie dowcipy wymierzone przeciw Frankowi.

Usiadł na miejscu kierowcy, zapalił silnik i skierował samochód na południe, w stronę Berlinerstrasse i centrum miasta.

- Szybciej dojedziemy do Miiggelsee autostradą, Werner - powiedziałem.

- Ale musielibyśmy przejeżdżać przez granicę między sektorami - odparł. - Nie chcę jej przekraczać.

- Przyjechałem tamtędy. Tak będzie szybciej.

- Dziś jest *Himmelfahrt* - Wniebowstąpienie. Wielu ludzi wzięło wolny dzień, by popływać i poleżeć na słońcu. Nie jest to oficjalne święto, ale mnóstwo osób opuszcza dziś pracę. Na drogach wylotowych z miasta będzie wielu policjantów. Będą zapisywać nazwiska, aresztować pijanych i ogólnie rzecz biorąc zniechęcać ludzi do urządzania sobie wakacji, gdy tylko im przyjdzie na to ochota.

- Przekonałeś mnie, Werner.- Czy mówił pan, że jedziemy do Miiggelsee? - spytała pani Munte nachylając się do mnie z tylnego siedzenia. - W Miiggelsee będzie tłok. O tej porze roku jeździ tam mnóstwo ludzi.

- Bernie i ja pływaliliśmy tam jako mali chłopcy - powiedział Werner. - Grosser Miiggelsee zawsze najwcześniej nagrzewa się w lecie i najwcześniej zamarza na tyle, by można było jeździć po nim na łyżwach. Woda jest tam płytka. Ale ma pani rację, *gnddige Frau*, będzie tam dziś tłoczno. Zachowałem się jak głupi zapominając o święcie.

- Czy będzie tam mój mąż?

- Pani mąż już tam jest - odparłem. - Dołączy pani do niego i oboje będziecie za granicą jeszcze przed zmrokiem.

Niebawem ujrzelśmy pierwszych świętujących. Na platformie służącej do rozwożenia piwa siedziało co najmniej dwunastu mężczyzn. Takie ciągnięte przez konie pojazdy na grubych oponach nadal są powszechnie używane w Europie Wschodniej, ten jednak ozdobiony był gałązkami i kwiatami z kolorowego papieru. Piękne jabłkowite konie miały starannie zaplecione ogony. Mężczyźni na platformie mieli zabawne kapelusze - niektórzy czarne cylindry - i koszule z krótkimi rękawami. Liczni spośród nich prezentowali ulubiony w Europie Wschodniej symbol zamożności - niebieskie dżinsy. I oczywiście zachodnie koszulki z napisami: „I Love Daytona Beach, Florida”, „Der Tag geht... Johnie Walker kommt”. Konie szły bardzo wolno, a mężczyźni śpiewali głośno, popijali piwo, wołali coś do przechodniów i zaczepiali mijane dziewczyny. Kiedy ich wyprzedzaliśmy, pozdrowili nas gromkim okrzykiem.

Spotkaliśmy więcej takich wycieczek w miarę zbliżania się do Kópenick. Na poboczu drogi stały pod drzewami grupki mężczyzn, którzy w milczeniu popijali piwo i palili papierosy z prawdziwie niemieckim zapachem. Inni śmiali się i śpiewali, spali pokotem na trawie lub wymiotowali, wstrząsani gwałtownymi skurczami żołądka.

Werner zatrzymał samochód dopiero na Miiggelheimer Damm. W polu widzenia nie było żadnych innych pojazdów. Szosę zaciemniały w tym miejscu wysokie sosny. Porastały one gęsto teren między drogą a leżącymi po obu jej stronach jeziorkami. Nigdzie nie było widać wielkiej ciężarówki, ale Werner rozpoznał jej kierowcę, stojącego na poboczu szosy. Czekał przy jednym z wąskich duktów prowadzących nad brzeg Miiggelsee.

- Co się dzieje? - spytał go niespokojnie Werner.

- Wszystko w porządku - odparł kierowca. Był tęgim, mocno zbudowanym mężczyzną w roboczym kombinezonie i czerwono-białej wełnianej czapeczce, takiej jakie noszą angielscy kibice piłkarscy. - Podjechałem tu ciężarówką tak, jak się umawialiśmy, ale ci szaleńcy - wskazał na stojące przy drodze grupki mężczyzn - zaczęli się na nią wdrapywać. Musiałem ją przestawić. - Miał najmocniejszy berliński akcent, jaki w życiu słyszałem. Przypominał jednego z tych komików, którzy opowiadają stare berlińskie dowcipy w kabaretach Charlottenburga.

- Gdzie teraz stoisz? - spytał Werner.

- Wjechałem w boczną drogę - odparł kierowca. - Ziemia jest rozmiękła po tych cholernych deszczach, które padały w zeszłym tygodniu. Moja ciężarówka sporo waży. Jeśli ugrzęźnie, będziemy mieli poważny kłopot.

- Oto druga osoba - oznajmił Werner wskazując ruchem głowy panią Munte.

- Nie wygląda na zbyt ciężką - powiedział kierowca. - Ile pani waży, *Frdulein!* Około pięćdziesięciu kilo? - Uśmiechnął się do niej szeroko. Pani Munte, która niewątpliwie ważyła dwukrotnie więcej, nie odpowiedziała na jego pytanie. - Niech pani nie będzie taka nieśmiała.

- A gdzie ten mężczyzna?

- Ach, *Herr Professor* - przypomniał sobie kierowca. Należał do tych Niemców, którzy tytułują każdego starszego, dobrze ubranego rodaka *Professor*. - Posłałem go do restauracji nad jeziorem, żeby wypił filiżankę kawy. Powiedziałem mu, że ktoś po niego przyjdzie, kiedy będziemy gotowi.

W tym momencie zauważyłem nadjeżdżające od strony Miiggelheim czarne volvo, a za nim policyjny mikrobus. Musieli szybko jechać autostradą migając światłami i włączając syrenę, by zmusić innych kierowców do zjechania z pasa szybkiego ruchu.

- Idź po profesora - powiedział do mnie Werner. - Ja odwożę starszą panią do ciężarówki i wrócę tu po was.

Idąc pospiesznie leśną ścieżką w stronę jeziora, usłyszałem dziwny hałas. Przypominał regularny huk fal, uderzających o długą kamienistą plażę. W miarę jak zbliżałem się do restauracji, nasilał się on coraz bardziej, ale scena, którą ujrzałem po wyjściu z lasu, i tak mnie zaskoczyła.

Restauracja była nieczynna w dni powszednie, ale wokół ulokowanego nad jeziorem baru z piwem krążyły setki mężczyzn. Byli to przeważnie młodzi robotnicy w jaskrawych koszulach i płóciennych spodniach, ale niektórzy mieli na sobie pizamy, arabskie turbany lub czarne cylindry - tradycyjne nakrycie głowy noszone w dniu *Himmel-fahrt*. Nie było tam żadnej kobiety - sami mężczyźni. Stali w długich kolejkach do lady z napisem „Getranke” i w równie długiej kolejce do lady z napisem „Kaffee”, przy której podawano tylko piwo w półlitrowych plastikowych kubkach. Na stołach piętrzyły się stosy takich właśnie pustych naczyń; inne były rozrzucone na kwietnikach lub pod ścianami niskiego budynku.

Dźwięk, który zwrócił moją uwagę, wydobywał się z gardeł mężczyzn, którzy śledzili lot gumowej piłki kopnięciami podrzucanej w górę. Wzbijała się ona wysoko ponad ich głowy, zataczała łuk w powietrzu i opadała w kierunku ziemi, gdzie zręczne kopnięcie wyrzucało ją na powrót w górę.

Dopiero po kilku minutach dostrzegłem Brahmę Cztery. Jakimś cudem znalazł dla siebie krzesło i siedział przy stoliku nad samym jeziorem, gdzie tłum był nieco mniejszy. Był chyba jedyną osobą pijącą kawę. Usiadłem obok niego na niskim murku. W polu widzenia nie było innych krzeseł; przewidujący personel usunął je z niebezpiecznej strefy.

- Pora jechać - powiedziałem. - Twoja żona już tu jest. Wszystko w porządku.

- Mam dla ciebie ten dokument - oznajmił.

- Dziękuję. Wiedziałem, że go zdobędziesz.

- Połowa urzędników w moim dziale również wzięła wolny dzień. Bez trudu wszedłem do gabinetu szefa, znalazłem tę teczkę i wyjąłem z niej co trzeba.

- Podobno odwiedziła cię policja?

- Policja odwiedziła moje biuro - poprawił mnie. - Wyszedłem z niego, zanim mnie znaleźli.

- Przyjechali też do Buchholz - powiedziałem.

- Zastanawiałem się właśnie, jak was ostrzec, kiedy podszedł do mnie na ulicy jakiś człowiek i przywiózł mnie tutaj. - Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej brązową kopertę. Położył ją na stoliku. Nie wyciągnąłem po nią ręki. - Czy nie zamierzasz jej otworzyć i zajrzeć do środka? - spytał.

- Nie - odparłem. Nie opodal nas zgromadziła się sześciuosobowa orkiestra. Muzycy wydobywali z instrumentów dźwięki, jakie wydają zawsze, nim zaczną grać.

- Chciałeś zobaczyć ten charakter pisma. Chciałeś dowiedzieć się, kto w londyńskiej Centrali jest zdrajcą.

- Wiem, kto to jest - odparłem.

- Chcesz powiedzieć, że się domyślasz?

- Wiem. Wiedziałem od samego początku.

- Rzykowałem swoją wolność idąc tam dziś rano - powiedział.

- Przykro mi - odparłem. Wziąłem kopertę ze stolika i przez chwilę obracałem ją w rękę zastanawiając się, co zrobić. W końcu oddałem mu ją. - Weź ją do Londynu - powiedziałem. - Wręcz ją Richardowi Cruyerowi. To taki szczupły facet z kręconymi włosami i poobgryzanymi paznokciami. Dopilnuj, żeby nie wpadła w ręce kogoś innego. Teraz musimy iść. Zdaje się, że policjanci przyjechali tutaj za nami. Ci sami, którzy byli w Buchholz.

- Czy moja żona jest bezpieczna? - W panice zerwał się na nogi. W tym samym momencie orkiestra zaczęła grać jakąś pijacką pieśń.

- Tak, mówiłem ci to już. Ale musimy się pospieszyć. - Ujrzałem nadchodzących policjantów. Przodem szedł brodaty Lenin; miał długi skórzany płaszcz, skórzaną czapkę i okulary w metalowych oprawkach. Miał zdecydowany wyraz twarzy, ale jego oczy ukryte były za kolorowo pobłyskującymi szklami. Za nim szedł młody saksoński poborowy, blady i spięty jak dziecko, które zgubiło się w tłumie. Udział nowicjusza w tego rodzaju akcji był rzeczą dość niezwykłą. Jego ojciec musiał być istotnie ważnym działaczem partii. Czterej policjanci zatrzymali się gwałtownie u wylotu ścieżki, zaskoczeni, podobnie jak ja przedtem, widokiem tak wielkiego tłumu.

Orkiestra grała bardzo głośno. Tak głośno, że nie można było rozmawiać. Złapałem Brahmsa Cztery za rękę i wciągnąłem go pospiesznie w tłum mężczyzn, którzy trzymali się za ramiona i próbowali wspólnie tańczyć. Jeden z nich - muskularny młody człowiek z kręconymi wąsami - miał nałożoną na ubranie pasiastą pizamę. Chwycił Brahmsa Cztery za rękę i powiedział:

- Komm, Vater, Tanzen.

- Nie jestem pańskim ojcem - odpowiedział Munte. Wspiąłem się na palce, żeby zobaczyć, gdzie są policjanci. Nadal stali obok piwiarni jakby obojętni przez konieczność znalezienia kogokolwiek w takim tłumie. Lenin klepnął jednego z nich w plecy i kazał mu przejść wzdłuż kolejki oczekujących na piwo. Potem wysłał innego z powrotem w kierunku ścieżki - nie ulegało wątpliwości, że chce sprowadzić z mikrobusu posiłki.

Munte po raz drugi wyrwał rękę z uścisku mężczyzny w pizamie.

- *Ich bin vaterlos* - powiedział mężczyzna i udał, że zaczyna płakać. Jego kompani wybuchnęli głośnym śmiechem nie przestając kołysać się w rytmie muzyki. Zacząłem przepychać Brahmsa Cztery przez tłum tańczących. Obejrzawszy się w tył zobaczyłem, że Lenin wchodzi na skrzynię z kwiatami, by rozejrzeć się ponad głowami tłumu. Koło niego nikt już nie tańczył i zabawa z piłką również dobiegła końca.

- Idź tędy, między drzewami - powiedziałem. - Spotkasz-

tęgiego faceta, mniej więcej w moim wieku. Będzie miał na sobie płaszcz z karakułowym kołnierzem. W każdym razie idź drogą, dopóki nie zobaczysz wielkiej, żółtej ciężarówki z napisem „Under-berg”. Zatrzymaj ją i wsiądź do niej. Twoja żona już tam będzie.

- A ty?

- Ja spróbuję powstrzymać policjantów.

- To niebezpieczne, Bernd. Idź już.

- Dziękuję, Bernd - powiedział spokojnym głosem. Obaj wiedzieliśmy, że po tym, co się stało w Weimarze, musiałem to dla niego zrobić.

- Idź, nie biegnij - krzyknąłem za nim. Wiedziałem, że w tym ciemnym ubraniu zniknie wkrótce w leśnym mroku..

Przepchnąłem się nad brzeg jeziora. Świętujący mężczyźni spacerowali po niewielkim molo i wsiadali do małej żaglówki. Ktoś próbował odcumować ją od brzegu, ale był pijany i szło mu to z trudem. Jeden z pracowników restauracji krzychał coś do pozostałych, ale nie zwracali na niego uwagi.

Usłyszałem głośny zbiorowy okrzyk dochodzący od strony piwiarni i spojrzałem w tamtym kierunku. Po niskim murku chodzili trzej młodzi pijacy. Każdy z nich trzymał w ręku kufel piwa i miał na głowie czarny cylinder. Poza tym byli zupełnie nadzy. Co kilka kroków zatrzymywali się, składali niski ukłon, by podziękować za owację, i wypijali kilka łyków piwa.

Lenin, otoczony przez trzech swoich podwładnych, usiłował przepchnąć się przez tłum świętujących, których jego widok prowokował do nowych wybuchów radości. Zebrani myśleli najwyraźniej, że policjanci chcą spisywać osoby, które bez usprawiedliwienia naruszyły dyscyplinę pracy lub aresztować trzech nagusów, bo zachowywali się wobec nich agresywnie. Rozległy się wrogie okrzyki. Czterej funkcjonariusze byli popychani i szarpani. W pewnym momencie zastąpił im drogę potężny brodaty mężczyzna w koszulce i dżinsach, najwyraźniej usiłując ich zatrzymać. Ale byli przygotowani na tego rodzaju ewentualność. Jak wszyscy policjanci świata dobrze wiedzieli, że można zapanować nad tłumem działając szybko, zdecydowanie i w miarę brutalnie. Jeden z mundurowych powalił brodacza na ziemię ciosem pałki, Lenin nadał trzy krótkie sygnały za pomocą swego gwizdka - sugerując, że dysponuje licznymi posiłkami - po czym wszyscy czterej wkroczyli w tłum, który rozstąpił się robiąc im miejsce.

Munte zagłębił się już na co najmniej sto metrów w las i był niewidoczny, ale Lenin musiał go dostrzec, bo wyrwawszy się z tłumu zaczął biec w tamtym kierunku.

Ja również ruszyłem biegiem wybierając ścieżkę równoległą do trasy pociągu. Posuwałem się obok policjantów przez ciemny las. Lenin odwrócił głowę usłyszawszy moje kroki i zerknął na mnie przelotnie, ale nadal biegł prosto przed siebie.

- Tędy! - wrzasnąłem skręcając w boczną dróżkę, zawracającą w kierunku jeziora.

Lenin i jego czterej podwładni nadal biegli ścieżką, którą uciekał Munte. Musiał już słyszeć za sobą ich kroki. - Hej, wy! - krzyknąłem rozkazującym tonem, który miał ich

przekonać, że jestem od nich wyższy rangą. - Tędy, wy cholerni durnie! On ucieka w stronę łodzi!

Policjanci nadal biegli w ślad za Brahmsem. Postanowiłem wykorzystać ostatnią szansę. - Czy słyszycie, idioci? - zawołałem bez tchu. - Mówię wam, że pobiegł tędy!

Moja desperacja musiała ich przekonać, bo Lenin skręcił gwałtownie i pobiegł z tupotem przez las. Oczy wychodziły mu z orbit, jego twarz była czerwona z wysiłku. - Łódź jest ukryta! - zawołałem, by wyjaśnić im powód, dla którego po przybyciu na brzeg nie ujrzą żadnej jednostki pływającej. Ustąpiłem miejsca mundurowym i cofnąłem się w głąb ścieżki jakby spodziewając się następnych policjantów, którym trzeba będzie wskazać drogę.

Zanim przebyłem pięćdziesiąt metrów, Lenin dotarł do brzegu i zobaczył, że nie ma tam nie tylko łodzi, lecz również żadnego miejsca, w którym można by ją ukryć. Wysłał młodego rekruta w głąb lasu kazać mu mnie aresztować.

- Proszę się zatrzymać! - zawołał do mnie młody Saksończyk.

- Tędy - wrzasnąłem, do końca grając komedię.

- Stać! - powtórzył. - Stać, bo strzelał! - Miał już w ręku pistolet. Uznałem, że poborowy, który odważył się spierać z dowódcą patrolu, ma dość charakteru, by pociągnąć za spust. Zatrzymałem się. - Proszę o pańskie dokumenty - powiedział policjant.

Dostrzegłem Lenina, który wracał znad brzegu tą samą ścieżką dysząc ciężko i z gniewem wymachując rękami. Wiedziałem, że gra jest skończona.

- Chciałem wam tylko pomóc - oświadczyłem. - Widziałem, jak biegł w tamtym kierunku.

- Przeszukaj go - rozkazał Lenin chłopcu. Zamilkł na chwilę, by nabrać powietrza do płuc. - Potem odprowadź go do samochodu i zamknij. Wrócimy na Miiggelheimer Damm, ale prawdopodobnie zgubiliśmy go - powiedział do drugiego policjanta. - Musieli tam mieć ukryty samochód. - Podeszedł do mnie blisko i spojrzał mi głęboko w oczy. - Wszystkiego się od niego dowiemy - dodał.

ROZDZIAŁ XXVIII

Zamknęli mnie w biurze komendy policji. Miało zakratowane okno i duży zamek w drzwiach; uznali widocznie, że nie jestem na tyle niebezpieczny, by warto przeznaczać dla mnie więzienną celę. W pewien przewrotny sposób poczułem się tym dotknięty. Dotknęło mnie również to, że Lenin zlecił wstępne przesłuchanie młodemu Saksończykowi, który zadawał mi idiotyczne pytania w rodzaju: - „Jak się pan nazywa i kto pana zatrudnia?” Przez cały czas mówił tym niepowtarzalnym akcentem. Próbowałem odgadnąć, skąd pochodzi, ale nie chciał się przyłączyć do mojej zabawy. W końcu doszedłem do wniosku, że musiał się

urodzić w jakimś małym prowincjonalnym miasteczku blisko granicy między Polską a Czechosłowacją. Ale rozmawiając z nim o jego akcencie i miejscu pochodzenia uspiłem jego czujność. Kiedy nagle zmieniłem temat i zacząłem szydzić z niepowodzenia na Miiggelsee, wygadał się, że państwo Munte uciekli. Kiwnąłem głową i natychmiast poprosiłem o coś do jedzenia, aby nie uświadomił sobie, że zdradził mi tajemnicę.

Kiedy młody Saksończyk skończył zadawać mi pytania, posadzili przy mnie jakiegoś policjanta o kamiennej twarzy, który nie dawał się wciągnąć w rozmowę. Nie odzywał się ani słowem; nie spojrzał na mnie, nawet kiedy podszedłem do okna. Byliśmy na najwyższym piętrze budynku, który w międzynarodowych kręgach szpiegowskich nazywany jest „Normannenstrasse”; gmachu wschodnioniemieckiej Służby Bezpieczeństwa w dzielnicy Berlin - Lichtenberg.

Okna pokoju wychodziły na Frankfurterallee. Ta szeroka ulica jest główną trasą przelotową na wschód, toteż panował na niej duży ruch. Zrobiło się już chłodniej; jedynymi pieszymi na ulicy byli urzędnicy Ministerstwa Bezpieczeństwa, którzy wychodzili właśnie z pracy kierując się w stronę stacji kolejki podziemnej przy Magdalen-strasse.

Lenin przyłączył się do nas około północy. Odebrano mi oczywiście zegarek razem z pieniędzmi, paczką francuskich papierosów i szwajcarskim nożem wojskowym, ale słyszałem co godzinę bicie zegara zamontowanego na kościelnej wieży lub na jakimś gmachu państwowym. Lenin traktował mnie przyjaźnie. Roześmiał się nawet, kiedy powiedziałem coś żartem na temat jakości kawy. Był starszy niż mi się wydawało; chyba w moim wieku. Nic dziwnego, że zdyszał się podczas tej bieganiny po lesie. Miał na sobie brązowe sztruksowe ubranie z zapinaną na guzik górną kieszonką i lamówką w klapach. Zastanawiałem się, czy zaprojektował je sam, czy też szył mu je jakiś stary wiejski krawiec z rumuńskiej lub węgierskiej prowincji. Lubił podróżować; sam mi to powiedział. Potem mówił o amerykańskich filmach, o swym pobycie na Kubie, gdzie był oddelegowany do miejscowej służby bezpieczeństwa, i o swej miłości do angielskich powieści kryminalnych.

Wyjął jedno ze swych małych cygar i poczęstował również mnie. Odmówiłem. Była to rutynowa zagrywka, poprzedzająca przesłuchanie.

- Nie mogę ich palić - powiedziałem. - Boli mnie po nich gardło.

- Więc proponuję, żebyśmy obaj zapalili francuskie papierosy z paczki, którą panu odebrano. Pozwoli pan?

Nie byłem w sytuacji, w której można zgłaszać obiekcje.

- W porządku - powiedziałem.

Lenin wyciągnął z kieszeni marynarki zaczęta paczkę gauloisów i wyjął jednego z nich, a potem podsunął mi resztę.

- Znalazłem te zachodnie papierosy w kolejce podziemnej - powiedziałem.

Lenin uśmiechnął się.

- To właśnie napisałem w protokole aresztowania. Czy myśli pan, że nie słuchałem, co pan mówi? - Rzucił mi zapalniczkę. Była to przezroczysta jednorazówka produkcji zachodniej. Gazu było już bardzo niewiele, ale działała. - Teraz zniszczymy dowody paląc je wspólnie. Zgoda? - Mrugnął do mnie porozumiewawczo.

Lenin, który przedstawił się jako Erich Stinnes, miał encyklopedyczną pamięć; potrafił wymieniać w nieskończoność nazwiska swych ulubionych pisarzy i znał wszystkie fabuły ich licznych i różnorodnych książek. Mówił o postaciach literackich jak o żywych ludziach.

- Czy myśli pan - spytał - że Sherlock Holmes trafiając na przestępcę wychowanego w innej kulturze, miałby utrudnione zadanie? Czy nie sądzi pan, że potrafił wykrywać tylko przestępców, którzy podobnie jak on stosowali się do kodeksu postępowania angielskiego gentlemana?

- To tylko fabułki - powiedziałem. - Nikt nie traktuje ich serio.

- Ja traktuję je serio - oznajmił. - Holmes jest moim mistrzem.

- Holmes nie istnieje. Nigdy nie istniał. To tylko bzdurne historyjki.

- Jak może pan być takim filistrem? - spytał Lenin. - W „Znaku czterech” Holmes powiedział, że kiedy wyeliminuje się to co niemożliwe, wówczas to, co pozostaje, jakkolwiek wydawałoby się nieprawdopodobne, musi być prawdą. Takiej przenikliwości myślenia nie można lekceważyć.

- Ale w „Studium w szkarłacie” powiedział coś niemal przeciwnego - odparłem. - Powiedział, że kiedy jakiś fakt wydaje się sprzeczny z długim tokiem dedukcji, musi on podlegać jakiejś innej interpretacji.

- Ach, więc jednak jest pan jego wyznawcą - stwierdził Lenin zaciągając się papierosem. - Tak czy owak, ja nie uważam tych dwóch teorii za sprzeczne z sobą.

- Posłuchaj, Erich - przerwałem mu. - Jedyne, co pamiętam z opowieści o Sherlocku Holmesie, to dziwny nocny przypadek, dotyczący psa.

Lenin uciszył mnie gestem ręki i rozsiadł się wygodnie składając dłonie jak do modlitwy.

- Tak, „Srebrny płomień” - powiedział. Zmarszczył brwi usiłując przypomnieć sobie odnośny fragment. - „Pies nic nie robił w nocy. Na tym polegał ten dziwny przypadek”.

- No właśnie, Erich, mój przyjacielu. Wobec tego porozmawiajmy z sobą jak dwaj wielbienie Sherlocka Holmesa i zechciej mi wyjaśnić równie dziwny przypadek polegający na tym, że nikt nie próbuje mnie przesłuchiwać.

Lenin uśmiechnął się niepewnie jak proboszcz, który usłyszał ryzykowny dowcip z ust biskupa.

- To właśnie powiedziałbym, gdybym był na twoim miejscu, Angliku. Oświadczyłem mojemu przełożonemu, że członek kierownictwa londyńskiej służby bezpieczeństwa z pewnością zacznie się zastanawiać, dlaczego nie stosujemy normalnej procedury. Zacznie żywić nadzieję, że zostanie potraktowany w sposób szczególny. Będzie myślał, że nie chcemy przed nim ujawniać naszej metody przesłuchań. I wyciągnie z tego wniosek, że zostanie niedługo odesłany do domu.

A kiedy aresztant zacznie myśleć w taki sposób, postanawia trzymać język za zębami. Wtedy potrzeba tygodni, żeby cokolwiek z niego wyciągnąć.

- I co odpowiedział twój przełożony?

- Nie wolno mi powtórzyć ci jego słów. - Wzruszył ramionami jakby chcąc się przede mną usprawiedliwić. - Ale jak sam widzisz, nie zechciał posłuchać mojej rady.

- A ty radziłeś, żeby mnie przesłuchiwać natychmiast po aresztowaniu?

Przymknął oczy i kiwnął głową. I ten gest skojarzył mi się z osobą duchowną.

- Tak należałoby postąpić, prawda? Ale tym facetom zza biurka nie da się niczego wytłumaczyć.

- Wiem o tym - odparłem.

- Owszem. Obaj wiemy, jak to wygląda - powiedział. - Obaj odwalamy najcięższą robotę. Byłem kilka razy na Zachodzie, a ty przyjeżdżałeś tutaj. Ale kto otrzymuje awanse i najwyższe pensje - siedzący za biurkami partyjni dranie. Jesteście szczęśliwi, że nie macie systemu partyjnego, który działa przez cały czas przeciwko nam.

- My też mamy taki system - powiedziałem. - Naszymi partyjnymi draniem są absolwenci Eton, Cambridge i Oxfordu.

- W ubiegłym roku - ciągnął Lenin jakby nie słysząc mojej uwagi - mój syn miał średnią ocen, która upoważniała go do wstąpienia na uniwersytet, ale przyjęto na jego miejsce jakiegoś chłopaka, który miał gorsze stopnie. Kiedy się poskarżyłem, powiedziano mi, że stosują politykę popierania dzieci z rodzin robotniczych kosztem dzieci inteligentów, do których zaliczono mnie. - Jak to - spytałem - więc dyskryminujecie mojego syna za to, że jego ojciec miał dość rozumu, by zdać egzaminy? Czy na tym ma polegać państwo dyktatury proletariatu?

- Czy nagrywasz tę rozmowę?

- Żeby wsadzili mnie razem z tobą? Myślisz, że jestem wariatem?

- Nadal chciałbym się dowiedzieć, dlaczego nie jestem przesłuchiwany.

- Powiedz mi jedną rzecz - poprosił nagle pochylając się w moją stronę i zaciągając papierosem. Widać było, że stara się sformułować pytanie w sposób precyzyjny. - Ile wynosi twoja dniówka?

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Nie pytam, w jaki sposób zarabiasz na życie. Chcę tylko wiedzieć, ile ci płacą za każdy dzień pobytu poza domem.

- Sto dwanaście funtów dziennie na mieszkanie i jedzenie. Oprócz tego otrzymujemy zwrot kosztów podróży i innych poniesionych wydatków.

Lenin wypuścił kłęb dymu, wyraźnie demonstrując swe zniecierpliwienie.

- A nam nie chcą nawet płacić dziennych diet. Księgowość każe nam zapisywać wszystkie wydatki. Musimy się rozliczać z każdego wydanego grosza.

- Nie chciałbym nosić przy sobie takiego wykazu wydatków - powiedziałem.

- No właśnie. Przecież może on być dowodem obciążającym. Szkoda, że nie mogę tego wbić do głowy bandzie idiotów, którzy kierują tą instytucją.

- Czy naprawdę nie nagrywasz naszej rozmowy?

- Powiem ci coś w tajemnicy - powiedział Lenin. - Przed godziną rozmawiałem z Moskwą. Prosiłem ich, żeby pozwolili mi cię przesłuchać według mojej metody. Odmówili mi. Powiedzieli, że przyjedzie jakiś pułkownik KBG - zawsze tak mówią, ale nic z tego nigdy nie wynika - a ja mam tylko zatrzymać więźnia w areszcie do jego przybycia. Głupie sukinsyny. Tak działa Moskwa. - Zaciągnął się niecierpliwie papierosem i wypuścił kłęb dymu. - Daję ci słowo, że gdybyś się teraz załamał i wyznał mi, kto jest waszym agentem w moskiewskim Komitecie Centralnym, zacząłbym ziewać z nudów.

- Może spróbujemy? - spytałem.

- Co zrobiłbyś na moim miejscu? - spytał z uśmiechem. - Ten pułkownik KGB przyjedzie tu jutro rano i przejmie twoje akta. Czy myślisz, że zapisze na moje konto robotę, którą odwalilem przed jego przyjazdem? Akurat. Nie, nie zamierzam nawet kiwnąć palcem dla tych partyjnych grubych ryb.

Kiwnąłem głową, ale nie dałem się zwieść jego zachowaniem. Wiedziałem już od dawna, że tylko najwierniejsi mogą pozwolić sobie na mówienie herezji. Tylko jezuici krytykują papieża, tylko najbardziej troskliwi rodzice kpią ze swoich dzieci, tylko najbogatsi

podnoszą monety z rynsztoka. A w Berlinie Wschodnim tylko najwierniejsi mogą bez obawy wypowiadać opinie, które naraziłyby kogo innego na zarzut zdrady.

* * *

Następnego dnia sprowadzono mnie na dół już o siódmej rano. Niedługo przedtem usłyszałem zajeżdżające samochody i okrzyki, jakie wnoszą dowódcy warty, kiedy chcą zrobić wrażenie na przyjezdnych dygnitarzach.

Gabinet był jak na warunki wschodnioeuropejskie urządzone dość luksusowo. Nowoczesne, zaprojektowane w Finlandii biurko i krzesła, na podłodze dywan z owczej skóry. Niewyraźny aromat środków dezynfekujących mieszał się z wonią taniej pasty do podłóg. Był to zapach Moskwy.

Fiona nie siedziała za biurkiem; stała pod jedną ze ścian. Mój przyjaciel Lenin prężył się na baczność obok niej. Najwyraźniej składał jej meldunek. Odprawiła go w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości co do jej kompetencji.

- Idźcie do swego gabinetu i zajmijcie się tą sprawą - powiedziała po rosyjsku ze swobodą, która zawsze budziła mój podziw. - Zatelefonuję, jeśli będziecie mi potrzebni. - A więc tak zwany Erich Stinnes był Rosjaninem, niewątpliwie oficerem KGB. Musiałem przyznać, że świetnie mówi po niemiecku z berlińskim akcentem. Zapewne dorastał w tym mieście, podobnie jak ja, i podobnie jak ja był synem oficera armii okupacyjnej.

Fiona wyprostowała się i spojrzała w moją stronę.

- No i co? - spytała.

- Cześć, Fiona - powiedziałem.

- Więc domyśliłeś się? - Wydała mi się odmieniona, jakby bardziej bezwzględna, ale pewna siebie i spokojna. Musiała odczuwać ulgę mogąc zachowywać się naturalnie po latach udawania. - Chwilami byłam pewna, że się domyślasz.

- Nie trzeba było szczególnej domyślności. Sprawa była jasna, a w każdym razie powinna być jasna.

- Więc dlaczego nie przedsięwziąłeś żadnych kroków? - Miała metaliczny głos. Odniosłem wrażenie, że stara się grać rolę bezosobowego robota.

- Wiesz, jak to jest - odparłem. - Szukałem innych wyjaśnień. Tłumiłem w sobie tę myśl. Nie chciałem się z nią pogodzić. Ale nie popełniłaś żadnego błędu, jeśli o to ci chodzi. - Oczywiście, była to nieprawda i oboje dobrze o tym wiedzieliśmy.

- Nie powinnam była przepisywać odręcznie tego cholernego dokumentu. Wiedziałam, że ci durnie zostawią go w aktach. Obiecali...

- Czy jest w tym biurze coś do picia? - spytałem. Teraz, kiedy musiałem stawić czoło faktom, odkryłem, że łatwiej mi znieść prawdę niż lęk przed nią. Być może, lęk jest zawsze gorszy niż rzeczywistość, na tej samej zasadzie, na której nadzieja jest lepsza niż spełnienie.

- Być może. - Otworzyła kolejno szuflady biurka i znalazła niemal pełną butelkę wódki. - Czy to cię zadowoli?- Zadowolili mnie cokolwiek - odparłem biorąc z półki filiżankę i napelniając ją.

- Powinieneś ograniczyć picie alkoholu - powiedziała obojętnym tonem.

- Nie ułatwiasz mi tego - stwierdziłem. Wypiłem zawartość filiżanki i nalałem sobie następną porcję.

- Przykro mi, że tak się to musiało skończyć. - Jej uśmiech był niemal niedostrzegalny.

- To brzmi jak kwestia z hollywoodzkiego filmu.

- Nie musisz utrudniać sytuacji.

- To nie zależy ode mnie.

- Od początku postawiłam jeden warunek: że tobie nie stanie się nic złego. Dbałam zawsze o twoje bezpieczeństwo - od tej twojej wyprawy do Gdyni.

- Prawda wygląda tak, że udaremniałaś wszystkie moje poczynania informując o nich Rosjan. - Wiedząc, że mnie chroniła, czułem się jeszcze bardziej upokorzony.

- Zostaniesz zwolniony. Jeszcze dziś rano. I nie dlatego, że zażądał tego Werner.

- Werner?

- Czekał na mnie w samochodzie na lotnisku Berlin - Tegel, gdzie wylądował mój samolot. Wyciągnął pistolet. Groził mi i wymógł na mnie obietnicę, że zostaniesz zwolniony. Werner zachowuje się jak harcerz i ma takie samo harcerskie poczucie lojalności, jakie miałeś ty, kiedy się poznaliśmy.

- Być może to był mój słaby punkt.

- Ale mnie nic z tego nie przyszło. - Podeszła bliżej, jakby chciała mi się przyjrzeć po raz ostatni. - Postąpiłeś sprytnie mówiąc mi, że pierwszy przekroczysz granicę. Myślałam, że może zdążę tu przyjechać w porę i złapać Brahmę Cztery, twojego cennego pana von Munte.

- Zamiast niego złapałaś mnie.

- Tak, to było dobrze pomyślane, kochanie. Ale co będzie, jeśli cię zatrzymam?

- Nie zrobisz tego - odparłem. - Nie będziesz chciała mieć mnie pod ręką. Siedząc w rosyjskim więzieniu byłbym dla ciebie kulą u nogi. A poza tym, uwięziony mąż nie pasowałby do tej świadomości społecznej, o którą tak dbasz.

- Masz rację - przyznała.

- Przynajmniej próbujesz znaleźć jakieś usprawiedliwienie - powiedziałem.

- Dlaczego miałabym to robić? I tak nie potrafiłbyś mnie zrozumieć. Wy wszyscy tylko gadacie o systemie klasowym i żartujecie z jego funkcjonowania. Ja próbuję zrobić coś konkretnego.

- Nie tłumacz mi tego. Zostaw mi coś, co będzie dla mnie niepojęte.

- Zawsze będziesz tą samą arogancką świnią, którą poznałam na przyjęciu u Freddy'ego Springfielda.

- Chciałbym myśleć, że byłem wtedy trochę bystrzejszy niż facet, którego potem oszukałaś.

- Nie masz czego żałować. Wrócisz do Londynu i obejmiesz stanowisko Dicky'ego Cruyera. Pod koniec roku zagroźysz poważnie pozycji Breta.

- Tak myślisz?

- Zrobiłam z ciebie bohatera - powiedziała z goryczą. - To ty zmusiłeś mnie do ucieczki w momencie, w którym nikt inny nie domyślał się prawdy. Dopóki nie powiedziałeś mi przez telefon o tym odręcznie przepisany raport, myślałam, że nigdy mnie nie zdemaskujecie.

Nie odpowiedziałem jej. Byłem na siebie wściekły o to, że już dawno nie uświadomiłem sobie prawdy. A prawda wyglądała tak, że to ja byłem głównym atutem Fiony. Kto byłby skłonny pomyśleć, że Bernard Samson może być żonaty z agentką obcego mocarstwa i nie zdawać sobie z tego sprawy? Małżeństwo ze mną skomplikowało jej życie, ale zapewniało jej bezpieczeństwo.

- A poza tym uratowałeś waszego cennego agenta. Przerzuciłeś Brahmę Cztery na Zachód, więc wszyscy inni wasi agenci będą mogli znowu spokojnie odetchnąć.

Milczałem. Mogła to być prowokacja. Dopóki nie miałem gwarancji, że państwo Munte są bezpieczni, wolałem nie wypowiadać się na ich temat.

- Ależ tak. Odniosłeś wielki sukces zawodowy, kochanie. Tylko twoje życie osobiste leży w gruzach. Nie masz żony, nie masz domu, nie masz dzieci.

Wiedziałem, że chce mnie sprowokować do wybuchu złości. Znałem ten ton; słyszałem go w innych czasach, w innych miejscach, przy okazji innych sporów. Takim właśnie tonem krytykowała niekiedy Wenera, mój sposób mówienia, mój akcent, moje części garderoby, moje dawne sympatie.

- Czy mogę już iść?

- Oficer, który dokonał aresztowania - major Erich Stinnes - odwiezie cię o dziewiątej na przejście graniczne *Checkpoint Chanie*.

Wszystko jest ustalone. Będziesz bezpieczny. - Uśmiechnęła się. Była zadowolona, że może mi zademonstrować swą władzę. Była pułkownikiem KGB; musieli się z nią liczyć. KGB zawsze dobrze traktuje swoich ludzi. Gardzi tylko resztą ludzkości.

Odwrociłem się do wyjścia, ale kobiety nie potrafią zakończyć żadnej sprawy w sposób prosty. Zawsze proszą, żebyś usiadł, i wygłaszają mowę albo piszą do ciebie długie listy. Zawsze chcą mieć nie tylko ostatnie słowo, lecz również ostatnią myśl.

- Dzieci pójdą do najlepszej szkoły w Moskwie. To jeden z warunków porozumienia, jakie zawarłam. Może uda mi się załatwić ci przepustkę, żebyś mógł się z nimi bezpiecznie widywać, ale nie mogę tego obiecać.

- Oczywiście - odparłem.

- I nie będę ich mogła wysłać w odwiedziny do Anglii, kochanie. Nie mogę ci ufać, nawet jeśli obiecasz, że je odeślesz. Rozumiesz mnie, prawda?

- Istotnie - odparłem. - Nie wiem, czy dotrzymałbym słowa. Czy teraz mogę już iść?

- Wyrównałam debet w banku i wpłaciłam sześćset funtów na twoje konto, żebyś zapłacił niani. I sto na jakies zaległe rachunki. Napisałam to wszystko i zostawiłam list u pana Moore, dyrektora banku.

- W porządku.

- Oczywiście, zostaniesz wezwany do Dyrektora Generalnego. Możesz mu powiedzieć, że ta strona nie będzie rozgłaszać mojej ucieczki. Powinien być z tego zadowolony, po wszystkich skandalach, jakie przeżyła jego instytucja na przestrzeni ostatniego roku.

- Powiem mu to - obiecałem.

- A więc, do widzenia, kochanie. Czy mogę liczyć na pożegnalny pocałunek?

- Nie - odparłem otwierając drzwi. Lenin czekał na półpiętrze ściskając w ręku swą skórzaną czapkę. Dostrzegł stojącą za mną Fionę. Nie uśmiechnął się w obecności przełożonego. Ciekaw byłem, czy wie, że jest ona moją żoną. Domyślałem się, że Fiona będzie zapewne urzędować w Berlinie. Biedny Erich Stinnes.

Kiedy zeszedliśmy na parter, przyspieszyłem kroku, żeby jak najszybciej wyjść z tego okropnego budynku. Lenin zrównał się ze mną przy drzwiach.

- Czy jest jeszcze coś do załatwienia? - spytał wzywając gestem samochód.

- Na przykład co? - odparłem.

Siedziałem w czarnym volvie i przyglądałem się skąpanym w słońcu ulicom. Minęliśmy Stalinallee, którą w ciągu jednej nocy przemianowano na Karl-Marx-Allee zmieniając nad ranem wszystkie tabliczki. Potem wjechaliśmy z Alexanderplatz w Unter den

Linden i ponownie skręciliśmy w lewo. Teraz widać już było punkt graniczny *Checkpoint Chanie*, na końcu Friedrichstrasse.

- Przewiozę cię na drugą stronę - powiedział Stinnes. Kierowca dotknął klaksonu. Policja graniczna rozpoznała samochód i podniosła szlabany, a my nie zatrzymując się przejechaliśmy przez punkt kontrolny. Żołnierz amerykański dyżurujący w szklanej budce po zachodniej stronie zerknął na nas tylko, bez większego zainteresowania.

- Wystarczy - powiedziałem. - Wsiądę w jedną z tych taksówek. - Ale dostrzegłem już Wenera. Siedział w samochodzie, w tym samym miejscu, w którym parkowaliśmy zawsze oczekując na kogoś przy tym punkcie granicznym. Volvo skręciło i zatrzymało się. Wysiadłem i zaczerpnąłem głęboki haust słynnego *Berliner Luft*. Miałem ochotę przebiec wzdłuż kanału aż do Liitzowplatz i wpaść do biura ojca, które mieściło się na Tauentzienstrasse. Chciałem otworzyć szufladę jego biurka i wyjąć z niej jego przydziałową tabliczkę czekolady. Potem wspiąć się na sterty śmieci, wypełniające całą ulicę, i w chmurze pyłu zjechać na drugą stronę. Przebiec przez uporządkowane ruiny kliniki, obok ustawionych w równe rzędy pustych butelek, oczyszczonych z gruzu cegieł i kawałków nadpalonego drewna. W sklepie na rogu zapytać pana Mausera, czy Axel przyjdzie się ze mną bawić. Potem wspólnie z nim odszukać Wenera i być może pojechać nad jezioro. Był taki ładny dzień...

- Czy wszystko poszło dobrze, Werner?

- Dzwoniłem do Londynu przed godziną - odparł. - Wiedziałem, że to będzie pierwsze pytanie, jakie mi zadasz. Domu twojej matki strzegą uzbrojone patrole policyjne. Rosjanom nie uda się żaden numer. Twoje dzieci są bezpieczne.

- Dziękuję, Werner - powiedziałem. Myślałem o dzieciach mogłem na chwilę zapomnieć o Fionie. Ale byłoby mi jeszcze łatwiej, gdybym w ogóle nie musiał myśleć.

„KB”